

P. 9. 786 Clw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/346 - 8/347 1976



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ - CZ. MIŁOSZ :

DWUGŁOS SPRZED ĆWIERĆ WIEKU

W. NIEKRASOW :

SPRAWA PERSONALNA TOWARZYSZA A.Ł. JUFY

T. BOROWSKI :

WIERSZE NIEZNANE

DOKUMENTY KRAJOWE

SPIS RZECZY

DWUGŁOS SPRZED ĆWIERĆ WIEKU

—	<i>Od Redakcji</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Przeciw poetom</i>	4
Czesław Miłosz:	<i>List do Gombrowicza</i>	14
Witold Gombrowicz:	<i>„Przekłete zdrobnienie znowu dało mi się we znaki”</i>	19



Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	27
Wiktor Nickrasow:	<i>Sprawa personalna towarzysza A. Ł. Jufy</i>	43

WIERSZE

Gustaw Herling Grudziński:	<i>W ćwierćwiecze śmierci Borowskiego</i>	84
Tadeusz Borowski:	<i>*** — Wyznanie — Powroty — Dwie ojczyzny</i>	85

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Wybory prezydenckie w U.S.A.</i>	88
Włodzimierz Ledóchowski:	<i>Perspektywy afrykańskie</i>	92

CO ROBIĆ?

—	<i>Od Redakcji</i>	99
—	<i>Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju</i>	99

K R A J

Maria Dziewicka:	<i>Komentarz do tzw. „Listu 7-miu</i>	116
—	<i>List studentów do Rady Państwa PRL</i>	120
—	<i>Z przemówienia adw. Wł. Siły-Nowickiego</i>	121
—	<i>Odwolanie Jacka Smykała</i>	123
—	<i>Odpowiedź Min. Zdrowia i Op. Społ.</i>	125
—	<i>Rosnące rozdźwięki wśród katolików świeckich w PRL</i>	126
—	<i>Konferencja cenzury z redaktorami</i> ..	129
—	<i>List Otwarty Młodzieżowego Komitetu do spraw KBWE w Helsinkach</i> ..	130
X. A.:	<i>Przestrogi dla wyjeżdżających na kontrakt „PolSERVICE”</i>	132

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk:	<i>Więści z Ukrainy</i>	136
BEO:	<i>Kronika ukraińska</i>	139
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	141
Andrzej J. Chillecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	147
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	150

SPRAWY I TROSKI

P. Emigrant:	<i>Raptularz londyński</i>	152
Bohdan Brodziński:	<i>Zebrania londyńskiego Klubu „Kultury”</i>	155

(Dalszy ciąg spisu treści na str. 240-ej)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1976

INSTYTUT



LITERACKI

Ś | P

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

ur. w Krakowie 3 lutego 1906 r.
zmarł w Londynie po ciężkiej chorobie
w dn. 21 czerwca 1976.

„Pokładam w Bogu nadzieję, że nowe operacje nie będą konieczne i że niedługo będę mógł wrócić do normalnej pracy — bo choć Kultura daje sobie doskonale radę beze mnie — mnie trudno jest żyć bez pisywania do Kultury, której poświęciłem najlepsze lata mojego życia”.

Tak zakończył Juliusz Mieroszewski swój List do czytelników z listopada ubiegłego roku. Powiedział w tym zdaniu, czym Kultura była dla Niego. Nad świeżym grobem Mieroszewskiego chcemy powiedzieć, czym był dla Kultury. Więcej niż jej naczelnym i bardzo wybitnym publicystą, od którego artykułów nasi czytelnicy zaczęli w ciągu dwudziestu sześciu lat lekturę miesięcznika. Był rzadkim okazem pisarza politycznego, oddanego swemu piśmiu bez reszty. W małym londyńskim pokoiku, wypełnionym książkami i gazetami, myślał o jednym tylko: o kolejnym artykule do Kultury. Podczas częstych odwiedzin przyjeźdźnych z Kraju, i o ileż rzadszych wizyt znajomych emigracyjnych, mówił o jednym tylko: o sprawie polskiej w kontekście śledzonej uważnie, opukiwanej dzień po dniu, sytuacji międzynarodowej. Żył nieustanną myślą o miejscu niepodległej i demokratycznej Polski w świecie z trudnym do wyrażenia samozaparciem, graniczącym z abnegacją. Był emigrantem politycznym doskonałym, zrosniętym ze swoją comiesięczną trybuną nierozzerwalnie. Jak mało kto miał prawo napomknąć w liście do czytelników (który okazał się listem pożegnalnym) o „poświęceniu najlepszych lat życia” trwaniu i walce na posterunku publicystycznym, który był zawsze i przede wszystkim służbą czytelnikom.

Zapewne, Kultura będzie sobie dawać radę bez Niego, ale nie — jak w przesadnej skromności sądził — doskonale. Śmierć Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt nie wypełni. Wraz z Nim umarła część Kultury.

REDAKCJA

Dwugłos sprzed ćwierć wieku

(GOMBROWICZ I MIŁOSZ O POEZJI)

OD REDAKCJI

Szkic Witolda Gombrowicza „Przeciw Poetom”, ogłoszony w Kulturze przed dwudziestu pięciu laty (nr 10/48, 1951), został wprawdzie włączony do pierwszego tomu „Dziennika”, ale pominięto tam, siłą rzeczy, wywołaną tym szkicem dyskusję i końcową odpowiedź Gombrowicza: „Obrońcom Poetów”. Gombrowicz streszcza w niej wypowiedzi Łobodowskiego, Zaremby i Tarnawskiego, odpowiedź jego byłaby jednak niezrozumiała bez ogłoszenia na nowo kapitalnej wagi listu Czesława Miłosza.

Diagnoza ówczesnej symetrycznej i przeciwstawnej alienacji poezji w zachodnich społeczeństwach i w krajach komunistycznych, postawiona przez obu czołowych polskich pisarzy którzy znaleźli się na emigracji, jest nie tylko zadziwiająco trafna: pozwala ona ocenić wagę przemian jakie zaszły od tego czasu.

Jeśli chodzi o Polskę, Miłosz podnosi „sprzeczność nie do usunięcia między diamentem i prawdziwą twórczością artystyczną”. Podkreśla on z drugiej strony „ogromną pracę nad stylem poetyckim”, dokonaną tam w ciągu pierwszych lat powojennych. W pięć lat później diament został jeśli nie poświęcony to odłożony do lamusa zastygłego rytuału i Miłosz radośnie witał nowe ożywcze głosy w polskiej poezji.

Losy „czystej poezji” na Zachodzie (czyli alienacji odwrotnej) były oczywiście bardziej złożone. Jej „Masto” nadal bywa „zbyt Maślane”, ale coraz częściej się zdarza, że w myśl wskazówek Miłosza poeta anglosaski, niemiecki, włoski (rzadziej francuski) „używa rytmu i obrazów jako środka żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie”. Skądinąd przeciw

„próżni muzy poetyckiej” powstała radykalna i nowa krytyka kultury i sztuki postawiona na Zachodzie przez młodzież w latach sześćdziesiątych, a zwłaszcza w maju 68.

Po upływie ćwierć wieku, udostępnienie młodemu pokoleniu tego dwugłosu wydaje się nam niezbędne jako dowód, że czło- wiek — jak powiada Miłosz — „nawet w nieprzychylnych okolicznościach zdolny jest zachować zdrowie umysłowe i szacunek dla prawdy”. Dodajmy jednak (ponieważ chodzi o poe- zję), że prekursorska wizja Gombrowicza i Miłosza związana jest niewątpliwie z tym, że ich własne dzieła poetyckie (a nie tylko krytyka) „broni poezję przed bzdurą i fałszem”.

PRZECIW POETOM

Byłoby subtelniej z mej strony gdybym nie zakłócał jednego z nielicznych nabożeństw, jakie nam jeszcze pozostały. Aczkol- wiek zwątpiliśmy prawie o wszystkim, uprawiamy jeszcze kult Poezji i Poetów i to bodaj jedyne Bóstwo, którego nie wstydzimy się wielbić z wielką pompą, z głębokimi pokłonami, głosem na- puszonym... Ach, ach, Shelley! Ach, ach, Słowacki! Ach, słowo Poety, misja Poety i dusza Poety! A jednak trzeba mi rzucić się na te modły i popsuć, w miarę możliwości mojej, ten rytuał w imię... w imię po prostu elementarnej złości, jaką w nas budzi wszelki błąd stylu, wszelki fałsz, wszelka ucieczka od rzeczy- wistości. A ponieważ zabieram się do walki z dziedziną szcze- gólnie wywindowaną, nieomal podniebną, przeto muszę się pil- nować, abym sam nie wleciał jak balon i nie stracił twardego gruntu pod stopami.

Teza niniejszego szkicu: iż nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszo- wanym wyda się, przypuszczam, równie śmiała, jak niepoważna. A jednak ja tu stoję przed wami i oświadczam, że mnie wiersze wcale się nie podobają, a nawet mnie nudzą. Powiecie może iż jestem nędznym ignorantem? Ale pracuję przecież w sztuce od dawna i język jej nie jest mi tak zupełnie obcy. A również nie możecie użyć przeciwko mnie waszego ulubionego argumentu, twierdząc, że nie posiadam wrażliwości poetyckiej, albowiem właśnie posiadam ją i w dużej mierze — a gdy poezja objawia mi się nie w wierszach lecz zmieszana z innymi bardziej pro- zaicznymi elementami, na przykład w dramatach Szekspira, w prozie Dostojewskiego i Pascala, lub po prostu przy okazji zwy- kłego zachodu słońca, drzę jak inni śmiertelnicy. Dlaczegoż tedy nudzi mnie i męczy ten farmaceutyczny ekstrakt zwany „czystą

poezją”, zwłaszcza gdy ukazuje się w formie wierszowanej? Dlaczego nie mogę znieść tego monotonnego śpiewu, bez przer- wy wzniesłego, dlaczego usypia mnie rytm i rym, dlaczego język poetów wydaje mi się najmniej ciekawy ze wszystkich możliwych języków, dlaczego ta Piękność jest dla mnie tak mało powabna i dlaczego nie znam nic, jako styl, gorszego, nic bardziej śmiesznego niż sposób w jaki Poeci mówią o sobie i swojej Poezji?

Ale byłbym może skłonny uznać jakąś specjalną ułomność moją w tym względzie... gdyby nie pewne doświadczenia... pewne naukowe doświadczenia... Przeklęty, w sztuce, Bacon! Doradzam wam abyście nigdy nie starali się przeprowadzać doświadczeń na terenie sztuki, gdyż dziedzina ta tego nie znośi — a wszystkie deklamacje na jej temat mogą ostać się tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie tyle niedyskretny, aby zajrzeć, o ile pokry- wają się one z rzeczywistością. Ładnych rzeczy, na przykład, dowiedzielibyśmy się, gdybyśmy zaczęli badać o ile osoba, która zachwycą się Bachem, może w ogóle zachwycać się Bachem, tj. o ile zdolna jest uchwycić coś z muzyki i z Bacha. Czyż nie zdarzyło mi się (pomimo iż nie potrafię wygrać na forte- pianie „włazał kotek na płotek”) dać nie bez powodzenia dwóch koncertów — koncertów, które polegały na tym, iż zacząłem bębnić w instrument bez składu ni ładu, zapewniwszy sobie przedtem poklask kilku wtajemniczonych w mą intrygę znaw- ców i zapowiedziawszy, że będę grał nowoczesną muzykę? Jakie szczęście, że ci, którzy rozprawiają o sztuce górnym trybem Valerego nie zniżają się do takich konfrontacji. Ten kto od tej strony podchodzi do naszej estetycznej Mszy z łatwością może odkryć, iż to królestwo pozornej Dojrzałości jest właśnie najbardziej niedojrzałym podwórkiem ludzkości, gdzie króluje bluff, mistyfikacja, snobizm, fałsz i głupstwo. I dobrą będzie gimnastyką dla naszego sztywnego myślenia, jeśli od czasu do czasu wyobrazimy sobie samego Pawła Valery jako kapłana Nie- dojrzałości, bosego księdza w krótkich majtkach.

Następujące przeprowadzałem doświadczenia: kombinując po- szczególne zdania, lub fragmenty zdań, z wierszy danego poety, budowałem wiersz absurdalny i odczytywałem go w gronie szcze- rych miłośników jako nowy utwór wieszczca — ku ogólnemu zachwytowi owych miłośników; albo zaczynałem wybadywać ich w sposób szczegółowy na okoliczność tego czy innego poematu, i stwierdzałem, że „miłośnicy” nawet nie przeczytali go w ca- łości. Jakież więc? Tak się zachwycać, a nawet nie doczytać do końca? Rozkoszować się tak dalece „matematyczną precyzją” poetyckiego słowa, a nie dostrzec radykalnego pokiełbaszenia pre- czyzi? Tak się mądrzyć, tyle deklamować na te tematy, delekt-

wać się jakimiś subtelnościami, niuansami, a zarazem popełniać tak ciężkie, tak elementarne grzechy? Naturalnie, po każdym z tych doświadczeń wielkie powstawały protesty i obrazy, a miłośnicy zaklinali się na wszystkie świętości, że jednak to nie tak... że przecież... ale ten groch odbijał się od twardej skały Doświadczenia.

Znalazłem się więc w obliczu następującego dylematu: tysiące ludzi pisze wiersze; setki tysięcy wielbią tę Poezję; znakomici geniusze wypowiadali się wierszem; od niepamiętnych czasów Poeta jest czczony — a wobec tej góry chwały ja, z moim podejrzeniem, że msza poetycka odbywa się w zupełnej próżni. O, gdybym nie umiał bawić się tą sytuacją, na pewno bardzo byłbym przerażony!

Pomimo to jednak moje doświadczenia ogromnie wzmocniły mnie na duchu i już śmiało zacząłem szukać odpowiedzi na to męczące pytanie: dlaczego nie smakuje mi czysta poezja? Dlaczego? Czyż nie dla tych samych przyczyn, dla których nie smakuje mi cukier w stanie czystym? Cukier nadaje się do osładzania kawy ale nie do tego aby go jeść łyżką z talerza, jak kaszkę. W poezji czystej, wierszowanej, *nadmiar* męczy; nadmiar poezji, nadmiar poetycznych słów, nadmiar metafor, nadmiar sublimacji, nadmiar, wreszcie, kondensacji i oczyszczenia ze wszelkiego elementu antypoetyckiego, co upodabnia wiersze do chemicznego produktu.

Śpiew jest bardzo odświętną formą wypowiedzi... Ale oto, w ciągu wieków, mnożą się śpiewacy — którzy, śpiewając, zmuszeni są przyjąć postawę śpiewaka — a ta postawa z biegiem czasu coraz staje się sztywniejsza. I jeden śpiewak podnieca drugiego, jeden drugiego utwierdza w coraz bardziej nieustępliwym zapamiętaniu się w śpiewie, ha, już nie śpiewają oni dla tłumy, już jeden śpiewa dla drugiego; i między nimi, na drodze nieustannej rywalizacji, ciągłego doskonalenia się w śpiewie, wytwarza się piramida, której szczyt dosięga niebios i którą podziwiamy z dołu, z ziemi, zadzierając nosy. To co miało być chwilowym wzlotem prozy, stało się programem, systemem, profesją — i dziś jest się Poetą tak jak się jest inżynierem lub lekarzem. Wiersz urósł nam do potwornych rozmiarów i już nie my nim rządymy, ale on nami. Poeci stali się niewolnikami — i moglibyśmy określić poetę, jako istotę, która już nie może wypowiadać siebie, gdyż musi wypowiadać Wiersz.

A przecież nie może być chyba w sztuce ważniejszego zadania, niż to właśnie: wypowiadać siebie. Nie powinniśmy nigdy tracić z oczu prawdy, że wszelki styl, wszelka określona postawa formuje się przez eliminację i jest w gruncie rzeczy zubożeniem.

Nie powinniśmy przeto nigdy pozwolić, aby jakkolwiek postawa redukowałą zbytnio nasze możliwości, stając się kneblem na ustach — a gdy idzie o tak sztuczną, ba, nieomal pretensjonalną postawę jak „śpiewaka” tym bardziej należałoby nam mieć się na baczności. Lecz my, jak dotąd, jeśli idzie o sztukę, o wiele więcej wysiłku i czasu poświęcamy doskonaleniu się w takim albo innym stylu, w takiej lub innej postawie, niż temu aby zachować w stosunku do nich wewnętrzną suwerenność i swobodę, aby wypracować właściwy stosunek pomiędzy nami a naszą postawą. Zdawałoby się, iż Forma jest dla nas wartością samą w sobie, niezależnie od tego o ile nas wzbogaca lub zuboża. Zapamiętałe doskonalimy sztukę ale niewiele się przejmujemy pytaniem, do jakiego stopnia zachowała ona jeszcze jakiś związek z nami. Pielęgnujemy Poezję, nie bacząc, iż to co piękne niekoniecznie musi być „twarzowe”. Jeżeli więc chcemy, aby kultura nie straciła wszelkiego związku z jednostką ludzką, musimy od czasu do czasu przerwać naszą pracowitą twórczość i skontrolować, czy to co wytwarzamy, nas wyraża.

Istnieją dwa sprzeczne rodzaje humanizmu: jeden, który moglibyśmy nazwać religijnym, usiłuje rzucić człowieka na kolana przed dziełem kultury ludzkiej, zmusza nas abyśmy wielbili i szanowali, na przykład, Muzykę, albo Poezję, albo Państwo, albo Bóstwo; ale drugi, bardziej krnąbrny prąd ducha naszego, stara się właśnie o przywrócenie człowiekowi jego suwerenności i niezależności w stosunku do tych Bogów i Muz, które, ostatecznie, są jego, człowieka, tworem. W tym ostatnim przypadku słowo „sztuka” pisze się z małej litery. I niewątpliwą jest rzeczą, że styl, który potrafi objąć obie te tendencje, jest pełniejszy, autentyczniejszy i ściślej odzwierciedla antynomiczność natury naszej, niż styl który ze ślełą krańcowością wyraża jeden tylko z tych dwóch biegunów naszego uczucia. Ale, ze wszystkich artystów, poeci są chyba tymi którzy najusilniej padają na kolana — najbardziej się modlą — są oni kapłanami *par excellence* i *ex professo*, a Poezja, w tym ujęciu, staje się po prostu celebracją. Ta właśnie wyłączność sprawia, że styl i postawa poetów są tak drastycznie niedostateczne, tak niczym nieuzupełnione.

Pomówmy jeszcze przez chwilę o stylu. Powiedzieliśmy, że artysta musi wypowiadać siebie. Lecz, wypowiadając siebie, musi on także dbać aby jego sposób mówienia był zgodny z istotnym jego położeniem w świecie, winien on dać nie tylko stosunek swój do świata, ale i świata do siebie. Jeżeli, będąc tchórzem, przybieram ton heroiczny, popełniam błąd stylu. Ale jeżeli wyrażam się tak, jak gdybym był przez wszystkich szanowany i kochany, podczas gdy w rzeczywistości ludzie nie cenią mnie ani nie lubią, także popełniam błąd stylu. Jeżeli zaś chcemy zdać

sobie sprawę z istotnego naszego położenia w świecie, nie możemy unikać konfrontacji z odmiennymi, od naszej, rzeczywistościami. Człowiek który uformował się jedynie w styczności z ludźmi podobnymi sobie, który jest produktem wyłącznie swego środowiska, ciasniejszy, gorszy będzie miał styl od tego, który doznał rozmaitych środowisk i ludzi. I otóż w poetach razi nie tylko ta ich nabożność, niczym nie skompensowana, to oddanie się całkowite Poezji, ale i ich strusia polityka w stosunku do rzeczywistości: gdyż oni bronią się przed rzeczywistością, nie chcą jej widzieć, ani uznać, uprawiają się umyślnie w stan oszołomienia, który nie jest siłą, lecz słabością.

Czyż poeci nie tworzą dla poetów? Czy nie szukają oni jedynie wyznawców tj. ludzi takich, jak oni sami? Czyż te wiersze nie są li-tylko wytworem pewnej, ciasnej, grupy? Czy nie są one hermetyczne? Oczywiście, nie zarzucam im tego że są „trudni” — nie domagam się aby pisali „w sposób dla wszystkich zrozumiały” ani aby zstąpili pod strzechy. Równałoby się to żądaniu, aby dobrowolnie zrezygnowali z najistotniejszych wartości, jak świadomość, rozum, większa wrażliwość i głębsza wiedza o życiu i świecie po to aby zniżyć się do przeciwnego poziomu — o, nie, nigdy nie zgodzi się na to żadna sztuka, która się szanuje! Ten, kto jest rozumny, subtelny, wzniosły i głęboki musi przemawiać rozumnie i subtelnie i głęboko, a kto jest wyrafinowany musi przemawiać w sposób wyrafinowany — gdyż wyższość istnieje i istnieje ona nie po to ażeby się zniżyć. Nie jest więc złe, że współczesne wiersze nie są byle komu dostępne, ale złe jest, że są zrodzone z jednostronnego, ciasnego obcowania identycznych światów, identycznych ludzi. Wszakże sam jestem autorem, który uparcie broni swojego poziomu — ale jednocześnie (wspominam o tym aby mi nie zarzucono że uprawiam rodzaj, który zwalczam) utwory moje ani przez chwilę nie zapominają, że poza mym światkiem istnieją jeszcze inne światy. I jeśli nie piszę dla ludu, to jednak piszę jako ktoś przez lud zagrożony, lub też zależny od ludu, lub przez lud stwarzany. Nigdy też nie przyszło mi do głowy aby przybierać pozę „artysty”, „pisarza”, dojrzałego, uznanego twórcy, lecz występuję właśnie w roli kandydata na artystę, jestem tym, który jedynie pragnie być dojrzały — w nieustającym i zażartym starciu ze wszystkim co mnie hamuje w rozwoju. I sztuka moja wykształciła się nie w zetknięciu z grupą ludzi mnie pokrewnych, lecz właśnie w odniesieniu do wroga i w zetknięciu z wrogiem.

Poeci natomiast? Czyż wiersz poety może się ostać, jeśli wpadnie w ręce nie przyjaciela-poety, ale wroga, ale nie-poety? Jak wszelka inna wypowiedź, wiersz tak powinien być poczęty i urzeczywistniony, aby nie przyniósł hańby swemu twórcy na-

wet wówczas, gdyby nikomu nie miał się podobać. Więcej nawet, trzeba aby wiersze nie hańbiły twórcy także w tym wypadku, jeśli jemu samemu — twórcy — się nie podobają. Albowiem żaden poeta nie jest wyłącznie poetą i w każdym poecie żyje nie-poeta, który nie śpiewa i nie lubi śpiewu... a człowiek jest czymś obszerniejszym niż poeta. Ale styl zrodzony wśród wyznawców tej samej religii umiera w zetknięciu z tłumem niewiernych; niezdolny jest on bronić się, ani walczyć; niezdolny do prawdziwego życia; to styl ciasny.

Pozwólcie, iż ukazę wam następującą scenę... Wyobraźmy sobie, że w gronie kilkunastu osób jedna z nich wstaje i zaczyna śpiewać. Śpiew ten nudzi większość słuchaczy; lecz śpiewak nie chce zdać sobie z tego sprawy; nie, on zachowuje się jakby zachwycił; wymaga aby wszyscy padli na kolana przed tym Piękem, żąda bezwzględnego uznania dla swej roli Wieszczą; i choć nikt nie przywiązuje do jego śpiewu większej wagi, on przybiera minę jakby słowo jego miało decydujące dla świata znaczenie, pełen wiary w swoją Poetycką Misję ciska gromy, huczy, brzmi, szaleje w próżni; lecz, co więcej, nie chce przyznać się przed ludźmi, ani też przed sobą, że ten śpiew nawet jego samego nudzi, męczy, dręczy — gdyż przecie on nie wypowiada się swobodnie, ani naturalnie, ani bezpośrednio, tylko w formie odziedziczonej po innych poetach, która straciła już od dawna styczność z bezpośrednim odczuwaniem ludzkim; i oto nie tylko głosi on Poezję, ale i zachwyca się Poezją; będąc Poetą, wielbi wielkość Poety; nie tylko wymaga aby inni padali przed nim na kolana, lecz sam przed sobą pada na kolana. Czyż nie można by o takim człowieku powiedzieć, że on za duży wziął ciężar na swe barki? Gdyż nie tylko wierzy w moc poezji, ale i zmusza samego siebie do tej wiary, nie tylko ofiarowuje siebie innym, ale i zmusza ich aby ten boski dar, jak hostię, spożywali. Gdzież w tak hermetycznym stanie ducha powstać może jakaś szczelina, przez którą wdarłoby się z zewnątrz życie? A przecież nie mowa tutaj o jakimś trzeciorzędnym piewcy, nie, to się odnosi również do najślawniejszych, najlepszych poetów.

Gdybyż poeta umiał potraktować swój śpiew jako manię, lub jako obrządek, gdybyż oni śpiewali jako ci, którzy *muszą* śpiewać, choć wiedzą, że śpiewają w próżni. Gdybyż zamiast dumnego „ja, Poeta” byli zdolni wypowiedzieć te słowa ze wstydem, lub z lękiem... lub nawet ze wstrętem... Ale nie! Poeta musi uwielbiać Poetę!

Ta więc bezsilność wobec rzeczywistości cechuje w sposób miazdzący styl i postawę poetów. Lecz człowiek, który ucieka przed rzeczywistością, nie znajduje już w niczym oparcia... staje się igraszką żywiołów. Z chwilą, gdy poeci stracili z oczu

konkretną istotę ludzką, a wzrok utkwił w abstrakcyjnej Poezji, już nic nie mogło powstrzymać ich na równi pochyłej, wiodącej w przepaść absurdu. Wszystko zaczęło im rosnać samo przez się. Metafora, pozbawiona wszelkiego wędzidła, wzięła na kiel, rozszalała się do tego stopnia, że dziś już nic w wierszach nie ma, prócz metafor. Język stał się rytualny — te „róże”, te „zmierzchy”, „tęsknoty” lub „ból”, które ongiś miały jakąś świeżość, stały się wskutek nadużycia pustym dźwiękiem — a odnosi się to również i do bardziej nowoczesnych „semafor” lub innych „spirał”. Zwężeniu języka towarzyszy zwężenie stylu, które doprowadziło do tego, że dziś wiersze to nie więcej niż kilkanaście uświęconych „przeżyć” podanych w natrętnych kombinacjach skąpego słownika. W miarę jak Zwężenie stawało się coraz Węższe, nieokiełznane niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza. Gdy z jednej strony pozbawiony hamulca wiersz rozdał się do granic gigantycznego poematu (podobnego do tych puszcz, znanych naprawdę tylko kilku eksploatorom) z drugiej jął koncentrować się do rozmiarów zbyt już syntetycznych i homeopatycznych. Poczęto też oddawać się jakimś wynalazkom i eksperymentom z grymasem straszliwego wtajemniczenia — i tej nudnej orgii, powtarzam, nic nie jest w stanie zahamować. Albowiem nie idzie tu o twórczość człowieka dla człowieka, a tylko o obrządek pełniony przed ołtarzem. A na dziesięć wierszy, co najmniej jeden poświęcony będzie wielbieniu Potęgi Słowa Poetyckiego lub gloryfikacji powołania Poety.

Zgódźmy się iż te chorobliwe przypadłości nie są jedynie właściwe poetom. W prozie również ta religijna postawa poczyniła wielkie spustoszenia i jeśli weźmiemy utwory takie, jak np. „Śmierć Wirgiliusza” Brocha, lub „Ulissesa”, albo niektóre dzieła Kafki, to doznamy tego samego wrażenia — iż „wybitność”, „wielkość” tych utworów urzeczywistnia się w próżni, że należą one do tych książek, o których wszyscy wiedzą, że są wielkie... które jednakowoż w jakiś sposób są nam odległe, niedostępne i zimne... albowiem zostały napisane na klęczkach z myślą nie o czytelnika a o Sztuce, lub też o innej abstrakcji. Ta proza zrodziła się z tegoż samego ducha, który przyświeca poetom, to niewątpliwie z istoty swojej „proza poetycka”.

Jeżeli, porzucając utwory, zajmiemy się osobami poetów i światkiem, jaki osoby te tworzą wraz ze swymi wyznawcami i akolitami, to jeszcze bardziej stanie się nam i ciasno i duszno. Poeci nie tylko piszą dla poetów, lecz także wychwalają się wzajemnie i wzajemnie oddają sobie cześć. Świat ten, lub raczej światek, nie wiele różni się od innych światków hermetycznych i wyspecjalizowanych: szachiści uważają szachy za szczyt twórczości

ludzkiej, mają swoje hierarchie, mówią o Capablance z równym nabożeństwem jak poeci o Mallarmé i jeden drugiego utwierdza w poczuciu własnej doniosłości. Ale szachiści nie mają pretensji do tak uniwersalnej roli i to, co można wybaczyć od biedy szachistom, u poetów staje się nie do wybaczenia. W następstwie takie odosobnienia wszystko tu puchnie i nawet mierni poeci rozdymają się w sposób apokaliptyczny, a błahе problemy nabierają oszałamiającej wagi. Przypomnijmy sobie chociażby straszliwe polemiki na temat asonansów, ton w jakim dyskutowano tę sprawę — zdawało się wówczas, że losy ludzkości zależą od tego, czy można rymować „moga” i „głowa”. Oto co się dzieje, gdy duch gremialny osiąga przewagę nad duchem uniwersalnym.

Inny niemniej kompromitujący fakt, to ilość poetów. Do wzmiankowanych powyżej nadmiarów dochodzi jeszcze nadmiar wieszczów. Te ultra-demokratyczne cyfry rozsadzają od wewnątrz arystokratyczną i dumną twierdzą poetycką — i rzeczywiście dość zabawne jest, gdy się ich widzi wszystkich razem na jakimś kongresie: cóż za tłum istot wyjątkowych! Ale czyż sztuka święcąca się w próżni nie jest idealnym terenem dla tych właśnie, którzy są niczym, których pusta osobowość z zachwytem wyżywa się w tych formach uszczuplonych? A już prawdziwie są śmieszne te krytyki, te artykuliki, aforyzmy, eseje, które ukazują się w prasie na temat poezji. Oto przelewanie z pustego w próżne — ale zarazem jest to przelewanie bombastyczne i już tak naiwne, tak dziecinne, że wierzyć się nie chce aby ludzie parający się piórem nie wyczuwali całej śmieszności tej publicystyki. Dotąd nie zrozumieli ci styliści, że o poezji nie wolno pisać w tonie poetycznym i ich gazetki pękają od takich poetyzujących elukubracji. Wielka też jest śmieszność, towarzysząca recitalom, kursom oraz manifestom, ale chyba nie warto już nad tym się rozwodzić.

Sądę, że wytłumaczyłem mniej więcej dlaczego poezja wierszowana mnie nie bierze. I dlaczego poeci — którzy oddali się całkowicie Poezji — i podporządkowali tej Instytucji bez reszty własne istoty swoje, zapominając o istnieniu konkretnego człowieka i zamykając oczy na rzeczywistość — znaleźli się (od wieków) w katastrofalnej sytuacji. Wbrew pozorom triumfu. Wbrew całej pompie tego ceremoniału.

Ale muszę jeszcze odeprzeć pewien zarzut.

Tylko dobrowolnym zaślepieniem można wytłumaczyć ten niesłychany symplizm z jakim bronią się poeci (ludzie na ogół nie głupi, ani naiwni) gdy się zaczepia ich sztukę. Wielu z nich szuka ratunku w oświadczeniu, że wiersze piszą dla własnej przy-

jemności — jak gdyby całe ich postępowanie nie zadawało kłamu temu twierdzeniu. Są i tacy, którzy z powagą utrzymują, że piszą dla ludu i że ich wymyślne szarady stanowią pokarm duchowy prostaczków. Wszyscy jednak wierzą niezłomie w rezonans społeczny poezji i trudno im będzie zrozumieć w jaki sposób można atakować ich od tej strony. Powiedzą: — Jakżeż! Czy może pan wątpić? Czy nie widzi pan tłumów, które biorą udział w naszych recitalach? Ilości wydań, które osiągają nasze tomiki? Studiów, artykułów, rozpraw, o nas pisanych? Podziwu, jakim otoczeni są sławni poeci? To pan właśnie nie chce widzieć tego co jest...

Cóż im odpowiem? Że wszystko to — iluzje. To prawda, że na recytałe chodzą tłumy, ale też prawdą jest, że nawet słuchacz bardzo wykształcony absolutnie nie jest w stanie zrozumieć wiersza, deklamowanego na recitalu. Ileż razy zdarzyło mi się asystować tym beznadziejnym sesjom, na których recytowano wiersz za wierszem — a każdy z nich musiałby być co najmniej trzy razy z najwyższą uwagą przeczytany aby z grubszą dało się odcyfrować jego treść. Co się tyczy wydań, to wiemy że tysiące książek kupuje się aby nie przeczytać ich nigdy. O poezji piszą, jak już powiedzieliśmy, poeci. A podziw? Czy konie na wyścigach nie budzą jeszcze większego zainteresowania — ale cóż ma wspólnego ta żyłka sportowa, z jaką oglądamy wszelką rywalizację, i te wszystkie ambicje — narodowe i inne — które tym wyścigom towarzyszą z istotnym wzruszeniem artystycznym?

Jednakże taka odpowiedź, choć słuszna, nie byłaby wystarczająca. Problem obcowania naszego ze sztuką jest o wiele głębszy i trudniejszy. I jest niewątpliwe — w moim pojęciu przynajmniej — że jeśli w ogóle chcemy coś z tego zrozumieć, musimy całkowicie zerwać z tą zbyt łatwą myślą iż „sztuka zachwyca nas” i że „rozkoszujemy się sztuką”. Nie, sztuka tylko do pewnego stopnia nas zachwyca, a rozkosze jakich nam przysparza są wątpliwe... I czyż może być inaczej, jeśli obcowanie z wielką sztuką to męczące, trudne obcowanie z ludźmi dojrzalszymi, o szerszym zasięgu i potężniejszym odczuwaniu. Nie rozkoszujemy się — raczej staramy się rozkoszować... i nie rozumiemy... staramy się zrozumieć...

Jakże powierzchowna jest myśl, dla której to skomplikowane zjawisko sprowadza się do prostej formuły: sztuka zachwyca ponieważ jest piękna. — Ach, tak wielu jest snobów... ale ja nie jestem snobem, ja szczerze przyznaję się jeśli coś mi się nie podoba — mówię to prostoduszność i zdaje się jej, że już wszystko załatwione.

Ale przecież wyraźnie dają się odczuć tutaj czynniki, nie mające żadnego związku z estetyką. Czy myślicie, że gdyby nas

w szkole nie zmuszano do zachwywania się sztuką, mieliśmy dla niej, w późniejszym wieku, tyle gotowego już zachwyty? Czy sądzicie, że gdyby cała nasza organizacja kulturalna nie narzucała nam sztuki — my byśmy się nią tak interesowali? Czy to nie nasza potrzeba mitu, uwielbienia wyżywa się w tym podziwie naszym — i czy, uwielbiając wyższych, sami się nie wywyższamy? Ale przede wszystkim: czy te uczucia podziwu, zachwyty rodzą się „z nas”, czy „między nami”? Jeśli na koncercie rozlega się burza oklasków to wcale nie znaczy, aby każdy z tych oklaskujących był zachwycony. Jeden nieśmiały oklask prowokuje drugi — wzajemnie one się podniecają — i w końcu wytwarza się taka sytuacja, iż każdy musi przystosować się wewnętrznie do tego zbiorowego szału. Wszyscy „zachowują się” jak gdyby byli zachwyceni, choć nikt nie jest „naprawdę”, w tym stopniu przynajmniej, zachwycony.

Byłoby więc błędem, godną pożałowania naiwnością, gdybyśmy żądali od wierszy, czy też od jakiegokolwiek innej sztuki, aby ona była ot tak, po prostu, źródłem rozkoszy ludzkiej. I jeśli z tego punktu widzenia rozejrzemy się w świecie poetów i ich wielbicieli, to wszystkie jego absurdy i śmieszności wydadzą się usprawiedliwione: gdyż widocznie tak ma być i jest zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy aby sztuka, podobnie jak zachwyty, który budzi, były raczej dziełem ducha zbiorowego niż bezpośrednią reakcją jednostki.

A jednak — nie. A jednak i takie ujęcie nie zdoła uratować poetów, ani przysporzyć rumieńców życia i rzeczywistości ich poezji. Jeżeli bowiem taka właśnie jest rzeczywistość, to w każdym razie oni nie zdają sobie z niej sprawy. Dla nich wszystko odbywa się po prostu: *śpiewak śpiewa, a słuchacz, zachwycony, słucha*. Rzecz pewna, że gdyby byli zdolni uznać te prawdy i wyprowadzić z nich wszystkie konsekwencje, to musiałby się radykalnie zmienić sam ich stosunek do śpiewu. Bądźcie spokojni jednak: nic nigdy nie zmieni się u poetów. I nie oddawajcie się złudzeniom, że w obliczu tych zbiorowych mocy, które fałszują nam nasze indywidualne odczuwanie, okażą oni jakąś wolę oporu — gwooli chociażby temu aby sztuka nie była fikcją i ceremoniałem, a tylko prawdziwym obcowaniem człowieka z człowiekiem. Nie, te mnichy wolą się korzyć!

Mnichy? To nie znaczy abym był przeciwnikiem Pana Boga, lub jego rozlicznych zakonów. Ale nawet religia umiera z chwilą, gdy przeobraża się w obrządek. Zbyt łatwo zaiste poświęcamy na tych ołtarzach autentyczność i wagę naszego istnienia.

LIST DO GOMBROWICZA

Panie Gombrowicz!

Pan ośmieliłeś się napaść w brutalny sposób na poezję i poetów. Pan obrażasz uczucia tysięcy ludzi, którzy piszą wiersze i z drżeniem serca czekają na odpowiedź z redakcji. Pan podgryzasz fundamenty bytu działaczy na niwie kultury, którzy czerpią dochód z kultu wieszczów. Pan niszczy mi, który wypowiadam się niekiedy mową związaną. To wszystko można byłoby Panu wybaczyć, gdyby Pan nie miał racji. Ale Pan, mówiąc „iż nikt prawie nie lubi wierszy i że świat poezji wierszowanej jest światem fikcyjnym oraz sfalszowanym” ma całkowitą słuszność. Co więcej, kiedy się czyta Pana, dochodzi się do radosnego wniosku, że człowiek, nawet w nieprzychylnych okolicznościach, zdolny jest zachować zdrowie umysłu i szacunek dla prawdy. Jeżeli to Pana interesuje mogę też powiedzieć, że jest Pan jednym z niesłychanie nielicznych autorów polskich przebywających za granicą, którzy są wciąż czytani i po cichu cenieni w Polsce. Jakże mógłbym z Panem się nie zgodzić, kiedy Pan myśli mądrze i dobrze pisze? Zgadzam się więc, ale pod pewnymi warunkami.

Warunek pierwszy. Że to, co jest obroną poezji przed bzdurą i fałszem nie będzie przedstawiane jako atak na nią. Gdyż w istocie ten atak jest protestem Witolda Gombrowicza przeciwko wymokłemu i obłemu światu, w którym żadna myśl, żadne uczucie nie są ostre i śmiałe, gdzie wszystko rozplywa się w nieokreślonych gestach i grach, gdzie nie ma o czym mówić. „Jeden drugiego czule obejmuje... ale pomimo czułości, kordialności owej Rozmowa coraz im przygasa, albo się rozłazi, bo to jeden gada, a drugi w roztargnieniu, w Zapomnieniu jakimś już i Słuchać przestał, już sobie Skarpetkę ogląda. Mówią tedy: — Wyszła ta Rewista? — A mnie 50 Pezów za artykuł zapłacono. — Jak się masz, jak się masz? A co tam nowego? — Ileż tyż ten Plac kosztował? — Ja sobie skarpetki sprawiłem. Wtem wszyscy razem ręce do góry wzniesli i za głowy się łapiąc, na głos zawołali: — O, cóż to Mówiemy? O, dlaczego Mówić nie umiemy?! O, czemuż siebie samych nie Szanujemy i nie Zaszczycamy?! O, dlaczego tak Płasko, tak Płasko, tak Płasko?! Więc do siebie wzajem Przyskakują, jeden drugiemu Honor świadczy, jeden do drugiego „Maestro, maestro”, a „Gran Escritor” a „que Obra” a „que Gloria”, cóż kiedy zaraz im się rozlazło i w roztargnieniu znów Skarpetki sobie

oglądają”. („Transatlantyk”). I wiersze pisane przez tych ludzi, wypełniające stronice rewistas argentyńskich czy francuskich, polskich czy angielskich, na równi są niemożliwe do czytania, nieinteresujące dla nikogo prócz ich autorów.

Warunek drugi. Że będzie przeprowadzone rozróżnienie pomiędzy „poezją czystą” i „poezją wierszowaną”. Nie każda „poezja wierszowana” jest „poezją czystą” w tym znaczeniu jakie „czystości” nadał wiek dwudziesty, tj. w znaczeniu potraw przyrządzanych z samego cukru, najwyżej z dodatkiem miodu. „Poezja czysta” jest jedną z aberracji umysłowych. Słusznie woła Witold Gombrowicz w „Transatlantyku”: „— Nie lubię ja gdy Maśło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, Jagły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne”. Ani „Pan Tadeusz”, ani „Faust” ani dramaty Szekspira nie należą do „poezji czystej” choć są wierszowane. Inną zupełnie rzeczą jest czystość tonu, która winduje wypadki zwykłe, albo nawet trywialne w wymiar trwałości, co zakłada jednak wspólne zainteresowanie autora i czytelnika tymi wypadkami, a nie tylko samym tonem. Czyli prawdziwa „magia” jest tylko wtedy, kiedy jest niedostrzegalna, kiedy czytelnik czuje, że autor używa rytmu i obrazów jako środka, żeby coś powiedzieć, a nie jako celu samego w sobie. Chciałbym dać przykład jakiegoś krótkiego utworu wierszem, który lubię i który nie podpadałby pod zarzuty Gombrowicza. Przychodzi mi na myśl ballada ludowa staro-angielska w przekładzie niezapomnianego Edwarda Porębowicza. Oto tekst tej ballady — „The bonny hind”:

PIĘKNA ŁANI

*Chodziła panna, chodziła panna
Przez cieniste ogrody,
A tam młodego naszła rycerza
Przecudnej urody.*

*Chodziła panna, zrywała panna
To ogrodowe kwiecie,
Tam napotkata młodego chłopca
Najpiękniejszego w świecie.*

— *Oddaj mi wianek, piękna panienko,
Oddaj wianek dziewczęcy,
Oddaj mi wianek, piękna panienko
Moje ty sto tysięcy. —*

Wziął ją za rękę, wiódł na murawę,
Na miłeńkie pieszczoty,
A kiedy wstali z darni zielonej
Dał grzebień szczerozłoty.

— Może mieć będę córeczkę małą,
Może mieć będę syna:
Niechaj-że wiedzą zacny dworaku
Jaka jest ich rodzina. —

— Nie jestem dworak, luba dziewczyno,
Przybyłem dziś z za morza,
Anim był dworny, chyba dla ciebie,
Moja panienko hoża.

Zowią mię Jackiem tam na pokładzie,
Albo mię zowią Janem,
Lecz kiedy jestem w rodzica domu,
Jack Randal zwę się mianem. —

— Kłamiesz, o kłamiesz mój piękny panie!
Lord Randal nie ma syna:
Lorda Randala ja jestem córką
I w domu jam jedyna. —

— Kłamiesz, o kłamiesz, piękna dziewczyno
I nie znasz w kłamstwie sromu:
Ja jestem lorda Randala synem,
Powracam dziś do domu. —

Sięgnęła ręką za pas złoty
Po sztylet obosieczny,
I otworzyła nim w piersiach ranę
Dla swojej krwi serdecznej.

Podniósł rękoma swą piękną siostrę
Po licach trzy mu płyną:
I pogrzebał ją i pochował ją
Pod zieloną olszyną.

I jechał dalej do ojca dworu
I ozwał się śpiewem:
— O moja łani, o moja piękna
Pod tym zielonym drzewem. —

— Czemu to płaczesz nad piękną łanią,
Czemu to myślisz o niej?
Jest w mym zwierzyńcu jeleni stado
I nikt ci ich nie broni.

Jest osiemdziesiąt srebrzysto-siwych,
Ile chcesz, wybierz ino. —
— O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną. —

— Dlaczego szlochać nad piękną łanią
I żalić się jej straty?
Zabierz ty lepsze, ja gorsze wezmę,
Zwierzyńiec mój bogaty. —

— Nie dbam o twoje, ojcze, jelenie,
I gardzę twą zwierzyzną:
O moja łani, o piękna łani
Pod zieloną olszyną!

Mam nadzieję, iż Witold Gombrowicz zgodzi się ze mną, że to jest piękny utwór. Cóż z niego zostałyby, gdyby usunąć rytm, powtarzalność pewnych słów na końcu linijek wiersza i symetryczność dialogów? Nie więcej niż zdarzenie ze średnio-wiecznej kroniki kryminalnej. I tylko pewien rodzaj inkantacji nadaje temu zdarzeniu siłę zdolną nas wzruszyć. Słuchacze, przekazujący tę pieśń z ust do ust, zanim nie została wreszcie zapisana, nie troszczyli się o „magię”, nie oddzielali jej od zdarzenia, które działało na nich tak, jak na warszawskiego słuchacza działały wypadki w balladzie o pani Wiśniewskiej.

Warunek trzeci. Że Witold Gombrowicz weźmie pod uwagę zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatnich lat w poezji kilku narodów, w tej liczbie i polskiego. Atak na „poezję czystą” był prowadzony w pewnych kołach literackich w Warszawie czasu wojny, był też prowadzony z powodzeniem po wojnie. Był to atak słuszny i potrzebny. Jednakże rządzący, popierając tę tendencję, mieli na widoku „etap następny”, tj. zaprzęgnięcie poezji w służbę państwa. Atak Witolda Gombrowicza różni się odrobinię od podobnych ataków w kraju, a jak wiadomo w tych sprawach „odrobina” decyduje o wszystkim.

Malarstwo, poezja czy muzyka mogą służyć państwu i nieraz służyły w przeszłości, jednak były to państwa oparte na podstawach religijnych. Dawne religie nie stały w sprzeczności z trudną

do określenia zasadą sztuki, zapewniały pocie, malarzowi czy muzykowi wylot w przestrzeń, w obrazy i pojęcia zawarte w samej religii. Co innego religia świecka diamaty czyli materializmu dialektycznego z odpowiednimi poprawkami i surami. Oczywiście zachodzi sprzeczność nie do usunięcia pomiędzy diamatem i prawdziwą twórczością artystyczną i tej sprzeczności są doskonale świadomi filozofowie partyjni, nie mając zamiaru, to jasne, poświęcać diamaty. Gdyby jednak poezja była mało ważną rozrywką, czymś w rodzaju szachów czy filatelistyki, nie robiliby tylu wysiłków, aby ją mieć i popierać. Przeciwnie, uważają ją za jedno z najpotężniejszych narzędzi do władania umysłami, bo przy pomocy fałszywej poezji ubierają to co konieczne w sentymentalną sukienkę („Deszczyk majowy spadł / Słychać słowicze trele / O, jakże piękny jest świat / Ze Związkiem Radzieckim na czele”).

Sytuacja w Polsce w niczym więc nie przypomina rozmów jegomościów oglądających swoje skarpetki. Publiczność na wieczorach autorskich zaczyna klaskać nie wtedy, kiedy na twarzy siedzącego obok snoba ukazuje się wyraz rozmodlenia i kiedy jego ręce złożą się do oklasku. Oklaski rozlegają się wtedy, kiedy każdy mówi sobie: „aha, już”, tj. kiedy pada oczekiwana z góry aluzja polityczna albo słowo, które wywołuje oklaski mocą odruchu warunkowego (np. nazwiska wodzów, hasła aktualne w danej chwili itp.). Jest to permanentny jubileusz.

Z tym wszystkim w ciągu lat powojennych dokonano w Polsce ogromnej pracy nad stylem poetyckim, przywracając nadwątloną konstrukcję zdania, tępiąc przerost metafor i „poetyczność” obrazów, tudzież niezrozumiałstwo wynikające zbyt często nie z nadmiaru, a z niedomiaru treści. Można mówić o powstaniu nowego języka, który różni się od języka sprzed roku 1939 jakby upłynęło 30 lat. Ten nowy język, dzięki temu, że ożyło zainteresowanie dla różnych odmian metrum, jest zwłaszcza podatnym instrumentem przekładu poetyckiego. Warto o tym wspomnieć, bo Gombrowicz, przebywając w Argentynie, dokonał w „Transatlantyku” prawdziwego *tour de force* w języku polskiej prozy, odnawiając z powodzeniem styl dziuryszy i pamiętników tak dobrze wpadający w ucho nawykłe do polszczyzny.

Niestety, w Polsce dziecko zostało wylane razem z kąpielą, czyli ten nowy język poezji został użyty nie do „porozumienia człowieka z człowiekiem”, a do porozumienia państwa z człowiekiem — dość jednostronnego porozumienia. Gombrowicz powiada: „W miarę jak Zwiężenie stawało się coraz Weższe, nieokiełznane niczym Piękno stawało się coraz Piękniejsze, Głębia coraz Głębsza, Szlachetność coraz Szlachetniejsza, Czystość coraz Czystsza”. Coś podobnego — choć na odwrót — zachodzi

i w Polsce, gdzie zwiężenie jest politycznej natury. Prawdopodobnie pociągu do piękna i szlachetności nie da się wyplenić w poetach, łączy się to jakoś z artystycznym przekształceniem, „idealizowaniem” świata, możliwe jednak jest uniknięcie zwiężenia, które doprowadza do duszności, do tej choroby, którą nazwano *peu de réalité*. Dlatego wystąpienie Witolda Gombrowicza przeciwko poetom powinno prowadzić do pytania: w jaki sposób można uniknąć obrzydliwych cech „poezji czystej” i uzyskać wielkie Rozszerzenie, nie wpadając w ten nowy gatunek „alienacji”, który jest narzucony poetom na Wschodzie. O nich też należy pamiętać.

Pod tymi warunkami zgadzam się z Panem i nie tylko zgadzam się, jestem zachwycony. Możliwe że moja skwapliwość pozostaje w niejkiej sprzeczności z moją praktyką. Wynika to albo z zasadniczej niemożności „epoki” (a nie z niemożności poetów zawsze i wszędzie), albo z osobistych niedostatków. W każdym razie odstępstwa nie umniejszają poprawności rozumowania.

Czesław MIŁOSZ

Kultura nr 49, 1951.

„PRZEKŁĘTE ZDROBNIENIE ZNOWU DAŁO MI SIĘ WE ZNAKI”

(Obroncom poetów w odpowiedzi)

Mój zuchwały wybryk poetoburczy dostarczył mi nieznanym, jakże słodkich, wrażeń! Rozmaite osoby, które jak dotąd bez większego entuzjazmu odnosiły się do mej twórczości, ze wzruszeniem ścisnęły mi dłoń. Po raz pierwszy w życiu odkryły mi się rozkosze pisarza, który, powstając przeciw tyranii, staje się rzecznikiem ludu. I drżycie, poeci! Albowiem nie czego innego dowodzi ten dreszcz szczęścia i rozkoszy, jaki wstrząsnął tysiącami istot, jak tylko że zbliża się kres waszej przemocy, że tajemniczy palec nowoczesności kreśli MANE TEKEL FARES na nudnej świątyni waszej! Nicość otwiera wam zimne swoje ramiona, Nic, puste, najzupełniej próżne Nic skrada się jak kot ku fabryce metafor, aby ją pożreć wraz z dylizanssem waszego myślenia. I bladioróżowa róża rozplynie się w śmiercią zaprawionym zmierzchu! Nie, nie będę twierdził, że wszyscy bez wyjątku opowiedzieli się po mojej stronie. Powiem jednak, że te liczne rzesze inteligentnych ludzi, które mnie popierają, znalazły się

poza dyskusją i pozostaną zapewne skazane na wieczne milczenie. Dlaczego? Gdyż ci co piszą w prasie są literatami. A na ławie oskarżonych zasiadła poezja wierszowana, ich kuzynka, pokrewna im muza. Jakże chcecie, aby literaci sprzymierzili się z atakiem na literaturę? I, jeśli idzie o poezję wierszowaną, prasa (oświadczam) nie jest organem opinii publicznej, tylko narzędziem terroru, jest to instrument za pomocą którego dawno umarły bakałarz wbija w spragnione życie głowy trupa pogrzebanych na zawsze uniesień.

Któż odpowiada na mój artykuł? Azali usłyszano głos inżynierów, lekarzy albo adwokatów? Nie. Odpowiadają poeci: Miłosz, Łobodowski. Literatka Zarembina. Krytyk Wit Tarnawski. Z góry można było przewidzieć jak wypadnie ryk lwów, którym nadeptano na ogon. I jedynie odpowiedź Miłosza była dla mnie — w zasadniczej treści swojej — niespodzianką. W osłupieniu przyznaję, czytałem wyznanie poety, który z najzimniejszą krwią i z dziwną swobodą ducha pochwalił nóż we własną pierś wymierzony, poparł to co go zabija. Przypominam końcowe zdania miłoszowego oświadczenia, w których przyznaje Miłosz, że istnieje pewna sprzeczność pomiędzy jego teorią a jego praktyką. Jeżeli ta bezwstydną niekonsekwencją nie wstrząsnęła wami należycie, to jedynie dlatego, że Miłosz opatrzył ją dla przyzwoitości rozmaitymi warunkami i zastrzeżeniami — ale niekonsekwencja pomimo to istnieje, wielka jak dom, nieprzyzwoita, jak dom publiczny! I dzięki niej właśnie odpowiedź Miłosza staje się niezmiernie cenna i wysoce charakterystyczna...

Cóż bowiem mówi ten poeta, który — w imię Poezji — łączy się z taranem druzgocącym klatki piersiowe poetów? Czyż, gdyby Szekspir miał ująć istotę tej zdrady, nie zawarłby jej w następującym wierszu:

*Jestem Miłoszem, Miłoszem być muszę
Będąc Miłoszem, Miłoszem być nie chcę
Miłosza w sobie zabijam ażeby
Bardziej Miłoszem być...*

Co się wyklada: że istotą człowieka jest rozwój, a rozwój dokonywuje się na drodze nieustannego samobójstwa. Musimy uśmiercić w sobie to, co jest, ażeby dojść do tego, co będzie. I ta swoboda z jaką Miłosz, bez chwili wahania, odrywa się od swojego świata, to właśnie gorzka dojrzałość naszego czasu — dojrzałość zdobyta pod potężnym, głęboko przez niego przeżytym, ciśnieniem historii. Ten poeta usiłuje wydobyć się z poety po to, aby ruszyć z miejsca poezję — podobnie jak niżej podpisany usiłował w „Trans-Atlantyku” wydobyć was i siebie z Na-

rodu, abyśmy mogli ruszyć z miejsca Naród. A druga cecha, którą (jeżeli dobrze interpretuję Miłosza) chciałbym podkreślić, to jego bezpośredniość — gdyż on, nie lękając się niekonsekwencji, nie broniąc się przed nią, przyjmując ją jako konieczność życia i rozwoju, może sobie pozwolić na szczerość uczucia — może reagować na rzeczywistość nie wedle zasad, przemyśleń, doktryn, filozofii i tym podobnych schematów, ale wedle swojej najbardziej zwyczajnej ludzkości, która głupstwo nazywa głupstwem, nudę — nudą. Nie, nie jest dla mnie niespodzianką, że człowiek, który na własnej skórze doświadczył rozmaitych ketmanów z taką bezwzględnością, dąży dzisiaj do swobody.

Czyż tam, za kurtyną, nie istnieje ten sam hermetyzm ducha co wśród poetów? Jeżeli poeci wierzą w Poezję, to tam wierzy się w Państwo. Jeżeli poeci piszą dla Poezji wiersze niezdolne wzbudzić zainteresowania w ludziach po to, aby cały mechanizm kultury narzucał je siłą nieszczęsnemu czytelnikowi, to tam praktykuje się z powodzeniem ten sam typ literatury: gdyż jeśli, z jednej strony, zmusza się autorów, aby pisali nie dla człowieka, lecz dla Państwa, to z drugiej zmusza się czytelnika, ażeby to czytał. Wobec czego pisarze ci chodzą w sławie, jak w słońcu, szcycąc się tysiącami swych nakładów, podobnie jak — wśród nas — poeci. I jedyna różnica polega na tym, że gdy tam przymus ma charakter zewnętrzny, brutalny, tutaj mamy do czynienia z nieskończeniem subtelniejszą presją — z presją, która dla samych ofiar jest niedostrzegalna. (Nie łudźcie się więc, że poeci są obrońcami Ludzkości i Człowieka — kapłan nie troszczy się o nic poza Bogiem).

Ale dość już o niekonsekwencjach Miłosza. Przejdźmy teraz do sądów mniej bezpośrednich, bardziej... konsekwentnych.

Nic bardziej konsekwentnego, że Łobodowski-poeta się broni. To samo przecież czyni lew osaczony i bawół przyparty do muru. Odpowiedź Łobodowskiego to prawdziwy róg obfitości. I czegoż tam nie ma? Że ja zwykłem śledzia malować na zielono, że nie znam Szekspira, że sąd o poezji wierszowanej wyrobiłem sobie w warszawskich kawiarniach, że on, Łobodowski, boksował się, a jednak korona mu z głowy nie spadła i że obok złych poetów istnieją i dobrzy, a wielu z nich wywarło spory wpływ na kształtowanie się rzeczywistości... Wszystko tu znajdziecie oprócz tego, czego miałbym prawo oczekiwać od wybitnego poety, to jest oprócz jakiegoś takiego formatu, jakiej takiej wagi i powagi. Jeżeli nie spalił was rumieniec wstydu na widok wybitnego, powtarzam, poety, który odpowiada jak sportowiec, jak bokser, plotkarz i tatarnik, jak mołojec i czytelnik pisujący listy do redakcji, to tylko dowodzi, że nazbyt skorumpowały was gazetki literackie z ich bezstroskim gaworzeniem o literaturze.

I trudno o lepszą ilustrację mojego twierdzenia o „niepełności” stylu poetów, o ich nieumiejętności, gdy muszą mówić o poezji, a zwłaszcza bronić jej przed wrogiem. Łobodowski nie znalazł właściwego tonu. Zaskoczony moim brakiem szacunku, usiłował odpowiedzieć mi w sposób ot, „trzeźwy”, „życiowy”, ale przesolił. Głos mu się załamał, stał się zanadto figlarny — i książkę nasz, przetrworzywszy się w zawadiackiego boksera, rozłożył siebie samego na obie łopatki.

W następnym numerze *Kultury* ozwały się głosy Natalii Zarembiny i Wita Tarnawskiego. Jeżeli osłupiałem, czytając Miłosza, jeśli potem beztronski boks Łobodowskiego pograżył mnie w drugie z kolei osłupienie, to za sprawą tych nowych obrońców poezji wierszowanej popadłem w osłupienie trzecie i czwarte — które, z nadchodzącą nocą, do tego stopnia się wzmogły, iż dzień wstający przez długi czas nie mógł pobudzić mnie do ruchu.

Tu już nie idzie o ton. Odpowiedź Tarnawskiego ma wszelkie cechy powagi, a właściwa temu krytykowi rzetelność oraz przejrzystość sformułowań nadały jego słowom pozory słuszności. A jednak zdawałoby się, że oni oboje — pani Zarembina i pan Tarnawski — nie przeczytali mego artykułu, że ani jedna moje zdanie nie przeniknęło do ich świadomości. Podczas gdy Tarnawski (za przykładem, zresztą, Łobodowskiego), twierdzi, że mój artykuł byłby, owszem, wcale niczego, gdyby był zatytułowany „przeciw lichym poetom”, pani Zarembina pisze, że ja... atakuję snobizm, acz w jakiś dziwny i niezbyt dla niej zrozumiały sposób. Na Boga żywego! Przecież, panie Tarnawski, gdyby mnie szło jedynie o wykazanie, że wiersze złych poetów są złe, a dobrych — dobre, to bym w ogóle nie pisał artykułu — i nigdy nie poważałbym się zabierać prasie polskiej miejsca na odkrywanie takich prawd w dobie, jak dzisiejsza, kiedy mamy nieco poważniejsze kłopoty. I, na Boga żywego, pani Zarembino! Niechże pani zastanowi się przez jedną chwilę, że gdyby poruszone przeze mnie sprawy sprowadzały się do oklepanego zagadnienia „snobizmu”, gdyby tu chodziło o podobnie naiwne i symplicystyczne „problemy”, to — zważywszy, że *Kultura* nie jest piśmie dla młodzieży w wieku szkolnym — artykuł zawierający takie komunały, nie miałby żadnych szans na pojawienie się w druku.

Jak fatalna w skutkach, jak uwłaczająca naszej godności intelektualnej jest ta skłonność do pomniejszania, zdrabniania każdej myśli, która nieco się wyodrębniła! I jak łatwo odpowiadać na coś, czego się nie przemyślało! Gdy ja mówię, w sposób ogólny, o kształtowaniu się wśród ludzi pewnej formy (wierszowanej), która określa pewną postawę (religijną), gdy wywodzę jak ta religijna postawa poety, nieskompensowana należycie, doprowadziła do przerostu i skostnienia formy, odpowiada mi się...

że wielcy poeci (jak z samej nazwy wynika), byli wielkimi poetami, a, będąc wielkimi poetami, nie mogli pisać złych wierszy. Ależ ja nie twierdzę, aby wiersze wielkich poetów nie były znakomite jako wiersze, nawet jako sztuka — lecz idzie mi o same podstawy sztuki, o stwierdzenie, że najdoskonalsza sztuka może oderwać się od człowieka, stać się „sztuką samą w sobie”. Mój wywód ma przede wszystkim na oku wielką sztukę poetycką, gdyż w niej właśnie dochodzi do swego najpełniejszego urzeczywistnienia ten styl, oczyszczony, hermetyczny, jednostronny i ta specyficzna postawa duchowa, które możemy określić jako „poetyckie”. Gdy ja staram się wykazać, jak dalece obcowanie nasze ze sztuką jest skomplikowane z natury swojej, jaką naiwnością jest sądzić że możemy ot tak, po prostu, „zachwycać się” nią i ją „rozumieć”, ile rozmaitych czynników z dziedziny psychologii zbiorowej i innej wpływa na nasze reakcje, przypisuje mi się chęć... zwalczania snobizmu i pani Zarembina pisze, że dążę do tego, aby „drogę prowadzącą od artysty do odbiorców sztuki cechowała prostota i rzetelność”.

Dlaczego osoby inteligentne, światłe i szanowane, jak Zarembina, Łobodowski, Tarnawski, oraz wielu innych zwolenników poezji wierszowanej, nie były w stanie zrozumieć tych aspektów zasadniczych mego artykułu? Zawiniła tutaj chyba pewna nieśmiałość, pewna „pośredniość”, tak charakterystyczne dla wszystkich tych kultur, które nie wyrobiły się w bezpośrednim starciu z rzeczywistością i życiem, które świat odczuwają poprzez inne, dojrzałe, kultury. Nam, Polakom, nie na tym zależy, aby mieć poezję (w sensie ogólnym, zasadniczym, w sensie poetycznego stosunku do świata), a tylko na tym, aby mieć „poezję niegorszą od francuskiej”... lub na tym, abyśmy byli „równie kulturalni co Anglicy”. Rozgrywka nasza z naturą nie dokonyuje się wprost — nam zawsze idzie o to, by dorównać komuś, kto nas wyprzedził i myśl nasza unika spraw podstawowych, natomiast doskonalili się w szczegółach, w detalach, we wszystkim, co jest rozbudową gmachu, przez innych zapoczątkowanego. Narody takie posiadają na ogół doskonałych aktorów, śpiewaków i balet, oraz godnych uznania wirtuozów, natomiast gorzej jest z filozofami, myślicielami, kompozytorami. Na skutek tej właśnie „pośredniości” wyrobiliśmy sobie wielce dystygowany język, by rozprawiać z należytą głębią na tematy takie, jak „Norwid a Claudel” lub „Ewolucja trzynastozgłoskowca”, natomiast myśl nasza zamiera, błada z przerażenia, gdy przychodzi do pytania: o ile sama poezja, lub sama muzyka, są ważne? Żyjemy w świecie, który nam zbudowali inni, i do głowy nam nie przyjdzie iż moglibyśmy także przystąpić do budowy świata. Bardzo charakterystyczna dla tej naszej ostrożności, tego naszego umiaru, jest

rozsądna uwaga Tarnawskiego: „Trudno naprawdę przypuścić, aby wielcy poeci wszystkich narodów i wieków — byli snobami oraz ignorantami w swym rzemiośle — i że dopiero Gombrowicz przejrzał”.

Ale, jeśli wyzwolicie się na moment z tej, jakże rozsądnej skromności i jeśli ujmiecie moją walkę z poetami w szerszej nieco skali, rzecz w innym przedstawi się wam światło. Przede wszystkim zwrócę waszą uwagę na fakt, że ten typ krytyki, symplicyzującej i brutalizującej, jaki daje mój artykuł, o wiele bardziej przystoi nam, Polakom, bardziej zgodny jest z naszą rzeczywistością i naszą rolą w kulturze, niż wszelkie górne i subtelne rozważania o poezji, jakie praktykuje się u nas à la Jean Cocteau, albo à la Paul Valéry, albo à la Paul Eluard. Albowiem, choć jako jednostki możemy być niemniej dojrzałi od tych panów, jako naród jesteśmy Polakami gdy „z dołu” uderzamy w wyższość tamtej dojrzałości, domagając się, aby te dumne katedry zstąpiły z nieba na ziemię. Zaiste, rola nasza nie polega na recytowaniu i na naśladowaniu cudzych osiągnięć, na biernym uczęszczaniu do kulturalnej szkółki — musimy bronić własnej racji, która jest racją niższości i młodości, musimy być hamulcem, który nie pozwala rozpędzonej maszynie kultury fabrykować przedmiotów nazbyt do człowieka niepodobnych. Pytanie, jakie winniśmy postawić nie brzmi: czy dany wiersz jest piękny, ale czy jest piękny dla człowieka, dla człowieka jak my niedoskonałego, człowieka z krwi i kości. I cóż nam przyjdzie z sześćdziesięciu tysięcy metafor Milтона, jeśli wymagają one takiego potencjału uwagi, iż to przekracza możliwości ludzkie. I dlatego uderzając destrukcyjnie z dołu, językiem świeżym, bezpośrednim, we wszelką sklerozę, w tępy mechanizm wyższości, jesteśmy najbardziej sobą — w tym możemy być autentyczni, pierwszorzędni.

A teraz: jeśli wystąpienie moje jest zgodne z naszym polskim odczuciem kultury, to z drugiej strony jest ono po prostu następstwem mojego dotychczasowego literackiego rozwoju — i jest dla mnie zagadką w jaki sposób krytyk, p. Tarnawski, zdołał tak znakomicie wyodrębnić ten tekst ze wszystkich jego kontekstów. Alboż nie wiecie, że jestem tym, który usiłuje przywrócić człowiekowi suwerenność w stosunku do własnych jego wytworów? Atakuję wiersze, jak atakuję Naród, jak w „Ferdynurke” zaatakowałem fikcję Dojrzałości — zawsze w imię bezpośredniego odczuwania ludzkiego, w imię nagiej ludzkości. Atakuję wszelką Formę, która przestaje być wygodnym strojem człowieka, przeobrażając się w sztywną, męczącą skorupę. Atakuję wszystko co nam rośnie samo przez się, aby nas przerosnąć. Jakżeż tedy wypowiedź tak zgodna ze mną, tak wynikająca ze

mnie, może wydawać się wam do tego stopnia nieoczekiwana, iż łapiecie się za głowy z okrzykiem: oszalał! Jeżelibyście chcieli poważnie zabrać się do mego artykułu, to przede wszystkim należałoby ustalić, w sposób obiektywny i rzeczowy, jak dalece twierdzenie moje jakoby „nikt prawie nie lubił wierszy” jest prawdziwe. I doradzałbym wam abyście, w tym celu, zwrócili się do wydziałów filologiczno-estetycznych uniwersytetów z wezwaniem iżby zamiast oddawać się płodzeniu nudnych monografii i innemu, równie beznadziejnemu głędzeniu, wyłoniły komisję, która by przeprowadziła z ludźmi doświadczenia, mające ustalić jakie są ich istotne, w sensie psychologicznym, reakcje na wiersze i jak dalece oni je asymilują. Potem zaś należałoby sprawdzić czy jest prawdą, co mówię, że jeśli ludzie zachowują się tak „jak gdyby ich zachwycały wiersze” podczas, gdy w rzeczywistości nie odczuwają tego zachwyty, to dlatego, że wytwarza się między ludźmi zbiorowe ciśnienie, które człowieka zmusza do zachwyty — i w jakiej mierze ten przymus, ten gwałt, którego dopuszcza się zbiorowość na jednostce, Międzyludzkość na Ludzkim, jest uzasadniony, jak dalece może być przez nas, ludzi, zaakceptowany.

Ale nawet i bez tych badań i doświadczeń zgodziłbym się na najostrzejszą nawet krytykę, gdyby nie ułatwiano sobie dyskusji ze mną, spłycając mnie i banalizując, sprowadzając tę problematykę na poziom nieomal szkolny. O, wstyd, przyjaciele... i w ślad za bohaterem Ferdynurke zmuszony jestem zawołać: „Przekłete zdrobnienie znowu dało mi się we znaki!”. Ale rozumieć: ten świat obecny, w którym funkcjonujecie, choć może daleki od ideału, przecież w pewnej mierze jest zadawalający. W tym świecie Łobodowski pisze swoje wiersze, Tarnawski swoje recenzje, pani Zarembina słucha swego Bacha i tysiące innych ludzi uczęszcza na koncerty, recitale, korzy się przed „wielkimi geniuszami”, oddaje się mniej lub więcej inteligentnym dywagacjom na tematy sztuki i delektuje się własną kulturą. Wszyscy, zresztą, niezmiernie prości, szczerzy, naturalni — nieprawdaż? Tak, ja to rozumiem. Świat ten ma przynajmniej jedną zaletę: stałość i niezmienność. Wszelako... cóż zrobicie z Galileuszem? A Galileusz? Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie zabezpieczyć się przed Galileuszem? Uniknąć Galileusza? Cóż będzie, gdy Galileusz krzyknie wam nad uchem:

— A jednak się rusza!

Witold GOMBROWICZ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKĄ ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 260 — ANDRIEJ SACHAROW

MÓJ KRAJ I ŚWIAT

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIEWSKI

POSŁOWIE LESZKA KOŁAKOWSKIEGO

Str. 92.

Cena F. 22,00.

TOM 265 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY SZÓSTY

Zawiera m.in. prace B. Truchan: „Burza” pod Wilnem; M. Pruszyński: *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty*; T. Katelbach: *Moja misja kowieńska*; B. Miedziński: *Wspomnienia* (4); obszerny Dział Polemik, Recenzje i Listy do Redakcji.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).

Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 kwietnia 1976

Nie przypominam sobie kto napisał, że istnieje „sen egzystencjalny” który raz bodaj w życiu śnimy wszyscy, chociaż nie wszyscy go potem potrafimy dokładnie odtworzyć. Obraz nieskończonego labiryntu, drogi bez celu i wylotu, długiej amfilady łuków i kolumn, ulicy zabudowanej tysiącami jednakowych domów, wieży pełnej pnących się wzwyż i przeważnie krętych schodów. Istotą tego doświadczenia onirycznego miałby być „przekaz bezcelowości doskonałej”. Na jawie nie doświadczamy nigdy bezcelowości doskonałej, gdyż nasze poczucie czasu jest ograniczone. We śnie natomiast, a raczej w koszmarze sennym, czas znaczy tyle co lodowate tchnienie wieczności.

Ktokolwiek to napisał, rozumiał rzecz ważną; jeśli sen jest przedśmiercią, w nim i tylko w nim zdarza nam się zobaczyć przelotnie i jakby z zewnątrz jedną z twarzy naszego losu, może najbardziej rozpaczliwą. Labirynt, kołowanie, zagubienie, bezkresna wspinaczka — czy są ludzie którzy czegoś podobnego nie zaznali, aby zapłakać cicho przez sen albo obudzić się nagle z krzykiem? Bywa też że materia senna „bezcelowości doskonałej” wdziera się do świadomości, zatrzuwa ją stopniowo, powodując zwichnięcie „równowagi życiowej”. W każdym studium o samobójstwie można znaleźć opis prób nieudanych! motywem dominującym w wyznaniach niedoszłych samobójców jest „tunel bez wyjścia”, który przybiera rozmaite postacie, często zbliżone w szczegółach do języka „snu egzystencjalnego”.

W *Torturze nadziei*, pięknym i trochę onirycznym opowiadaniu Villiers de l'Isle-Adama, więźniowi Inkwizycji Hiszpańskiej, wielokrotnie męczonemu i nieugiętemu w odmowie „spowiedzi”, oprawcy dają wreszcie spokój. Któregoś dnia o świcie budzi się i widzi, że drzwi celi są niedomknięte. Podnosi się

ostrożnie z barłogu, popycha je i wychyla się na korytarz: także drzwi z korytarza na dziedziniec więzienny są otwarte. Podniecony, szczęśliwy, biegnie korytarzem wzdłuż innych cel, wypada na dziedziniec i nie wierzy własnym oczom: brama na wolność jest odryglowana. Drżącymi rękami ujmując skrzydło kraty i ciągnie je ku sobie. Wtem, szykując się do ostatniego skoku, czuje na ramieniu dotknięcie i słyszy słodki głos Wielkiego Inkwizytora: „Synu mój, opamiętaj się! Chcesz nas opuścić w przeddzień, być może, twój zbrodni?”

Tortura nadziei rozgrywa się w świecie zamkniętym. A tortura beznadziejności? Jest męką nieskończonej repetycji w świecie pozornie otwartym, pokazał ją genialnie Piranesi w *Carceri d'invenzione*. Sami (zdaje się mówić Piranesi) wnosimy wiecznie nasze Więzienia; sami wiecznie, i na próżno, usiłujemy z nich uciec w nieskończoną pustkę.

6 kwietnia

Trzeci i ostatni tom *Archipelagu*, zamknąłem go przed chwilą. *Le livre de ce siècle* (jak pisze Georges Suffert), w sumie blisko dwa tysiące stron. Osobliwy i wart medytacji nasz „wiek niepowstrzymanego postępu”, widziany z perspektywy „rewolucyjnego Wschodu”: tematem pomnika, jaki wystawił mu największy współczesny pisarz rosyjski, jest *tiuremnaja ciwilizacija* (według określenia Nadzieży Mandelsztam).

W trzecim tomie razi mnie, bardziej jeszcze niż w poprzednich, lekko kokieteryjny podtytuł *Opyt chudożestwiennogo issledowanija* (w przekładzie Kaniowskiego *Próba analizy literackiej*).

Ta proza twarda i ciężka, wyrąbywana zawzięciem miarowymi uderzeniami, nie pozostaje w żadnym w ogóle stosunku do wszelkiej „literackości” czy „artystyczności”. Istotne jest w niej tylko: odkopać, odsłonić; Sołżenicyn robi wrażenie ekshumatora i archeologa „cywilizacji więziennej”. Kiedy się teraz patrzy na jego skończone dzieło, zamiast o „pomniku” należy może mówić o ogromnym, bezkształtnym kopcu, który wyrósł nad wykopaliskiem „wilczego wieku” (według określenia Osipa Mandelsztama).

Tom trzeci czyli bunt niewolników. Dla byłych więźniów z lat „niewzruszonej mocy” Archipelagu, takich jak ja, brzmi to niewiarygodnie. Pamiętam naszą polską głódówkę w listopadzie 1941 roku; powitała ją zgroza, obóz odsunął się od nas jak od zadżumionych. A jednak, w parę lat później, po wojnie, jeszcze za życia Stalina, w okresie wzmożonego terroru... Działała oczywiście „zaraza”, przyniesiona przez nowy narybek: oficerów i żołnierzy zwycięskiej armii (czerwonej), „nacionalistów” z Za-

chodniej Ukrainy i krajów bałtyckich; ludzi którzy odgięli karki na wojnie, ludzi którzy mieli karki nienawykłe do jarzma. Po likwidacji Berii bunt staje się rewoltą: trwała czterdzieści dni w Kengirze, utopiono ją we krwi z użyciem czołgów. Sołżenicyn, dobrze wiedząc że wstrząs na Archipelagu mało znaczący bez akompaniamentu poza jego granicami, wprowadza do książki o *zekach* opis strajku robotniczego w Nowoczerkasku w czerwcu 1962 roku. Przyszły historyk posłuży się tym opisem jako oryginałem, którego kopią było polskie Wybrzeże w grudniu 1970 roku. Jota w jotę to samo: miejscowe władze uciekają w popłochu do Rostowa, z Moskwy przyjeżdżają błyskawicznie Froł Kozłow i Mikojan, rozkaz strzelania do tłumu, od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu zabitych.

„Kończę moją książkę w Riazaniu 22 lutego 1967 roku, w roku podwójnego jubileuszu; mija pięćdziesiąt lat od wybuchu rewolucji, która stworzyła Archipelag; i sto od wynalezienia drutu kolczastego; stulecie przejdzie zapewne niezauważone”. Nie przeszło niezauważone. W *Moim świadectwie* Marczenko przytacza epizod z obozowej *politbiesedy* dla Bałtów. Jeden z więźniów, młody student, wręcza mówcy (wolnemu „wychowawcy”) w imieniu reszty swoich towarzyszy owinięty w papier bukiet, prosząc o „przewiezenie tych wyhodowanych tutaj kwiatów w nasze strony rodzinne”. Życzliwe uśmiechy na twarzach „wychowawcy” i asystujących mu kagebistów obozowych, aż do momentu gdy z papierowego opakowania wyłania się bukiet upleciony z kawałków drutu kolczastego.

8 kwietnia

Mój Drogi, nie może to być zwykły zbieg okoliczności. W dniu mojego wyjazdu z Laffitte, kiedy zęgnąłem się z Czapskim w jego pokoiku zastawionym obrazami, wyciągnął naraz z półki małą sfatygowaną książeczkę. Był to *List Lorda Chandosa* Hofmannsthal. „Czytam go ostatnio bardzo często” — powiedział. Dziś przyszła Twoja kartka z Krakowa, z fragmentem końcowym *Listu* i Twoją adnotacją w tym samym duchu co wyznanie Czapskiego. I dzisiaj także, przeglądając w księgarni nowości wydawnicze, znalazłem *List* z przedmową inteligentnego germanisty włoskiego Magrisa. Więc tekst Hofmannsthal, napisany u progu stulecia (1901), dość nieoczekiwanie odżywa. Wywołał sporo szumu po ukazaniu się, potem pokryła go warstwa kurzu. Jak wytłumaczyć sobie obecne odzycie? I czy rzeczywiście jest ono tak nieoczekiwane?

Młody arystokrata angielski, ceniony wysoko pisarz, zawiada-

nia w *Liście* wysłanym w roku 1603 do Bacona, że postanowił na zawsze odłożyć pióro i „wyrzec się całkowicie działalności literackiej”. Fragment, który przytaczasz w kartce, brzmi tak: „Nie napiszę więcej żadnej książki, ani po angielsku, ani po łacinie; gdyż język, w którym dane by mi było nie tylko pisać lecz może i myśleć, nie jest ani łaciną, ani angielskim, ani włoskim, ani hiszpańskim; jest językiem zupełnie mi nieznanym, językiem w którym nie pojmuję ani jednego słowa, językiem w którym mówią do mnie rzeczy nieme, i w którym może kiedyś przyjdzie mi w grobie odpowiedzieć nieznanemu sędziemu”. Wskażmy w skrócie przesłanki tej decyzji. Lord Chandos uprzytomia sobie, że skurczył się zatrważająco dystans w jego spojrzeniu na ludzi i ich działania, że widzi dookołny świat tak z bliska, jak gdy obserwował raz przez szkło powiększające własny mały palec, podobny do sieci rowów i dołów na rozległej równinie. Nie jest w stanie uchwycić otoczenia dawnym, upraszczającym wzrokiem. Każda rzecz rozpada się na części, każda część na jeszcze drobniejsze, nic już nie daje się ogarnąć jako pojęciowa całość. Jedno po drugim przepływają obok słowa, zamieniają się w oczy. Te oczy wpatrują się w niego z uporem. I wzajemnie, ale wpatrywanie się w słowa przyprawia go o zawrót głowy. Są niby odmetry, wirują bez ustanku, wchłaniają i pogrążają, a poza nimi wpada się w próżnię. Inaczej z odmetami rzeczy niemych. Również one porywają, lecz w przeciwieństwie do wirów językowych nie ciągną ku próżni. Na odwrót, pozwalają w jakiejś mierze rozpoznać samego siebie i odetchnąć w najgłębszych zakamarkach uspokojonego świata. Tu następuje konkluzja, którą widocznie uważasz za swoją: pożegnanie z literaturą, próba zawarcia tajemnego przymierza z rzeczywistością bez pośrednictwa słów.

Łatwo zadrwić: ten literacki manifest milczenia, odepchnięcia mediacyjnych funkcji języka, musiał być przecież wyrażony w słowach; nie niemotą zawiadamił Lord Chandos prześwietnego Bacona o swojej rezygnacji, lecz arcydziełkiem epistolarnej elokwencji; i z publikacją *Listu* nie wygasła twórczość Hofmannstahla.

Nie wygasła, *List* jednak był w niej czymś więcej niż osobistym świadectwem kryzysu poety. Stawiał literaturę w punkcie zerowym, inaugurował wiek dwudziesty pytaniem o jej rację bytu (i sztuki w ogóle, jeśli się zważy ulubioną formułkę Hofmannstahla o „nieprzyzwoitości znaków”). Magris posuwa się dalej, wykreślając z punktu zerowego *Listu* linię, która prowadzi do *Rozmowy z pijanym* Kafki, gdzie rzeczy nie znajdują się już na dawnych miejscach i język już ich nie wyraża; do *Młodego Törlessa* Musila, gdzie mowa o „drugim życiu rzeczy, sekretnym

i wymykającym się”, o „życiu które nie wyraża się w słowach, a mimo to jest moim życiem”; dla Musila właśnie ta druga, trzecia czy czwarta rzeczywistość, ukryta za fasadą albo pod powierzchnią, paraliżuje możliwości języka. Posunąłbym się jeszcze dalej, niż Magris. Ostatecznie czym był *Ulisses* Joyce’a jak nie wysiłkiem przystosowania języka do rozpadu rzeczy na coraz drobniejsze części? Ale tu wkraczamy w rejony, o których pisałem kiedyś w dzienniku, że ocierają się o samozniszczenie literatury; o samozniszczenie w akcie wspaniałego, kosmicznego bełkotu. Wystarczy, w związku z *Listem* Hofmannstahla, podsumować: był rezygnacją podyktowaną odkryciem „jak mało, straszliwie mało, można powiedzieć w słowach!”.

W siedemdziesiąt pięć lat po ogłoszeniu *Listu* jesteśmy na biegunie przeciwnym. Nie paraliż możliwości języka, lecz ich *elephantiasis*. Słowa oblażą nas, zżerają; utwierdza się obłądne przekonanie, że „można w nich wyczerpać całą, absolutnie całą rzeczywistość”. Ze skutkiem, który wybornie sformułował Gombrowicz: „Im mądrzej, tym głupiej”. Odżycie tekstu Hofmannstahla, pisarskiego ślubu milczenia, jest instynktownym odruchem przerażenia, którego należało się spodziewać. Nasz wiek jest wiekiem utraty centrum. Literatura (skoro o nią w tym wypadku chodzi) zaczęła od deklaracji ascezy językowej, aby po wielu krążeniach i eksperymentach przerzucić się w językową rozwiąłość. Hofmannsthalowski Lord Chandos złamał pióro, gdy wydało mu się bezradne wobec widzianej zanadto z bliska rzeczywistości i ukrytej za nią zbyt głęboko tajemnicy; wybrał „roztopienie się” w świecie z pieczęcią na ustach. Tysiące współczesnych nam piór młóćą żwawo rzeczywistość, jak gdyby nie było w niej żadnej już tajemnicy. Odzyskanie centrum między rzeczywistością i tajemnicą, i przywrócenie literaturze jej wagi i godności, zależy od chęci i woli pisania na przekór wszystkiemu w języku, którego każde słowo stara się dać odpowiedź na pytania stawiane nam codziennie przez nieznanego sędziego. Powiesz, że jest na to za późno? Twój G.

11 kwietnia

Moje ostatnie spotkanie z Józefem Wittlinem w Rzymie, przed paru laty. Wyschnięty, maleńki, tonący prawie w dużym fotelu hotelowym, opowiadał o swoich „planach na przyszłość”. Chciał przenieść się na stałe do Cortony, na pograniczu Umbrii i Toskanii, „umrzeć blisko Asyżu”. Projektowaliśmy wspólną włóczęgę po Umbrii. „Będzie Pan nas często odwiedzał w Cortonie, prawda?”. Z listu Pani Haliny: „W ostatnim notatniku

J. znalazłam zdanie o Pana *Dzienniku* i w nawiasie słówko „rozwinąć!”. Widocznie zamierzał o tym pisać, ale już nie zdążył. Organy wymęczonego ciała powoli odmawiały posłuszeństwa. Z wyjątkiem mózgu. Chętnie rozmawiał po włosku z uroczą pielęgniarką rodem z Potenzy. Wpatrywał się w widoczną z okna szpitalnego na siedemnastym piętrze świetną reklamę PAN-AM, która budziła w nim (jak w ostatniej notatce napisał) iskrę nadziei, że jeszcze wyruszy stąd za Ocean”.

Podczas naszego ostatniego spotkania rzymskiego była też mowa, jak zawsze zresztą, o *Soli ziemi*. Żył goryczą „nieskończonej książki” („może skończę ją w Cortonie?”), w dedykacji na amerykańskim wznowieniu z roku 1959 ofiarowywał mi „jedną trzecią powieści”. Słowo „powieści” ujął w cudzysłów, do tego stopnia nie był pewien czy pierwszy i jedyne tom zasługuje w ogóle na taką nazwę. Żałuję że nie umiałem się nigdy zdobyć na powiedzenie mu co myślę o jego goryczy, przypuszczalnie z obawy by nie posadził mnie o zdawkowy gest pocieszenia (nic tak nie podsycą bólu jak zdawkowe pocieszenie). Myślę mianowicie że *skończył* swoją książkę, jedną z najwybitniejszych w naszej literaturze współczesnej; i że jeżeli *Sól ziemi* jest „powieścią” w cudzysłowie, to nie w tym sensie jaki implikowało smutne westchnienie Wittlina. *Sól ziemi* jest poematem w dziesięciu pieśniach, który mógł ewentualnie ale nie musiał być kontynuowany. Szczerze mówiąc, wątpię nawet czy mógł. Rozdział *Zdrowa śmierć*, ładny urywek drugiego tomu drukowany w roku 1972 w *Kulturze*, niczym właściwie nie wzbogacał wizji wojny z dziesięciu pieśni poematu, a miejscami rozcieńczał ją i osłabiał zbędnymi powtórzeniami. Wittlin zdołał przełożyć całkowicie swoją wizję wojny na język poematu, zanim pułk Piotra Niewiadomskiego wysłano na front. Reszta nie ma znaczenia, jak nie ma znaczenia włączanie *Soli ziemi* do szufladki ekspresjonistycznego „pacyfizmu” czy „antymilitaryzmu”. O *Soli ziemi* trzeba by napisać, biorąc za odskocznię i wzór znakomity esej Simone Weil *L'Illiade ou le poème de la force*: wojna, pokój i dusza grecka — wojna, pokój i dusza chrześcijańska.

Palermo, 16 kwietnia

Krypta Kapucynów. Kilka tysięcy trupów w paradnych strojach, galeria zmumifikowanych „honoratorów” sycylijskich. Chowano ich na stojąco w podłużnych niszach, przymocowując za szyje do muru. Z upływem lat obluźniał się stopniowo uchwyt, dziś są to szpalery sterczących z muru wisielców. Paradne stroje w strzępach, u niektórych wisielców białe i czyste czaszki, u in-

nych obciążone czarną zrogowaciałą skórą. Sycylijski pochówek patrycjuszowski w Krypcie Kapucynów wyszedł z użycia w połowie ubiegłego stulecia, książę Salina z *Gattopardo* myślał o nim przed śmiercią z żalem jak o utraconym splendorze przeszłości. Mieszkańcy Palermo i turyści zachodzą tu czasem, by zobaczyć dawną Sycylię umarłą i gnijącą. *Morte e putredine*. Śmierć i zgnilizna zagnieżdżyły się również w starych pałacach palermitańskich, opustoszałych, ogołoconych, z czarnymi oczodołami okien. Wokół palermitańskich *cadaveri eccellenti*, dostojnych trupów, kotłuje się nowe życie: korupcja integralna, „zmodernizowana” mafia, co dzień napady i rabunki, co parę dni zabójstwo (*killer* do wynajęcia kosztuje 250 tysięcy lirów), ustawiczne napięcie, ucieczka do domów wczesnym wieczorem. Widziałem na południu Włoch wiele procesji, ale nigdy tak wyprutej z tradycyjnej treści religijnej jak Procesja Wielkanocna w Vucciria, ludowej dzielnicy Palermo. Wydawało się, że tłum niesie z ulgą Ukrzyżowanego do Krypty Kapucynów, na Uroczyste Gnicie. Był jeszcze jeden powód dla którego książę Salina żałował, że go po śmierci nie ustawią w podłużnej niszy: straszylby przyszłe pokolenia „nieruchomym uśmiechem swej pergaminowej twarzy”.

Neapol, 28 kwietnia

W dzisiejszym *Giornale* cała stronica, poświęcona „doktrynie” Sonnenfeldta: cztery głosy, w tym mój. Po opadnięciu na dno fusów „doktryna” nabiera dostatecznej jasności, której ponownie nie zamącą dziecinnie śmieszne „zaprzeczenia”, „sprostowania” i „uściślenia” Departamentu Stanu. Z pewną przesadą, zrozumiałą a nawet pożądaną w tych okolicznościach, kropki nad i postawił C. L. Sulzberger w *New York Times*. Na jego dwóch stwierdzeniach oparłem mój artykuł. Sonnenfeldt wybrał, dla prezentacji swej „doktryny” odnośnie Jugosławii, moment bliskiego zniknięcia Tity ze sceny; zielone czy zielonkawe światło amerykańskie ośmiela w praktyce Moskwę do przecięcia „wrzodu jugosłowiańskiego”. Sonnenfeldt wysunął w swej „doktrynie” postulat bardziej „organicznej więzi” ZSSR z Europą Wschodnią; bardziej „organiczna” od obecnej „integracji” może być chyba tylko jakaś forma wchłonięcia.

W Belgradzie nie uwierzono, że ujawnienie „doktryny” było niefortunnym „wyciekem”. Uznano je słusznie za sygnał dany Moskwie: nie przejmujcie się zanadto frazeologią roku wyborczego w Ameryce, zaostreniem tonu wobec *détente*; pozostaje w mocy zasada podziału stref wpływów, ze zgodą USA na dominację ZSSR we Wschodniej Europie. Sygnał został prawidłowo

odebrany przez *Prawdę*, w artykule Arbatowa: polityczny doradca Breżniewa wyraził pewność, że „realizm” musi doprowadzić oba supermocarstwa do „przeformułowania stosunków między USA i ZSSR, jednej z kluczowych spraw w życiu międzynarodowym naszych czasów”.

Czego Ameryka oczekuje w zamian za „doktrynę”? Przypuszczalnie przyhamowania przez Kreml rozpędzonego „eurokomunizmu”. Polityka sowiecka jest tu zręczna i giętka. Na zewnątrz kwituje z nieukrywaniem sceptycyzmem aspiracje Berlinguera i Marchais, co uspokaja autorów „doktryny”. W rzeczywistości, jak powiada Dżilas: „Nie mam wątpliwości że po XXV Zjeździe, w rozmowie w cztery oczy, Breżniew uzgodnił z Berlinguerem taktykę. Nie do pomyślenia jest całkowite oderwanie się komunistów włoskich i francuskich od Moskwy”. Gra warta stawki, idzie o neutralizację czy „finlandyzację” Zachodniej Europy po wejściu komunistów (możliwym w wypadku francuskich, więcej niż prawdopodobnym w wypadku włoskich) do rządów. *Unità* pisze otwarcie (w polemice z Brzezińskim) o konieczności „przewyciężenia bloków i stworzenia Europy ani antysowieckiej, ani antyamerykańskiej”. *Post factum* zredukowana zostanie jeszcze dotkliwiej i tak już względna swoboda manewru Ameryki. Prawda, Rosja ryzykuje kłopoty z „infekcyjnymi” właściwościami „eurokomunizmu”. Ale będą one dodatkowym argumentem za odwołaniem się w Europie Wschodniej do „doktryny” Sonnenfeldta; czyli za narzuceniem kadeelom „wyższego stadium integracji”. Jedno jest pewne, pisałem o tym w dzienniku w związku z „nadziejami” Karola (i podkreślają to na każdym kroku komuniści włoscy): „eurokomunizm”, w takiej czy innej postaci, nie stanie się nigdy towarem na eksport do Wschodniej Europy.

(Jakie z tego dla nas wnioski? Podtrzymywać za wszelką cenę i wszelkimi środkami opór, jaki w kraju wywołała „kwestia konstytucyjna”; umacniać i pogłębiać współpracę z opozycją w imperium i na obszarze objętym „doktryną”. Starczy, zważywszy skromne możliwości emigrantów. I nie zaśmiecać polskich głów absurdalnymi „programami”, w rodzaju „alternatywy chińskiej” Korbońskiego).

9 maja

Od wczoraj otwieram co jakiś czas telewizor, szukając obrazów trzęsienia ziemi w Friuli. Istnieje jakoby punkt nasycenia grozą, poza którym do naszych reakcji wkrada się otepiałe zobojętnienie. Może i tak, ale w każdym razie ta reguła nie

dotyczy trzęsienia ziemi. Wojny, rewolucje, masakry, pożogi, epidemie, powodzie — wszystko to nie przerasta człowieka bezapelacyjnie, nie napełnia go przerażeniem równie stężonym i bezsilnym jak ziemia drżąca pod nogami, nie podcina w nim elementarnego, pierwotnego poczucia własnej egzystencji. Jest w trzęsieniu ziemi coś metafizycznego, wymykającego się zmysłom. Nie dziwię się, że Moravia pisze w dzisiejszym felietonie: „Trzęsienie ziemi, bardziej niż jakiegokolwiek inne zjawisko natury, zdaje się narzucać obecność energii boskiej; lecz energii bóstwa pogańskiego, kapryśnego, ślepego i mrocznego, nieświadomego swej siły”. Nic na świecie (zapewnia komentator telewizji) nie wzbudza w człowieku takiego strachu, jak trzęsienie ziemi. Opowiadała mi L., że jej ojciec (który jako szesnastoletni chłopiec ocalał jedyny z całej rodziny w trzęsieniu ziemi na Ischii i leżał pod gruzami trzydzieści godzin) mawiał krótko przed śmiercią: „Kiedy umrę, uwolnię się nareszcie od największej męki, codziennego wracania myślą do owego letniego wieczoru w Casamicciola”. Po siedemdziesięciu latach, po dwóch wojnach i tylu tragediach!

Przeżyłem lekkie trzęsienie ziemi w Neapolu, w sierpniu 1962 roku. Spędzałem lato sam, rzadko wychodząc z domu. Wstrząs — w południe — był słaby, ale nie zapomnę tej chwili zdrtwienia, okamienienia, gdy w kuchni zadzwoniły talerze. Ludność wyległa natychmiast na ulice, do ogrodu miejskiego, na place. Uderzyło mnie że Neapolitańczycy, nie grzeszący sympatią do zwierząt, ciągnęli ze sobą psy i koty. Uważano je za żywe sejsmografy, zgodnie z przypisywaną im zdolnością chwytania zawczasu niedostrzegalnych dla człowieka znaków lub zapowiedzi. Przypisywaną nie bez podstaw. List Jerzego Stempowskiego, który później otrzymałem, zawiera opis trzęsienia ziemi w basenie czarnomorskim: „Uderzenie przyszło koło pierwszej w nocy. Siedziałem jeszcze przy stole i miałem przed sobą lampę naftową, która nagle przechyliła się, podskoczyła i byłaby spadła na mnie, gdybym jej nie zatrzymał. Od kilku minut już nie czytałem, oderwany od lektury niepokojem, jaki ogarnął był właśnie świat zwierzęcy. Ptaki obudziły się pierwsze. Ze wszystkich stron słychać było ich krótkie, trwożne nawoływania, jakie wydają uciekając od sowy. Potem odezwały się krowy, wreszcie psy. Trwało to przez kilka minut, gdy odezwał się podziemny huk, zbliżający się z zawrotną szybkością. Dach domu zaczął skrzypieć w wiązaniach, jak pod uderzeniem wiatru, i w tejże chwili zobaczyłem dziwny podskok stojącej przede mną lampy. Po drugim wstrząsie, słabszym, świat zwierzęcy pograżył się znów w sen”. Uczeń potrafią z pewnością wyjaśnić antycypacyjne uczulenie zwierząt, kto wie jednak czy i ten fenomen nie wpływa podświadomie

domie na spotęgowanie naszej atawistycznej grozy: jak gdyby zaczajony i czyhający stale na człowieka cios wydobywał się, aby w niego uderzyć, z nieprzeniknionych czeluści ziemi, z prehistorycznej pomroki dziejów.

14 maja

Niektóre rozmowy z dość odległych lat pamięta się w oderwaniu od okoliczności, inne w wyraźnym a nawet drobiazgowym „tę”. Zimą 1953 roku Jerzy Stempowski przyjechał na krótko do Monachium. Po kolacji wyszliśmy na spacer, chciał mi w roli „przewodnika ilustrującego” opowiedzieć o Monachium swojej młodości. Łaziliśmy długo, minęła północ i chwycił mróz. Pozostała „jeszcze jedna ważna sprawa do omówienia”, a kawiarnie były już o tej porze pozamykane. Zaproponował nocny lokal, ale w miarę spokojny, bez „awanturniczenia”. Znałem tylko jeden na głównym placu śródmieścia, gdzie nasz rodak z miasta Łodzi założył za pieniądze z kacetowego odszkodowania dyskretną i prawie salonową kapliczkę *strip-tease*, szcząc się że nie dopuszcza do jej ześlizgu na poziom zamaskowanego lupanaru. Usiedliśmy przy stoliku na środku sali, Stempowski błysnął w ciągu paru minut ku uciechu właściciela swoją znajomością miasta Łodzi, po czym odprawił go grzecznie i przystąpił *ad rem*. Zabawny w tym wspomnieniu jest jego wygląd, gdy w trakcie gładkiego wywodu podpatrywał od czasu do czasu panienki wybierające się kolejno na estradzie, za każdym razem poprawiając na nosie okulary i mrucząc ni to do siebie ni do mnie: „Nic ciekawego”.

„Jeszcze jedną ważną sprawą do omówienia” było powołanie emigranta; nie gorzki mus, lecz powołanie. Nosił się z zamiarem przygotowania dla *Kultury*, ewentualnie z pomocą innych, antologii sławnych emigrantów od starożytności do naszego stulecia. Chodziło mu o oczyszczenie samego pojęcia „emigrant” z brudów, jakie zaczęto na nie wylewać w powojennej Europie, w dużym stopniu z instygacji komunistów i sowieckich dyrygentów „lewicowej” orkiestry. Zastanawiała go i zasmucała łatwość przyjmowania się uprzedzeń i niechęci wobec emigrantów, widział w niej szczególnie jaskrawą oznakę upadku starej Europy zachodniej, przewidywał dalsze i szybkie postępy zjawiska. A we wschodniej? We wschodniej, gdzie do szczytu przeciw emigrantom zaprężnięto cały aparat propagandy, za dziesięć lat będziemy jeśli nie synonimem odstępstwa bądź dezercji, to co najmniej definitywnej mielizny, śmierci za życia, żalosnej vegetacji upiorów. Nawet w Polsce, mimo jej dziewiętnastowiecznych

tradycji. Jak w Rosji, w której nazajutrz po rewolucji zdołano przecieżyć znacznemu odłamowi inteligencji wpoić obraz *bywalszych ludzi* na paryskim bruku. Dla Stempowskiego stosunek do emigrantów nie był kwestią osądu historycznego i politycznego, samodzielnego czy narzuconego, trafnego czy błędnego; był aktem decydującym, niezależnie od historii i polityki, o zachowaniu lub utracie zakorzenionej głęboko swobody duchowej. Tak rozumianej rehabilitacji powołania emigranta miała służyć jego antologia, która nie wyszła zresztą nigdy poza stadium projektu.

Przez wiele lat wrózby Stempowskiego sprawdzały się dokładnie. Nie mówiąc o „lewicowym” Zachodzie (z jego podziałem na emigracyjnych „bankrutów” z Rosji i Europy Wschodniej i na emigracyjnych „zwiastunów lepszego jutra” z Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Południowej Ameryki), ile razy zdarzało mi się wyczuwać u gości z kraju odcień politowania, wizyty składanej czcigodnym zwłokom, prawie tak jak gdybyśmy wisieli w polskiej Krypcie Kapucynów! Od jakiegoś czasu nastąpiła zmiana, zarówno na odcinku rosyjskim jak wschodnio-europejskim; a także, o dziwo, domieszka zainteresowania pojawiła się w programowo nieżyczliwej postawie „kół postępowych” na Zachodzie. Ale o monachijskim wywodzie Stempowskiego pomyślałem, przeglądając wczoraj książkę Katajewa *Trawa zapomnienia*, którą *Nowy Mir* drukował z wielkim powodzeniem w roku 1967. Katajew uważa się za ucznia Bunina, opisał go w *Trawie* wcale ładnie, z łezką sentymentu i czułości. Samego wyjazdu Bunina z Rosji opanowanej przez bolszewików nie kwestionuje widać, skoro między wierszami przyznaje że swój odruch wierności „ziemi przemytej krwią rewolucji” spadkobierca Czechowa prawdopodobnie przypłaciłby rozstrzelaniem. Dlaczego jednak nie wrócił później z przysłowiowego paryskiego bruku? „Bunin przehandlował dwa największe skarby, Ojczyznę i Rewolucję, za miskę soczewicy tak zwanej wolności i tak zwanej niezależności”. Rzecz w tym (i to było źródłem smutnych przeczuć Stempowskiego), że również na Zachodzie weszło w modę pisanie o „tak zwanej wolności” i „tak zwanej niezależności”.

17 maja

W mądrym liście otwartym profesora Edwarda Lipińskiego do Gierka takie zdanie: „Jestem po stronie komunisty Berlinguera, komunisty Marchais, komunistów hiszpańskich, nie po stronie komunisty Breżniewa”. To co o nim powiem będzie ostrzeżeniem a nie zabawą w zastrzeżenia, o tyle jałową że dla komunistów w „bloku” nie ma rzeczywistego wyboru strony,

natomiast *prawdziwe* preferencje „nawróconych na demokrację i pluralizm” komunistów włoskich, francuskich i hiszpańskich nie są nam dostatecznie znane (chyba żeby o nich sądzić po przedwczesnym odświeżeniu kart przez komunistów portugalskich).

„Eurokomunizm” dopuszczony do rządów nie oznacza wcale większej folgi w Europie Wschodniej; jeżeli szerzą się tam podobne nadzieje, są zwykłym złudzeniem lub pomyłką w kalkulacji. Pisałem o tym parokrotnie, uderzony stanowczością (a niekiedy wręcz gniewną brutalnością), z jaką od początku „nawrócenia” komuniści włoscy wykreślali demarkacyjną linię działania swego „czysto zachodniego” modelu. Dziś znajduję precyzyjne sformułowanie moich przypuszczeń w artykule dziennikarza włoskiego, który ma bardzo dobre kontakty z centralą PCI: „W Moskwie ustalono tytułem kompromisu margines manewru w obrębie pewnych nieprzekraczalnych granic, przede wszystkim jednej: komuniści zachodni zobowiązali się nie szukać poparcia dla swej polityki w obozie krajów satelickich ZSSR i nie tworzyć schizmatycznego bieguna przyciągania. Innymi słowy: nie ruszajcie nam imperium. Co ustaliliśmy, zgoda na pewną swobodę taktyczną”. Więc nie rozłam na „strony”; wytargowanie sobie specyficznej „rol”. Obojętne jak się to nazwie: duplikatem Jałty w stosunkach międzypartyjnych czy rasizmem internacjonalistycznym, lepiej nie wiązać nadziei z „eurokomunizmem”. Wprost przeciwnie, są dwa poważne powody by śledzić (w Warszawie, w Budapeszcie, w Pradze) z niepokojem jego pochod. Po pierwsze, Moskwa nie oprze się pokusie wzmocnienia ortodoksji partyjnej w swojej „naturalnej” strefie wpływów (zwłaszcza po ujawnieniu „doktryny” Sonnenfeldta) *na wsiakij pożarnyj słuczaj*. Po drugie, sukces operacji „eurokomunistycznej” zwięzi na Wschodzie ten „liberalny” luz wobec społeczeństw, jaki utrzymywany jest tam po części na benefis zachodnich towarzyszy dopóki są w opozycji.

20 maja

„Odkryłem że całe nieszczęście ludzi pochodzi z jedynej rzeczy, którą jest nieumiejętność spokojnego przebywania w pokoju”. To motto z Pascala poprzedza książeczkę Gide’a *La séquestrée de Poitiers*. Gide opisał bez komentarzy dochodzenia sądowe wszczęte w Poitiers w roku 1901, po wykryciu (dzięki anonimowemu donosowi) że pięćdziesięcioletnia córka zamożnej rodziny mieszczańskiej była dwadzieścia pięć lat więziona w ciemnym pokoju przez owdowiałą matkę i brata. Policja znalazła

ją na łożku pokrytym skorupą ekskrementów i odpadkami jedzenia, tak wychudzoną że jej ciało ważyło prawie tyle samo co jej sięgające do kostek włosy. W pokoju roilo się od robactwa, ściany zabazgrane były nieczytelnymi napisami. Czytelny był tylko jeden: „Zadnej miłości i wolności, zawsze samotność, trzeba żyć i umierać w więzieniu przez całe życie”. Mélanie Bastian, półobłąkana *séquestrée* z Poitiers, powtarzała wciąż po uwolnieniu: „Róbcie ze mną co chcecie, ale nie zabierajcie mnie z mojej małej ukochanej grotty”. Przypinając myśl Pascala do tej historii, Gide nie zamierzał ich sprowadzić wzajemnie do absurdu. Zależało mu raczej, jak sądzę, na tym by z pomocą przypadku skrajnego wskazać że istnieje także nędza „szczęścia ludzi”.

22 maja

Prometeusz Kafki.

„Są cztery legendy dotyczące Prometeusza.

„Według pierwszej, został przykuty do skały na Kaukazie za to, że zdradził sekrety bogów ludziom; bogowie zesłali orły każąc im żywić się jego wątroba, która odnawiała się nieustannie.

„Według drugiej, Prometeusz jęczący bólem jaki zadawały mu szarpiące dzioby wciskał się coraz głębiej i głębiej w skałę, aż wtopił się w nią zupełnie.

„Według trzeciej, zapomniano o jego zdradzie w ciągu tysięcy lat, zapomnieli o niej bogowie, zapomnieli o niej orły, sam o niej zapomnieli.

„Według czwartej, wszystkim uprzykrzyła się cała ta bezsensowna sprawa. Uprzykrzyła się bogom, uprzykrzyła się orłom, uprzykrzyła się zasklepionej zwolna ranie.

„Pozostała niewytłumaczalna masa skalna. Legenda usiłowała wytłumaczyć niewytłumaczalne. Ponieważ wyrosła z podkładu prawdy, sama musiała się w końcu obrócić w coś niewytłumaczalnego”.

Według piątej (nieznanej Kafce) legendy, Prometeusz był prowokatorem. W porozumieniu z bogami zdradził ludziom sekrety fałszywe, po czym zainscenizowano komedię kary — przykucia go do skały na Kaukazie i wydziobywania mu przez orły odrastającej stale wątroby — dla odwrócenia uwagi ludzi od poszukiwania sekretów prawdziwych. Gdyby mieli kiedykolwiek uzmysłowić sobie z neodpartą jasnością że ich oszukano, że prometejski sen o potędze wykradzonej bogom był prowokacją, będzie już za późno. Nie będą mogli przydusić Prometeusza do skały

by zdradził wreszcie prawdę, gdyż scenariusz komedii przewidywał jego wtopienie się w skałę po odegraniu wyznaczonej mu roli: podstępnej wobec ludzi, służebnej wobec bogów. Nie jest wykluczone że ludzki świat będzie wtedy wyglądał tak, iż bogowie pożąłują swej prowokacji. Ale i dla nich będzie już za późno.

25 maja

W Polsce został „zanizony” wiek jubileuszowy. Wystarczy mieć sześćdziesiąt lat (i, naturalnie, cieszyć się względami władz), aby dostąpić pasowania na jubilat, ze wszystkimi należnymi temu honorami i dobrodziejstwami: odpowiednim orderem, awansem wojskowym, depeszmami gratulacyjnymi z bardzo wysoka i z bardzo niska, wznowieniami starych książek a może i edycją dzieł zebranych, klaką prasy i środków masowego przekazu. Pierwszym (dla zachęty albo na przynętę) jubilatem w sile wieku jest Żukrowski. W prasie krajowej oglądam jego fotografie od bobasa do obecnego solennego wzdęcia, raz nawet zdarzyło mi się podziwiać drzewo genealogiczne rodu jubilata, niemal tak rozłożyste jak to które zdobi tomisko *Aneksów do Pism wszystkich* Norwida w opracowaniu Gomulickiego. No i wywiady, wywiady, jeden głupszy od drugiego. Bo niestety miała rację Maria Dąbrowska, mówiąc mi przed piętnastu laty o dzisiejszym mistrzu i klasyku: „Talent ale głuptas”. Pieszczotliwe określenie „głuptas” byłoby teraz uchybieniem dla wieku i dorobku jubilata, należałoby je stosownie zgrubić. Co do talentu... W Rzymie pod koniec lat pięćdziesiątych Żukrowski, jeden z licznych polskich kandydatów do Nagrody Nobla we własnym nader pochlebnym o sobie mniemaniu, pomstował podczas herbatki u Reny J. na uwieńczenie Pasternaka szwedzkim laurem, dodając ze skromnie spuszczonej oczami: „Za jedną powieść! Ja mam na półce dwadzieścia sześć grzbietów”. Z owej mnogości „grzbietów” o wybitnym talencie świadczyły tylko *Z kraju milczenia*; w tyle dreptały wdzięcznie, w tonacji minorowej, *Okruchy weselnego tortu* i *Piórkiem flaminga*. Resztę „grzbietów” można sobie darować; łącznie z późniejszym, mastodontowym „grzbietem” *Kamiennych tablic* — zdumiewającego okazu przemiany temperamentu pisarskiego w grafomaństwo.

Ale w jakimś sensie Żukrowski jest rzeczywiście mistrzem i klasykiem, i dlatego warto jego jubileusz odnotować. Kto wpadłby na pomysł kontynuowania *Zniewolonego umysłu* Miłosza, musiałby do galerii portretów Alfya, Bety, Gammy i Dety dołączyć produkt końcowy procesu: *Żeta czyli pisarz nareszcie ulepiony*.

Przymiotnik użyty w tytule portretu Żukrowskiego, chociaż na pozór zawiera złośliwą aluzję, miałby wydźwięk głębszy i szczerze melancholijny. Chodzi o to, że w ciągu trzydziestu lat nieustrudzonej pracy budowniczym Polski Ludowej udało się jednak ulepić figurę pisarza jeśli nie na swoje podobieństwo (za trudne powyżej standartów Machejka), to przynajmniej odpowiadającą wymogom aktualnego „momentu historycznego”. Z czego ulepiony jest Żeta? Lista będzie niekompletna, uzupełnią ją na bankiecie jubileuszowym inni. Głosi historyczną wyższość socjalizmu i jego triumf ostateczny, w nierozzerwalnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim; odznacza się zdrową i krzepką pogardą dla chorego i słabego Zachodu, jako też dla chorej i słabej demokracji; szanuje silną władzę, chyli głowę przed każdym kolejnym władcą do chwili jego upadku, nie lubi rozrabiania i babrania się w przeszłości po każdej kolejnej zmianie warty; jest wierzący, mimo błędnej polityki kościoła; wierzy również w naród, mimo że naród tak wolno i opornie dojrzewa do socjalizmu; docenia wagę tradycji, lecz pod warunkiem nie sączenia przez nią miazmatów do prawdziwie polskich serc; kocha wojsko; odnosi się z respektem do policji, w imię nadrzędnego imperatywu porządku; literaturę uważa za służbę (po trosze wojskową), a nie za domenę intelektualnych smaczków i wygibasów; uwielbia wyjazdy w teren na spotkania z czytelnikami; w ochotniczych hufcach pracy widzi najlepszą odtrutkę na groźbę politykierstwa wśród młodzieży, we wzmocnionym wysiłku produkcyjnym najlepszą odtrutkę na mętne ciągoty rewindykacyjno-syndykalistyczne wśród robotników; nienawidzi kawiarnianych literatów, z ich ustawicznym wybrzydzeniem się na wszystko dokoła, z ich wiecznym rozszczepianiem włosów na czworo; relatywne i wyświechtane pojęcia wolności i niezależności przyprawiają go o drgawki nerwowe.

Opłaca się „zanizzyć” takiemu pisarzowi wiek jubileuszowy. Na obecnym etapie PRL model Żety stanowi optimum literackiego bohatera pozytywnego.

Rzym, 30 maja

Piazza Navona, lodziarnia *Tre scalini*. Dokoła fontanny karuzela turystów, agitatorów przedwyborczych, niedzielnych spacerowiczów, dzieci; pstrokacza kolorów i głosów. Czyste, popielate niebo wiosenne, różowe słońce, przypalone fasady domów. Rzym, jakim go utrwalił Nicola Chiaromonte w zakończeniu swego jedyne opowiadania *Jezuita*: „Ten rzymski wymiar przestąpienia, tak szczodry, pozbawiony wszelkiego przymusu, niczego nie odmawiający jednostce i niczego od niej nie żądający; chyba

tego tylko by włożyła maskę, odgrywała rolę i w niej zapomniała o sobie. Aktorzy są niezliczeni, scena jest dana raz na zawsze”.

R. M., aleksandryjczyk z urodzenia i wychowania, twierdzi że wyłącznie tacy jak on, do szpiku kości przesiąknięci atmosferą wyrafinowanego eklektyzmu i dekadencji, potrafią naprawdę smakować poezję Kawafisa. Niedaleko stąd jest Senat.

*Czemu nic prawie nie robi się w Senacie?
Czemu senatorowie siedzą i nie obradują?*

*Ponieważ barbarzyńcy nadejść mogą dzisiaj.
Po cóż by mieli senatorowie martwić się prawami?
Barbarzyńcy skoro nadejdą podyktują prawa.*

*Co znaczy ten nagły niepokój,
to zamieszanie (jakże spoważniały twarze!)?
Czemu ulice i place raptem pustoszeją?
i każdy wraca do domu tak zamysłony?*

*Ponieważ jest noc a barbarzyńcy nie nadchodzą.
A nawet przybył ktoś spod samej granicy
i mówi, że tam już nie ma żadnych barbarzyńców.*

*Teraz, bez barbarzyńców, co z nami będzie?
Ci ludzie to było jakby rozwiązanie*.*

Czekając na barbarzyńców Kawafisa ma obecnie w Rzymie (i zachodnioeuropejskich okolicach) dźwięk niezwykły, ni to profetycznie złowieszczy ni ślepo beztroski. Może barbarzyńcy nie nadejdą, może senatorowie obudzą się jednak z drzemki i zadbają znowu o podgnięte prawa, ale chwilowo w powietrzu Zachodu 1976 wisi upokarzające zdanie: „Ci ludzie to byłoby jakby rozwiązanie”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

* Przekład Czesława Miłosza.

Sprawa personalna towarzysza A. Ł. Jufy

1.

Mikołaj Aleksandrowicz Baruzdin, sekretarz organizacji partyjnej sporego instytutu naukowo-badawczego czuł się nieswojo. Był w prawdziwym kłopotcie. Dziś rano zjawił się u niego niepozorny, cichy, od lat pracujący w instytucie inżynier działu budownictwa kapitalnego, Abram Łazarewicz Jufa z prośbą o wydanie mu charakterystyki, koniecznej do uzyskania paszportu i wizy do Izraela.

Mikołaj Aleksandrowicz z początku nie zrozumiał nawet o co chodzi.

- Dokąd?
- Do Izraela.
- Do Izraela?
- Tak, do Izraela. Mam tam siostrę z dziećmi.
- Chwileczkę — Mikołaj Aleksandrowicz stracił kontenas
- Nie rozumiem. Na wycieczkę turystyczną? Właśnie teraz?
- Nie, nie chodzi o turystykę. Na zawsze — cicho odpowiedział Abram Łazarewicz, obracając w szczupłych palcach przycisk.

Zapadło milczenie. Wreszcie Mikołaj Aleksandrowicz powiedział:

— Wstąpcie tu jutro.

Abram Łazarewicz pożegnał się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi bez szelestu.

Mikołaj Aleksandrowicz zadzwonił przede wszystkim do komitetu dzielnicowego. Nie zastał ani pierwszego sekretarza, ani drugiego, obaj byli na plenum komitetu okręgowego. Tam więc też nikogo nie zastanie.

Co robić? Kogo się poradzić? I o czym tu w ogóle gadać? Stary wyraźnie zwariował.

Starął się przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach widywał się z Jufą. Facet pracował w instytucie już jakieś piętnaście lat, pracował dobrze, nikt się na niego nie skarżył, składki partyjne płacił akuratnie, nie wykrywał się od szkolenia ideologicznego, często dostawał premie. Miał wprawdzie kiedyś jakiś konflikt z Bierestowem, zastępcą dyrektora instytutu — ale — jak to się później wyjaśniło — to właśnie Jufa miał rację, a nie Bierestow. To było wszystko, co sekretarz o nim wiedział.

Przez cały dzień robota szła jak po grudzie. Przyjechała jakaś syryjska delegacja partyjno-rządowa i trzeba było pokazywać im laboratoria, a tymczasem elektryczność nawaliła, jak na złość i żadne gmeranie przy korkach nie pomogło: światła nie było. Następnie zaczęła się narada u dyrektora, który wrócił z KC w fatalnym nastroju — a zawsze w takim nastroju stamtąd wracał — więc zaczął czepiać się wszystkich, nie wyłączając Mikołaja Aleksandrowicza. Później był telefon z domu, od żony, z wiadomością, że Żenka oberwał dwójkę z matematyki, tak jakby nie mogła tego powiedzieć wieczorem. Wreszcie rozboleł go ząb i żaden piramidon nie pomagał. A w głowie cykało bez przerwy: Jufa, Jufa, Jufa...

Po naradzie u dyrektora spotkał w toalecie naczelnika działu budownictwa kapitalnego. Zapytał go o Jufę.

— Abram Łazarewicz? Najsolidniejszy z naszych inżynierów. Punktualny, dokładny, nigdy się nie wałkonii. Przez całe piętnaście lat ani razu nie spóźnił się do pracy, a był na chorobie tylko raz. Jednym słowem — wzorowy pracownik. A o co właściwie chodzi?

— O nic. Tak sobie pytam. Później pogadamy.

Naczelnik działu kadr — wiecznie skwaszony i podejrzliwy Antipow — też nic nie mógł Jufie zarzucić.

— Pracownik, jak pracownik. Papiery ma w porządku.

Pod koniec dnia Mikołaj Aleksandrowicz dodzwonił się wreszcie do sekretarza dzielnicy. W słuchawce rozległ się basowy głos:

— Słucham.

— Mam do was pilną sprawę, towarzyszu.

— Aż taka pilna?

— Nawet bardzo pilna.

— Nie da się odłożyć do jutra? Mam na dziś bilety do teatru. Żona już drugi miesiąc mnie piłuje.

— Wolałbym jeszcze dzisiaj.

— No już dobra, możesz przyjść.

Gdy zjawił się w komitecie, Wasyl Wasylicz siedział za biurkiem, przeglądając tygodnik *Ogoniok*.

— Nadzwyczajny wypadek, towarzyszu.

— Co tam znowu?

— Zgłosił się do mnie pewien członek partii: poprosił o charakterystykę, bo chce do Izraela.

— Dokąd, dokąd? — zapytał sekretarz.

— Do Izraela.

— Do Izraela?

— Do Izraela.

Wasyli Wasylicz zabębnił palcami po stole.

— Zwariował?

Zapadło milczenie. Wasyli Wasylicz potarł swoją czerwoną, obwisłą, ospowatą twarz, spróbował do kogoś zadzwonić, ale nie doczekał się odpowiedzi, znów potarł twarz i powiedział: „No tak...”. I jeszcze raz spróbował się z kimś połączyć.

— Diabli nadali, nikogo nie można złapać — i wlepił w Mikołaja Aleksandrowicza swoje malutkie oczy. — A co to za typ właściwie?

— Taki sobie, nic szczególnego.

— Był na froncie?

— Zdaje się, że tak.

— Siedział?

— O ile wiem, nie siedział.

— No to o co mu chodzi, gadzinie?

Mikołaj Aleksandrowicz wzruszył tylko ramionami.

Wasyli Wasylicz po raz trzeci nakreślił jakiś numer.

— Nikogo nie ma — i zaklął. Przyjdź do mnie jutro, trzeba się namyślić. Nauczmy tego gada rozumu. Do Izraela mu się zachciało, uważacie. Bo tu mu niedobrze. Dobra już, cześć. Zadzwoń do mnie rano...

Taka była ich rozmowa.

2.

Abram Łazarewicz miał w lipcu skończyć sześćdziesiąt lat: mógł zatem już od lipca przejść na rentę. Mógł, ale nie czuł wcale chęci. Po pierwsze — nie miał pojęcia, co pocnie bez pracy. Po drugie — po śmierci żony zapragnął pojechać do Izraela, gdzie miał jeszcze siostrę. Chęć ta zrodziła się w nim po czerwcowej wojnie 67-go roku, ale wówczas myślał o tym, jak o czymś całkiem nierealnym, teraz zaś — gdy został sam z synem i zdecydował się nagle na wyjazd...

Dlaczego się zdecydował? Sam nie potrafiłby tego wyjaśnić, jak należy. Zachciało mu się i tyle. Chociaż we wczesnym dzie-

ciństwie uczył się w chederze, w Humaniu, ojciec jego chodził zaś regularnie do synagogi — Abram Łazarewicz nie czuł się związany z religią żydowską, jak zresztą w ogóle z żadną. Uczęszczał później do ukraińskiej szkoły zawodowej, a następnie skończył instytut politechniczny. Nie znał prawie języka żydowskiego; całkiem go zapomniał. Wśród jego przyjaciół byli i Rosjanie, i Ukraińcy, i Żydzi. Jakiej właściwie narodowości jest który — tego nawet nie wiedział, a zresztą w tym okresie nikt na to nie zważał. Później — poszedł na wojnę. Wstąpił do partii na froncie. Był ranny i przeszedł ciężką kontuzję, której skutki dotąd dawały mu się we znaki. W pułku miał dobre stosunki: służył jako inżynier pułkowy, z żadnymi objawami antysemityzmu o sobie się nie zetknął. Poznał je dopiero po wojnie, w 49-tym roku, w okresie tak zwanej walki z kosmopolityzmem. Co prawda, skutków tej kampanii nie odczuł na własnej skórze, ale ten i ów z jego przyjaciół ucierpiał. Wtedy właśnie pierwszy raz poczuł coś w rodzaju ucisku w piersi. Za co? Dlaczego zaczęto go traktować inaczej, niż pozostałych kolegów? Czym zawinił Wienia Lubomirski, ten co dostał wypowiedzenie? Czy tym, że jakaś jego ciotka mieszka gdzieś tam, w Ameryce? Przecież nigdy w życiu jej nie widział, nawet rodzice już z nią nie korespondowali. A niech se mieszka, co wam do tego? Nikomu przecież nie wadzi. Okazuje się jednak, że komuś wadzi. A Griszka Morgulis? Zesłano go do obozu, ni mniej, ni więcej. I też z powodu ciotki, czy wujka. Ale ci przynajmniej pisywali do Griszki, zapraszali w gości. Wywołało to czyjeś podejrzenia, że niby kontakty z zagranicą. Nazwa „Joint” była na wszystkich ustach — słowo straszne, przerażające, niezrozumiałe. Potem pojawiła się w gazetach rubryka „Poczta Lidii Timoszuk”¹, sprawa lekarzy... Robiło się coraz okropniej...

Później ta fala jakby trochę opadła. Ale „piąta rubryka”² dalej istniała i Saszki, syna sąsiadów, nie przyjeżdża na wyższą uczelnię, chociaż zdobył na egzaminie 14 punktów, a wystarczało 13-cie. W rządzie nie było już ani jednego Żyda, chyba tylko

1. Lidia Timoszuk — lekarka, która w 1952 roku „zdemaskowała” tzw. „morderców w białych fartuchach”, lekarzy ze szpitala kremłowskiego, przeważnie żydowskiego pochodzenia, oskarżonych o zamiar zabicia Stalina i otrucie innych szefów partii, m.in. Zdanowa i Szezerbakowa. Od jej rewelacji zaczęła się antysemicka nagonka, trwająca aż do śmierci Stalina. Jednym z pierwszych posunięć nowego kierownictwa było odwołanie oskarżeń i wypuszczenie na wolność tych lekarzy, którzy zdołali przetrwać śledztwo. Lidii Timoszuk odebrano order Lenina. Wkrótce zginęła w wypadku samochodowym.

2. Rubryka w sowieckich dowodach osobistych, dotycząca narodowości posiadacza i zapełniana wedle widzimisię władz, biorących pod uwagę tzw. „pochodzenie”, a więc trzymających się zasady ściśle rasowej.

Dymszyc jeszcze się trzymał: Michoelsa i Zuskina³ nikt już nie wskrzesi i człowiek nie wie, co odpowiedzieć dziesięcioletniemu Boryskowi, kiedy chłopak wraca ze szkoły ze łzami w oczach i pyta: „Co to właściwie znaczy — żydowska morda?”.

Mimo to jakoś łżej się zrobiło. W zakładzie pracy wszystko było w porządku.

Ale masz ci los — nadszedł rok 67-my i wojna sześciodniowa. I jakoś bezwiednie Jufa w tej wojnie stanął nie po stronie Arabów, tylko Izraelczyków. Gazety nie pisały tego, wręcz przeciwnie, ale dla każdego, w miarę rozsądnego człowieka, było zupełnie jasne, że agresorem w tej wojnie był właśnie Nasser. Żądanie wycofania oddziałów ONZ z zony Kanału Sueskiego, blokada Zatoki Akabskiej, historyczne manifestacje antysemickie w Kairze — „Zepchniemy Żydów do morza!” — wszystko to wydawało się zupełnie jasne. I zwycięstwo dwumilionowego narodu izraelskiego nad stoma milionami Arabów, którym po prostu nie chciało się walczyć, nasz Abram Łazarewicz równie bezwiednie uznał za zwycięstwo swojego narodu, za własne zwycięstwo. I zapragnął podzielić ze swoim narodem jego niełatwy los.

I tu właśnie zaczęto mu klarować, że się myli. Speakerzy w radio, dziennikarze w gazetach, a przodujący tokarze, baleriny i bohaterowie Związku Sowieckiego — w listach otwartych, wszyscy mu tłumaczyli, że ojczyzną jego jest ZSSR, rozmaite zaś Dajany i Goldy Meir — to syjoniści, agresorzy i okupanci. I że nie ma żadnego „swojego” narodu. Są tylko obywatele ZSSR pochodzenia żydowskiego, mający te same prawa, co inni obywatele sowieccy. Mianowicie — prawo do pracy, wypoczynku, spokojnej starości. Czego mu jeszcze brak?

Czego? Jednej zaledwie rzeczy. Prawa do osobistego podejmowania decyzji w sprawach osobistych. Jufa nikogo nie wini — ani partii, ani rządu, po prostu chce, aby pozwolono mu na wyjazd do Izraela. W jakim celu? To jego sprawa osobista. Ma tam siostrę, której nie widział lat przeszło czterdzieści, ma siostrzeńców i ma tam swój mały, odważny naród, który postanowił bronić swojego prawa do życia, prawa do wolności. I Jufa chce żyć wśród tych ludzi. Kto może mu zabronić? Nie chce z nikim

3. Michoels — znakomity aktor teatralny i filmowy („Profesor Mamlock”), twórca Żydowskiego Teatru Państwowego („Gosjet”), działającego w Moskwie, zlikwidowanego w 1948 roku, w ramach tzw. walki z kosmopolityzmem. Zuskin — naczelnny reżyser tego teatru. Obaj zginęli. Zuskin — w obozie, Salomona Michoelsa zaś zamordowano okrutnie w 1948 roku pod Mińskiem. Z rozkazu Stalina (patrz Swietłana Allitujew „Tylko jeden rok”, str. 134 wyd. rosy.), oficjalna wersja głosiła, że Michoels zginął w wypadku samochodowym. Chruszczow stwierdził jednak publicznie (patrz *Sowietskaja Bielarussija* z 13. I. 1963), że zgładzenie Michoelsa było operacją MGB.

walczyć, ani z Arabami, ani z Turkami, będzie spokojnie sobie pracował w jakimś kibucu, orał ziemię, albo pasł owce i — jeśli trzeba — płacił składki partyjne, a czy Mikunisiowi, czy może Wilnerowi — to już inna sprawa. Jednym słowem, prosi o pozwolenie na wyjazd.

— Jesteś po prostu wariat — mówili mu przyjaciele. — Czy nie rozumiesz, że to akt antysowiecki najczystszej wody? Że nikt ci nie da takiego pozwolenia? I wreszcie — jeśli jakimś cudem pozwolą ci wyjechać, to przecież nigdy w życiu nie wypuszczą Borysa, chłopak ma iść do wojska za cztery lata! Przecież go nie oddadzą Dajanowi!

Rozumiał to. Ale rozumiał też inne rzeczy. Że mu to wszystko już się uprzykrzyło. Że ma już potąd czytania w gazetach listów primabaleriny Plisieckiej i pisarza Natana Rybaka, że nie może już patrzeć jak w telewizorze Arkady Rajkin wbija wzrok w ziemię na konferencji prasowej, że nie może już słuchać jak jakiś docent Frydman przemawia w Babim Jarze, twierdząc, że ręce syjonistów splamione są krwią ofiar leżących tam od czasów okupacji niemieckiej. Po kiego licha mu to wszystko? Tłumaczą mu, że mieszka w kraju wolności, największej wolności na ziemi — niech więc dadzą mu wolność wyboru. To głupota? Być może. Nie myśli wcale się sprzeczać. A co na to Borys mówi? Ojciec ma rację, czy nie ma?

Borys milczał. Zaczął już się golić, palił już nawet, ale polityką się nie interesował. Rozumiał, że ojciec chce zrobić coś, czego przyjaciele nie aprobują, ale autorytet ojca był dla niego czymś nie podlegającym dyskusji, więc nie wypowiadał się ani za, ani przeciw. Milczał tylko.

Przyjaciele machnęli ręką. I co tu robić z takim? Od kiedy żona mu zmarła, po prostu nie sposób się z nim dogadać. I jako — że byli ludźmi nauczonymi ostrożności — zredukowali rozmowy do minimum, przynajmniej na ten temat. Niech robi, co chce — nie jest przecież dzieckiem.

Mikołaj Aleksandrowicz nie spał całą noc. Przewracał się z boku na bok, pił wodę, zażywał proszki nasenne i elenium...

No i co tu począć z tym idiotą, jak się zachować? W porządku, Wasyli Wasylicz wie, jak to załatwić i da wskazówki, ale przecież to nie on, nie pierwszy sekretarz ma prowadzić te wszystkie rozmowy i zebrania... Charakterystyka... Jaką tu charakterystykę dać, do wszystkich diabłów? Jakiej treści? W jakim celu? A Żenka, ten dwudziestoletni wałkoń, tylko się śmieje:

„Nie denerwuj się, tato, członkowie organizacji wszystko ci podpowiedzą sami. Będą pchać się na mównicę jeden za drugim i napiętnują tego całego Jufę jak należy — i za ślepotę polityczną, i za odstępstwo od jasnych partyjnych poglądów, i za brak zasad. I jeszcze za dwadzieścia siedem innych grzechów śmiertelnych. Jak będzie zebranie, to mnie uprzedź. Chcę być koniecznie”.

Z tą młodzieżą też nie wiadomo, co robić. Rosną sobie i kpią ze wszystkiego: „Już Marks powiedział, że wszystko należy podawać w wątpliwość”, słuchają różnych tam BBC i „Głosów”, a jakiś Anatol Maksymowicz Goldberg jest dla nich większym autorytetem od własnego ojca. Na przykład wczoraj — siedzi ci przy herbacie z tym swoim Edkiem z politechniki i pozwala sobie na takie rozmówki: „Prusy Wschodnie, czy jak tam teraz, obwód kaliningradzki — to zona okupowana, czy nie? A Śląsk, a Szczecin? Odebrano to Niemcom ogniem i mieczem, może nie? A jednak Brandt uznał granicę na Odrze i Nysie. Dlaczego więc my nie chcemy uznać Gazy i półwyspu Synajskiego? Gdzie tu logika? A Ruś Zakarpacka, a Bukowina? Przecież w Użhorodzie nawet po ukraińsku nikt nie mówi, tylko po słowacku, albo po węgiersku. Nie, papci, z logiką coś u nas nie tęgo. Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, właśnie z logiki Włodzimierz Ilicz miał nie piątkę tylko czwórkę, jedyną w dyplomie”.

No i jak tu z takim dyskutować? O czymkolwiek zaczniesz z nim rozmowę — zaraz zabiera się do pouczeń, albo wydziwia nad twoją niekompetencją. „Co, to ty nie wiesz, że wszystkie zachodnie kompartie, wszystkie *Humanité*, *L'Unità*, *Morning Star* składały Sołżenicynowi gratulacje, kiedy mu dano nagrodę Nobla? Jednogłośnie. Że wybitny, że kontynuator wielkich tradycji humanistycznych rosyjskiej literatury. Nie może być, w waszych gazetach nic o tym nie pisano? „W waszych gazetach”! Jak to się wam podoba? I co tu z takim robić, powiedzcie?”

Mikołaj Aleksandrowicz sięgnął po papierosy, jał trzaskać zapałkami — już po trzeciej, psiakrew. Obrócił się na drugi bok i usiłował liczyć do stu.

Przed dziesiątą był już na dzielnicy. Wasyl Wasylicz siedział w gabinecie nachmurzony i zły.

— No cóż, trzeba zwołać zebranie partyjne — burknął ponuro — już tę sprawę omówiłem z towarzyszami.

— No i co?

— Jakie — co? Zwołać i tyle. Niech się towarzysze wypowiedzą.

— Na jaki temat?

— Jak to — na jaki? Coś ty, zdurniał, czy jak? Sam powiadasz, że nadzwyczajny wypadek, że trzeba go obgadać.

— No dobra, obgadamy, a co dalej? Jakie mu dać zaświadczenie? Jak ma z tym być?

— Jakie znowu zaświadczenie, do cholery? — Wasyl Wasylicz raptem się rozsierdził. — Łupnia trzeba dać facetowi, żeby się innym odechciało. Tu już żartów nie ma. Wezwij go przed zebraniem na egzekutywę, wyjaśnij temu osłu — że komunista tak nie postępuje. Co, może cię mam uczyć?

Mikołaj Aleksandrowicz milczał.

— Zamurowało cię? Czy nie wszystko jasne?

— Jasne, owszem...

— No, skoro jasne, to działaj. Zamelduj, jak ci poszło. Jeżeli trzeba, to sam przyjdę na zebranie. Albo pošlę drugiego sekretarza.

Mikołaj Aleksandrowicz wyszedł.

Wysoki, barczysty, pozornie tak pewien siebie, spokojny, z medalem 100-lecia urodzin Lenina na piersi, szedł ulicą i obojętnie spoglądał na przechodniów, cały czas myśląc z męczącym natężeniem o decyzji, jaką będzie trzeba podjąć. Wyrzucić? A może surowa nagana? I po kiego diabła stary to wszystko wymyślił? Dociągnąć człowieka do emerytury — to idźcie sobie spokojnie na rentę, jeżeli nie chcesz pracować. Albo pracuj dalej, jak ci się renta nie podoba. Ale nie! — koniecznie zachciało mu się Izraela. Sfiksował do szczętu!

Mikołaj Aleksandrowicz z natury wcale nie był człowiekiem złym, przeciwnie — raczej łagodnym. Najbardziej w życiu nie lubił komplikacji. Podejmowanie decyzji także sprawiało mu trudność, zwłaszcza gdy chodziło o decyzje kateryczne. Z tonu Wasyla Wasylicza zrozumiał, że z Jufą trzeba postąpić surowo, a tego też nie potrafił.

Czy był antysemitą? Zapewne nie. Ale — jako zdyscyplinowany członek partii — wierzył, że pewne ograniczenia stosuje się wobec Żydów nie bez kozery. Żydzi są energiczni, przedsiębiorczy, inteligentni, zawsze i wszędzie potrafią się urządzić — więc trzeba dać im kontrparę. Zupełnie go nie dziwiło i nie oburzało, że Żydów nie dopuszcza się już do pracy w dyplomacji, ani do kierowniczych stanowisk w partii, że dzieci ich przyjmowane są do szkół wyższych ostrożnie, selektywnie. Tak widać trzeba, nic nie poradzi. Towarzysze z kierownictwa wiedzą lepiej. Gdyby jeszcze syjoniści nie rozpętali swojej kampanii, byłby przynajmniej spokojny. Zresztą ten punkt wcale nie był taki jasny dla Mikołaja Aleksandrowicza. Podczas wojny arabsko-izraelskiej trzymał z Arabami, ale na gębę, bo rozumiał, że nie wszystko tu w porządku, że pieniądze i broń, któreśmy im dali, poszły na marne i że te pieniądze i te czołgi biorą oni od nas, komunistów,

a tymczasem własnych komunistów trzymają w ciupie. Jednym słowem — jakiś zamęt.

Zaraz po przyjsciu do instytutu Mikołaj Aleksandrowicz chciał zwołać egzekutywę, ale z pięciu członków na miejscu było tylko dwóch, więc trzeba było odłożyć do jutra.

Gdy wrócił do domu nawinął się Zeńce i dostał się pod obstrzał.

— No, na czym stanęło, szefie?

— Co stanęło?

— A z tym twoim Izraelczykiem.

— A ty skąd wiesz?

— Wiem. Ja wszystko wiem.

— Załatwi się tak, jak trzeba — odparł wymijająco Mikołaj Aleksandrowicz.

— A jak właściwie trzeba?

— Nie wtrącaj się do nieswoich spraw!

— A dlaczego to nie moja sprawa? Ciekawe.

— Bo nie twoja i już.

— Logiczna odpowiedź, nie ma co.

Mikołaj Aleksandrowicz nie zareagował.

— Wyrzucicie go, czy jak? — Zeńka szedł za ciosem.

— To się zobaczy... — Mikołaj Aleksandrowicz wciąż usiłował się wymigać.

— Co się zobaczy?

— To, co powiedzą towarzysze.

— Co powiedzą?... To powiedzą, co im się powie. — Zeńka zerknął na ojca ironicznie i zarazem badawczo. — Jaką zbrodnię mu się właściwie zarzuca?

— Zbrodnię! — Mikołaj Aleksandrowicz już był zdenerwowany. — Czy naprawdę nie rozumiesz?

— Nie rozumiem.

— Nie możesz zrozumieć, że obywatel Związku Sowieckiego, co więcej — członek partii, — wymawiał każde słowo oddzielnie i dobitnie — emigrując do kraju kapitalistycznego, przy tym, takiego jak Izrael, obraża tym samym nas wszystkich, rzuca w pysk wyzwanie nam wszystkim, nie wyłączając ciebie.

— Jakie tam wyzwanie? W deklaracji praw człowieka, którą znasz chyba i którą podpisał również Związek Sowiecki, czarno na białym stoi napisane, że każdy ma prawo żyć tam, gdzie mu się podoba. Co w tym obraźliwego?

— Nie gadaj głupstw.

— Oj, papciu, papciu i na co to wszystko? Powiedz jeszcze, że to zdrajca ojczyzny.

— A owszem, jeśli ci o to chodzi. Tu jest jego ojczyzna,

a nie tam. I nigdy mu tego ojczyzna nie wybaczy... Zachciało mu się do Izraela, uważacie. Bo tu mu niedobrze.

— A może niedobrze, skąd wiesz? Taki Sommerset Maugham, pisarz angielski, poddany korony brytyjskiej, wolał żyć sobie we Francji, na Lazurowym Brzegu, tam mu się bardziej podobało. To też zdrajca ojczyzny według ciebie? Picasso mieszkał we Francji, do Hiszpanii jeździł tylko na walki byków. Hemingway mieszkał na Kubie, na ziemi wroga Stanów Zjednoczonych...

— Co ma z tym wspólnego Hemingway? I w ogóle odczep się — łeb mi już pęka.

Żeńka gwizdnął i wzruszył ramionami.

— Przepraszam, więcej nie będę. Dać ci piramidon?

— Dziękuję, obejdzcie się.

Taka była ich rozmowa.

4.

Do egzekutywy należeli: Nikiforow, inżynier, Abaszydze, też inżynier, naczelnik działu kadr Antipow, dyrektor instytutu Koszwarow — nieobecny i usprawiedliwiony, bo na delegacji, oraz sam Mikołaj Aleksandrowicz.

Nikiforow był młody i zajęty nie tyle sprawami partyjnymi, ile własnymi perypetiami osobistymi, trzeba przyznać — dość skomplikowanymi. Abaszydze miał za tydzień wyjechać na urlop i duchem był już w Tbilisi. Antipowowi poprzedniego wieczoru podskoczyło ciśnienie, cały więc czas macał sobie tętno. Dyrektora nie było, więc nie kto inny, tylko Mikołaj Aleksandrowicz musiał podjąć decyzję i sformułować wnioski.

Z wahaniem, lękając się, że zbyt może łagodnie postępuje z Jufą, a zarazem obawiając się przegięcia pały — bo żadne kary partyjne dotychczas na nim nie ciążyły, sekretarz zaproponował, by dać mu surową naganę z ostrzeżeniem za ślepotę polityczną i brak zasad. Wniosek, wbrew obawom, przyjęty został jednogłośnie. Antipow wprawdzie oznajmił, że takich facetów trzeba po prostu wylewać na zbity pysk, ale tym razem niech już tak będzie, biorąc pod uwagę, że stary walczył na froncie, itd., więc w sumie można poprzestać na surowej naganie.

Na tym stanęło. Mikołaj Aleksandrowicz poczuł pewną ulgę. Przeszło bokiem.

Ale czekało go jeszcze ogólne zebranie.

Wyznaczone zostało na czwartek, na szóstą po południu.

Przez cały wtorek i środę Mikołaj Aleksandrowicz chodził

mroczny i prawie nie otwierał ust. Starał się unikać spotkań z Żeńką. Syn wodził za nim wzrokiem ironicznym, bez cienia współczucia. Pytań więcej nie zadawał, ale powiedział mimochodem do matki: „Zostaw teraz ojca w spokoju, ustawia się na pojutrze i w żaden sposób nie może się właściwie ustawić”. Matka zbyła sprawę milczeniem, Żeńka też nic więcej nie dodała.

Aż wreszcie nadszedł czwartek, godzina osiemnasta.

Z dzielnicy przyszedł drugi sekretarz, Krutilin, człowiek ograniczony, zadufek i gaduła. Mówił *imperializm* i *kapitałizm*: zostało mu to jeszcze z czasów Chruszczowa.

Ludzi przyszło sporo. Zebranie odbywało się w gabinecie Inocentego Ignatiewicza Ignatiewa, zastępcy dyrektora. Przed zebraniem wicedyrektor podszedł do Mikołaja Aleksandrowicza i poufnym tonem powiadomił go, że mówił dziś telefonicznie z dyrektorem; dyrektor bardzo żałuje, że nie może być na zebraniu, ale że tych „Francuzów” zna na wylot, że można po nich spodziewać się „wszystkiego i że cackać się z nimi nie ma co.

— Jak rozumiecie te słowa? — zapytał, patrząc Mikołajowi Aleksandrowiczowi prosto w oczy.

— No... żeby się nie cackać.

— A konkretnie?

Mikołaj Aleksandrowicz odparł wymijająco:

— Naprzód posłuchamy, co powiedzą towarzysze.

Inocenty Ignatiewicz odszedł rozczarowany.

— A zatem — zaczął Mikołaj Aleksandrowicz, zasiadłszy przy majestatycznym biurku wicedyrektora — na porządku dziennym mamy tylko jeden punkt — sprawę personalną członka partii, Abrama Łazarewicza Jufy.

Abram Łazarewicz siedział tuż obok, drobny, smutny, ze skromną baretką orderową w klapie marynarki. Trzymał na kolanach tekturową teczkę, leżała na niej czysta kartka.

— Czy są jakieś inne propozycje?

Nie było innych propozycji. Wybrano więc trzyosobowe prezydium i protokolanta — jak zwykle została nim maszynistka Broneczka, urodziwa, okazała blondynka.

Teraz należało zreferować przedmiot obrad.

Cały w nerwach, zacinając się i postępując od czasu do czasu, Mikołaj Aleksandrowicz zawiadomił obecnych, że członek organizacji Jufa A. Ł. wręczył mu podanie (stało się to dziś rano, podanie było lakoniczne, sprowadzało się do trzech rzędów pisma) z prośbą o wydanie odpowiedniej opinii w związku z wyjazdem do Izraela wnioskodawcy i jego syna.

Zapanowało milczenie, najbardziej dręczące z milczeń, kiedy każdy zastanawia się, czy zabrać głos, czy może nie, a jeśli zabrać to kiedy — i co mówić.

Abram Łazarewicz spojrział spode łba na siedzących swoimi smutnymi, żydowskimi oczyma.

W drugim rzędzie siedzi Sasza Kotieleniec. Chodzili niegdyś do jednej szkoły. Jufa pomógł mu wykończyć projekt kinoeatru na 300 miejsc, kreślił tuszem plany. Łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni. A obok siedzi Borys Grigoriewicz, biurowy sąsiad, wszystkiego ciekawy, co rano pyta, oglądając się na boki: „No, co tam wczoraj mówili przez radio?”. Ale dziś o nic nie pytał, wiedział już o sprawie. Za jego plecami siedzi pierwszy preferszysta instytutu, Szapiro, gębacz, przemawiający na każdym zebraniu. Kiedy wnioski idą pod głosowanie i wszyscy padają już ze zmęczenia, ten musi koniecznie wnieść jakąś poprawkę, na przykład — zamiast „wyrażamy poparcie” — „wyrażamy gorące i aktywne poparcie”, po czym trzeba głosować po raz dwudziesty. Dalej — wybują, szczupły Chodorow, przykrywający łysinę „pożyczką”. Znany jest głównie z tego, że zlecają mu odczytywanie poufnych okólników partyjnych i rezolucji; ma głos przykry, donośny, słycać go aż na korytarzu, ale furt czyta te poufne okólniki i bardzo jest z siebie rad. A znów Czertkowowi zwykle porucza się wysuwanie kandydatur. Sergiusz Nikitycz — krągły, cały jakby wyglansowany, niestrudzony dowcipniś. Opowiadając anegdoty, śmieje się zawsze pierwszy. Płaska jak decha, podobna do guwernatki Raisa Prokofiewna, która nie bacząc na latka co i rusz skraca, albo podłusza swoje spódnice i bardzo lubi pogadać o modzie. Wszystkich ich, albo prawie wszystkich Jufa zna, wie, co się u każdego w domu dzieje, wie, jakie kto ma ciśnienie, kiedy czuł ostatnio skurcze i ile stopni gorączki miał wczoraj Wadik, jakim wynikiem zakończył się mecz hokejowy z Czechosłowacją i czyście czytali w niedzielnym *Wieczornym Kijowie* o tych złodziejach z atelier mody? I wszyscy, wszyscy oni z Saszą Kotielencem, Borysem Grigoriewiczem, Chodorowem i płaską jak decha Raisą Prokofiewną włącznie — odnoszą się do niego całkiem jakby nieźle, często zasięgają rad, pożyczają pieniędzy przed pierwszym, a w dniu jego pięćdziesiątych urodzin ofiarowali mu ogromny tort, na którym kremem były wypisane słowa „Drogiemu Jubilatowi” i cyfra „50”.

I oto wszyscy oni teraz muszą zabrać głos, albo słuchać i milczeć, co wcale nie jest łatwiejsze.

— Czy są jakieś pytania? — zapytał Mikołaj Aleksandrowicz.

Znów milczenie — nieznośne, jak przed burzą. Wiele zależy od pierwszego słowa, od pierwszego pytania. Oczywiście, nie tyle od pytania, ile właśnie od pierwszego głosu w dyskusji, ale od pytania też, od celu, w którym zostało zadane. Od jego tonu również zależy cały dalszy bieg sprawy.

Tym razem — po przydługiej pauzie, dwukrotnie przerywa-

nej przez Baruzdina — „No więc kto?...” zabrał głos ten z dzielnicy.

— W jakim celu chcecie jechać do Izraela? — zapytał, wlepwszy szeroko rozstawione, niemrugające oczy w Abrama Łazarewicza.

Jufa cicho odpowiedział:

— Bez żadnego celu. Po prostu chcę tam być.

— W Izraelu?

— Tak, w Izraelu.

— Pod skrzydełkiem Gołdy Meir i tych wszystkich Dajanów?

— Pod żadnym skrzydełkiem — tak samo cicho odpowiedział Abram Łazarewicz. — Nikogo z nich nie znam. Po prostu chcę tam mieszkać.

— Wszystko jasne — i z taką miną, jakby już zdemaskował szpiega, zapisał sobie coś w notesie.

Później zadano jeszcze parę pytań. Gdzie się urodził, kim byli rodzice, czy ma krewnych za granicą, kiedy i gdzie wstąpił do partii, czy był na froncie i gdzie mianowicie. To ostatnie, wyraźnie ulgowe pytanie zadał Sasza Kotieleniec. Było jeszcze jedno, a postawił je Wilujcew, inżynier z działu technicznego, nigdy nie rzucający słów na wiatr — mówiąc nawiasem przed trzema dniami pożyczył od Abrama Łazarewicza pięć rubli do poniedziałku. Wilujcew zapytał, jak sam Jufa ocenia swoją postawę w aspekcie politycznym.

Abram Łazarewicz odparł zwięźle:

— Wcale jej w tym aspekcie nie oceniam.

Na tym seria pytań się kończyła.

Zabrał teraz głos sekretarz dzielnicy — i to właśnie miał być ów głos ważki, nadający kierunek dyskusji. Przemawiał długo, ze dwadzieścia minut. Zaczął od przeglądu wydarzeń międzynarodowych, zdemaskował spis amerykańsko-izraelski, obliczony na dalsze rozniecanie pożogi wojennej, ostro potępił brudne prowokacje syjonistyczne, napiętnował z oburzeniem niskie knowania amerykańskich fagasów pani Meir i sławetnego Mosze Dajana, a gdy podparł już w ten sposób swój wywód, przeszedł do kwestii zasadniczej, do hańbiącego imię członka partii postępkę Jufy, do jego zdradzieckiego zamiaru zaparcia się własnej ojczyzny.

— Wy, obywatelu Jufa (nie nazywał go już „towarzyszem”) haniebnym swoim postępowaniem wdeptaliście w błoto to, co każdy z nas ma najczystsze i najświętsze — swoje sumienie partyjne. Naplwaliście w samo serce ojczyźnie, która z taką czułością i troską was wychowała. Napluliście w twarz partii. Za nędzne trzydzieści srebrników zaprzędaliście swoją duszę syjonistycznym ekstremistom, czołgacie się przed nimi na klęczkach,

aby wyzebrać żalony okrucz z cudzego stołu. Kalacie własne gniazdo. Chcąc nie chcąc staliście się narzędziem agentów imperializmu, chwytających się was, jak tonący brzytwy, tych wszystkich rabinów Kahane i wszelkich innych antysowieckich, pseudo-syjonistycznych mętów i elementów.

Abram Łazarewicz pochylił głowę i słuchając tego wszystkiego myślał — nie wiedzieć czemu — nie o treści przemówienia; usiłował sobie natomiast przypomnieć, kto, gdzie, kiedy i za co wetknął mu te trzydzieści srebrników, jakie to okrucz z cudzego stołu chce sobie właściwie wytargować, jakiej to brzytwy chwytają się agenci imperializmu, po co to im w ogóle potrzebne i dlaczego wspomniane męty oraz elementy uznane zostały za pseudo-syjonistyczne. Wszystko wirowało w jego głowie, to wyciągając na powiekach, to znów opadając w głąb, sens natomiast, straszny, lęk budzący sens, jakoś nie docierał do świadomości, razem ze wszystkimi owymi splunięciami, duszami i gniazdami.

— Dla takich ludzi nie ma miejsca w naszych partyjnych szeregach! Nie ma dla nich miejsca na naszej ziemi, pod naszym słońcem — jasnym, promiennym, nawołującym nas do nowych wysiłków i nowych bohaterskich czynów!

Tak oto zakończył swoje przemówienie sekretarz dzielnicy i — omijając wzrokiem Jufę — ogarnął całą salę gospodarskim, instruktywnym spojrzeniem, po czym opadł na fotel.

„Tak, nie wykręcimy się tu surową nagana” — pomyślał z lękiem Mikołaj Aleksandrowicz i zerknął w bok, na sekretarza komitetu dzielnicowego, jakby stamtąd właśnie mógł oczekiwać pomocy. Oczy ich się spotkały i sekretarz powiedział niezbyt głośno, ale tak, aby całe prezydium słyszało:

— Teraz wszystko jasne?

Mikołaj Aleksandrowicz bez słowa skinął głową.

Po przemówieniu sekretarza zabierało jeszcze głos dziesięciudwunastu ludzi. Mówili z miejsc, jedni głośniej, inni ciszej, ale na ogół — wszyscy to samo. Wszyscy mówili, że ojczyzna i partia dały mu chleb, zapewniły wykształcenie, wydały na niego huk pieniędzy, chuchały na Jufę i dmuchały, a tymczasem ten niewdzięcznik pozazdrościł Judaszowi trzydziestu srebrników (nikt tych srebrników nie zapomniał wymienić, ktoś nawet pomylił się i powiedział „trzysta”), przekształcając się tym samym w wewnętrzny emigranta (albo — w odszczepieńca, renegata, rewizjonistę — tu wariantów było kilka), a co za tym idzie — stawiając się samemu w sytuacji człowieka, który utracił prawo do ojczyzny, którego ojczyzna sama wypędza ze wzgardą ze swoich granic.

Abram Łazarewicz przysłuchiwał się, rysując coś na papierze,

który trzymał na kolanach i dziwne mu się wydawało nawet nie to, co mówiono (choć sądził, że brzmieć to będzie nie tak kwieciste), tylko kto to wszystko mówił. Zwrotu o „wypędzajcie go ze wzgardą ojczyźnie” użył nie kto inny, tylko Szapiro, jego partner do preferansu, twierdząc, że przemawia, „jako pełnoprawny obywatel ZSSR narodowości żydowskiej”, i że mówi „w imieniu wszystkich pracujących Żydów, wchodzących w skład wielkiego, nierozzerwalnego bractwa narodów, zwanego Związkiem Sowieckich Socjalistycznych Republik!” (tu doczekał się nawet oklasków). Wilujcew zaś, ten sam, który pożyczył pięć rubli do poniedziałku (ciekawe z jaką miną je teraz odda — i czy odda w ogóle), powiedział, że gdyby obywatel Jufa (z lekkiej ręki sekretarza wszyscy zaczęli zwać go właśnie w ten sposób) wyciągnął do niego w skrusze dłoń i zaproponował zgodę, to mówca tej ręki nie uściskałby, bo wstręt by go zdjął. Borys Grigoriewicz natomiast — ów sąsiad biurowy, co to każdego ranka pytał — „No, co tam wczoraj mówili przez radio?” — naprzód wylał spory ceberek pomyj na głowę premiera od siedmiu boleści, nieźle skądinąd znanej damy z Tel-Awivu („Kto pani dał prawo, pani Meir?...”) zaraz potem czknęło mu się rokiem czterdziestym dziewięcym i napiętnował Jufę jako „rozzuchwalonego pigmeja i kosmopolitycznego przybłędę”. Ale najczęściej było patrzeć na Saszę Kotieleńca: był tak wytracony z równowagi, że głos mu się rwał. Nie pozwolił sobie na żadną zniewagę, nie lżył podsądnego, nie rzucał żadnych apeli, nikogo nie wypędzał z ojczystej ziemi, „obywatela Jufę” nazywał, jak zwykle, Abramem Łazarewiczem, napomknął o jego szlaku bojowym — od Wołgi do Odry, ale zbyt wiele było w jego przemówieniu wszelakich „choć”, „rozumieć oczywiście, że...”, „nie jestem powołany, aby...” itd. Ktoś mu nawet przerwał okrzykiem: „Co się tak wiesz? Mów otwarcie! Jesteś za, czy przeciw?!”

Abrama Łazarewicza najbardziej dziwił, zresztą raczej martwił, temperament, czy może zjadłość, z jaką przemawiali ci właśnie, po których najmniej się tego spodziewał. Nie spodziewał się zaś tego ani po Szapirze, ani po Borysie Grigoriewicz, ani po Wilujcewie, co to zwykle ważył każde słowo w obawie, że mu je kiedyś na Sądzie Ostatecznym wypomną. Czuł się tym zgnębiony, podobnie jak przemówieniami odmiennego zgoła charakteru — wykutymi na blachę, przypominającymi kuse różańce monotonnie powtarzanych słów, takich jak Partia, Rząd, Obowiązek, Ojczyzna... Mówcy wygłaszali je nie podnosząc oczu, mocno trzymając się oparcia krzesła, a tak przy tym cicho, że czasem nie było słychać...

I nagle — Abram Łazarewicz przez chwilę sądził, że się przesłyszał — skądś z głębi sali dobiegły słowa zupełnie inne.

Młody, dwudziestoletni chyba chłopaczyna — Abram Łazarewicz widział go po raz pierwszy — opalony, białozęby, całkiem, jakby dopiero co oderwał się od gry w siatkówkę, poprosił o głos i kiedy — po krótkiej szeptaninie — prezydium mu go udzieliło (z sali zaczęły już padać wnioski o przerwaniu dyskusji) — jął mówić gorączkowo, jak bez tchu.

— Nie rozumiem, co tu się dzieje, towarzysze... Nie rozumiem, daję słowo... Bo tam siedzi sobie ten towarzysz, wcale go nie znam, pierwszy raz faceta widzę, geby mu nie dają otworzyć, a mówią o nim tak, jakby to był szpieg i to dawno zde-maskowany. Że i kraj zdradził, i że jakieś tam srebrniki i jeszcze to, i jeszcze owo...

Głos z sali: „W kwestii formalnej — jak nazwisko mówcy i skąd się tu wziął?”

— Nazywam się Kudriawcew — czochrając w podnieceniu czuprynę odparł chłopak. A skąd? Jestem ślusarzem. Pracuję od niedawna, dopiero drugi miesiąc, jestem kandydatem partii. Wystarczy?... O czym to mówię? Aha, że nie rozumiem. Siedzi tu przed nami człowiek, walczył na froncie, tu była nawet o tym mowa, ktoś wspominał nawet, że był ranny. Człowiek już starszy, znaczy, że tych parę latek przepracował, że więc może już odpracował to, co na niego wydano. No i ten człowiek chce sobie dokądś tam wyjechać...

— Nie dokądś tam, tylko do Izraela — rozległ się głos z sali.

— No dobra, do Izraela, co za różnica? No to niech sobie jedzie. Po co go tu trzymać? Nie chce zostać z nami? To nie trzeba. Po co go łąpać za połę? Może ma tam siostrę, brata, swata, jakichś pociotków, tu już o to ktoś pytał. A niech sobie do nich jedzie. Niech przeniesie się z naszej kompartii do ichniej, zdaje się, że jest tam jakaś. A tu od razu — że zdrajca. Że taki, że owaki, że imperializm, że kapitalizm i diabli wiedzą, co jeszcze... Same straszne słowa, jak raz się toto przylepi do człowieka, to już — ani, ani. Jakieś to wszystko nieklawe, słowo daję... — znów przeczesał sobie włosy palcami. — Tak sobie myślę. I w ogóle — on też powinien się wypowiedzieć.

Chłopak sapnął głośno i usiadł; był cały czerwony.

Powstał hałas. Ktoś krzyknął „Przerwa!”, ktoś inny zaproponował, aby Jufa zabrał głos, ale poprosił oń — i to w trybie porządkowym, niejako dla repliki, Inocenty Igniatiewicz, wicedyrektor.

Elegancki, inteligentny, w świetnie skrojonej jasnoszarej marynarce, wstał z miejsca i zapytał tym swoim dobrze postawionym, przyjemnym głosem:

— Chciałbym zadać pytanie naszemu młodemu towarzyszowi, który dopiero co przemawiał tu z takim temperamentem. Chciał-

bym wiedzieć, czy naprawdę nie przyszło mu do głowy, że wypuszczając za granice inżyniera Jufę, który istotnie, „tych parę latek przepracował” wypuścimy nie jakiegoś tam sobie inżyniera, tylko kogoś, kto sporo umie, sporo widział, sporo najeździł się po naszych fabrykach i kopalniach, który napatrzył się tam na rzeczy, które być może nie każdy widzieć powinien. Czy to rozumiecie, czy nie? Że prawdopodobnie za jakieś interesujące kogoś tam informacje inżynierowi Jufie odżałują, jeśli nie całe trzydzieści, to przynajmniej parę srebrników w przeliczeniu na dolary? Co? Jaką macie na to odpowiedź?”

Chłopak podniósł dłoń ostrym gestem: „Mam odpowiedź!”. Ale nie pozwolono mu więcej mówić. Ogłoszono przerwę w obradach.

5.

Kola Kudriawcew „nasz młody towarzysz, przemawiający z takim temperamentem” miał lat dwadzieścia dwa - dwadzieścia trzy, nie więcej. W instytucie pracował od niedawna, przedtem odbywał służbę wojskową. Cały jego majątek — to była bez-troska jeszcze głowa, młode, prężne mięśnie, niebrzydka Lenka, studentka jakiegoś technikum, łóżko w hotelu robotniczym, rodzice hen, na wsi i zdolność — a także chęć — dostrzegania w życiu tylko pozytywnych i wesołych stron. Pił z umiarem, przeważnie po wypłacie, książki czytał też z umiarem, ot, kiedy wieczorem nic innego nie miał do roboty, a w telewizji nie było ani hokeya, ani piłki nożnej. Składki płacił punktualnie, w gazetach czytał tylko ostatnią stronę i przynosił *Wieczorną Moskwę*, oraz *Sowiecki sport* nad wszystkie inne. Jednym słowem — chłopak jakich wielu. Ale miał pewną cechę, którą od innych się różnił — widział w ludziach więcej dobrych stron, niż złych. Zawsze mu się zdawało, że jeśli człowiek nawet zrobił coś złego, to tylko przez pomyłkę i sam to już zrozumie, albo niezadługo pojmie. „Zdarza się, każdemu się może przytrafić” — mawiał, rozdzielając gotowych do bitki kolegów — „kładź się tymczasem, jutro się wszystko wyjaśni”. Zapędzał do pościeli jednego z drugim, a rano przynosił im po butelce piwa. Dlatego koledzy go lubili, a ponieważ był silniejszy od większości uczestników wspomnianych konfliktów, przeciwnicy zazwyczaj spokojnie wracali na swoje łóżka. Ktoś powiedział o nim żartem „Doktor Jarring” i już to przezwisko przyłgnęło do niego, z tym, że skróciło się do pierwszego członu.

Jeszcze jedną właściwością odznaczał się Kola Kudriawcew. Tak zwane ośrodki powściągow nie bardzo się w jego syste-

mie nerwowym rozwinęły. Jedni mówili więc o nim, że „pcha się na ślepo, na złamanie karku”, inni przestrzegali, aby „nie wierzył przeciw ościeniowi”, a jeszcze inni radzili mu policzyć najprzód do dziesięciu, najrozsądniejsi wreszcie mawiali: „nie wtykaj nosa do cudzego prosa, pilnuj szewcze kopyta”.

Tak samo — na tym zebraniu. Wojna na Bliskim Wschodzie nie interesowała go specjalnie, wiedział tylko, że Arabowie walczyć nie chcą i nie potrafią, Żydzi zaś właśnie potrafią, chociaż ich jest dziesięć razy mniej i chociaż terenu mają tyle, co kot napłakał — i to wszystko. Dlatego też wszystko, co mówiono o tej wojnie i o Izraelu — Kola puszczał mimo uszu. Nie, po prostu zobaczył, że wszyscy rzucili się hurmą na jednego, na małego, cichego, milczącego człowieka, siedzącego sobie w kątku i notującego coś na kolanie. I to go oburzyło.

Jeszcze bardziej oburzyło go jednak, że podczas przerwy poszedł doń dwóch facetów z prezydium i jeło robić mu wymówki. Jeden był wysoki, barczysty — Kola wiedział, że to sekretarz egzekutywy, drugim był ten, co przemawiał pierwszy.

— Kto cię nauczył takiego postępowania? — dopytywał się ten z dzielnicy. — Kiedy nie wiesz, o co chodzi, to nie rwij się do głosu. Z początku posłuchaj, zastanów się, o kogo chodzi i w ogóle — co do czego, a potem dopiero mów. A tymczasem — jak Filip z konopi! Że niby leżącego tu biją.

— A bo co, może nie biją? — odparował cios Kola.

— Skoro biją, to widać tak trzeba. Jeszcze mu za mało.

— A bijcie sobie, tylko nie liczcie na mnie.

— Co to znaczy — nie liczcie? Od kiedy jesteście w partii?

— Jestem kandydatem. Wstąpiłem w wojsku, rok temu.

— No to dzieciak jeszcze z ciebie, co ty w ogóle rozumiesz? Mleko pod nosem. I taki pcha się ze swoim widzimisię! Co starsi mówią, to go, uważacie, nie interesuje. Ma własne zdanie, uważacie. Cała kompania maszeruje nie w nogę, ja tylko jeden w nogę idę! Trzeba mieć uszy na swoim miejscu i trzymać je otwarte — zrozumiano?

Powiedziane to było tonem nie tyle może groźnym, co wystarczająco instruktywnym.

— Aha — dodał jeszcze — czy ty przemawiał z własnej inicjatywy? Możeś z kimś przedtem rozmawiał? Czy nikt nie podchodził do ciebie przed zebraniem?

— Nikt.

— Znasz tego Jufę?

— Pierwszy raz go widzę na oczy. Toć mówiłem.

— I w ogóle — wtrącił się sekretarz egzekutywy — kiedy chcesz przemawiać, to pogadaj przedtem z kimś z prezydium, zawsze ci chętnie pomożemy.

— Dobra — burknął Kola. — Zobaczmy. I zapalił sobie papierosa.

Ciąg dalszy przekonał go, że racja była wcale nie po stronie tych dwóch, chociaż ze skóry wyłazili, aby dowieść, że ją mają. A właściwie — okazało się, że Kola i ci dwaj w ogóle zupełnie inaczej podchodzą do kwestii prawdy. Dla nich prawdą jest to, co jest bezsporne, nie podlega dyskusji, wskazane jest odgórnie i napisane w gazecie. Dla Koli zaś — to owa rzecz nieuchwytna, a może nie dająca się ująć w słowa, ale za to jedyna taka w świecie, taka, co ją widzisz sam, słyszysz sam, a nie musi wcale płynąć z głowy, skądinąd się bierze, może z serca, czy co?

Przekonała go o tym wypowiedź Jufy.

Przed Jufą przemawiał jeszcze Antipow — członek egzekutywy i naczelnik wydziału personalnego. Zaczął od wyjaśnienia, że nie przemawiał dotąd, ponieważ pragnął znać stanowisko towarzyszy. W zasadzie towarzysze przemawiali słusznie. Mówcy dali właściwą ocenę postawy Jufy i można stwierdzić, że w tym punkcie, istnieje zupełna zgodność. Tego zresztą należało oczekiwać. Podstawowa organizacja instytutu okazała się zespołem na ogół zdrowym, zwartym, jednolitym. Pewnym zaskoczeniem była rzecz jasna, wypowiedź jednego z młodych towarzyszy, ale miejmy nadzieję, że przypisać ją należy właśnie jego młodzieńczemu niedoświadczeniu, że towarzysz ten jeszcze się zastanowi i przemyśli to, co powiedział, że przysłucha się głosowi doświadczeńszych członków partii. Dalecy jesteście od podejrzeń, że towarzysz ten przemawiał tu z czyjegóż poduszczania, co niestety jeszcze zdarza się u nas czasami. Tym razem odnieśmy się do niego z zaufaniem, jest jeszcze młody, trudno mu się uchronić od omyłek. Teraz zaś posłuchajmy, co nam powie Jufa.

Sala przycichła.

Jufa wstał z miejsca, obciągnął marynarkę, położył na krzesło swoją teczkę na papiery, krzesło postawił przed sobą, obiegił wzrokiem całą salę i zaczął mówić cicho, z pauzami, wpatrując się czasem w sufit, czasem zaś w okno.

— Za dwa miesiące, 15 lipca — skończę sześćdziesiąt lat. Wiek, jak to się mówi, dość solidny. Miałem przez te lata dość czasu do namysłu. I myśleć też miałem o czym. Nie będę was nużył zwierzeniami, jesteście i tak zmęczeni. Chcę tylko, aby obecni tu zrozumieli, co kierowało mną, gdy zgłosiłem się z moim podaniem do egzekutywy.

Padło tu wiele obelg pod moim adresem. Nie chcę ich przypominać, mówili to ludzie, którzy mnie znają nie od wczoraj: myślę, nie, wierzę i mam nadzieję, że po powrocie do domu ci ludzie będą woleli nie przyznawać się do tych słów przed swoimi dziećmi, wierząc, tak będzie lepiej...

Przez salę przeszedł szmer, ale Abram Łazarewicz mówił dalej tak samo cicho i spokojnie, jak zaczął. Sam później nie mógł się nadziwić, że tak był spokojny i że słowa same mu się cisnęły na wargi.

— Ale nie o to chodzi. Chodzi o rzecz wiele ważniejszą. Chodzi o treść mojego podania i o powody, które skłoniły mnie do złożenia tej prośby. Niejednego może dziwić — i doskonale to rozumiem — że człowiek urodzony w tym kraju, człowiek, który bronił go w latach wojny, a przedtem jeszcze ukończył tu szkoły i pracował, a pracował również przez dwadzieścia pięć powojennych lat, że człowiek z trudem czytający po żydowsku, a zupełnie nie znający hebrajskiego — raptem zapragnął na starość wyjechać do innego kraju, zamieszkałego przez obcych mu ludzi, gdzie będzie musiał używać innego języka, gdzie panują inne porządki, gdzie faktycznie wciąż trwa wojna, prowadzona nie w jego interesie, lecz w interesie dalekich, nieznanym mu ludzi. Rozumiem, że to niejednego może dziwić. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Powtarzam — tylko na pierwszy rzut oka.

Abram Łazarewicz przerwał, podszedł do stołu prezydiального i upił trochę wody ze szklanki.

— Człowiek potrafi przyzwyczaić się do niejednego — kontynuował — do złego i do dobrego. Tak, jak przyzwyczailiśmy się do odbudowanego Kreszczatiku, do nowych domów, z początku pełnych kolumn i łuków, a teraz przypominających pułta, albo wieże. Patrzy na nie człowiek i myśli — tak chyba musi być. I chodzi człowiek po takim mieście. Chodzi, pracuje. Ale czasem chce mu się iść do lasu, wziąć syna za rękę i pójść z nim do lasu.... Mnie właśnie zachciało się czegoś podobnego. Chociaż w tym lesie są wilki, to niewykluczone...

— A może hieny? — krzyknął ktoś z sali. — I w ogóle, może by tak bez bajeczek, co? — krzyknął jeszcze ktoś inny.

Abram Łazarewicz podniósł rękę.

— Proszę bardzo. Trudno mi teraz przemawiać, trudno określić stopień szczerości występujących tu mówców, trudno ocenić, czy naprawdę wierzą oni w to, co sami tu mówili. Ja natomiast będę mówił zupełnie otwarcie. Nie mam nic do ukrywania. Zresztą — po co? — zaczął mówić głośniej. — Osobiście nie odczułem na własnej skórze żadnych skutków antysemityzmu. Ale czy to znaczy, że go nie ma? Otóż jest. (Hałas na sali. Baruzdin puka ołówkiem w karafkę — „Spokój! Spokój!”). Owszem, istnieje. I nie o to chodzi, co nieraz słyszy się przez radio — że nie ma żydowskich szkół, żydowskich gazet, że mało synagog... (Głos ze sali: „A więc BBC też słuchacie?”). Nie o to chodzi. I nie o to, że ten i ów po pijanemu, a czasem

na trzeźwo powie „parch”. O to natomiast chodzi, co wszyscy wiedzą, ale czego nikt nie mówi. Chodzi o normę procentową w szkołach wyższych i w niektórych instytucjach, o to, że nauczyciel, widząc izraelskie znaczki w albumie mojego syna, kazał mu wyrzucić je natychmiast, że człowiekowi konfiskują żydowskie książki, że od człowieka, który chciał złożyć wieniec na płycie w Babim Jarze, zażądano najprzód, aby przetłumaczył żydowski napis na szarfię, a później — w ogóle nie pozwolono mu złożyć tego wieńca. A onegdaj, w OWIRze, w oddziale wizowym, kiedy przyszedłem po blankiety, major milicji z medalem na piersi tak mi całkiem otwarcie powiedział: „Gdyby to ode mnie zależało, to bym was wszystkich zebrał do kupy i bez żadnych papierków — kopa w dupę i cześć... Bo i po co tu nam psuć powietrze, mącić wodę, prowokować?...”. Jak to nazwać? Tak wygląda przyjaźń narodów? No i właśnie, jak już się człowiek nasłuchał takich słów, i to mówionych prosto w oczy, jego chęć wyjazdu do małego, stojącego dopiero na nogi kraju, gdzie nikt i nigdy, po pijanemu ani na trzeźwo nie będzie go wyzywał od „parchów”, otóż ta chęć zaraz będzie uznana za zdradę ojczyzny, a ciebie samego zaczną podejrzewać, że coś tam chcesz komuś sprzedać... To właśnie najbardziej boli.

Tu Abram Łazarewicz przerwał, obrócił się w stronę prezydium — chciał jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką i usiadł. Ledwo usiadł, poczuł nagle słabość, dreszcze, lekkie mdłości. Grzebał chwilę w bocznej kieszeni i połknął tabletkę.

Głucha fala przeszła przez salę i chociaż nikt nie krzyknął, Mikołaj Aleksandrowicz zadzwonił ołówkiem w szklankę: „Ciszej, towarzysze, spokój!”. A sam myślał przez ten czas: „No i co tu teraz robić? Wyrzucać, czy jak?”.

Abram Łazarewicz tak sobie powtarzał w myśli: „Po co to wszystko mówiłem? Kogo chciałem przekonać, o czym? Czego tu chciałem dowieść? Z jakich zarzutów się usprawiedliwiać? Też znalazł trybunę dla oskarżycielskich peror! Nowy Dymitrow na procesie lipskim...”.

Kola zaś Kudriawcew, borykał się z myślami ciężkimi, jak młyńskie kamienie i wciąż zadawał sobie pytanie: co zawinił im wszystkim ten nieborak Jufa i dlaczego ci wszyscy tak go chcą pogrzyźć?

„A dlatego, że nie jest do nich podobny” — taką znalazł wreszcie odpowiedź. „Dlatego chcą go wykończyć, gady”. I poczuł wielką chęć, aby dać komuś po pysku, po takim pysku, jak u faceta z dzielnicy, czy u sekretarza egzekutywy, czy zapiętego na wszystkie guziki zastępcy dyrektora; dać po mordzie w ogóle całemu prezydium, wszystkim siedzącym na tej sali.

6.

Wieczorem, leżąc już na kanapie pod pledem — miał, nie wiedzieć czemu, lekkie dreszcze, chociaż dzień był ciepły, wręcz upalny — Abram Łazarewicz tak mówił do swego syna, piętnastoletniego Bor'ki.

— Szkoda, żeś nie widział z jakimi minami wychodzili z tego zebrania. Wydali wyrok na człowieka — i hajda do domu — do żon, dzieci i wnuków. A w domu, siedząc już nad swoją miską barszczu, jakbym był przy tym, jeden wetknie ci nos w gazetę, żując milczkiem, drugi zacznie burczeć, że są jeszcze durnie na świecie, a trzeci, ten najszczerzy, powie otwarcie: „władować by tę całą hałastrę na okręt, z całym majdanem, ze wszystkimi ich wyłupiastymi abramkami — i fora ze dwora, jedźcie do ciężkiej cholery, do swojej Gołdy... Komuście tu potrzebni?”. Tak to jest, Borysku. A twój głupi ojciec, wierzący jeszcze w to i owo, usiłował im coś wytłumaczyć, wyjaśnić. Po co? I komu? Kiedy dano pod głosowanie wniosok w sprawie wyrzucenia mnie z partii, tylko jeden, rozumiesz, tylko jeden człowiek głosował przeciw. Jeden jedyny, zupełnie mi nieznaną chłopak, niejaki Kudriawcew, ślusarz, odważył się na sprzeciw, nie ukrywał swego stanowiska. No, co powiesz na to?

Boria milczał, kręcił w palcach jakiś drut.

— Widziałem, jak podszedł do niego potem nasz Baruzdin z sekretarzem dzielnicy i jeszcze ktoś, zdaje się kierownik działu kadr. Wzięli go gdzieś na stronę. Co mu też mogli powiedzieć?

A Kola Kudriawcew stał w tym momencie z przyjaciółmi w barze „Kogutek”, obok stadionu „Dynamo” i nalewając im po szklanek wódkę, kupioną w sąsiednim sklepie spożywczym, mówił właśnie co mu tamci powiedzieli.

— I chciałem ich posłać do wszystkich diabłów do jasnej cholery. I Baruzdina i tego odętego faceta z dzielnicy, i tę gnidę, tego personalnego. Och, jaką chęć miałem, jak swędziły mnie palce, ale jak to zrobić? Co? Jak? Bo mi gadają, uważacie, że występuję przeciw partii. Że bronię wyrzutków społeczeństwa. Nie widzisz, powiadają, że to wyrzutek, dezterter, odwetowiec i tak dalej — na całego... A ja mu na to, że kto tu wyrzutek, to jeszcze nie wiadomo i że oni tak huzia na niego, bo niepodobny do nich. I tyle. Jak to mi się wyrwało — sam nie wiem, ale mi się wyrwało i już. A ci na mnie tak patrzą, tak patrzą, aż im się oczka zwężyły i nareszcie ten najważniejszy, z dzielnicy, co to najwięcej szczał tego Żyda, tak powiada:

„Dobra, jeszcze z tobą pogadamy, nauczymy cię rozumu”. — Spróbujcie tylko — powiedziałem, zapaliłem białomora i chodu...

— Takeś powiedział?

— Tak powiedziałem.

— No, toś przesolił. Po co nadstawiać karku?

— A bo co? Nic tam nikomu nie nadstawiałem. Powiedziałem com myślał i tyle.

Chłopak w marynarskiej koszulce, stojący obok przy barowej ladzie, podobny do Greka, czarnooki, z jastrzębim nosem — gwizdnął lekko.

— W ten sposób, Kolka, raz dwa wykopią cię z partyjnych szeregów.

— Jak są takie, to na cholere mi się zdały? Na dyrektora się nie pcham, ani na żadnego wice, a forse wydam nie na składki, tylko na to, i pstryknął w butelkę palcem. Ale tu zaczął mówić serio, jakby nagle otrzeźwiał. — Powiadasz — szeregi. Dlaczego w ogóle wstąpiłem do partii? Po prostu, żeby dali już spokój. Zapisz się, a zapisz, wciąż mi to powtarzali: młody, po wojsku, cała przyszłość przed tobą, kto, jak nie tacy ma przyszłość budować? Budować, to budować, niech tam. No, będę chodzić na zebrania, otrzaskam się, może trochę zmądrzeję. Więc się zapisałem. Wydali mi legitymację. Ucz się, powiadają mi, dojrzej, kroc z nami szlakiem Lenina, naprzód, ku zorzy komunizmu. A gdzie ta zorza? Gdzie, pytam ja was?

Ten w koszulce, z jastrzębim nosem, uśmiechnął się krzywo.

— A przed tobą, tam gdzie idziesz.

— A dałbyś spokój. Pytam serio.

Kola nalał sobie resztę wódki.

— Więc poszedłem na to zebranie. Sprawa personalna, powiadają, jakiegoś Jufy, inżyniera. No, myślę sobie, nakradł się widać, coś tam roztrwonil państwowego, posłuchajmy co i jak. Takich facetów warto obejrzyć sobie pod światło — i mniej-sza, czy jest się członkiem, czy kandydatem. Tymczasem — patrzę, a siedzi na krzeselku wszystkiego taki starszawy, łysy Żydek, coś sobie na papierku kreśli, a ta cała reszta nic, tylko go po oczach, po oczach! Że i taki, i owaki, i sprzedawczyk, i że frymarczy tam czymś, i że ojczyzny nie kocha, tej ojczyzny, co to go karmiła, poila, a on — zamiast odplacić wdzięcznością i pracą na cały regulator, liczy na jakieś dolary... No, co to ma być? Nie wytrzymałem i powiadam: bójcie się Boga, kochani, dopuście go chociaż do głosu, toć tak nie można... No i dopuścili... I powiedział swoje... Dobrze gadał, z uczuciem. Dotknięty był, widać, do żywego. Za co mnie bijecie, powiada? Za to, że całe życie harowałem? Za to, że walczyłem na froncie?

Dwie rany, jedna kontuzja. Aha, to nie on mówił, to jakiś inny, ale o nim. Za to mnie bijecie? Nie, nie za to. A za to, że nie chcę razem z wami nic tu dalej budować. Chcę od was odjechać...

Wstawiony Kola puścił teraz wodze fantazji. Zmienił na swój sposób sens wypowiedzi Jufy, sprowadził ją całą do tego, co mu się wydawało najbardziej przekonujące — do pragnienia Jufy, aby pomóc w rozwoju małego państewka, w którym nikt nie będzie przezywał go „parchem”.

— A bo co, ktoś go tak przezywał?

— Jego samego? Nie wiem, może przezywał. A może nie. Ale mogło się zdarzyć. — Kola westchnął. — Jednym słowem — zaszła historia. Wszyscy hurmą na jednego, bo to tak można? I jeszcze sadzą się jeden przed drugiego, że niby tacy porządni, że tylko oni całą prawdę znają, że ideowi, a on — zwykły gad i właściwie tylko kula mu się należy.

— No i co, wyrzucili go?

— A jakże, jednogłośnie. Tylko ja głosowałem przeciw.

— No to ciebie też wyrzucą.

— A niech tam. Od tego się nie umiera. — Kola zerknął na puste szklanki. Jeszcze po dziecinnej, co?

I wypili jeszcze kolejkę. Potem drugą. I w końcu wszyscy ocknęli się w komisariacie. Milicjanci spisali protokół, a wyiągi z niego rozesłali do zakładów pracy.

Tak oto skończył się dla Koli ten dzień — długi, niedorzeczny, pełen gadaniny i zbędnych wyjaśnień, który miał stać się dla niego dniem przełomowym.



Dla Abrama Łazarewicza ten dzień oznaczał początek kalwarii. Dwa razy na tydzień chodził rankami do komitetu dzielnicowego, gdzie niemłody członek egzekutywy, ex-prokurator wojskowy, obecnie zajmujący się dochodzeniami w sprawach partyjnych, „pracował nad nim” — wypytyjąc, perswadując, niekiedy zaś przechodząc do gróźb. „No, jakich jeszcze zapewnień wam trzeba — mówił po raz setny — że wszystko może skończyć się w sposób polubowny, jeśli tylko wycofacie wasze podanie. Nikt nie jest zainteresowany w rozdmuchiowaniu waszej sprawy, ale zatuszować też już jej nie można. No, dostaniecie naganę z wpisaniem do akt i kwita. Że też chce się wam tu przychodzić co drugi dzień, żeby słuchać moich morałów. Ani wy, ani ja nie jesteśmy już pierwszej młodości, to i owo zdążyliśmy już zobaczyć, tego i owego się nauczyć; no i po co

komplikować sobie w tych warunkach życie? Może nie mam racji?” — I kładąc swoją dużą, miękką dłoń na dłoni Abrama Łazarewicza patrzył mu w oczy, usiłując jakby zajrzeć w głąb duszy. Niekiedy zmieniał jednak płytę i mówił ostro, całkiem innym tonem: „Nie zapominajcie, że nasz aparat dysponuje organami i metodami przymusu. Jak nie podoba się wam po dobru, to możemy zacząć z innej beczki”.

Abram Łazarewicz wracał po tych rozmówkach do domu, żałował na uspokojenie coś, co wcale mu nie pomagało, brał też grubą książkę, na przykład „Sagę rodu Forsythów” i starał się znaleźć ukojenie w towarzystwie „młodych” i „nie tak już młodych” przedstawicieli rodzinnego klanu. Do pracy już nie chodził, korzystał z urlopu, zapewne ostatniego w życiu.

Syn wyciągał go parokrotnie na plażę: w ogóle dbał teraz o ojca i poświęcał mu sporo uwagi. Tam, na plaży, pod grzybkami, na którym majtały się odwieszane portki, Jufa leżał na wznak i patrząc na niekłe, białe, kędzierzawe obłoczki, płynące nad jego głową, myślał o tym, że wszystko uprzykrzyło mu się już, uprzykrzyło śmiertelnie. Nie chce mu się już widywać ludzi, ani słuchać wyrazów współczucia, ani — po raz setny, tysięczny, milionowy — przyjmować do wiadomości ich rad, jak zachować się wobec tego a tego, w takiej a takiej instytucji. Bierz ich licho, uprzykrzyło się, dosyć już tego...

Właśnie na plaży, któregoś dnia podszedł do niego, poprosił na chwilę o gazetę, a potem kucnął obok jakiś opalony na fioletowy brąz, szczupły chłopak. Nie od razu go poznał, a był to przecież ten Kudriawcew, który głosował przeciw.

— Już dawno was tu zobaczyłem, tylko krępowałem się, nie chciałem przeszkadzać. Jesteście tu z synem?

— A tak, z synem. Chce, żebym się hartował.

— Słusznie. Słońce, powietrze, woda, czego jeszcze trzeba?

— A jednak to jeszcze nie wszystko — Abram Łazarewicz uśmiechnął się markotnie.

Chłopak też się uśmiechnął. Łysnęły białe, równe zęby, nie wiedzące jeszcze, co to dentysta. Rozciągnął się na brzuchu.

— Nie przeszkadzam? Dawno już chciałem o coś zapytać. Do partii... Dawno wstąpiliście do partii?

— Dość dawno. Jeszcze na froncie, w czterdziestym czwartym.

— W czterdziestym czwartym? Kawał czasu... To znaczy dwadzieścia sześć lat temu? A dlaczegoście wstąpili? Przepraszam za niedyskrecję.

— To skomplikowana kwestia. Nie tak łatwo znaleźć odpowiedź. Przymuszaliśmy — w coś tam jeszcze wierzyłem.

— Przypuszczalnie?

— Przypuszczalnie.

— No, a teraz?

— Wolno nie odpowiadać? — Abram Łazarewicz uśmiechnął się i chociaż dawno już przestał palić, poprosił Kołę o papierosa. Kudriawcew poderwał się, przyniósł skądś paczkę papierosów „Szyпка” i znów uwalnął się na brzuchu obok Jufy.

— Jak wolicie; możecie nie mówić. To też odpowiedź.

I tu zaczął się dialog, o którym później Koła powiedziała swojej Lence, że była to chyba najważniejsza rozmowa w jego życiu.

Właśnie tego dnia, na plaży, pod grzybkiem Koła poznał i zrozumiał rzecz, którą nigdy dotąd się nie interesował. Że w stworzeniu świata miał swój udział nie tylko Bóg-Sabaoth, brodaty starzec, tronujący wśród obłoków, dobry i obrazliwy — mówiła mu o nim babka, jeszcze na wsi — lecz również szatan-kusiciel.

— To on wprowadził podziały między ludźmi, on, on, nikt inny, zapewniam cię! Bóg chciał, aby wszystkim było dobrze, żeby ludzie żyli w zgodzie i pomagali sobie wzajem. A diabeł, czart, zapełnił na drzewo, powiesił na nim jabłko niezgody i to był początek wszystkiego. Adam i Ewa odwrócili się od siebie ze wstydem, Kain zabił Abła — i dalej już poszło, jak po maśle. To szatan podzielił ludzi na bogatych i biednych, silnych i słabych, dobrych i złych, partyjnych i bezpartyjnych. Nie śmieję się, tak właśnie jest. Dla jednych — wszystko, dla innych — nic, albo prawie nic.

— Ten twój Jufa ci to tak wyjaśnił? — zapytała Lenka. Nie aprobowała tej znajomości, przez którą leżyły się w głowie Koli wszelkie heretyckie myśli.

— A pewno. Sam też o tym czasem myślałem, ale oni mi to wszystko wykazał, bo sprawdził na własnej skórze.

I Koła zreferował Lence dość spójną teorię nierówności społecznej i swistego podziału dóbr, praw i obowiązków, w którym rolę bynajmniej nie najmniejszą grał marksizm-leninizm.

— Słuchaj no, pić mi się chce — powiedziała Lenka; znudziło ją to gadanie, a zresztą naprawdę zachciało jej się pić.

Koła wskoczył w spodnie i pobiegł do kiosku, gdzie sprzedawano ciepławe, przedwczorajsze piwo.

7.

Piętnastego lipca Abram Łazarewicz obchodził urodziny. Kończył sześćdziesiąt lat.

Zbudził się tego dnia wcześniej, ale długo nie wstawał z łóżka. Za oknem uganiały się opętańczym lotem jaskółki, skwirząc przenikliwie, gołębie tklivicie gruchały, potem ktoś zaczął z wyzwiskami i łomotem przerzucać ciężkie skrzynie na dziedzińcu. Abram Łazarewicz leżał zaś i myślał, że oto zaczyna się jeszcze jeden dzień i że nie wiadomo, czym go zapełnić. Nie musi już nigdzie chodzić, podpisywać listy obecności, rozkładać papierów na biurku, odpowiadać na telefony, bywać na zebraniach, ani jeździć na budowę do Nowo-Wieliczy. Dawno też nie widział kolegów z pracy. Gdyby nie ta historia, to w dniu jego sześćdziesiątych urodzin zawisłaby nad biurkiem Jufy jego fotografia z dorysowanymi, śmiesznymi rączkami i nóżkami, zaopatrzona w zabawny, rymowany napis — zajmował się tym z reguły przysięgły dostawca wierszy do gazetki ściennej, tenże Sasza Kotieleńnic — na przykład: „Drogi nam Abramie, oto znów przyczyna, by Twe urodziny uczcić lampką wina, bo cały Twój żywot, jeśli mam być szczery, jest to rzadki przykład uczciwej kariery...”. Niedawno zresztą spotkał na ulicy właśnie Saszę Kotieleńca. Biegł z pełną ziemniaków siatką.

— Możesz podziwiać ofiarę wyzysku rodzinnego — zawołał Sasza z robioną wesołością, wymachując siatką — pomyśl tylko, za to śmiecie dałem trzy ruble, trzydzieści er be na stare pieniądze. Chciałem kupić suszonych grzybów, ale za taki sznureczek, że aż śmiech bierze, chcą półtory karbowanica. A mówi się u nas — tanio, jak grzyby...

Potem, niby mimochodem, zapytał, jak się Jufie powodzi.

— Przeszedłeś na rentę? Wielkie osiągnięcie. Żołnierz śpi, a służba dalej idzie, noc też się liczy.

Abram Łazarewicz zapytał o kolegów z pracy. Wymienił parę nazwisk.

— O czym tu gadać — Sasza rozłożył ręce — wciąż ten sam kierat. Każdy czeka na rentę, jak na zbawienie. Ja jeszcze roczek muszę poczekać. Już nie mam cierpliwości. Będę chodzić na ryby, takie szczupaki będę łapał. Ty chodzisz z wędką?

— Przeważnie siedzę w domu.

— Szkoda. Wędka to jest rzecz.

Taka była ich rozmowa.

Miał jeszcze kilka podobnych spotkań, ulicznych, przypadkowych. Pięciominutowe pogawarki o tym i owym, o kolejnym zawale, o tym, że chorym na serce szkodzi upał, o nieudanym zamążpójściu czyjejś córki — i ani słowa o tym zebraniu, tak, jakby go w ogóle nie było. Jeden tylko Lempert, cichutki, niepozorny Lempert, głosiciel zasady „nie podskakuj”, powiedział Abramowi:

— Słuchaj co ci powie stary, mądry rebe. Wycofaj to twoje idiotyczne podanie i będziesz miał spokój. Potrzebny ci ten cały Izrael, jak rękawy do kamizelki. Z Arabami sami dadzą sobie radę, obejdą się bez ciebie, możesz mi wierzyć. Niech się o to troszczy Gunnar Jarring, ma z tego swoje parę kopiejek. Pies ich wszystkich trącał.

Tak oto leżał sobie Abram Łazarewicz naciągnawszy koc na brodę. Leżał, rozmyślał o tym wszystkim, snuł wspomnienia. Zdawał sobie sprawę, że czas już skończyć z tą mitręgą, ale jakoś nie mógł i wciąż chodził do dzielnicy, i toczył te długie, nikomu niepotrzebne rozmowy, i czekał na posiedzenie egzekutywy, po którym czekały go nowe rozmowy z innym specjalistą od dochodzeń, już w komitecie okręgowym. Nie widać było końca. Już go od tej historii mdliło i ćmiło, już nie chciał żadnego Izraela, żadnej Ziemi Obiecanej, jeśli zaś miał jakąś chęć, to tylko tę, aby wreszcie przestać o tym wszystkim myśleć i nie widzieć już więcej tych uprzykrzonych, ziewających pogardą i nienawiścią milicyjnych pysków z OWIR'u. A trzeba było wciąż jeszcze tam chodzić i n-ty raz słyszeć cedzone z pogardą słowa: „Przecież kazałem wam przyjść za miesiąc. Nie macie kalendarza, czy co? Wszystkie progi poobija!...”. Och, jak mu się to uprzykrzyło!

Stary, pamiętający jeszcze dziadka zegar stojący, który nie wiadomo jakim cudem ocalał podczas okupacji, zaskrzypiał i wybił ósmą. Abram Łazarewicz wstał, wzuł bambosze i poczłapał do kuchni, aby przygotować śniadanie dla Borysa. Chłopak spał jeszcze, prześcieradło zrzucił na podłogę, a głowę — jak zwykle — wetknął pod poduszkę, aby nie słyszeć bicia zegara.

Miał przed sobą jeszcze dwa egzaminy. Z matematyki i z czegoś tam jeszcze. Och, te egzaminy, dobrze by już też je mieć z głowy. Na przykład wczoraj — chłopak musiał odpowiadać na pytania, dotyczące konfliktu na Bliskim Wschodzie. No, niechby odpowiedział jak wszyscy, jak należy, bez wdawania się w detale. Ale nie, ten piętnastoletni osiołek musi zadać takie pytanie nauczycielowi:

— Dlaczego amerykańska pomoc dla Izraela określana jest jako dolewanie oliwy do ognia, podczas gdy nasze rakiety i czołgi — to tylko braterska pomoc dla narodu arabskiego, walczącego o wolność?

Coś podobnego! Dobrze jeszcze, że nauczyciel ma do Borysa nienajgorszy stosunek i — co jeszcze dziwniejsze — nie jest pozbawiony poczucia humoru. „Poczytaj sobie *Prawdę* — powiedział, — zwłaszcza trzecią kolumnę, zrozumiesz wtedy wszystko” — i postawił mu trójkę.

Och, Boria, Boria... I co tu z nim począć? Rośnie, gęby

nie otwiera, a rozumie wszystko. Zrobił się jakiś tajemniczy, strasznie serio, spędza całe wieczory z kolegami, odsiadują godzinki, czytają jakieś niedozwolone rzeczy. Jufa znalazł niedawno na jego biurku „Sprawę Bejlisa”. A Borys jeszcze pyta:

— Nie rozumiem, jak to było, nie trzyma się kupy. Carski reżym, despotyzm, czarna sotnia, antysemita, dwugłowy orzeł, puszczono w ruch wszystkie możliwe mechanizmy, a w końcu sąd uwolnił od winy i kary człowieka oskarżonego o mord rytualny?

— Byli wtedy znakomici obrońcy. Makłakow, Karabczewski, Gruzenberg, Zarudny, Grigorowicz-Barski.

— Ależ co ty mówisz! A Siniawski i Daniel może mieli złych?

— Więc czemu pytasz, jeśli sam rozumiesz?

— Chcę postawić wszystkie kropki nad i. Jeszcze mi niektórych brak.

Tak teraz potrafi z ojcem rozmawiać, łobuzina.

A tymczasem inny „łobuzina”, co prawda już dwudziestoletni, Zeńka Baruzdin, psuł krew swojemu ojcu. Został mianowicie hippisem. Wykorzystując okres wakacyjny, zapuścił sobie włosy do ramion — jak u Aleksandra Herzena, tak to sam tłumaczył — oraz brodę i wąsy, nie wyłaził z czarnego swetra i przeraźliwie znoszonych džinsów, a na wszystkie wymówki matki i ojca miał jedną tylko leniwie-wzgardliwą odpowiedź:

— Mamy po prostu zupełnie różne poglądy na życie. Mdl mi na widok waszych gazet z fotografiami wiecznie uśmiechniętych przodowników pracy na pierwszej kolumnie. Czuję młodości na myśl o waszym — co prawda chwilowo bezskutecznym — dążeniu do dobrobytu i sytego żołądka. Ponadto — jesteście tchórze. Boicie się wszystkich — Czechów i Słowaków, Polaków, Ginzburga, Gałanskowa, boicie się mnie i siebie samych się boicie. *A propos* — szefie, gdzie ty schował swój tranzystor? I tak go przecież znajdę. A jak nie znajdę, to przytargam jakiś inny. Albo pójde do Edka posłuchać, tam się tak nie trzęsą.

I chodził do Edka, przyprowadzał go też do domu razem z jakimiś dziewczynami. Siadali wszyscy dookoła magnetofonu i nasłuchiwać się nie mogli rozmaitych Wysockich i Galiczów, poszaleli na ich temat.

Mikołaj Aleksandrowicz był serio zaniepokojony. Dobrze jeszcze, że wódki nie chleją — „Bo my, szefie, możemy się obejść bez dopingu” — ale bez wódki też było dość powodów do obaw. Już same ich rozmówki wystarczały.

— Zrozum, Żenia — próbował przemówić mu do sumienia

tego dnia, gdy Wasyli Wasylicz burknął na posiedzeniu egzekutywy dzielnicowej: „Mógłbyś posłać swojego synalka do fryzjera, bo naprawdę aż wstyd, orangutanga w domu chowasz, czy co”, — zrozum, że ojciec musi się za ciebie rumienić. Jestem w końcu człowiekiem na pewnym stanowisku, ludzie liczą się ze mną, szukają u mnie rady, a syna mam pajaca i jeszcze takiego, co to wbił sobie do łba, że jest mądrzejszy od wszystkich.

— Jeżeli nie mądrzejszy, to przynajmniej porządniejszy. Ja tam żadnego Jufy nie mam na sumieniu. Ja tam śpię spokojnie. *A propos*, Jufa już więcej u was nie pracuje? Widziałem się z jego synem, mówi, że stary przeszedł na rentę.

— A przeszedł. Ma już sześćdziesiąt lat.

— Prawda, w tych dniach ma, zdaje się, urodzinki. Borys mi mówił. Piętnastego, jeśli się nie mylę? Zgłaszam propozycję, abyście przejawili troskę o człowieka i uczcili to jakoś. W naszym środowisku to podobno przyjęte. Naprzód daje się facetowi po karku, a potem składa mu się serdeczne życzenia z okazji 1 maja, albo 7 listopada. Może byś mu posłał torcik, albo butelkę wytrawnego? W imieniu byłych towarzyszy broni, że tak powiem...

A po tygodniu jeszcze raz przypomniał ojcu: „Dziś chyba 15-ty, prawda? Pamiętasz? Torcik, torcik...”

8.

Wieczoru tego Abram Łazarewicz wrzucił się i to nie bez powodu. Było duszno, zbierało się na burzę, nadszły chmury. Nasamprzód biało-siwe, później siwo-czerwone, za nimi czerwono-czarne, powoli wypęły spoza dachów sąsiednich kamienic. Potem zerwał się wiatr, przybił rosnące pod oknem akacje zielonymi łbami prawie do samej ziemi. I wreszcie po całej tej długiej uwerturze lunął deszcz. Ale nie deszcz, tylko wodna lawina, jaką widuje się tylko w kinie.

I w tej właśnie chwili, kiedy zdawało się, że potoki wody powinny być zmyć z ulic ostatnich przechodniów, zjawił się u Jufy Kola Kudriawcew, a z nim jakiś nieznanany brodac. Woda spływała z nich strugami, przemokli do suchej nitki. Przynieśli butelkę szampana i jeszcze jakiegoś wina, ni to węgierskiego, ni to rumuńskiego oraz kiełbasę, studzinię i słoik chrzanu, wszystko zawinięte w zupełnie przemoczony papier.

— Właśnieśmy przyszli... żeby uczcić ten uroczysty, że tak powiem, dzień. Nie wygonicie nas? Bośmy trochę przemokli, dobrze byłoby się pogrzać...

Widać było, że chłopcy są trochę na gazie, do czego zresztą sami się przyznali: „Bo taki deszcz, a tu właśnie bar się zdarzył”. I śmiejąc się wesoło zaczęli w korytarzu wyżywać koszule i spodnie.

Borys im pomagał, pokazywał gdzie można rozwiesić rzeczy, był wyraźnie zmieszany i zarazem dumny — jednak nie zapomnieli... Później wdziali — ciasnawe na nich — gimnastyczne koszulki chłopca i usiedli grzecznie na kanapie, podkurczywszy długie, owłosione nogi.

— A to jest Żenia Baruzdin — powiedział Kola — niby z ramienia waszej i mojej byłej organizacji partyjnej. Bo ja też stamtąd sobie poszedłem, różnica charakterów, pracuję teraz na autobazie. No a co z wami? Jak zdrowie?

— Jako tako, maszynka skrzypi, ale jeszcze się rusza. Za miesiąc listonosz przyniesie mi pierwszą emeryturę.

— No a jak tam stoją sprawy? — Kola wskazał kciukiem gdzieś w bok. — Z tym waszym wyjazdem?

— Wciąż kołacząc. Przepisuję wciąż na nowo kwestionariusze. Raz tego brak, raz owego... Bor'ka, mógłbyś chociaż czysty obrus położyć, czy matka cię nie uczyła, jak się gości przyjmuje?

Abram Łazarewicz nie chciał mówić o OWIRrze i wszystkim, co się z nim łączyło.

Usiedli przy stole, napełniono kieliszki. Żenia podniósł się. Nie całkiem jeszcze wysechł, włosy lepiły mu się do czoła, minę miał bardzo poważną.

— Mazałow — powiedział, ale nie uśmiechnął się przy tym, nie uśmiechał się zresztą w czasie całego toastu, nawet, gdy zaczęli już się trącać kieliszkami. — Chcę tu wypić pańskie zdrowie panie Abramie. Piję za to, że jest pan taki, jaki jest. Niech tam inni, na przykład mój rodzic, wszyscy, którzy głosują za dobrobytem i rozsądkiem, którzy żyją tylko jedną myślą: — „żeby tylko nie było kłopotów”, niech więc ci wszyscy uważają pana za stukniętego. Niech tam. My tak nie myślimy. My — ludzie jeszcze bez przydziału, jeszcze wahający się, niezdecydowani, szukający czegoś po omacku. Nie, żebyśmy już coś znaleźli. Ale przynajmniej szukamy — i to właśnie tego, czego najbardziej boją się nasi rodzice. Trzeba nam tylko jednego — wolności wyboru. I żeby móc wybrać samemu. Pan już zrobił wybór. Słuszny tam, czy nie słuszny, ale przecież wybór. I nie cofnął się pan. Niech więc to, co pan wybrał nigdy nie sprawi panu zawodu. Tego właśnie chciałem panu życzyć. Mazałow!

Abram Łazarewicz poczuł, że łyż stają mu w oczach. Podszedł do okna, odwrócił się i długo patrzył na strugi wody płynące po dziedzińcu. Deszcz ucichał stopniowo.

Wrócił do stołu i hamując wzruszenie wyznał, że bardzo poruszyło go to, co Żenia przed chwilą powiedział. A także to, że w ogóle przyszli do niego w odwiedziny. Jak to sami zapewne rozumieją, daty nie mają dla niego szczególnego znaczenia, mimo to jest mu teraz bardzo przyjemnie. Bo to przyjemne, kiedy inni nie zapominają o człowieku, kiedy...

Zmieszał się i niezręcznie, przelewając na obrus, nalał wina do kieliszków.

— A co do tego wyboru? Może twoi rodzice nie są w błędzie, uważając, że jestem nienormalny. Ale już mi się uprzykrzyło być normalnym, wierzcie mi. A skoro już mówimy całkiem szczerze...

Ale nie dane mu było mówić całkiem szczerze. Ulewa ustała. Zjawili się inni goście, starzy koledzy Abrama Łazarewicza, jeszcze z uczelni, mąż i żona, którzy przyprowadzili swojego kuzyna, fizyka, należącego — jak to od razu wyczuli młodzi — do tych, którzy uważają gospodarza za stukniętego. Na stole zjawił się tort i jeszcze jedna butelka.

Starając się nie zwracać uwagi na gołe nogi Żeńki i Koli, starzy przyjaciele z początku jęli mówić o deszczu, później o upałach, które wszystkim dały się we znaki w trakcie tego tygodnia, następnie — o wyraźnej zmianie klimatu w ostatnich latach i o tym, że jest to rezultat próbnych wybuchów nuklearnych, oraz rozmaitych eksperymentów kosmicznych. Tu właśnie ów kuzyn-fizyk dosiadł swojego konika i zabrał się do nudnego referowania najnowszych osiągnięć w tej dziedzinie. I zrobiło się całkiem nieciekawie.

— Nie masz czasem Galicza? — z miną spiskowca zapytał Żenia Borysa. — Nieźle byłoby znokautować staruszków.

— Walerek, nasz sąsiad, pewno ma. Magneto też.

— Mógłbyś przynieść.

Po chwili magnetofon wypłynął na stół. Pokój wypełniły dźwięki gitary i miły, intymny, powściągliwy głos bożyszczka młodzieży. Pieśni przerywane były wybuchami śmiechu i oklaskami. Z początku wszyscy się śmiali, kiedy śpiewał o towarzysze Paramowej, o milicjantce imieniem Lenoczka, co to wyszła za mąż za nadzwyczaj przystojnego dygnitarza — gościa z Abisynii, albo o palaczu, który zalecał wódkę, jako najlepszy środek przeciw opadom radioaktywnym. Ale śmiali się niedługo.

*A nas pochowano pod Narwą, pod śniegiem,
pod Narwą, pod śniegiem...*

— cicho i melancholijnie zaczął pieśniarz, żeby przejść później do tonów mocniejszych i surowszych:

*A nas pochowano pod Narwą, pod śniegiem,
Zagłuchła już wieść.*

*Leżymy parami, jak szliśmy szeregiem,
parami, szeregiem,*

*Leżymy parami, jak szliśmy szeregiem,
Leżymy — i cześć.*

*Ni wróg, ni pobudka nie grozi tej ciszy,
nie grozi tej ciszy,*

*Ni wróg, ni pobudka nie grozi tej ciszy,
Nie mąci nam snów.*

*Aż raptem — ten głos! Toć go żołnierz usłyszy!
Toć żołnierz usłyszy!*

*Aż raptem — ten głos! Toć go żołnierz usłyszy!
To trąba gra znów!*

*Cóż, wstawaj na nogi, żołnierzu niebogi,
żołnierzu niebogi,*

*Cóż, wstawaj na nogi, żołnierzu niebogi,
Pospałeś — i szlus.*

*Gdy Rosja poległych pod broń wzywa z mogił,
pod broń wzywa z mogił,*

*Gdy Rosja poległych pod broń wzywa z mogił —
To widać już mus.*

*Wstajemy — i dzwonią o żebra ordery,
i dzwonią ordery,*

Śnieg wokół i szron.

*Patrzmy... Omyłka, czy co, do cholery,
czy co, do cholery?!*

*Patrzmy — omyłka, czy co, do cholery?!
Nie o nas tu szło!*

*Bo tam, gdzie piechota we wspólnym śpi rowie,
we wspólnym śpi rowie,*

*Bo tam, gdzie piechota we wspólnym śpi rowie,
Gdzie skosił ją wróg —*

*Po białej ponowie polują panowie,
polują panowie,*

*Po białej ponowie polują panowie,
Naganka dmie w róg!...*

Słuchali w milczeniu. Jeden patrzył przez okno na akacje, szarpane wiatrem, drugi na butelki, stojące na stole, ktoś inny jeszcze — na czubki własnych paznokci. W takim samym milczeniu wysłuchali później „*Naucz się milczeć pod przymusem, ten kto milczy, zostaje prymusem, zamilcz, zamilcz, przemilcz już raczej, ten, kto milczy zostaje bogaczem, ten, kto milczy, zostaje siepaczem...*”.

— No tak — powiedział z zastanowieniem starszy z gości, gdy Boria w końcu wyłączył magnetofon — wszystko to oczywiście jest bardzo smutne, budzi niewesołe myśli, ale najsmutniejsze, że tak się tym zachwyca nasza młodzież — i skinął w stronę cofającego nagraną taśmę Borysa, oraz stojącego opodal Koli. W ich wieku byliśmy może bardziej lekkomyślni, a może właśnie na odwrót, więcej w nas było dynamizmu i świadomości celów, do których się dąży. Jak myślisz, Aba? A były to przecież lata trzydzieste, wcale nie łatwe, kolektywizacja, głód...

— Trzydziesty siódmy rok mieliśmy jeszcze przed sobą — powiedział Abram Łazarewicz — a dla nich to już przeszłość, historia. I sprawa lekarzy — to też historia.

Zaczęła się rozmowa o lekarzach, o Berii i o szefie wydziału śledczego KGB, Riuminie, którego wszyscy już zdążyli zapomnieć.

— *A propos* — wtrącił Żenia — w ostatnim tomie Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, w tym, co to właśnie wyszedł, na literę „B” nie ma w ogóle żadnego Berii. A w poprzednim wydaniu — widziałem u mojego starego — w tym samym tomie pod literą „B” leży drukowana karteczka: prosimy zaopatrzyć się w nożyce, albo żyletkę, wyciąć starannie takie, a takie stronicę i wkleić na ich miejsce załączony arkusz — Bering, cieśnina Beringa, i coś tam jeszcze. To zamiast Berii. Ma się rozumieć, że mój stary dokładnie wykonał instrukcje i poddał krwawego tyrana natychmiastowemu całopaleniu z pomocą zapalki.

— Beria? A kto to był? — zapytał Kola.

— A kto to był Jagoda, kim był Jeżow, też nie wiesz? — spytał Żenia. Kola wzruszył ramionami. — Czego was w tym wojsku w ogóle uczono?

Skonfundowany Kola poczerwieniał.

— Ja w ogóle nie bardzo... Powinien bym się jeszcze uczyć.

— Dużo was nauczą — mruknął Żenia. — „Szlakiem Lenina” pióra towarzysza Breżniewa. To sobie poczytaj. Wydano we wszystkich możliwych językach.

Zapadło niezręczne milczenie. Chcąc je rozładować, młody fizyk nalał wina i rzekł:

— Człowiek całe życie się uczy, a durniem umiera.

Starsi nic nie powiedzieli i wychylili kieliszki w milczeniu.

— A no właśnie — Żenia odstawił kieliszek i zanucił cicho: „*patrzmy — omyłka, czy co do cholery, czy co, do cholery... naganka dmie w róg...*”.

— A dmie... — powiedział Abram Łazarewicz bez szczególnego akcentu.

Rozmowa nie kleiła się, to było widać. Goście zaczęli zerkać na zegarki.

— Spieszycie się dokądś? — zapytał Abram Łazarewicz.

— A owszem... Mamy dziś jeszcze jedne imieniny... Urodzaj. Pożegnali się grzecznie i wyszli.

Zrobiło się zaraz jakoś lżej. Nastawili jeszcze raz magnetofon. Pili herbatę, zjadali się darowanym tortem. Rozstali się gdzieś koło jedenastej. Spodnie i koszule wyschły już przez ten czas.

— No, chłopaki — ściskając im dłonie mówił Abram Łazarewicz. — Sprawiliście mi prawdziwą przyjemność tą wizytą. Naprawdę się nie spodziewałem, naprawdę. A może to fakt, że istnieje jakaś sztafeta pokoleń.

— Tylko — że pokolenie jakieś takie wątłe — roześmiał się Żenia. — Oczywiście mam na myśli nasze. Pozbawione — jak tam? — świadomości celów, a przy tym niedouczone. Trzeba na przykład Koli otworzyć oczy na taką sprawę Berii, bo ciemny, jak tabaka w rogu. Chodźmy, Kola, dobra?

I zbiegli ze schodów przeskakując stopnie.

Abram Łazarewicz podszedł do okna, nabrał w piersi świeżego po ulewie powietrza, postać chwilę i powiedział:

— Zmyj no naczynia, kochany. A ja sobie chwilę poleżę. Jakoś mi się w głowie zakręciło z nieprzyzwyczajenia — i położył się na kanapie.

Minęło lato — upalne, suche, bo deszcze prawie już nie padały. Ludzie skłonni do chorób sercowych znieśli je nie najlepiej. Abram Łazarewicz też kwękał. Chciał pojechać z Borysem gdzieś nad morze, na południe, ale nie pojechał. Wciąż jeszcze musiał chodzić na swoje seanse z facetem od dochodzeń, a posiedzenie dzielnicowej egzekutywy co i rusz odkładano na później. Odbyło się wreszcie w pierwszych dniach września.

Abram Łazarewicz wrócił z dzielnicy całkiem rozbity, jakby postarzały — i od razu położył się na kanapie.

— A obiad — zaniepokoił się Boria. — Przecież wszystko gotowe. Zrobiłem nawet grzanki do zupy. I sałatkę z pomidorów i ogórków...

— Dziękuję, Boria, zaczekaj chwilę. Tylko trochę sobie poleżę... Daj mi szklaneczkę wody. I tabletkę. Leżą na stole, wiesz które.

Po pół godzinie wstał, zjadł obiad bez apetytu, ale starał się, aby Borys się nie zmiarkował i znów poszedł na kanapę z książką w rękę.

Na posiedzeniu w ogóle prawie nie zabierał głosu. Oznajmił tylko, że przez ten czas wszystko sobie jeszcze raz porządnie przemyślał, ale zamiaru nie zmienia, bo nie widzi podstaw. Przed nim zabrał głos jeszcze ów specjalista od dochodzeń. Był zdenerwowany, wciąż zerkał do trzymanego w rękę karteluska. Mówił z widoczną sympatią, wyakcentował frontową przeszłość Jufy, wspominał rany, kontuzję, dobre wyniki pracy, zaproponował w końcu, aby — biorąc pod uwagę to, co mówił wyżej — dać towarzyszowi surową naganą z ostrzeżeniem.

— Może jeszcze pisemko dziękczynne dołączyć? — mruknął ironicznie Wasyl Wasylicz, pierwszy sekretarz. — I przynieść mu do domu bilecik na samolot?

Po oświadczeniu Abrama Łazarewicza przemawiał Baruzdin — i Bogu świeczkę, i diabłu ogarek, co było do przewidzenia i co — jego zdaniem — stanowiło przejaw nadludzkiej odwagi. Później zabrał głos jakiś wojskowy, żądający wyrzucenia z partii, jeszcze ktoś, popierający wniosek poprzednika i wreszcie — surowa z wyglądu kobieta, twierdząca, że sam postępek Jufy kwalifikuje go do wyrzucenia z partii, ale biorąc pod uwagę wiek, front, order i nie tracąc nadziei, że członek partii Jufa jeszcze podda rewizji swoje postępowanie, itd. — zamiast wyrzucenia można zastosować surową naganą.

Jako ostatni przemawiał Wasyl Wasylicz. Mówił długo, przytoczył szereg historycznych przykładów, powoływał się na klasyków marksizmu i działaczy z epok nie tak odległych, ale na ogół powtarzał to, co swego czasu powiedział na zebraniu partyjnym jego drugi sekretarz. Zakończył przemówienie następującymi słowami:

— Sądzę, że nasza partia nie dozna żadnego szwanku, jeśli pozbędzie się jednego z tych członków, którzy nie zasługują na ten honor. Bo albo z nami — albo przeciw nam, tu nie ma innej drogi! Wasza decyzja — obywatelu Jufa, świadczy, że nie jesteście z nami. Nie twierdzę, że jesteście naszym przeciwnikiem — bo wtedy moglibyśmy przedsięwziąć inne kroki — ale z nami na pewno nie jesteście. Dobrze mówię, towarzysze? Czy-

ba dobrze... (Nikt mu nie zaprzeczył). A zatem — głosujmy. Kto głosuje za pozbawieniem towarzysza Jufy godności członka partii (użył jednak słowa „towarzysz”) — zechce podnieść rękę. Liczę: raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Kto jest przeciw? Jeden głos. Kto się powstrzymał? Również jeden.

Głosowała przeciw owa surowa niewiasta. Powstrzymał się od głosu fachowiec od dochodzeń. Baruzdin głosował za wyrzuceniem.

— Proszę oddać waszą legitymację partyjną — powiedział Wasyl Wasylicz tonem, który miał podkreślić solenność tej chwili. — Od naszej decyzji możecie odwołać się do komitetu miejskiego partii.

Tym akcentem skończyła się cała procedura. Abram Łazarewicz wstał z krzesła i szybko wyszedł, bojąc się, że ktoś go jeszcze zatrzyma.

10.

Nadeszła jesień. Rozpadało się. Gazety pisały, że podobnej ilości opadów nie było od tysiąc sześćset któregoś roku i że oczekiwać należy z kolei zimy śnieżnej i surowej. Ludzie wzdychali z troską, gdy nadciągająca zima stawała się tematem rozmowy.

I tylko Abram Łazarewicz mówił:

— Dziwne, ale lubię zimę. Prawdziwą, rosyjską zimę. Skrzyp śniegu pod nogami, grube czapy na strzechach, dym wznoszący się z kominów pionowo, bez drgnienia. I żeby mroźne powietrze zlepiło nozdrza przy wdechu. W Izraelu nic z tych rzeczy nie będziemy mieć, Boria, kiedy nareszcie tam pojedziemy. Piasek, kaktusy i skały...

Z początku, zaraz po złożeniu podania, Jufa sporo rozmyślał o tym — nie tak może dalekim, jak do naszego niepodobnym kraju. Co wiedział o nim? Prawie nic. Oczywiście, prócz danych z encyklopedii: — wysokie płaskowzgórza z kilkoma obszarami depresji; kopaliny — sól potasowa i kamienna, brom, fosfaty, asfalt, kamień budowlany; roślinność: zarośla o charakterze krzaczastym, w Galilei zaś — lasy mieszane (dąb szypułkowy, sosna alepska); ponadto wiedziało się tylko, że państwo to utrzymywane jest przez Amerykę. Pozostałe wiadomości pochodziły z gazet i z „Głosu Izraela”, ale nawet te ostatnie Abram Łazarewicz cedził przez gęste sito, bo nie bardzo ufał idyllicznym komentarzom jerozolimskiej rozgłośni i w ogóle — wzorem Marksa — wszystko podawał w wątpliwość.

Leżąc na swojej zakleśniętej kanapie (przez ostatnie dziesięć lat każdy dzionek zaczynał się od stereotypowych narzekań nieboszczki żony: „Kiedy nareszcie doprowadzimy ten mebel do porządku? Jeszcze dziś pogadam z madame Cejtin, podobno ma świetnego majstra, bardzo niedrogi, nie miną dwa dni, a będzie gotowe”) — starał się wyobrazić sobie przyszłe swoje życie. Siostra, szwagier, niegdyś dziennikarz, teraz — nie bardzo wiadomo czym się zajmuje, troje dzieci, zięciowie, wnuki. A wszystko to — w kibucu, gdzieś niedaleko Morza Martwego. Siostra przysyła od czasu do czasu paczki (przychodzą po dwóch-trzech miesiącach) z kawą w proszku, cukierkami i pamiątkowymi popielniczkami z ozdobami w kształcie siedmioramiennej meny, albo gwiazdy Dawida. W listach pisze: „Wszyscy tu będziemy ci radzi i postaramy się stworzyć wam znośne warunki egzystencji”. To „postaramy się” i „znośne” odrobinę niepokoiły Abrama Łazarewicza, ale w końcu jemu i Bor’ce potrzebny był tylko dach nad głową, kawałek chleba i coś w rodzaju uczucia. Sarę (teraz nazywała się Sura) po raz ostatni widział, jeśli tak to w ogóle można nazwać, pięćdziesiąt lat temu, kiedy była długonogą, piegowatą, kapryśną dziewczuszką, ustawicznie gryzącą paznokcie i za nic nie chcącą jeść kaszki manny. Zaraz potem wyjechała z rodzicami do Jaffy i aż do końca lat pięćdziesiątych nie dawała znaku życia. Dopiero jakiś turysta z Izraela odnalazł Abrama cudem i wręczył mu list od siostry. List był — zapewne z lęku, że trafi w niepowołane ręce — nader krótki: „jesteśmy żywi i zdrowi”, od samego zaś oddawcy dowiedział się, że rodzina „jakoś wiąże koniec z końcem”, ale w ogóle „wie pan, jak to jest — dziś wszystko w porządku, a jutro — Bóg raczy wiedzieć...”. Od tej chwili nawiązali korespondencję — co prawda, nie bardzo intensywną. Jeden z listów zawierał zaproszenie, sformułowane z iście biblijną, uroczystą zawziętością: „Niechaj konary drzew rozpostarte opiekuńczo nad mogiłami naszych przodków, ogarną swoim cieniem również miejsce naszego wiecznego spoczynku”. Oto jakiego języka używała teraz piegowata Sura.

Leżał teraz na zakleśniętej kanapie (do madame Cejtin nieboszczka żona jakoś nigdy nie dotarła, madame owa też już, zdaje się, umarła, a bez niej porządnego, niedrogiego rzemieślnika nie znajdzie dziś ze świecą) i coraz rzadziej, i rzadziej rysował sobie widoki nieznanej, leżącej na wysokim płaskowzgórzu (z kilkoma obszarami depresji) krainy, rozmyślał zaś o tym, dlaczego to w jego kraju (mimo wszystko „jego”) nie można być cicho i spokojnie, bez nerwowej szarpaniny, dokonać żywota. Czuł się z każdym dniem gorzej — źle sypiał, miał często zawroty głowy, raz po raz coś go dławilo — ale nie chodził

do lekarzy („bierz ich lichy, jeden mówi tak, drugi — siak”), poprzestając na swoich tabletkach.

Któregoś wieczoru poczuł się całkiem marnie. Były na niego zimne poty i tętniło w głowie. Nie powiedział nic Borysowi, ale chłopak sam się zorientował, przestraszył się nie na żarty i wezwał pogotowie. Przyjechało po dwóch godzinach, kiedy ojciec poczuł się już trochę lepiej. Ci z pogotowia byli znużeni, rozsierdzeni, nierozmowni, dali zastrzyk, zabawili trzy minuty i wyszli, rzuciwszy na pożegnanie:

„Jeszcze sto lat pan pożyje”.

Zamiast stu lat pożył jeszcze dwa tygodnie. Któregoś ranka Borys zbudził się, nastawił czajnik, usmażył jajecznicę, a gdy podszedł do ojca, który o tej porze zazwyczaj dawno już był na nogach, ujrzał, że Abram leży na wznak z otwartymi oczyma, i że już nie oddycha.

Pogrzeb Abrama Łazarewicza odbył się w pierwszych dniach października. Ranek był jednak jasny, ciepły, cichy, a powietrze zadziwiająco przejrzyste. Jeszcze onegdaj lało jak z cebra i niebo zaciągnięte było beznadziejnie niskimi, gęstymi chmurami. Następnego dnia również padało, ale właśnie ten dzień pełen był błęgiego spokoju i jasności, jak na zamówienie, jakby w darze dla zmarłego. Pachniała świeża, rozmokła po wczorajszej ulewie ziemia, daleko rozchodził się zapach palonych liści, zwiastując zbliżającą się zimę. Pochowano Jufę obok żony, na tej samej kwaterze; inaczej Abram Łazarewicz nigdy by nie mógł znaleźć się po śmierci na tym porośłym stuletnimi lipami, wiązami i bzem — co wiosną tak mocno tu pachnie — cmentarzu dla wybranych, gdzie chowano teraz tylko sekretarzy KC i KW, a także Bohaterów różnych rang jak również ich żony, stawiając na ich mogiłach ogromne, wykute w granicie, rzeźbione podobizny nieboszczyków z wydatnymi podbródkami i zapatrzonymi w przyszłość oczyma.

Kondukt był szczupły — kilku dalekich krewnych oraz byłych współpracowników: Sasza Kotieleniec i jeszcze paru niepozornych, nikomu nieznanych ludzi, którzy nieśli wieniec z żywych chryzantem. Zwisiała z niego czarna szarfa z jakimś żydowskim napisem. Przyszedł również Kola, a z nim Żenia. Błady, poszarzały Boria z czerwonymi od płaczu oczyma stał blisko nich.

Nie było żadnych przemówień. Każdy rzucił garść ziemi i milczący grabarze bez hałasu, a nawet bez zwykłych pogaduszek, z całą swoją niewesołą wprawą zasypali grób i wbili w kopczyk deszczułkę z napisem: „A. Ł. Jufa. Ur. 15 lipca 1910. Zm. 12 października 1970”. Dopiero wtedy wszyscy się rozeszli.

Żenia powiedział:

— No cóż, może uczcimy go po chrześcijańsku — chociaż nie naszej był wiary?

— A pewno — odparł Kola.

Kupili butelkę „moskiewskiej” i trochę kielbasy. Roztasowali się na skraju cmentarza, na skarpie, pod którą biegły tory kolejowe, obok na poły rozwalonego grobowca rodzinnego z gotykami, ażurowymi wieżyczkami i pochyłonym aniołem, trzymającym krzyż nie wiadomo w jaki sposób, bo nie miał już rąk.

Pod skarpą turkotały pociągi, które nie buczały już, jak dawniej niskimi, szlachetnymi głosami, tylko wydawały jakieś niesolidne, przesywające gwizdy. Za torami rozciągało się miasto. Jego dziewiętnastowieczna sylwetka co roku się teraz zmieniała. Nie kojarzyły się z nią, wydawały się obcymi ciałami, białe, wysokie baszty nowych domów i górujący nad całym śródmieściem zielony, przeszklony budynek nowego hotelu „Łybid” obok dworca. Trudno już było odróżnić wśród morza dachów kopuły cerkwi św. Zofii i Włodzimierza, jakby je kto zepchnął do tylnych rzędów i pozastał.

— No cóż — powiedział znowu Żenia — za spokój duszy, że tak powiem.

— Porządnej duszy — powiedział Kola.

Boria nic nie powiedział, wypił swoją porcję i zakrzuszył się.

— No i nie dojechał nasz Abram Łazarewicz do ziemi obiecanej swoich ojców — westchnął Żenia.

Kola położył się na wznak.

— A może to lepiej, że nie dojechał? Przynajmniej miał o czym marzyć do końca. A czy my mamy jakieś marzenia?

— Moi starzy mają. Żeby kupić niemiecki piec kuchenny za 130 rubli. Jakiś znajomy już im obiecał, że dostanie.

— A ty, Borys?

Chłopak milczał chwilę. Urwał jakąś bylinkę, oskubał ją z listków, jakby sobie wróżył, wreszcie powiedział:

— W „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej” jest napisane, że są dwa rodzaje marzeń: aktywne i bierno. Pierwsze — są to marzenia twórcze, pozytywne, służące pracy konstruktywnej, te drugie zaś to puste marzycielstwo ograniczające się do rojeń o niespełnionych pragnieniach. Sam nie wiem co lepsze, dlatego o niczym nie marzę.

— Patrzajcie no — powiedział Żenia. — Trudne będziesz miał życie. Romantykiem nie zostaniesz.

— Już nim nie jestem — mruknął Borys i więcej ust nie otwierał.

— Aha, — przypomniał sobie Kola ostatnią rozmowę w

mieszkanu Abrama Łazarewicza. — Obiecałeś otworzyć mi oczy na sprawki jakiegoś faceta, którego wycięto z encyklopedii.

— Chodzi o Berię? Proszę bardzo. Chociaż właściwie — nie bardzo powinienś sobie tym zaprzętać głowę, bo chociaż przed wykreśleniem z życia i z encyklopedii facet był wybitnym działaczem społecznym i politycznym, to potem wyjaśniło się, że właściwie był *be* — jako prawa ręka Ojca Narodów, która narobiła tyle brzydkich rzeczy. Ale weź pod uwagę, że partia, której kandydatem wszak jesteś, nic z tym nie ma wspólnego, jako że nigdy się przecież nie myliła, co też powinienś wiedzieć. W sumie możesz mieć zupełnie spokojne sumienie, a o Berii nawet szkoda z tobą gadać — nie było żadnego Berii i tyle... Przeszłości w ogóle lepiej nie wspominać.

— *Naucz się milczeć pod przymusem* — wysokim głosem zanucił Kola — *ten, kto milczy zostaje prymusem, zamilcz, zamilcz, przemilcz już raczej, ten kto milczy zostaje bogaczem, ten kto milczy zostaje siepaczem...*

Tydzień po pogrzebie nadszedł z OWIRu list urzędowy w dużej kopercie ceglastej koloru, opatrzonej stemplami. Zawierała zawiadomienie, że ob. Jufa Aba Lejzerowicz, oraz jego syn — Jufa Borys Abowicz otrzymali zezwolenie na wyjazd do państwa Izrael celem osiedlenia się tam na stałe. Termin ważności zezwolenia upływa dnia 15 listopada br.

Wiktor NIEKRASOW

(Tłumaczył Michał Kaniowski)

Tadeusz BOROWSKI

**

1. *Ej, kultura, ty polska kultura,
ej, pojedziesz ty kiedy na Ural,
ej, zabolą, zabolą cię oczy
od bezmiaru ziemi dał wostocznej.*

*Ej, zapasiesz się wreszcie ty żarciem
gdzieś za kręgiem polarnym w Igarce,
Ej, a z bólu ty zwiniesz się zwiniesz,
ej dziecino ty, pierzyno, łacino.*

*Ej, kulturo jak psa cię nauczą
do swej ziemi i skomleć i skuczeć,
do swej ziemi dla ciebie martwej,
ej, kulturo ty regimentarska.*

Dachau-Allah

WYZNANIE

*Czemuż na ziemi mej ugorze,
na gruzach moich miast rozbitych
przybłądy obce w głupim sporze
szargają imię Pospolitej?*

*I mocą jakich ludzkich ustaw
rwą z rąk do rąk graniczne znaki,
wołając z wściekłą pianą na ustach:
„taka niech będzie”, „nie, owaka”?*

*Ja, choć niewolnik, choć z daleka,
krwią swą i życiem moję wyznać:
„Mój jest ten kraj po wieki wieków,
Wam — republika, mnie — Ojczyzna!”*

Tadeusz Borowski, 30870
Dachau-Allah, 6. 5. 1945

Wiersze**W ćwierćwiecze śmierci
Borowskiego**

Po zakończeniu działań wojennych we Włoszech odkomenderowano mnie do *Orla Białego*, wydawanego w Rzymie tygodnika 2-go Korpusu. Objąłem w nim dział literacki. Stawał się z tygodnia na tydzień żywszy i bogatszy: do pisarzy-żołnierzy 2-go Korpusu przyłączali się stopniowo pisarze uwolnieni z kacetów i z obozów jenieckich w Niemczech. Poeci Tadeusz Sułkowski, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Adolf Fierla, Stanisław Czernik; prozaicy Gustaw Morcinek i Sergiusz Piasecki. Odezwał się Mistrz Konstanty Ildefons. Przesłał *Pieśń o fladze*, natychmiast wydrukowaną, oraz pierwszy odcinek zamierzonej powieści 999 *nieślubnych dzieci*. Według projektu autorskiego, okolicznościom towarzyszącym poczęciu i narodzinom każdego nieślubnego dziecka miał być poświęcony jeden z 999 odcinków. Ponieważ Mistrz, zbyt optymistycznie oceniając długowieczność tygodnika, zażądał bardzo wysokiej zaliczki, powieść pozostała w stadium radosnego i bystrogo pomysłu.

Któregoś dnia przyszedł do redakcji działu literackiego list od Tadeusza Borowskiego. Zawierał propozycję przysłania kilku wierszy. Na wysłany odwrotną pocztą list zachęcający nie było już odpowiedzi. Być może, Borowski właśnie wtedy zdecydował się nagle wrócić do kraju i nie widział potrzeby odmownego pokwitowania zaproszenia. Jest dość prawdopodobne, że chodziło o wiersze przemyczone z kraju do *Kultury* teraz, w ćwierćwiecze samobójczej śmierci Borowskiego (odebrał sobie życie 3 lipca 1951 roku). Krajowi nadawcy przesyłki do *Kultury* piszą: „Wiersze te od lat kursują w licznych odpisach, ale oczywiście pominięto je we wszystkich krajowych wydaniach Borowskiego. Powstały na Zachodzie po wyzwoleniu przez Aliantów z niemieckiego obozu, przed powrotem do Polski”.

W kwietniowym numerze *Kultury*, w moim *Dzienniku pisanym nocą*, czytelnik znalazł notę o Borowskim na marginesie wstępu Kotta do angielskiego wydania „kieszonkowego” jego opowiadań. Drukowane niżej wiersze są w jakiejś mierze dowodem, że mój obraz Borowskiego był trafny: wrócił do kraju, plunął w „szeroką mordę marsylianki”, człowiek przepalony kacetowym nihilizmem, lecz całkowicie świadomy do jakiego kraju wraca; nie długo potrafił ustać na gruncie tego nihilizmu po stronie silniejszych w „ojczyźnie parszywego grobu w lasku pod Smoleńskiem, w ojczyźnie spalonego domu i rejestracji w NKWD”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

P O W R O T Y

Szeroka morda marsylianki
 „allons
 enfants de la patrie”
 tłum paryski
 z wszystkich
 nawet bardzo dobrych sfer
 na bulwarach wszędzie nawet na Montmartre
 „Vive la France” stutysięcznie się drze

Ulice żywiołowe jak parowa łaźnia
 burdele rozsądzone
 demokratycznym entuzjazmem
 sztandarami rozwiane frontony
 patriotyczną owinięte mgłą

Na lotnisku
 zwanym od dawna Le Bourget
 z samolotu typu „Liberator”
 (należącym do L'Armée de l'Air)
 milionowy ląduje Francuz
 więzień imieniem Garron

Odśpiewano idiotyczne pieśni
 Pan minister od prisonerów
 przypiął mu na piersi order
 schylił się i pocałował
 wprost
 w nieogoloną przez tydzień mordę
 przy czym rzekł „vive la patrie”
 (zaraz zresztą dodał wstydliwie „pardon”)
 Pan minister zwał się mesje Fresnay
 a więzień (co poprzednio)
 nazywał się Garron

A my — pojedynczo po kryjomu
 przez zieloną granicę zakazaną drogą
 do ojczyzny we snach
 do domu do mogił...

Poszukamy nie znajdziemy nikogo
 popatrzymy popatrzymy w obce twarze

pomilczymy no cóż: każdy wie...
 tak...
 cicho szepnie ktoś: NKWD
 strach...

DWIE OJCZYZNY

To twoja wolność — śmierdzący samogon
 i byle dziwka w trykotowej bieliźnie,
 a moja wolność — czysty nieba ogrom.
 Dlatego mamy dwie różne Ojczyzny.

Tobie Ojczyznę — transakcja giełdowa
 i wory mąki schowane po kryjomu,
 a mnie Ojczyznę — komora gazowa
 i oświęcimski płomień.

Tobie Ojczyznę — Tryumfalny Łuk,
 defiladowa muzyczka zwycięska,
 a mnie Ojczyznę — parszywy grób
 w lasku pod Smoleńskiem!

Tobie Ojczyznę — spokojny kąt
 i kark, który postusznie się gnie,
 a mnie Ojczyznę — spalony dom
 i rejestracja w NKWD.

Tadeusz BOROWSKI

Archiwum polityczne

Wybory prezydenckie w U.S.A.

Gdyby ktoś chciał skarykaturować jak najbardziej złośliwie wybory prezydenckie w Ameryce, nie musiałby się zbytnio wysilać. Wystarczy przedstawić przebieg dotychczasowych prawyborów, w których Partia Demokratyczna, głosami zarejestrowanych członków, ma dokonać wyboru swego kandydata. Partią Republikańską nie warto się w tym wypadku zajmować, ponieważ walka dwóch kandydatów Ronalda Reagana i prezydenta Forda nie wybiega poza utarte schematy. Inaczej — z demokratami. Kierownictwo Partii Demokratycznej czyni wszystko, aby utracić Jimmy Cartera — kandydata, który ma największe szanse zdobycia prezydentury w wyborach listopadowych i który dotychczas, tzn. do 5 czerwca, zdobył większą liczbę kandydatów na konwencję partyjną niż wszyscy jego demokratyczni oponenti razem wzięci. Ruch „Stop Jimmy Carter”, zainicjowany przez oficjalne czynniki rządzące Partią Demokratyczną, wskazuje na to, że przywódcy partyjni wolą przegrać wybory niż zgodzić się na kandydata, nie zaakceptowanego przez kierownictwo Partii Demokratycznej. Gdy „groźba” zwycięstwa Cartera na konwencji stała się coraz bardziej realną, do prawyborów włączyli się dwaj nowi kandydaci. Są nimi: Frank Church, który zyskał sobie popularność w środowiskach lewicowych jako przewodniczący Komisji Senackiej, starającej się dość skutecznie zlikwidować działalność CIA, oraz Edmund Brown, młody 38-letni gubernator Kalifornii, syn b. gubernatora tejże Kalifornii. Obydwaj panowie, mimo kilku sukcesów w prawyborach, mają tak nikłą liczbę delegatów, że ich szanse na uzyskanie kandydatury na konwencji prezydenckiej nie liczą się zupełnie. Ich rola jest czysto dywersyjna i polegać ma na zablokowaniu zwycięstwa Cartera na konwencji lipcowej w pierwszym głosowaniu, co według rachub partyjnych przywódców ma otworzyć szanse dla Huberta Humph-

reya, b. wiceprezydenta z czasów Johnsona. Jego całkowita bezosobowość daje: po pierwsze — gwarancje wierności dla maszyny partyjnej, po drugie — Humphrey, dzięki mierności swego charakteru, zredukuję jeszcze bardziej rolę prezydenta wobec Kongresu. W ten sposób Stany Zjednoczone, pozbawiając się władzy wykonawczej, bez której nie może funkcjonować wciąż jeszcze w kategoriach materialnych najpotężniejsze państwo świata, uczynią dalszy milowy krok na swej samobójczej drodze.

Tych ponurych gwarancji, których spragniony jest aparat kierowniczy Partii Demokratycznej, nie daje kandydatura Jimmy Cartera. Istnieje bowiem uzasadnione przypuszczenie, że nie jest on jednym z długiego korowodu działaczy partyjnych, którzy w ciągu ostatnich lat zdobywali powodzenie na polityce kapitulacji. I nie może nim być Jimmy Carter, ponieważ w roku 1976, po wszystkich klęskach i upokorzeniach Ameryki, niepodobna już dłużej głosić hasła kapitulacji i na tej drodze zdobywać popularność jak to praktykowano jeszcze pół roku temu. Przekonał się o tym niezbitcie Udall, klasyczny przedstawiciel lewicowych liberałów, który nie uzyskał dotychczas żadnego sukcesu w kampanii wyborczej. Nie wiadomo czy przebrała się czara nie tyle cierpliwości ile potulności wobec wrogów wewnętrznych i zewnętrznych tego kraju, ale najwidoczniej coś się w opinii amerykańskiej przełamało. Chyba nie jest to jeszcze całkowite przytomnienie, ale jego początek.

Carter jest działaczem niepokojącym i nieco zagadkowym. Niepokojącym — bo zdobywającym sobie popularność ponad głowami Partii Demokratycznej. Zagadkowym — bo zupełnie świadomie unika jednoznacznych odpowiedzi na pytania dotyczące wojny, bezrobocia, walki z przestępczością i wielu innych dręczących Amerykanów spraw. Ten brak jasności i jednoznaczności, które mu bez przerwy zarzucają oponenti, nie okazał się bynajmniej jego słabością. Z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że przeciwny wyborca zdaje sobie sprawę, że nie ma tu żadnych pewnych i dających gwarancje rozwiązań. Po drugie, dlatego, że obietnice starych wyjadaczy partyjnych, z wieloletnią przeszłością w Senacie lub Kongresie, okazywały się zawsze obietnicami pustymi — kartami bez pokrycia. Dlatego to co w opinii wyborców w roku 1976 stanowi główny atut kandydata, to jego *personality* — osobowość, którą Amerykanie pragną rozpoznać i na niej budować swe nadzieje. Oczywiście nie musi im się to udać i Jimmy Carter może sprawić im gorzki zawód, ale amerykańscy wyborcy wolą obecnie stawiać na kogoś, kogo nie znają i za kim nie ciągnie się zgoła nie pachnąca smuga jaką pozostawia wieloletnia przeszłość w Senacie i Kongresie. A taki jest Carter. Socjologowie mogliby przeto uznać, że popularność Cartera wywodzi się z frustracji jego zwolenników. Możliwe. Ale to właśnie czyni go kandydatem populistycznym, ponieważ w Ameryce, jeśli ktoś jest „sfrustrowany”, to nie wybierani, ale wybierający — czyli zmęczona lub zniecierpliwiona zawodową błagą zawodowych polityków opinia publiczna. Właśnie obecnie w roku

1976 gorzki osad jaki pozostawił po sobie płytki i krzykliwy radykalizm lat sześćdziesiątych zakiełkował przywróceniem starych wzgardzonych przez Lewicę wartości, w których niepoślednią rolę odgrywa rewitalizacja ideałów chrześcijaństwa. Nie oznacza to bynajmniej powrotu do zamierzchłych i niepowtarzalnych kształtów społecznych, w których Ameryka tkwiła w latach pięćdziesiątych — tym mniej do ruchu wahadłowego nastrojów politycznych, przesuwających się od lewicy do prawicy i powrotem. Proces odradzania się impoderabiliów, trwalszych od cywilizacji chrześcijańskiej i powrót do politycznych koncepcji skrajnej prawicy — to dwie różne sprawy. Gdyby było inaczej, gdyby między tymi dwoma zjawiskami postawić znak równości, oznaczałoby to, że Ronald Reagan ma zapewnioną kandydaturę Partii Republikańskiej i stanowisko prezydenta Stanów. Tymczasem jedno i drugie jest więcej niż wątpliwe.

Populistyczny charakter wyboru Cartera łączy w sobie dwa elementy: tradycjonalizmu i antykonserwatyzmu. I w tym również nie ma żadnego przeciwieństwa. Tradycjonalizm — to restytucja wartości moralnych, o których wspominałem, a w których Carter szczególnie akcentuje motywy ewangeliczne. Antykonserwatyzm — to uznanie, że Ameryka w obecnej postaci bezustannego wewnętrznego fermentu i spięć nie może dalej istnieć, tak jak nie mogła istnieć (choć z innych przyczyn) u progu prezydentury Lincolna.

Przed nowym ambitnym kandydatem (jeśli nie stawia sobie jako głównego celu przedłużenia prezydentury na następną kadencję) stoją wręcz niebotyczne zadania. Operacja ratowania Ameryki przed zagładą, której przesłanki tkwią przede wszystkim w niej samej, musi być jednocześnie akcją wyprowadzenia jej na nowe nieznanne szlaki historyczne, które mogą stać się drogowskazem dla całego Zachodu. Nie wiem czy miliony Amerykanów, którzy głosować będą na Cartera, widzą w nim człowieka, który do tej roli dorósł, niemniej popularność jego wyrasta z tej właśnie nadziei i z pewności, że nie może nim być żaden z ludzi, których widziałyby u steru maszyna partyjna demokratów.

Przyszły prezydent Stanów obejmie swe stanowisko w przełomowym dla całego świata momencie. Jego przewodnią misją musi być prawidłowe rozpoznanie perspektyw rozwojowych świata. Prof. Z. Brzeziński, który czynnie wspomaga Cartera, może być w tym zadaniu człowiekiem niezastąpionym, bez względu na to jaką oficjalną funkcję pełnić będzie u boku nowego prezydenta (przy założeniu, że wybór padnie na Cartera). Oczywiście Zbigniew Brzeziński nie ma żadnej recepty na zbawienie Ameryki i Zachodu, ale jego dotychczasowa działalność badacza i historyka desygnują go szczególnie do roli doradcy w rozwiązaniu kluczowych problemów, w obliczu których stanie przyszły prezydent. Publicystyka prof. Brzezińskiego świadczy, że ma on pełną świadomość tego, że przyszłe lata nie będą zwykłym przedłużeniem historii, ale że post-industrialna epoka postawiła ludzkość i Amerykę na ryzykownym wirażu, przez który trzeba

przebrnąć. Jak? — tego nikt nie wie, ale wystarczająco ważnym jest, aby kierować polityką amerykańską bardziej dalekowzrocznie od kissingerowskiej metody zalepiania plastrami dymiących wulkanów.

Spuścizna ostatnich ośmiu lat może postawić prof. Brzezińskiego w sytuacji wyjątkowej, a waga jego odpowiedzialności (w wypadku wyboru Cartera) może przerastać wszystko, z czym borykali się doradcy amerykańskich prezydentów w ciągu ubiegłego stulecia*.

Ewentualna przyszła rola prof. Brzezińskiego nie ma żadnego oczywistego związku z polską grupą etniczną, do której z racji swego urodzenia należy. Niemniej właśnie dla Amerykanów polskiego pochodzenia otwiera się szansa odegrania czynnej roli w wypadku wyboru Cartera. Polacy amerykańscy, uczestnicząc bardziej aktywnie i angażując się śmieiej w operacji wyprowadzenia swojej obecnej ojczyzny na nowe historyczne drogi, mogą tym samym pomóc ojczyźnie swego pochodzenia. Nowa Ameryka nie musi i nie powinna być państwem, które obraca się w granicach dwóch alternatyw: dominowania nad światem lub całkowitej rezygnacji. Ratunek Stanów Zjednoczonych oznaczać będzie nie tylko wewnętrzne odrodzenie tego kraju, ale nadanie mu nowej roli w świecie. Położy to kres ambicjom sowieckim objęcia przez nich opróżnionego posterunku „żandarma świata” — żandarma, o tyle groźniejszego od innych, że w mundurze NKWD-ysty.

Te szanse oddziaływania na przyszłość Ameryki, a z nią reszty świata, powinni wykorzystać nie tylko amerykańscy Polacy, ale i inne grupy etniczne, których rodowód wywodzi się z krajów sowieckiego imperium. Działając w izolacji, polska grupa etniczna niewiele mogłaby zdziałać. Tworząc jednak coś w rodzaju

* Powyższe uwagi na temat prof. Brzezińskiego są wyłącznie domysłami i osobistymi poglądami autora niniejszej kroniki. Nie są one poparte żadną rozmową, tym mniej wywiadem z prof. Brzezińskim. Na marginesie należy również dodać, iż mimo wagi jaką przywiązuję do ewentualnej przyszłej roli prof. Brzezińskiego, uważam szereg jego ogólnie zresztą sformułowanych propozycji za błędne. Do takich zaliczam jego stanowisko w kwestii wyrównania dystansu jaki dzieli rozwinięty Zachód z zacofanymi krajami Trzeciego Świata. Wydaje się, że prof. Brzeziński nie docenia należycie niszcząco-pasożytniczej roli tamtejszych biurokracji i apatii ludów, nad którymi sprawują one władzę. Stara prawda, że pomóc sobie same, znajduje jeszcze raz gorzkie potwierdzenie w miliardach dolarów, które od wczesnych lat pięćdziesiątych utopiły Stany na pomoc dla Trzeciego Świata. Powtórnie podejmowane przez Amerykę wysiłki torpedowane są nie tylko złą wolą Sowietów, ale obojętnością rzekomo zainteresowanych rządów. Jednym z najświeższych dowodów jest fiasko inicjatywy amerykańskiej na ostatniej Konferencji w Nairobi, której celem było stworzenie nowego rezerwuaru kredytów dla najbardziej potrzebujących krajów Trzeciego Świata. Wniosek amerykański upadł 33-ma głosami przeciw 31, przy nieobecności przedstawicieli blisko 100 krajów, z których około połowa należała do państw gospodarczo zacofanych. (Według Associated Press, 2 czerwca 1976 r.).

alianisu amerykańskich Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Węgrów, Czechów, Słowaków i Bałtów, stanowiłaby poważną siłę. Nie byłaby to już żadna „grupa nacisku”, walcząca o lepsze miejsce przy amerykańskim stole. Przeciwnie — Polonia amerykańska, rozumiejąc lepiej i dalekowzroczniejsze interesy Ameryki i reszty świata od innych, mogłaby odegrać donioślejszą i chlubiętszą rolę niż kiedykolwiek zdarzyło się to Polakom od najwcześniejszych czasów kolonialnych. Czy potrafi?

Zbigniew BYRSKI

Sarasota (USA), 4 czerwca 1976 r.

Perspektywy afrykańskie

I

Rasizm jest jedną z najgroźniejszych plag, której ludzkość będzie musiała stawiać czoła — i to już w najbliższej przyszłości. Wystarczy przysłuchać się debatom w Narodach Zjednoczonych, by zdać sobie sprawę z tej groźby, bo miarą jej jest nienawiść inspirująca kolejne rezolucje Trzeciego Świata. Oczywiście można to zbagatelizować. Ale doświadczenie historii uczy, że lekceważenie pozornie słabego przeciwnika nie rozwiązuje problemu. Lekceważenie usypia. Zwykle kończy się ono zaskoczeniem. Wymowną ilustracją tej reguły jest OPEC, kartel państw produkujących ropę, dyktujący dziś ceny tego paliwa Zachodowi Europy, a którego powstanie było zaskoczeniem tak dla rządów zachodnich, jak i dla ekspertów przemysłu naftowego: ci ostatni przywykli w ciągu ostatnich lat zbywać lekceważąco pretensje wschodnich potentatów do udziału w decyzjach na temat cen ropy (a zaczęło się to wszystko od pociesznej postaci Mossadeka).

Na widnokręgu politycznym coraz wyraźniej zaczyna się rysować konflikt na osiach: Północ-Południe. Mówię — osiach — bo jest ich kilka: Zachód Europy *versus* kontynent afrykański, Stany Zjednoczone *versus* Ameryka Łacińska i w końcu Związek Sowiecki *versus* Chiny. Chodzi w nich o splot problemów ekonomicznych, o wyrównanie rachunków między sytym chrześcijaninem, a głodnym wyznawcą innych religii, między demokracją a ustrojami despotycznymi, między jedną a drugą wersją marksizmu*. Każdy z tych problemów — sam w sobie nie łatwy

* Mimo że antagonizmy rasowe odgrywają również rolę w konflikcie na osi Rosja-Chiny, to w dalszym ciągu tego artykułu nie będę się nimi zajmował, gdyż analiza ich wykraczałaby poza moją kompetencję.

do rozwiązania — podszyty jest jeszcze całym splotem antagonizmów rasowych, nadających im ładunek emocjonalny. A gdzie panują emocje, tam racjonalizmowi trudno dojść do głosu.

Nam, zamieszkałym na południowym cyplu Afryki, wydaje się nieraz że Europa nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z niebezpieczeństwa. Może zresztą chodzi tylko o inną perspektywę spojrzenia na świat. Ilustracją tego, co mam na myśli, może być na przykład artykuł sprzed paru miesięcy w *Le Monde*, w którym autor dowodzi, że obraz Rosji Sowieckiej nigdy w historii, od czasu rewolucji, nie był tak nieatrakcyjny, tak odpychający. Czytając ten artykuł serce we mnie rosło. Nareszcie — myślałem — czekaliśmy na to przeszło pół wieku. Ale po chwili przyszła refleksja: to wszystko prawda, ale jedynie z perspektywy europejskiej, nie naszej — afrykańskiej. U nas, zwłaszcza w tej chwili gdy mapa Afryki ustalona na przeciąg półtorej dekady zaczyna się przed naszymi oczyma konwulsyjnie przekształcać — obserwujemy coś wręcz przeciwnego, a mianowicie że obraz Rosji Sowieckiej nie jest wcale tak odpychający. — Co tam argumenty Sołżenicyna i Sacharowa...? Nie przemawiają one do Czarnego. Dla niego ważne jest to, że w walce wyzwoleniczej oni, komuniści, gotowi są nieść pomoc, dawać pieniądze, broń i instruktorów. To się liczy. Najważniejszym jednak powodem atrakcyjności Rosji wydaje się być to, że nie była zamieszana w długą i wstydliwą historię eksploatacji kolorowego przez białego.

„Formowanie kapitału — powiadają Czarnym propagandyści marksizmu — potrzebnego na uprzemysłowienie Zachodu odbyło się drogą wyzysku Trzeciego Świata. Spójrzcie na Anglię. Całe miasta wyrosły tu na handlu niewolnikami, całe przemysły powstały tu nieco później w dobie imperializmu. U nas w komunizmie akumulacja kapitału odbyła się kosztem wycinięcia go z mas pracujących. Skazaliśmy własnego brata, białego człowieka — i właśnie o to kapitalistyczny Zachód nas oskarża — by przez pół wieku jadł nieomaszczoną kaszę i dopiero teraz zaczyna nas stać na to, żeby mu dodać kiełbasy. My mamy czyste ręce, niesplamione waszą krwią i potem”.

Jak każda propaganda jest to może uproszczony pogląd na historię, ale za to bardzo przemawiający do wrażliwości Czarnego. Albowiem ta eksploatacja, która z perspektywy europejskiej wydawać się może peryferyjnym zjawiskiem w naszej kulturze, tu w Afryce wygląda na istotną i jedyną jej treść. Dlatego poczucie krzywdy wyrządzonej przez Zachód kolorowemu człowiekowi jest tak żywe, że żadna apologia oparta na determinizmie historycznym nie znajdzie tu posłuchu. Tym bardziej, że wszystkie uniwersytety Czarnej Afryki wpajają to przekonanie w głowy dziesiątków tysięcy studentów, przekonanie poparte setkami samo-biżujących publikacji na Zachodzie.

W rezultacie ustępujemy na tym kontynencie krok po kroku pod naporem ideologii marksistowskiej. Dziś w Mozambiku, Angoli, Beninie czy Somali, jutro w Namibii i Rodezji. W tej

chwili na 46 państw afrykańskich już 30-ci opowiedziało się za MPLA, ruchem wyzwoleniczym popieranym przez Moskwę.

Równocześnie z dnia na dzień kurczy się terytorialnie domena białego człowieka. Nieomal podskórnie czujemy na naszym zapleczu okopy św. Trójcy, gdzie przyjdzie nam stoczyć ostatni bój.

Zdawałoby się, że sprzysięgły się przeciw nam wszystkie siły historii. Ananke czy Nemezis? W naszym zrozumieniu — a nie europejskim — chodzi raczej o Nemezis, o zemstę. Historia odgrywa się i wystawia nam rachunek za grzechy praocjów.

II

Można by się w tym miejscu zastanowić dlaczego historia ostatnich czterystu lat wplątała właśnie chrześcijański Zachód w szereg zmieniających oblicze form wyzysku człowieka kolorowego: od handlu niewolnikami, poprzez imperializm w wydaniu europejskim czy amerykańskim, aż do neokolonializmu, co obecnie grozi rozpętaniami burzy nad naszymi głowami.

Odpowiedź na to, nawet w najogólniejszej formie, przekraczałyby ramy tego artykułu. Może wielkim uproszczeniem byłoby zasugerowanie, że poczucie wyższości grupy etnicznej, a więc szczepu, narodu, cywilizacji, powstaje niechybnie wówczas, gdy zetkną się dwie grupy, i jedna z nich stwierdzi, że różniące ją od drugiej cechy fizyczne czy osiągnięcia kulturalne nie pasują do jej własnej skali wartości.

Owo poczucie wyższości grupowej — powszechne niemal we wszystkich cywilizacjach* — jest niezbędnym, ale nie jedynym warunkiem wykształcenia się zespołu postaw, które nazywamy antagonizmem rasowym, czy rasizmem. Drugim warunkiem jest możliwość obrócenia tego poczucia wyższości na własną korzyść. Kombinacja obu tych czynników zaistniała właśnie w naszej zachodniej cywilizacji w wyniku zdobycia przez Europę nowych kontynentów. Stworzyło to perspektywy wykorzystania kolorowej siły roboczej na plantacjach i w kopalniach Nowego Świata na skalę, jakiej żadna inna cywilizacja w historii nie osiągnęła. Na nic zdały się opory wbudowane w chrześcijaństwo, które na równi z Islamem uznawało równość każdego człowieka przed Bogiem, niezależnie od koloru skóry, pod warunkiem że nawróci się na prawdziwą wiarę. Zapewne łagodziły one i opóźniały wykształcenie się antagonizmów rasowych, nie potrafiły jednak skutecznie im się przeciwstawić. Zwłaszcza, że w wyniku triumfu protestantyzmu na północy Europy Kościół Katolicki znalazł się niebawem w defensywie i był zmuszony iść na kompromis, godząc się milcząco na szereg merkantylnych praktyk.

Protestantyzm zaś, zwłaszcza jego kalwińska odmiana, z jej

* Mieli je Grecy, Rzymianie, Żydzi, Chińczycy i wiele innych.

teorią o predestynacji, dostarczył religijnego usprawiedliwienia dla eksploatacji posiednich ras, jako noszących w sobie *widome piętno* nie-upodobania ich przez Stwórcę. Ukoronowaniem tych postaw była koncepcja hańby, którą ściągają na całą swoją rasę Biali, wstępując do łoża kolorowej dziewczyny.

Różnice między katolicyzmem a protestantyzmem w znacznym stopniu tłumaczą fakt, że w krajach łańskich antagonizmy rasowe nie przybrały form równie drastycznych, jak w anglosaskiej Ameryce i Europie. Nawet niewolnictwo w Ameryce Południowej miało charakter bardziej paternalistyczny, a zatem bardziej ludzki.

Byłoby wielkim szczęściem dla białej rasy, gdyby rozdział rasizmu został zamknięty na handlu niewolnikami. Niestety stało się inaczej. Wrodzona naszej kulturze potrzeba racjonalizacji pchnęła pisarzy do nadania teorii rasizmu podstaw naukowych i filozoficznych.

Wydawało się po wojnie, że nauka nie poszła w las i że potworne doświadczenie hitleryzmu raz na zawsze oduczy ludzkość od flirtów z rasizmem. Tymczasem stało się inaczej. Po ciszy trwającej zaledwie trzy dekady, naukowcy, zrazu nieśmiało, a potem coraz śmielej zaczęli produkować „dowody” wyższości rasy białej nad czarną. „Dowody” te, oparte tym razem na danych statystycznych stwierdzających gorsze wyniki Murzynów w testach mierzących faktor IQ w porównaniu z Białymi, szybko poparto hipotezą, pochodzącą tym razem od psychologów, wedle której dziedziczność odgrywa przeważającą (bo wyrażającą się liczbą 80%, w porównaniu z wpływem otoczenia) rolę w kształtowaniu osobowości. Interpretacja tej hipotezy jest jednoznaczna: ani awans materialny, ani kulturalny nie są w stanie zaradzić rasowej niższości Czarnych.

Od czasu kalwinizmu rasiści nie rozporządzali tak przekonującym argumentem. Nic też dziwnego, że faszystująca skrajna prawica przyjęła tę hipotezę za udowodnioną. Pasowała ona bowiem jak ulał do ich politycznego credo Lewica zareagowała równie gwałtownie, obrzucając naukowców, odpowiedzialnych za tę hipotezę, zgniłymi jajkami.

Na próżno obiektywna krytyka naukowa — nie przecząc wiarygodności danych statystycznych — wskazuje na błędność tych wniosków, wytykając protagonistom pominięcie trzeciego czynnika formatywnego, tj. reakcji otoczenia na cechy dziedziczne jednostki, takie jak płeć, uroda, brzydota, wdzięk lub jego brak, które zdolne są radykalnie zmienić nastawienie otoczenia, nawet w kręgu rodzinnym, a więc nastawienie rodziców do dzieci. Wedle tej krytyki dziedziczność odgrywa rolę nie większą niż 45%, w porównaniu z 55% przypadającymi na otoczenie i jego reakcję na dziedziczne cechy jednostki.

Te spory na Olimpie naukowym noszą w sobie zarodek przyszłych katastrof. Nie można bowiem wykluczyć *a priori*, że wyższość rasy białej nad czarną w pomiarze jednego tylko para-

metru, jakim jest faktor IQ, może być naukowo udowodniona. W tym samym sensie w jakim pomiary zdolności do muzyki — gdyby takowe istniały — wskazywałyby prawdopodobnie na wyższość Czarnych nad Białymi. Takich parametrów osobowości jest więcej i można by ich listę przedłużać w nieskończoność. Jest wiele prawdopodobne, że ich pomiary wykazałyby różnice ilościowe między rasami, że suma tych różnic dodatnich i ujemnych miałyby tendencję zbliżenia się do zera.

Nieszczęście polega jednak na tym, że obecna chwila dziejowa faworyzuje w sposób widomy rasy posiadające większą zdolność przyswajania wiedzy. Nie zawsze tak w przeszłości było i niekoniecznie tak będzie. Na przykład nie jest wykluczone, że większa odporność na brak witaminy B w pożywieniu zadecyduje w przyszłości o biologicznym przeżyciu pewnych ras, a zaniku innych.

Ale w odczuciu przeciętnego Białego ten fakt widomego faworyzowania Białych decyduje o jego pewności, że jest członkiem rasy wyższej.

W obliczu eksplozji demograficznej, działającej konsekwentnie na niekorzyść Białych, takie teorie naukowe mogą w rękach demagogów przekształcić się łatwo w slogan polityczny, głoszący, że prawo do słońca i protein zarezerwowane jest przez Naturę dla Białych. Nie trzeba wiele wyobraźni, żeby przewidzieć jakie nieszczęścia taki slogan mógłby sprowadzić na ludzkość.

III

Przeżywamy obecnie drugą, przedostatnią, fazę emancypacji tego kontynentu. Pierwsza miała miejsce w latach sześćdziesiątych, gdy cała prawie Afryka, z wyjątkiem południowego cypla, uzyskała niepodległość. Obie te fazy mają odmienny styl. Porównanie ich jest niezmiernie pouczające. Odchodzący gubernatorowie w pirogach ozdobionych kogucimi piórami wręczali wówczas leaderom murzyńskim, przybranym podobnie jak oni w pudrowane peruki i solenne togi, pergamin z deklaracją o niepodległości. Wszystko odbywało się grzecznie, bez rozlewu krwi. Nie było ku temu powodu, bo emancypacja nastąpiła nie w wyniku powstań czy wojen wyzwoleniczych, ale na skutek nacisków rywalizujących ze sobą w nienawiści do imperializmu europejskiego dwu supermocarstw: Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej. Wówczas ogromna większość przywódców murzyńskich opowiedziała się za kapitalizmem — plus — demokracją parlamentarną; raz dlatego, że sami w taki lub inny sposób byli włączeni w kolonialny *establishment*, i byli zainteresowani w jego kontynuacji; po wtóre, że system z wbudowanym weń neo-kolonialnym przepiękstwem ofiarował im udział w *dolce vita* na jeszcze wyższym poziomie, niż było to — w ich rozumieniu — udziałem ustępujących gubernatorów. Banki szwajcarskie, w których do dnia

dzisiejszego rosną konta prywatne tych wodzów afrykańskich mogłyby, gdyby chciały, o tym zaświadczyć. Z pokusami tego rządu socjalizm, surowy socjalizm w wydaniu prezydenta Tanzanii Nyrere, nie mógł oczywiście konkurować.

Po piętnastu latach sytuacja zmieniła się radykalnie. Nowi przywódcy Angoli, Zimbabawe (Rodezji), Mozambiku i Namibii (Afryka Południowo-Zachodnia) zahartowani w długoletnich bojach wyzwoleniczych, ukształtowani w uniwersytetach Lumumby, w Pradze czy Kijowie, zbrojeni przez Rosję — gdyż sprzymierzony z Portugalią Zachód nie chciał dostarczać im broni — już samym swoim strojem podkreślają nowy styl. Znikły haftowane togi i pióropusze, zastąpiono je kurtkami kroju à la Mao. Już nie kulo-odporne czarne Mercedesy są pojazdami, w których dają się widzieć tłumom, ale obłocone łażiki *made in ZSSR* (na licencji).

Inne jest także podejście do problemów gospodarczych. Nie mówi się wiele o uprzemysłowieniu, za to więcej o reformie rolnej, która w kontekście afrykańskim oznacza zmianę struktury własności ziemskiej ze szczerpowej na spółdzielczą.

Na ulicach stolic nowo-niepodległych państw ogromnych rozmiarów plakaty z wizerunkiem szefa proklamują slogany: Praca od podstaw, alfabetyzacja, kursy dokształcające dla dorosłych, higiena osobista... Wprowadza się dnie: walki z rasizmem, alfabetyzmem. Ostatnio wprowadzono nawet Dzień Latryny. Minister z łopata w rękę wykopał własnoręcznie od śniadania do obiadu cztery latryny. Kto pobije rekord pana ministra wykopując w tym samym czasie pięć?

Ten nowy styl emancypacji Afryki jest wyraźnie anty-biały, przesiąknięty mściwością, zdecydowany odegrać się za doznane od Białego krzywdy i upokorzenia, zetrzeć z powierzchni kontynentu wszelkie ślady kolonialnej przeszłości. Wysadzony pomnik Lessepse, z głową wbity w afrykański piach — który oglądałem w latach pięćdziesiątych u wlotu Kanału Sueskiego — zapoczątkował długą kolejkę Diazów, de Gama'ów i Livingstonów, którzy podzielili jego los. Równocześnie znikają z mapy nazwy, świadczące o odkryciu Afryki przez europejskich eksploratorów. Mało który Europejczyk odważy się dziś na zebraniu wielorasowym wysunąć twierdzenie, że Livingstone odkrył Victoria Falls, bo wie, że byłoby to przyjęte salwą ironicznym śmiechów: — Odkryliście wodospady Victorii?? Wam się tylko tak wydaje panowie Biali, my Czarni wiedzieliśmy o ich istnieniu od zawsze.

IV

Przyszłość Białych w Afryce Południowej nie przedstawia się w tej sytuacji zbyt różowo. Staliśmy się w opinii całego świata uosobieniem rasizmu. Byle kacyk murzyński, z rękami utyłtymi po łokcie we krwi własnych pobratymców, urąga nam z pu-

blicznych trybun i nikt nie śmie mu zaoponować — a jak się odważy, to go usuwają z posady. Naciski na małą skalę, zapoczątkowane trzydzieści lat temu, zorkiestrowane są dziś w jeden chór protestu i potępienia. Ci, którzy nami rządzą, zachęceni dwutorowością polityki Zachodu, którego oficjalne gromy potępienia bynajmniej nie tamowały płynącej z Europy rzeki pieniądza, inwestowanego w nasze bogactwa kopalniane — nauczyli się kpić z tych pogrózek.

Na swoje nieszczęście nasi politycy wydają się nie doceniać tego, że na politykę rasizmu mogli sobie pozwolić wtedy, gdy Południowa Afryka była niedosiężna za swoimi oceanami, pustyniami i za łańcuchem krajów, rządzonych przez zaprzyjaźnionego kolonialistę.

Dziś bastiony te leżą w gruzach. Niedługo już oskrzydleni będziemy z trzech stron, wzdłuż granicy liczącej 3.000 kilometrów, na której staniemy twarz w twarz ze zjednoczonym mściwością Czarnym Spartakusem.

Jest coś głęboko tragicznego w losie narodu burskiego, dziedzica przekazanej mu przez zachodnią cywilizację idei rasizmu, że za nią — za tę ideę — przyjdzie mu stoczyć ostatni bój. Ostatni bój — bowiem w odróżnieniu od innych kolonialnych narodów europejskich ojczyzną Bura jest ten afrykański cypel, z którego nie może i nie umiałyby się wycofać.

Na ten bój szykuje się już psychicznie. Jego przywódcy raz po raz wzywają do czujności i nieugiętości, stawiając mu za wzór państwo Izraela.

Może przemawia przeze mnie pesymizm, może raczej mają ci, którzy twierdzą że wysoce zróżnicowana gospodarka Afryki Południowej, najbogatszego kraju na tym kontynencie, podyktuje Czarnym — nawet po przejęciu przez nich inicjatywy politycznej — politykę współpracy z Białym, bez którego gospodarka kraju zawałiłaby się z dnia na dzień, jak domek z kart. Odpowiadam nauczony życiowym doświadczeniem: rewolucje nie rządzą się rozumem, ale pasją polityczną; mają predylekcję do tego, by łąny pszeniczne zamieniać w pustynie, na których później z trudem wychuchują nieśmiały kiełek życia.

Włodzimierz LEDOCHÓWSKI

(Artykuł W. Ledóchowskiego otwiera na łamach *Kultury* dyskusję na temat Afryki).

Co Robić?

Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju

OD REDAKCJI

W numerze majowym z ubiegłego roku wyodrębniliśmy w osobnym dziale trzy artykuły (dwa z kraju i jeden z emigracji), „otwierając dyskusję na zbyt długo odwiekany temat CO ROBIĆ?”. Dyskusja toczyła się w dalszych numerach, śledzona z wielkim zainteresowaniem przez naszych czytelników emigracyjnych i krajowych. Teraz następuje w niej punkt zwrotny, ważny i od początku przez nas oczekiwany.

Pierwszą serię artykułów w nowym dziale CO ROBIĆ? otwierał nadesłany z kraju głos Mariana Kowalskiego *O potrzebie programu*. Tytuł mówił sam za siebie, przez chwilę zastanawialiśmy się nawet czy nie użyć go jako nazwy dla całego działu, skoro celem dyskusji było w naszych intencjach właśnie sprowokowanie naszych przyjaciół w kraju do opracowania programu. Kowalski pisał jednak w swoim artykule: „Najważniejszym, a zarazem w najmniejszym stopniu wypełnianym, zadaniem *emigracji* jest wytworzenie alternatywnych programów politycznych dla Polaków... W sformułowaniu całościowych i dalekowszocznych programów, przeznaczonych dla Polaków w kraju i na obczyźnie, nikt emigracji nie zastąpi!”. Byliśmy odmiennego zdania i daliśmy temu wyraz w jednym z komentarzy redakcyjnych, wyjaśniając dlaczego według nas program musi powstać w kraju. Mieliśmy rację. Jak gdyby w odpowiedzi na nasze naciski, i zapewne w dużej mierze dzięki zapoczątkowanej przez nas dyskusji, otrzymujemy z kraju program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Nie trzeba tłumaczyć wagi tego dokumentu; wystarczy powiedzieć, że jest pierwszym poważnym programem alternatywnym, jaki powstał w Polsce od końca wojny.

Ale powstał to nie znaczy: jest doskonały, bezbłędny, wyczerpujący. Pod jednym względem miał słuszność Kowalski: „Sam fakt, że zakres dostępnych w kraju informacji i naocznych obserwacji politycznych, gospodarczych i społecznych jest tak ograniczony, utrudnia składanie całościowych obrazów współczesnego świata i jego perspektyw rozwojowych”. Zdają sobie z tego sprawę również autorzy programu PPN, prosząc nas nie tylko o wydrukowanie jego tekstu, lecz o wezwanie do dyskusji nad nim naszych czytelników emigracyjnych i krajowych. Na tym więc polega punkt zwrotny, o którym była mowa wyżej: odtąd w dziale CO ROBIĆ? drukować będziemy jedynie głosy na temat programu PPN; aż do dnia (niezbyt odle-

głego, miejmy nadzieję) otrzymania przez nas z kraju poprawionego i uzupełnionego, w jakimś sensie definitywnego programu PPN.

O autorach drukowanego niżej tekstu nie wolno nam nie powiedzieć, poza jedną informacją, użyteczną być może dla przyszłych dyskutantów: reprezentując różne poglądy polityczne na wspólnej płaszczyźnie *Porozumienia Niepodległościowego*, wiekami nie wykraczają poza pięćdziesiąt pięć lat.

Oficjalne ugrupowania w Polsce nie dają społeczeństwu możliwości regularnego wpływania na politykę wewnętrzną i zagraniczną państwa ani nie umożliwiają kontroli nad organami władzy. Wręcz przeciwnie, życzenia i nastroje społeczeństwa są coraz bardziej lekceważone, a działanie aparatu partyjno-państwowego zmierza jednoznacznie w kierunku dalszego ograniczania swobód, wywalczonych przez naród w latach 1956 i 1970. Przyjrzenie się sytuacji międzynarodowej przekonywa, że bezsensowne jest liczenie na to, by dzięki zagranicznym wpływom czy naciskom mogły w Polsce nastąpić jakiegokolwiek przemiany na lepsze. Niezbędne jest w tym celu przede wszystkim działanie samych Polaków.

Wiele przejawów wskazuje na to, że rośnie w naszym kraju poczucie potrzeby programu, który nie tylko wyrażałby niezadowolone społeczeństwo ale zawierałby konkretne postulaty i wskazał dalekosiężne cele. Coraz powszechniej i silniej odczuwana jest potrzeba wyjścia poza doraźne protesty i jasnego sformułowania pozytywnych dążeń większości narodu.

Ogłaszając niniejszy program dajemy wyraz naszym głębokim i przemyślanym przekonaniom. Wzywamy do rozważenia go, a przede wszystkim do podejmowania, przy każdej sposobności, działań zmierzających do jego realizacji. Zwracamy się z apelem do wszystkich Polaków, którzy szczerze pragną niepodległości Ojczyzny i poprawy jej bytu. Wiemy, że nie brak ich również wśród członków partii.

Ogłaszając nasz program chcemy dostarczyć ogólnych podstaw do oceny postępowania poszczególnych polityków i ugrupowań, a także oceny zmieniającej się sytuacji wewnątrzpaństwowej i międzynarodowej. Społeczeństwo nasze rozbite jest na grupy i sfery, których porozumiewanie się i współdziałanie partia stara się wszelkimi sposobami uniemożliwić. Chcemy, aby istnienie programu pozwoliło na zogniskowanie myśli i umożliwiło w chwilach sposobnych skoordynowanie działań ludzi którzy, chociaż pozbawieni wspólnoty organizacyjnej, jednoczeni będą wizją wspólnych celów.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe łączy ludzi z różnych środowisk. Różnimy się ze sobą w poglądach na niejedno szczegółowe zagadnienie polityczne i ekonomiczne. Zgadzaamy się jed-

nak w sprawach podstawowych. Program jest właśnie wyrazem tego zasadniczego porozumienia. Jest ono możliwe, ponieważ interesy wszystkich Polaków są w tej chwili zasadniczo zbieżne.

Kraje tak zwanego „obozu socjalistycznego”, to jest państwa podporządkowane Moskwie, włącznie z ZSRR, znajdują się w stanie ciągłego chociaż ukrywanego kryzysu. Wywołany on jest rosnącymi napięciami wewnętrznymi, niezadowolaniem uciskanych narodów, złym funkcjonowaniem gospodarki całego systemu, pozostawaniem w tyle za krajami rozwijającymi się swobodnie pod względem technologicznym, społecznym i kulturalnym. Kryzys ten musi nieuchronnie przybrać formy otwarte, zarówno wewnątrz jak międzynarodowo. Jego ubocznym przejawem jest postępujący rozpad międzynarodowego ruchu komunistycznego, wyłamującego się spod dyktatu Rosji.

Nie można przewidzieć chwili, kiedy kryzys wybuchnie z pełną ostrością. Może go nagle przyspieszyć awanturnicza polityka ZSRR, przesłaniającego konflikty wewnętrzne agresywnością na arenie międzynarodowej. Może rozpocząć się od Polski. Musimy być na tę chwilę przygotowani i posiadać świadomość nie tylko dezaprobaty dla naszej obecnej sytuacji, ale również celów które chcemy osiągnąć. Tylko wówczas będziemy zdolni wybierać odpowiednie środki. Musimy dołożyć wysiłków aby występować solidarnie, nie dopuszczając do tego, aby o gwałcone prawa całego narodu dopominała się tylko jedna grupa społeczna.

Opieramy nasz program na następujących założeniach:

1. Naród, w sensie zbiorowości ludzi poczuwających się do narodowej solidarności, jest suwerenem, to jest ma niezbywalne prawo swobodnego decydowania o własnym losie.
2. Wszyscy obywatele państwa są bezwzględnie równi wobec prawa i powinni mieć udostępnione jednakowe możliwości prowadzenia swego życia.
3. Przytłaczająca większość Polaków to ludzie wierzący; wśród nich większość stanowią katolicy. Panujący w Polsce porządek polityczny nie może być oparty na dyskryminowaniu tej większości.
4. W tradycjach państwowości polskiej i narodu polskiego leży stałe rozszerzanie zakresu swobód obywatelskich, wciąganie coraz to nowych grup społecznych do dzieła rządzenia krajem i współodpowiedzialności za jego losy. Polska myśl polityczna od XVI wieku poczynając znajdowała się w czołówce światowej myśli demokratycznej i wolnościowej. Narzucony nam system totalitarnej autokracji jest obcy tradycjom narodowym, anachroniczny i upokarzający.

5. Naród i państwo polskie należą historycznie do wielkiej rodziny krajów Europy zachodniej i środkowej, dziedziców cywilizacji grecko-łacińskiej i chrześcijańskiej. Te bezcenne tradycje winniśmy kontynuować, zacieśniając więzy z krajami duchowo nam bliskimi.

Polskiemu Porozumieniu Niepodległościowemu przyświecają następujące ogólne cele:

1. Odzyskanie przez Polskę rzeczywistej suwerenności.
2. Uczynienie wszystkich Polaków współgospodarzami naszej Ojczyzny, umożliwienie im uczestnictwa w jej rządzeniu.
3. Wprowadzenie w życie swobód obywatelskich, zgodnych z duchem naszej przeszłości i rozwojem wolnych krajów Europy.
4. Stworzenie ram prawnych i organizacyjnych, gwarantujących powstanie i trwałość wielopartyjnej demokracji w Polsce.
5. Dobrobyt mierzony poczuciem ludzi, nie naciąganyymi przekroczeniami wymaganymi planów; postęp gospodarki narodowej bez ciągłego wymagania poświęceń i wyrzeczeń od wielomilionowych rzesz pracujących.
6. Swobodny i wszechstronny rozwój kultury i nauki polskiej.
7. Szerokie otwarcie okien na świat, swoboda poruszania się, wymiany myśli i wiadomości.

Opierając się na powyższych założeniach i dążąc do wymienionych celów przedstawiamy program, ujęty w 26 punktach. Każdy z nich zawiera krótką ocenę sytuacji bieżącej oraz formułuje postulat jej zmiany.

Program ten jest programem całościowym, przewidującym pełną przebudowę polskiej państwowości i życia społeczno-gospodarczego. Poszczególne jego składniki dają się jednak realizować niezależnie od innych, bez wyczekiwania na taką generalną zmianę naszego bytu. Niektóre elementy można wcielić w życie, wykorzystując istniejące nawet obecnie możliwości i uprawnienia. Jest to więc zarazem program ewolucyjny.

1. Wobec ścisłego dzisiaj wzajemnego uzależnienia wszystkich krajów globu oraz wobec podziału świata na obozy i bloki państw o różnych ustrojach i kierowniczych ideologiach, państwa mniejsze, jak Polska, muszą wchodzić w układy i sojusze z państwami ościennymi i wielkimi mocarstwami. Jednakże przynależność do takich sojuszków i zawieranie takich układów winno opierać się na swobodnie wypowiedzianej woli narodu.

Uważamy, że wszystkie zawarte przez PRL w okresie powojennym porozumienia, w jakikolwiek sposób ograniczające suwe-

renność Rzeczypospolitej, są z punktu widzenia woli narodu nieważne i wymuszone. Tylko swobodnie wybrany, działający bez obcych nacisków sejm polski ma prawo podejmowania zobowiązań, wiążących Polaków prawnie i w ich obywatelskim sumieniu.

2. Doświadczenia ostatnich lat 30 wywołały niemal całkowitą utratę zaufania społeczeństwa do aparatu władzy państwowej. Powoduje to powszechny cynizm i grozi anarchią, niebezpieczną tak dla narodu, jak i dla każdego rządu. Powojenny system państwowy oparty jest na tajemnicy i zakłamaniu. Za zasłoną obłudnych sloganów partia i rząd ukrywają przed społeczeństwem informacje o rzeczywistym sposobie podejmowania decyzji, dotyczących całego narodu i codziennego życia każdego obywatela. Co najwyżej powiadamia się społeczeństwo o postanowieniach już zapadłych — zwykle wówczas, kiedy skutki tych postanowień są już odczuwalne. Tajność, wywodząca się z tradycji rosyjskich, jest wyrazem pogardy władzy dla poddanych. Tajność ta nie służy interesom państwa, tylko interesowi rządzącej kliki.

Wszelka władza pochodzić ma od narodu i być przed narodem stale odpowiedzialna, pełni bowiem względem niego rolę służebną. Rządzący powinni być zależni od rządzonych, a nie odwrotnie — oto podstawa demokracji. Rząd i inne organa władzy wykonawczej powinny podlegać sejmowi i innym organom władzy ustawodawczej, swobodnie obieranym przez społeczeństwo.

Należy wprowadzić do stosunków społecznych i politycznych zasady otwartości i zaufania. Obywatele mają prawo znać prawdę o wszystkim, co ich dotyczy.

3. Prawna i ekonomiczna dyskryminacja coraz to innych grup społeczeństwa (chłopów, rzemieślników, zgromadzeń zakonnych, wszystkich wierzących, itd.), połączona ze sztucznym, niezależnym od jakichkolwiek rzeczywistych zasług (poza zasługą konformizmu i nadskakiwania) wywyższaniem i uprzywilejowaniem członków partii i innych popleczników reżymu, są krzywdzące i prowadzą do znacznego zubożenia narodowego potencjału ludzkiego. Pełniejsze wykorzystanie uzdolnień organizacyjnych i kierowniczych jest dziś niemożliwe bez przynależności do partii. Jednakże przynależność do partii wymaga wyrzeczenia się samodzielności i swobody sumienia, podporządkowania zmiennym decyzjom zwierzchników w Moskwie i Warszawie. Skutkiem działania tego błędnego koła setki tysięcy ludzi nie mogą wykorzystywać swoich możliwości, umiejętności i inicjatywy; bardzo wielu zostało okresowo lub na stałe zepchniętych na margines życia; tysiące wyemigrowały legalnie lub nielegalnie.

Przywrócenie całkowitego równouprawnienia wszystkich obywateli państwa, bez względu na ich pochodzenie, wyznanie i

przynależność organizacyjną, jest naczelnym warunkiem uzdrowienia sytuacji. Jest również niezbędnym warunkiem poprawy działania aparatu administracyjnego, do którego należy wprowadzić tysiące zdolnych i ambitnych ludzi na miejsce posłusznych mierot i partyjnych potakiwaczy.

4. Toniemy w zakłamaniu. „Suwerenność” oznacza posłuszeństwo wobec ZSRR; „bezpieczeństwo” — wszędobylską tajną policję; „wolność” — brak możliwości wyboru.

Trzeba oczyścić życie publiczne z pokładów fałszu, który nas upokarza, ośłupia i dławi, który sprawia, że nasze dzieci uczą się kłamać od najmłodszych lat, a nasze życie dojrzałe upływa w atmosferze udawania, rozgoryczenia i cynizmu. Słowom Ojczyzna, niepodległość, demokracja, wolność, socjalizm, równość i sprawiedliwość musimy przywrócić należne im znaczenie i szacunek.

5. Jednym z najbardziej niszczących rezultatów działania narzuconych nam rządów komunistycznych jest zupełna utrata niezależności przez sądy. Uleganie sądom wszystkich instancji presjom aparatu partyjnego, który odgrywa również decydującą rolę przy mianowaniu sędziów i sprawuje bezpośrednią kontrolę nad działalnością prokuratur, jest powszechnie znane. Przewaga organów śledczych we wszystkich postępowaniach sądowniczych jest coraz wyraźniejsza. Sędziowie ani prokuratorzy nie ośmielają się kwestionować twierdzeń funkcjonariuszy M.S.W. Grozi to powrotem do metod stalinowskiego terroru policyjnego. Odbudowa niezależnego sądownictwa należy do głównych zadań, stojących przed narodem polskim. Nieusuwalność sędziów, mianowanych przez obieralnych przedstawicieli społeczeństwa winna być wstępnym krokiem w tym kierunku. Wszyscy obywatele powinni dziś domagać się usilnie przestrzegania praworządności. Dotyczy to zwłaszcza pracowników wymiaru sprawiedliwości i adwokatów, którym grozi całkowita kompromitacja moralna w oczach społeczeństwa.

6. Kontrola społeczna, to znaczy wgląd społeczeństwa w podejmowanie i wykonywanie decyzji przez państwo i podległe mu instytucje i przedsiębiorstwa, nie istnieje w Polsce na żadnym szczeblu. Sejm jest parodią sejmu, organem czysto dekoracyjnym; rady narodowe, praktycznie nominowane przez aparat partyjny, tylko na tyle mogą wykonywać swoje teoretyczne uprawnienia, na ile im odpowiedni komitet partyjny pozwoli. Nawet funkcjonowanie wiejskich ośrodków maszynowych czy lokalnych sklepów spożywczych nie może być przedmiotem badania lub interwencji niezależnych od partii grup społecznych. Nawet ujawnie-

nie nadużyć albo tzw. łamania praworządności nie daje społeczeństwu wglądu w działanie aparatu administracyjno-państwowego, który we własnym zakresie sprawę „załatwia” albo tuszuje — jak zatuszował dochodzenie w sprawie masakry na Wybrzeżu w 1970 i pożarów w Warszawie pięć lat później.

Stoimy na stanowisku, że w państwie władzę najwyższą sprawować ma naród przez wybranych przez siebie w swobodnym, równym, tajnym, bezpośrednim i proporcjonalnym głosowaniu przedstawicieli. Poczynając od sejmu jako władzy najwyższej na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach działalności państwowej, administracyjnej i gospodarczej, swobodnie wybrani przedstawiciele społeczeństwa a także indywidualni obywatele mają mieć prawo i możliwość kontroli spełniania obowiązków i stosowania praw. Tymczasem należy pełniej wykorzystywać możliwości kontrolnego działania związków zawodowych.

7. Wolność słowa jest teoretycznie zagwarantowana nawet przez konstytucję PRL. Sprzeczne z tą zasadą jest działanie urzędów kontroli prasy, publikacji i widowisk. Powołane zostały na mocy dekretu, a zasady ich funkcjonowania nie zostały nigdy ujęte żadnym aktem prawnym ani publicznie dostępną instrukcją. Stanowią one trwałą obelgę, rzucaną w twarz narodowi, słyszemu ze swojego przywiązania do swobód obywatelskich.

Wolność słowa to swoboda rozpowszechniania informacji o faktach i swoboda wymiany myśli. Brak pierwszej swobody sprawia, że nie znamy prawdy o naszym własnym kraju ani o tym, co dzieje się poza jego granicami. Od trzydziestu lat systematycznie ośłupiani przemilczaniem i przekręcaniem informacji, stajemy się bezradni i zagubieni w obliczu rzeczywistości. Grozi nam zepchnięcie na ten poziom ignorancji i ośłupienia, na który sprowadziła ludność ZSRR tamtejsza propaganda i cenzura.

Brak swobody wymiany myśli uniemożliwia zdrowy rozwój narodu. Okłamując społeczeństwo rząd okłamuje w końcu sam siebie. Przyczyniło się to niejednokrotnie do krwawych tragedii (Poznań 1956, Wybrzeże 1970). I dziś widzimy, jak zatrzaskając rośnie przepaść między tym, co głosi oficjalna propaganda, a tym, co wiedzą, myślą i mówią prywatnie obywatele.

Wolność słowa to nie luksus dla intelektualistów, ale artykuł pierwszej potrzeby dla wszystkich. Przywrócenie wolności słowa jest jednym z naszych podstawowych zadań. Należy udostępnić środki masowego przekazu ludziom, którzy będą społeczeństwo bezstronnie informować o tym, co się dzieje na świecie i w Polsce. Dotyczy to przede wszystkim radia i telewizji. Należy zezwolić na zakładanie niezależnych pism i wydawnictw. Nikt nie powinien być karany za wypowiedanie swoich opinii politycz-

nych i ideowych, za rozpowszechnianie informacji o faktach, za kolportowanie książek i druków.

8. Jedynym stowarzyszeniem, działającym w Polsce w sposób nieskrępowany, jest partia. Inne są przez nią kontrolowane, ograniczane lub korumpowane. Zakładanie nowych stowarzyszeń jest praktycznie uniemożliwione, ponieważ muszą one wchodzić w skład „Frontu Jedności Narodu”, któremu przewodzi partia. Przeciwnie, partia dąży do scalenia nawet tych organizacji, nad którymi sprawuje skuteczną kontrolę, jak związki młodzieżowe. Dążeniem partii jest bowiem przemiana społeczeństwa w potulne i jednolite stado, oraz niedopuszczanie, by ludzie czuli się solidarni z innymi, dobrowolnie zrzeszonymi obywatelami.

Postulaty zaufania między społeczeństwem a władzą, pełnej równości, oraz kontroli społecznej nie dadzą się zrealizować bez wprowadzenia w życie wolności stowarzyszeń — politycznych, społecznych, religijnych i kulturalnych. Istnienie ich stanowić będzie najlepszą gwarancję demokratycznych stosunków między władzą a społeczeństwem. Stowarzyszenia takie będą się mogły przekształcać w stronnictwa polityczne w ramach systemu otwartej demokracji wielopartyjnej.

9. Wychowanie dzieci i młodzieży w PRL coraz wyraźniej stawiane ma za cel nie kształtowanie umysłów i charakterów, ale formowanie posłuszných obywateli. Ogranicza się nauczanie historii ojczystej, wiedzę o świecie współczesnym zastąpiono sloganami, tępi się objawy niezależności myśli i przekonań. Od nauczycielstwa wymaga się rezygnacji z samodzielnej i zaszczytnej roli wychowawców, a zamiast tego narzuca obowiązek biernego transmitowania odgórnych poleceń. Szkoła polska staje się coraz bardziej szkołą zakłamania i oportunistów.

Wywołuje to niszczące skutki pedagogiczne i rujnuje autorytet moralny polskiego nauczycielstwa, które tak chlubnie zapisało się w naszej historii. Tysiące ludzi o powołaniu pedagogicznym zajmuje się innymi pracami, nie mogąc znieść tej poniżającej sytuacji.

Domagamy się szkoły swobodnej od zakłamania, strachu i nacisków polityczno-policyjnych. Szkoły, która przywróci nauczycielowi polskiemu jego wielką godność. Szkoły, kształcącej samodzielność myślenia, odwagę cywilną, prawość charakterów.

W chwili obecnej na nauczycielstwie polskim ciąży trudny obowiązek maksymalnej uczciwości wobec patriotycznego sumienia; na uczniach obowiązek wczuwania się w tragiczną często sytuację ich nauczycieli.

10. Rozwój nauki polskiej został w ostatnich latach zahamo-

wany przez bezwzględne ingerencje organów partyjnych i MSW w prace uniwersytetów i Polskiej Akademii Nauk. Narzuca się plany pracy, ogranicza swobodę badań i wykładów, zamienia kierowników placówek naukowych na posłusznych wykonawców zmiennych zachcianek władz, śledzi studentów, szykanuje odważniejszych pracowników nauki. Powoduje to nieobliczalne straty dla kultury i gospodarki narodowej i sprawia, że nauka polska zostaje szybko w tyle za nauką światową.

Uniwersytety polskie muszą odzyskać autonomię. Wybory do władz akademickich winny się odbywać bez jakichkolwiek nacisków polityczno-policyjnych. Polska Akademia Nauk musi odzyskać status samorządnego ciała, złożonego z uczonych o najcenniejszym dorobku i najwyższym autorytecie.

11. Kościół Rzymsko-Katolicki pełnił w Polsce od wieków wielką rolę nie tylko religijną, ale społeczną i moralno-wychowawczą. W okresie powojennym spełnianie ról społecznej i wychowawczej zostało utrudnione lub uniemożliwione przez zamykanie szkół, likwidację wielu ośrodków i organizacji, odbieranie szpitali i zakładów opiekuńczych. Spowodowało to m.in. spadek poziomu opieki nad chorymi i niedołączonymi w Polsce. Nauka religii, usunięta ze szkół, jest utrudniana i poza szkołami. Na olbrzymie przeszkody natrafia budowa nowych kościołów. Uniemożliwia się swobodną działalność społeczną parafii. Otwarte uprawianie praktyk religijnych bywa coraz częściej przyczyną szykan w stosunku do nauczycieli, wychowawców młodzieży, wojskowych, pracowników administracji. Jest to nie tylko sprzeczne z zagwarantowaną konstytucyjnie swobodą religijną, ale prowadzi do zaprzepaszczenia możliwości wychowawczych Kościoła, bezcennych w dobie masowych ruchów ludności i przemian społecznych.

Kościół katolicki, który umocnił swój olbrzymi autorytet moralny oporem przeciw okupantowi i oporem przeciw komunistycznym prześladowaniom, powinien odzyskać pełną swobodę działania i możliwość wykonywania wszystkich swoich funkcji. Doniosłość roli tej potężnej instytucji powinna znaleźć odbicie prawno-polityczne. Stać się to powinno w ramach całkowitej tolerancji i poszanowania dla innych wyznań i światopoglądów.

12. Rola Polski w ostatniej wojnie, ogromne ofiary poniesione wówczas przez cały kraj, olbrzymi wysiłek narodu w okresie powojennym, oraz możliwości ludzkie i gospodarcze 35-milionowego państwa dają nam potencjalnie duży autorytet na arenie międzynarodowej. Autorytet ten jest trwoniony a imię Państwa Polskiego wielokrotnie kompromitowane przez niewolnicze odgrywanie roli posłusznego satelity ZSRR.

Polityka zagraniczna Polski winna być prowadzona w zgodzie z wolnościowymi tradycjami naszego państwa i jego obecnymi interesami. Tylko w ten sposób możemy odzyskać międzynarodową pozycję państwa niezależnego, którego głos liczy się przy rozpatrywaniu istotnych problemów współczesnego świata.

13. Stosunki z Rosją są dla polskiej polityki zagranicznej sprawą najistotniejszą. Oficjalnie oparte są na przyjaźni, wzajemnej pomocy i naszej wdzięczności. Omija się fakt nieprzeliczonych krzywd, doznanych od Rosjan przez naród polski w ciągu ostatnich dwu wieków. Zupełnym milczeniem pokrywa sprawę niesprowokowanej napaści na Polskę w roku 1939 przez sprzymierzony z faszystowskimi Niemcami Związek Radziecki, późniejszą wywózkę milionów obywateli polskich, ich straszliwe cierpienia, śmierć wielu tysięcy, wymordowanie większości inteligencji polskiej na ziemiach wschodnich, zbrodnię katyńską. Prawi się o wdzięczności zapominając, że zanim będziemy mogli czuć za cokolwiek wdzięczność — musimy przebaczyć. Trudno przebaczyć, skoro strona winna, wobec której nie dopuszczaliśmy się agresji ani prowokacji, swoją winę starannie pomija a jednocześnie kontynuuje politykę twardej dominacji.

Tylko oparcie wzajemnych stosunków na szczerości i ujawnieniu krzywd, wyrządzonych Polsce, postawienie ich na płaszczyźnie rzeczywistości suwerennego równouprawnienia, może w przyszłości doprowadzić do autentycznej przyjaźni między narodami Polski i Rosji, do zablźnienia wiekowych ran.

Rząd w Moskwie musi zdać sobie sprawę, że trwanie stanu obecnego stale zwiększa niechęć, a nawet nienawiść Polaków do Rosji, że stwarza napięcia, które mogą doprowadzić do tragicznych konsekwencji. Interesy Polski i Rosji nie muszą być sprzeczne; tylko uporczywa zaborczość i głupota rządów sprzeczność taką obecnie wywołuje.

14. Nie jesteśmy sąsiadami Rosji. Naszymi wschodnimi sąsiadami są Ukraina, Białoruś, Litwa. Z krajami tymi wiąże nas wielowiekowe współistnienie — bardziej lub mniej zgodne, nieraz zakłócanie nadmierną ekspansywnością Polaków, ale dobrowolne — w ramach jednego państwa: polskiej Wspólnoty Narodów. Narody ukraiński, białoruski, litewski i łotewski nie są dziś niepodległe; zostały przemocą włączone do Związku Radzieckiego i są poddawane znacznie ostrzejszym, niż nasz, rygorom politycznym, ideowym i religijnym. Prowadzona jest względem nich nieustająca akcja rusyfikacyjna. Wielowiekowa wspólnota nie pozwala nam patrzeć na to obojętnie, ani z milczącym tylko współczuciem. Wyrażamy gorącą solidarność i poparcie dla dążności

tych narodów do uniezależnienia się od rosyjskiej przemocy. Powinniśmy je w tych dążeniach popierać w miarę naszych własnych możliwości.

Nie wysuwamy wobec naszych wschodnich sąsiadów roszczeń terytorialnych, chociaż utrata Lwowa i Wilna, miast odwiecznie związanych z kulturą polską, jest dla nas i pozostanie ogromnie bolesna. Domagamy się natomiast od wszystkich rządów, jakie będą sprawować władzę na dawnych terytoriach Rzeczypospolitej — terytoriach oderwanych od niej mocą zewnętrznych decyzji, nie poddanych zatwierdzeniu żadnego z bezpośrednio zainteresowanych narodów — aby zagwarantowały zamieszkującym na tych ziemiach Polakom równe prawa i możliwość swobodnego zachowania języka i kultury narodowej. Domagamy się też, aby Polacy z Polski mieli możliwość nieskrępowanego dostępu do miejsc, związanych z historią naszego narodu i naszego niegdyś wspólnego państwa.

15. Stosunki polsko-niemieckie, na które rzutuje ogrom krzywd doznanych przez Polskę od Niemców podczas ostatniej wojny, są utrudniane przez inny jeszcze czynnik. Mianowicie dla udowodnienia społeczeństwu, że ciągła gotowość zbrojna, kosztowny sojusz z ZSRR i utrzymywanie na naszym terytorium wielotysięcznej Armii Czerwonej są niezbędne dla bezpieczeństwa państwa polskiego — sterowana przez Moskwę propaganda partyjna wyolbrzymia niebezpieczeństwo rewizjonizmu niemieckiego i nie dopuszcza do wiadomości publicznej wielu faktów, świadczących o spontanicznym wytwarzaniu się w RFN poglądów i nastrojów, umożliwiających daleko idące porozumienie.

Stwarza się paradoksalną sytuację ukrywania przed społeczeństwem polskim aktów ekspiacji ze strony społeczeństwa niemieckiego. Prowadzi to do ograniczania możliwości rozwoju przyjaznych wobec Polski nastawień w RFN i do rezygnacji z trwałej i głębokiej poprawy wzajemnych stosunków.

Możliwie pełne obustronne poinformowanie, swobodna wymiana ludzi i myśli, stanowią jedyny sposób zamknięcia wielowiekowych sporów.

16. Europejska Wspólnota narodów, w ciągu wielu lat ignorowana lub wyśmiewana przez propagandę komunistyczną, mimo różnych trudności rozwija się tak dobrze, iż przyciąga coraz to nowych członków z odległych krańców kontynentu i zyskuje coraz to nowych zwolenników politycznych (np. Komunistyczna Partia Włoch). Ten zespół państw, który ze względu na specyfikę gospodarczą jest dla nas najpoważniejszym partnerem handlowym, jest również naszym naturalnym ideowym sprzymie-

rzeńcem. Nie sądzimy, aby Grecja albo Portugalia były w swoich tradycjach kulturowych i politycznych bliższe, niż Polska, krajom Zachodu, stanowiącym centrum Wspólnoty. Możliwie najściślejsze związki ze Wspólnotą będą dla nas najlepszą gwarancją odnowienia się konfliktu z Niemcami.

17. Wielomilionową rzeszę Polonii zagranicznej, emigrantów zdawna osiadłych i nowych, zarobkowych i politycznych, reżym obecny kokietuje, ale tylko dla doraźnych korzyści ekonomicznych. Swobodna współpraca organizacji i środowisk jest unie możliwiana.

Polonia zagraniczna stanowi bezcenny kapitał narodowych możliwości i doświadczeń. Z kapitału tego powinniśmy korzystać jak najpełniej, zapewniając rodakom zza granicy całkowitą swobodę ruchów i pracy, zachęcając ich do spożytkowania w ojczystym kraju zdobytych w obczyźnie umiejętności zawodowych a także doświadczenia politycznego. Doświadczenie to, obycie z funkcjonowaniem współczesnych państw demokratycznych, może nam pomóc w poraniu się ze skutkami wieloletnich rządów totalitarnych w Polsce. Wybitną rolę winna odegrać Polonia amerykańska: najliczniejsza, żyjąca w najpotężniejszym kraju świata, mająca największe możliwości działania i największe obowiązki. Wiele jej zawdzięczamy i szczególnie na nią liczymy.

18. Teoretycznie prawo podróżowania za granicę przysługuje każdemu obywatelowi PRL. Jednakże każdorazowe i uciążliwe starania o paszport, przydzielony jak z łaski a często odmawiany z niewiadomych powodów, jest poniżające dla każdego, kto choćby słyszał o warunkach przekraczania granic na zachodzie Europy. Wiele tysięcy Polaków z tej właśnie przyczyny postanowiło zostać za granicą. Straciliśmy przez to znaczną liczbę ludzi wartościowych i wysoko kwalifikowanych.

Każdy Polak, który nie jest w danej chwili postawiony w stan oskarżenia o dokonanie przestępstwa, winien otrzymywać paszport na żądanie i zachowywać go na stałe, przekraczając granicę dowolną liczbę razy.

19. Wbrew zapewnieniom o postępie i przodowaniu, rządzone przez komunistów kraje wschodniej i środkowej Europy zapatrzone są w przeszłość, nie przyszłość. Zarówno ideologicznie jak ustrojowo i ekonomicznie opierają się na przestarzałych programach, modelach i sposobach gospodarowania. Co pewien czas przeżywamy spazmatyczne próby „nadganiań”, zmniejszania dystansu do krajów rozwijających się swobodnie i nowoczesnie. Ale najlepsze metody nowoczesnego sterowania gospodarką, przenieszone sztucznie na grunt totalitarnie rządzonych i poddanych

dyktatowi Moskwy krajów, powodują zwykle dodatkowe marnotrawstwo dewiz, zamieszanie i straty.

Potrzebne jest samodzielne i twórcze przemyślenie możliwości ekonomicznych naszego kraju i jego miejsca w gospodarce Europy i świata. Żalonym anachronizmem jest mierzenie postępu gospodarczego liczbą wytopionych ton stali lub wydobytych ton węgla. Bezradne i anachroniczne są też oficjalne schematy klasowe, które utrwalają bezsensowny dziś i krzywdzący przeział między „robotnikami” a innymi rodzajami pracowników.

Musimy odciążyć zmuszane do największego wysiłku grupy ludności (rolnicy, pracownicy słabiej inwestowanych gałęzi przemysłu, górnicy), natomiast pełniej spożytkować możliwości innych, np. tysiacy absolwentów wyższych uczelni, którzy nie wykorzystują nabytych kwalifikacji. Znaczna część pracowników aparatu biurokratycznego może znaleźć bardziej owocne i ciekawsze zatrudnienie w tak zaniedbanych działach, jak handel, komunikacja i usługi rekreacyjne.

20. Propaganda partyjna przestrzega przed niebezpieczeństwem modelu „społeczeństwa konsumpcyjnego”. Przestrogi te są szyderstwem, rzucanym w twarz społeczeństwu, gdzie pracujące kobiety muszą godzinami wystawać w kolejkach po artykuły spożywcze.

Chociaż jednak partia oficjalnie potępia społeczeństwo konsumpcyjne — takie właśnie społeczeństwo, syte i tępo zadowolone, posłuszne i zapominające o przysługujących mu prawach i swobodach, jest jej ideałem. Tylko nieudolność funkcjonowania gospodarki komunistycznej uniemożliwia realizację tego ideału.

Partia, pozbawiona autorytetu moralnego i nie przyciągająca już nikogo beztreściowymi sloganami ideowymi, stara się więc przekupywać przynajmniej poszczególne grupy. Nie wolno nam łąpać się na lep tego przekupstwa. Każda grupa społeczno-zawodowa ma dziś prawo starać się o korzystniejsze warunki pracy. Jednakże partia chce za wyższe uposażenia i przywileje kupić polityczną bierność i moralną obojętność. Chce, abyśmy sprzedawali naszą niezależność za korzyści materialne. Nie wyrzekajmy się swobody naszych poglądów i działań dla chwilowych przywilejów. Nie handlujmy naszą godnością i sumieniem za premie i samochody.

Nie państwo potrzebne jest nam, ale my państwu. Jeżeli nie damy się kupić — władze będą musiały iść na ustępstwa i powiększyć margines swobód.

21. Państwo, które nazywa siebie „ludowym” i chce być „socjalistyczne”, ma zachłanne potrzeby. Wymaga ono pieniędzy na utrzymanie i wysokie pensje olbrzymiego aparatu partyjnego,

dublującego aparat administracji rządowej; na gigantyczny budżet Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zajętego głównie pilnowaniem prawomyślności obywateli; na koszty utrzymania wojsk Układu Warszawskiego, które przed nikim nas nie bronią tylko dbają o posłuszeństwo wobec Moskwy; na koszty propagandy partyjnej, różnych oficjalnych wizyt, obchodów, uroczystości, itp. Są to wydatki nie tylko złotówkowe. Pochłaniają one wielomilionowe sumy w dewizach, ciężko zarobionych sprzedają żywności i brakujących na rynku krajowym towarów.

Samo utrzymanie MSW kosztuje nas więcej, niż wynoszą łączne wydatki państwa na oświatę, opiekę zdrowotną i kulturę w Polsce. Tymczasem sytuacja mieszkaniowa stale się pogarsza i oficjalny okres czekania na mieszkanie będzie niebawem wynosił 8-10 lat. Chorzy muszą tygodniami leżeć na korytarzach szpitalnych.

Jeżeli wymienione wydatki, zupełnie dla społeczeństwa zbędne, a wynoszące z górą sto miliardów złotych rocznie, obrócić na potrzeby budownictwa mieszkaniowego, będzie można co roku dać dodatkowe mieszkania milionowi Polaków, a szpitale powiększać o parę tysięcy łóżek.

22. Gospodarka jest w Polsce na wszystkich szczeblach podporządkowana celom, potrzebom i zachciankom politycznym. Decyzje dotyczące współpracy międzynarodowej, handlu zagranicznego, wielkich i małych inwestycji, lokalizacji przemysłu, itd., podejmowane są przede wszystkim na podstawach politycznych, a dopiero w drugim rzędzie na podstawie rachunku ekonomicznego. Przewaga czynników politycznych jest najbardziej widoczna przy doborze i ocenie kadr kierowniczych. Nowoczesna gospodarka wymaga, by stanowiska kierownicze obejmowali ludzie o wysokich kwalifikacjach specjalistycznych, zaznajomieni z ogólną sytuacją danej gałęzi gospodarki tak w kraju jak i za granicą, szybko i śmiało podejmujący decyzje, nie uciekający od odpowiedzialności. Partia, która rozstrzyga o obsadzaniu tych stanowisk, wysuwa i popiera własnych działaczy, konformistów, dbających głównie o zachowanie dobrej pozycji wewnątrzpartyjnej. Kiedy nie potrafią wywiązać się ze swoich zadań, przenosi się ich na inne podobne stanowiska; niepowodzenia organizacyjno-gospodarcze są mniej ważne od bezwzględnej posłuszeństwa każdorazowym opiniom partii i powiązania z jej klikami.

Ocena działalności zarówno przedsiębiorstw państwowych jak i pracujących w nich ludzi, a zwłaszcza kadry kierowniczej, powinna opierać się na dwu tylko kryteriach: wypełniania wyznaczonej przez przedstawicieli społeczeństwa funkcji społecznej oraz rentowności. Wszelkie powiązania polityczne winny tu być obo-

jętne. Przeciwnie, należy uznać za niezdrowe zjawisko sprawowania funkcji polityczno-rządowych i administracyjno-gospodarczych przez te same osoby. Fatalne skutki łączenia w jednych rękach dwu rodzajów władzy widzimy m.in. na przykładzie rywalizacji ministerstw i zjednoczeń, które wyrwywają sobie kredyty inwestycyjne i surowce nie na podstawie rzeczywistych potrzeb, ale na zasadzie partyjnych stanowisk i wpływów poszczególnych ministrów i dyrektorów.

Należy wprowadzić konsekwentne rozdzielenie politycznej i gospodarczej sfery życia państwowego. Jest to szczególnie ważne w sytuacji, gdzie państwo skupia w swoim ręku znaczną większość potencjału ekonomicznego kraju.

23. Naród polski dokonał po zniszczeniach ostatniej wojny wielkiego wysiłku odbudowy i rozbudowy gospodarki kraju. Wytężona praca trwa nadal. Polacy pracują dłużej i odpoczywają krócej, niż mieszkańcy innych krajów o podobnym stopniu rozwoju ekonomicznego. Otrzymują jednak za swoją pracę stosunkowo niskie wynagrodzenia. Również rozwój produkcji przemysłowej w Polsce i jej przychodowość pozostają w tyle za dokonywanymi nakładami inwestycyjnymi i stałym wysiłkiem pracujących przeważnie w ciężkich warunkach i za niskie pensje zatrudnionych.

Jedną z głównych przyczyn jest szalejące marnotrawstwo. Pracujący bywają u nas oskarżani o niską wydajność i brak dyscypliny. Przykład marnotrawstwa idzie jednak z góry i jest ono częstokroć narzucane przez nieprzemysłane decyzje, głupotę lub obojętność partyjno-rządowych zwierzchników. Chaos organizacyjny, nieustanne i kosztowne reorganizacje, zupełny brak odpowiedzialności decydujących czynników partyjnych za błędy planowania i nonsensy inwestycyjne, narzucana odgórnie nierytmiczność pracy — uniemożliwiają wytworzenie się pracowniczej gospodarności.

Dla naprawy tego stanu rzeczy konieczne jest dopuszczenie pracowników wszystkich przedsiębiorstw państwowych, a przede wszystkim zakładów produkcyjnych, do współzarządzania tymi przedsiębiorstwami. Muszą oni uczestniczyć czynnie we wszystkich zasadniczych decyzjach, dotyczących inwestycji, planowania wytwórczości, zmian organizacyjnych i kooperacji. W tym celu samorządy robotnicze powinny uzyskać rzeczywistą samodzielność i prawo sprzeciwu wobec decyzji odgórnych. Pracownicy powinni też bardziej bezpośrednio i jawnie uczestniczyć w podziale osiągniętego dochodu. Jako współzarządzający i współwłaściciele będą mogli czuć się istotnie współodpowiedzialni za swoje przedsiębiorstwa. Należy im również umożliwić stawianie się, na zasa-

dach równości, akcjonariuszami przedsiębiorstw, w których są zatrudnieni.

24. Ożywienie gospodarki narodowej wymaga też zniesienia narzucanych przez ideologiczny dogmatyzm ograniczeń, dotyczących przedsiębiorstw nie-państwowych, przede wszystkim wielkich kooperatyw i spółek akcyjnych. Państwo zachowa w swoim ręku całkowicie kluczowe gałęzie przemysłu, przede wszystkim energetycznego. Natomiast wykorzystanie pieniędzy prywatnych do zakładania spółek akcyjnych na większą skalę spowoduje czynne włączenie do gospodarki narodowej niewykorzystanych miliardów złotych. Szczególnie budownictwo mieszkaniowe i przemysł artykułów konsumpcyjnych mogłyby się szybciej i wszechstronnie rozwijać.

W sytuacji, gdzie przeważna większość stanowisk pracy znajduje się w gestii państwa, nie może być obawy o jakikolwiek „wyzysk” pracowników w gospodarce spółdzielczej i prywatnej. Natomiast uwolnienie od balastu biurokratycznej administracji partyjnej i państwowej pozwoliłoby na elastyczność i nowatorstwo, wyzwoliłoby rezerwy energii i pomysłowości.

25. Możliwości rolnictwa polskiego są żałośnie niewykorzystane. Wobec ciągłych braków żywności na rynku krajowym stanowi to fakt skandaliczny i oburzający, wywołany głównie niszczycielską polityką partii. Najpierw przymusowa kolektywizacja wyrządziła trudne do powetowania straty. Potem wieloletnia dwulicowość władz w stosunku do prywatnych rolników, utrudnienia w zakupie ziemi, materiałów inwestycyjnych i narzędzi rolniczych, fatalna praca ośrodków maszynowych, nierytmiczność dostaw nawozów sztucznych i pasz, niekorzystne ceny skupu — wszystko to zniechęcało i zniechęca rolników do modernizacji gospodarstw, zmusza do nadmiernie ciężkiej pracy i wywołuje nadmierny ubytek siły roboczej na wsi. W rezultacie rolnictwo polskie tylko częściowo wykorzystuje swój potencjał a tysiące hektarów leżą odłogiem. Dziesiątki tysięcy hektarów, uprawianych przez PGR'y, przynoszą straty zamiast zysków.

Polityka agrarna musi ulec zasadniczej zmianie. Rolnikom trzeba zagwarantować własność posiadanej ziemi, usuwając widmo kolektywizacji. Należy im umożliwić dowolne skupywanie ziemi i maszyn rolniczych, a także zatrudnianie pracowników. Należy znieść ograniczenie obszarów, uprawianych przez indywidualnych właścicieli, a spółki oprzeć na zasadzie zupełnej dobrowoli i całkowitej autonomii. Modernizującym gospodarstwa rolnikom należy udzielać odpowiednich kredytów. Specjalne znaczenie ma podniesienie poziomu życia na wsi: unowocześnianie mieszkań, budowa dróg dojazdowych, udostępnianie ciągników

i samochodów, nadających się na potrzeby indywidualnych gospodarstw. Przede wszystkim zaś trzeba rozwiać atmosferę tymczasowego tylko tolerowania prywatnej własności wiejskiej.

26. Handel i usługi to dziedzina gospodarki najdotkliwiej dająca się we znaki w codziennym życiu Polaków, a zwłaszcza kobiet. I to również jest skutkiem partyjnego dogmatyzmu połączonego z nieudolnością.

W tej dziedzinie bezsensowność monopolu państwowego jest najbardziej oczywista. Tysiące sklepów i sklepików przynosi straty zamiast zysków; podobnie jest z tysiącami restauracji, które przynoszą dochód tylko dzięki krzewieniu pijaństwa. Spółdzielnie pracy i państwowe przedsiębiorstwa usługowe są mniej rentowne a droższe niż zakłady prywatne.

Przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze powinny ograniczyć się do prowadzenia handlu na wielką skalę, w formie firm przewozowych, domów towarowych i supermarketów. Cała reszta sieci handlowej i usługowej będzie działać o wiele bardziej sprawnie i dochodowo, kiedy się ją odda w ręce prywatnych właścicieli albo małych spółek, samorządnie organizowanych. Wielotysięczny personel administracyjny będzie wówczas mógł przejść do pracy bardziej produktywniej i ciekawszej, a na miejsce milionowych strat i nierytmicznego zaopatrzenia społeczeństwo otrzyma pieniądze podatkowe od ludzi, którzy starać się będą o zapewnienie sobie klienteli.

Partia nie stara się nawet o aprobatę społeczeństwa, tylko o jego *bierność*, o uśpienie poczucia odpowiedzialności za losy narodu i państwa polskiego. Tym donioślejszy jest obowiązek przyjmowania czynnej postawy przez wszystkich, którzy dzisiejszej sytuacji nie aprobują i z poczynaniami partii się nie zgadzają. Chodzi o czynność przynajmniej myślową: o stałe rozważanie innych możliwości postępowania, innych rozwiązań, innych decyzji. Postawa opozycyjna nie może się sprowadzać do narzekania i plotkowania. Musimy stale dążyć do wytwarzania pozytywnych planów i postulatów.

Jest to przede wszystkim zadanie dla całej inteligencji polskiej, którą historia obarcza olbrzymią odpowiedzialnością za losy duchowe naszego narodu. Ale jest to również odpowiedzialność najliczniejszej grupy społecznej, pracowników przemysłowych, którzy posiadają w swoich rękach największą siłę. Siłę, jak pokażały doświadczenia ostatniego trzydziestolecia, niepokonaną.

Kraj

Komentarz do tzw. "Listu 7-miu"

VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zwołany na początek grudnia 1975 roku skłaniał do refleksji nad mechanizmami życia politycznego w kraju socjalistycznym. Zjazd ten bilansować miał jednak politykę kierownictwa partyjnego i państwowego, wyłonionego w wyniku wydarzeń sprzed pięciu laty. Próbę rozważenia kilku aspektów funkcjonowania życia politycznego stanowił list, który wystaliśmy na ręce I-go Sekretarza Komitetu Centralnego partii w dniu 6 grudnia 1975 roku. Pod listem znalazło się siedem podpisów (Edward Lipiński, Tadeusz Kowalik i niżej podpisana — ekonomiści, Krystyna Kersten i Bronisław Geremek — historycy, Jan Strzelecki — socjolog oraz Krzysztof Wolicki — publicysta-teatrolog). Mamy jednak w pełni uzasadnione podstawy sądzić, że stanowisko nasze podziela wiele osób. Przedstawione niżej kwestie i oceny dyskutowaliśmy w gronie pracowników naukowych z różnych dyscyplin społecznych, zarówno członków partii, jak i tych którzy znaleźli się poza partią, czują się jednak odpowiedzialni za losy socjalizmu w Polsce. Uważają ponadto, że dokonujące się w Polsce procesy społeczne, zwłaszcza te, które doprowadziły do masowej rewolty robotniczej w grudniu 1970 roku, jak i te, które się od niej datują, mają wielkie znaczenie międzynarodowe.

Sądzymy, że przedstawienie w zasadniczych rysach treści tego listu oraz szkicowej argumentacji wysuniętych w nim uwag może zainteresować naszych zagranicznych towarzyszy. Mamy zresztą świadomość, że rozważania te noszą charakter dalece niepełny i wiele z poruszonych tu spraw wymagałoby analizy bardziej pogłębionej, zarówno w warstwie informacyjnej jak i w warstwie propozycji.

Bolesne doświadczenia z grudnia 1970 roku obnażyły rażące

wady politycznych mechanizmów rządzenia krajem oraz ogrom zniszczeń w moralno-politycznej infrastrukturze społeczeństwa. Nowe kierownictwo polityczne zapewniało, że ma pełną świadomość niedostatków dotychczasowego systemu funkcjonowania władzy i publicznie zapowiadało wprowadzenie zasadniczych zmian.

Patrząc na minione pięciolecie musimy jednak stwierdzić, że przyspieszając dynamikę rozwoju gospodarczego, zrealizowano jedynie obietnicę odczuwalnej podwyżki płac oraz poprawy warunków pracy. Uznajemy to za wielki sukces, chociaż wzrostowi płac nie towarzyszy dostateczne pokrycie w zaopatrzeniu rynku, a wzrost zarobków jest mniejszy niż to wynika z oficjalnych danych. Szybko natomiast zaniechano, podjętych początkowo zasadniczych kroków mających na celu uzdrowienie klimatu życia społecznego i instytucji politycznych. W dodatku w ostatnim okresie ujawniły się wyraźne objawy regresu.

Najbardziej niepokojący staje się pogłębiający się rozdźwięk pomiędzy językiem oficjalnej propagandy a rzeczywistością dnia codziennego, rozdwojenie między tym co się głosi publicznie i tym co się myśli i mówi prywatnie, coraz dalej idące ograniczanie swobody życia umysłowego, malejący udział obywateli w życiu politycznym kraju. Wynika to przede wszystkim stąd, że z jednej strony zapewnia się nieustannie, że bieżąca polityka jest realizacją maksymalistycznych haseł socjalistycznych, z drugiej zaś — utrzymuje się, coraz bardziej anachroniczne we współczesnym świecie, instytucje zrodzone z konieczności i konfliktów doby porewolucyjnej. Z tej odczuwalnej przecież powszechnie rozpiętości wynika nagminne tłumienie krytyki społecznej i ograniczanie jej do spraw drugorzędnych, brak rzetelnej informacji o rzeczywistych trudnościach kraju. Wszystko to tworzy niebezpieczną przepaść między społeczeństwem i władzą. Z największą troską musimy stwierdzić, że rozdwojenie życia publicznego i prywatnego, prawdy oficjalnej i realnej przenika do szkół i umysłów młodzieży, sprzyjając kształtowaniu postaw cynizmu i zakłamania już od najmłodszych lat.

Z takiego rozeznania sytuacji wynika nasze głębokie przekonanie, że konieczne jest szybkie podjęcie energicznych działań na rzecz radykalnego zwiększenia społecznego uczestnictwa i kontroli nad organami władzy centralnej i terenowej. Propozycje nasze nie mają oczywiście charakteru gotowych rozwiązań. Rozumiemy je jako wymienienie dziedzin życia społecznego, w których radykalne zmiany uważamy za pierwszoplanowe, jeśli nie chcemy, by rozpiętość pomiędzy słowem a czynem nie stała się trwałym składnikiem naszej codzienności, a erozja socjalistycznych przekonań i nadziei — czyniła dalsze spustoszenia.

1. Za rzecz wagi podstawowej uważamy nadawanie takiego znaczenia strukturalnym i instytucyjnym przedstawicielskim, aby rzeczywistość znajdowała w nich wyraz wola i pluralistyczna opinia ogółu obywateli państwa socjalistycznego. Dotyczy to w pierw-

szym rzędzie funkcjonowania zgromadzeń przedstawicielskich jako organów efektywnej kontroli władzy wykonawczej.

Uważamy za konieczne istotne zmiany w systemie wyborczym oraz nadanie organom przedstawicielskim wszystkich szczebli realnego znaczenia odpowiadającego ich funkcjom konstytucyjnym. W pierwszym rzędzie zmierzać należy do ukształtowania takiego trybu i praktyki wysuwania kandydatów oraz głosowania na nich, aby lokalne społeczności i środowiska zawodowe mogły uważać posłów i radnych za swoich rzeczywistych przedstawicieli. Niezbędne jest wyraźne określenie statusu posła i radnego wobec aparatu partyjnego, zapewniające możliwość reprezentowania opinii i potrzeb wyborców.

Równie zasadniczych zmian wymaga praktyka funkcjonowania sejmu i rad narodowych, których rola była od lat niewielka i w dodatku została drastycznie uszczuplona przez ostatnią reformę administracji terenowej, przeprowadzoną w warunkach nadmiernego pośpiechu i braku dyskusji.

2. Niezbędne wydaje nam się również umożliwianie społeczeństwu wyboru podstawowych kierunków rozwoju gospodarczego i społecznego kraju. Zakłada to znacznie większą jawność życia społecznego, ulepszenie systemu informacji, a przede wszystkim publikowanie w języku powszechnie zrozumiałym kilku wariantów programów i planów wieloletnich. Tylko aktywne uczestnictwo w podejmowaniu ważnych decyzji może zwiększyć orientację społeczeństwa w obszarze realnych możliwości oraz poczucie współodpowiedzialności za podjęte decyzje w podstawowych dla zbiorowego życia sprawach.

3. Do zadań o charakterze pierwszoplanowym zaliczamy następnie zagwarantowanie możliwości działania Radom Robotniczym oraz związkom zawodowym zgodnie z ich właściwymi funkcjami — samorządności pracowniczej w pierwszym przypadku i obrony interesów załogi w drugim. Obecna forma instytucjonalna tzw. Konferencji Samorządu Robotniczego, stworzona w okresie likwidowania reform dokonanych w 1956 roku nie zdała niestety egzaminu. Podporządkowuje ona obie instytucje komitetem partyjnym.

4. Postulując nową ustawę prasową, zgodną z założeniami końcowego dokumentu uchwalonego w Helsinkach, wychodziliśmy z założenia, że najbardziej charakterystyczną cechą warunków naszego życia umysłowego jest niczym w praktyce nieograniczona arbitralność cenzury prewencyjnej. Zarówno sposób ingerencji cenzorskich, jak i olbrzymi zakres jej działalności, która nie pozostaje w żadnej rozsądnej proporcji do ustawowo zakreślonych zadań ochrony podstawowych interesów państwa, musi wzbudzać zastrzeżenia.

Wynikłe z zastępowania informacji plotką, z konformizacji i demoralizacji pracowników gazet, radia i telewizji, z samoułady

w jaką wpada często dezinformowana władza centralna, z pustostłowią zalewającego gazety i czasopisma, z zagłuszenia zewnętrznych źródeł informacji, co daje im smak zakazanego owocu — szkody społeczne są trudno wyobrażalne.

Jesteśmy przekonani, że w interesie rozwoju socjalizmu leży zagwarantowanie, aby środki masowego przekazu stały się organami rzetelnej i prawdziwej informacji oraz stwarzania szerokich płaszczyzn publicznego wyrazu opinii.

5. Jesteśmy zgodni z wielokrotnie i od wielu lat wysuwanymi postulatami kół prawniczych, zmierzającymi do zwiększenia ochrony praw obywatelskich przez:

- a) wprowadzenie sądowej kontroli decyzji administracyjnych,
- b) reformę systemu penitencjarnego oraz
- c) ograniczenie, nadmiernie represyjnej w opinii wielu ekspertów, polityki karnej naszego sądownictwa.

6. Jednym z palących problemów jest uzdrowienie polityki kadrowej w aparacie państwowym i gospodarczym przez respektowanie kryteriów fachowości i uczciwości. W obecnej praktyce bariery światopoglądowe uniemożliwiają bezpartyjnym, poza wyjątkami, obejmowanie kierowniczych stanowisk nawet na najniższych szczeblach administracji oraz w placówkach naukowych i kulturalnych. Przeczy to Konstytucji, która głosi, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest wspólnym dobrem wszystkich jej obywateli, zaś życiu społecznemu i gospodarczemu wyrządza ogromne szkody.

7. Za niezbędny warunek rzeczywistego, a nie fikcyjnego sterowania nauką oraz podniesienia jej efektywności uważamy przywrócenie samorządności uniwersytetom i innym placówkom naukowym. Zdecydowana większość decyzji w sprawach organizacji nauki i procesu badawczego może i powinna należeć do pracowników nauki i ich reprezentacji. W tych sprawach zaś, które wymagają decyzji czynników polityczno-państwowych stanowisko pracowników nauki powinno być brane pod uwagę i publicznie dyskutowane. Z przykrością stwierdzamy, że również nauka, a zwłaszcza nauki społeczne i humanistyczne krępowane są i to w stopniu nasilającym się, arbitralnością cenzury prewencyjnej, od decyzji której nie ma odwołania, jeżeli autor czy redakcja nie ma nieformalnych protektorów.

W zakończeniu naszego listu wyrażaliśmy przeświadczenie, że bez zasadniczych i głębokich przeobrażeń niemożliwy będzie pomysłny rozwój naszego kraju. Zwróciliśmy także uwagę na międzynarodowy aspekt naszego doświadczenia. W chwili gdy liczne społeczeństwa poszukują najlepszych sposobów zabezpieczenia się przed dyktaturami i stworzenia trwałych podstaw ustroju sprawiedliwości społecznej, Polska może i powinna mieć ambicję wzniesienia istotnego wkładu do światowego postępu. To właśnie

uważalibyśmy za najlepszy sposób nawiązania do tradycyjnego hasła polskich bojowników ubiegłego wieku — ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ.

M. DZIEWICKA

Dr Maria DZIEWICKA: przed wojną członek wileńskiej grupy „Po Prostu” H. Dembińskiego. Po wojnie należy do lewicy PZPR. Pracownik naukowy SGPiS w Warszawie, w 1968 roku karnie przeniesiona na emeryturę. Specjalistka z dziedziny ekonomiki rolnej, autorka szeregu książek i artykułów, szczególnie o problematyce poświęconej chłopu-robotnikom.

LIST STUDENTÓW DO RADY PAŃSTWA PRL

DO RADY PAŃSTWA
NA RĘCE PRZEWODNICZĄCEGO
PROF. HENRYKA JABŁOŃSKIEGO

Na Uniwersytet Warszawski trafiły w formie odpisów dokumentów informacji o następujących sprawach:

1. Student Jacek Smykał został usunięty z Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie za „wywoływanie w umysłach słuchaczy niepotrzebnych wątpliwości” (cyt. za uzasadnieniem decyzji Rektora PAM z dnia 13 lutego 1976 r.) swymi wypowiedziami na zajęciach z podstaw nauk politycznych. Jego odwołanie zostało odrzucone przez Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej decyzją z dnia 17. III. 1976 roku.

2. Stanisław Kruszyński (student V roku KUL) został postawiony w stan oskarżenia przed Sądem Rejonowym w Lublinie za to, że „rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL, poprzez rozsyłanie do różnych osób korespondencji, w której kłamliwie i tendencyjnie przedstawiał zagadnienia stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych Państwa Polskiego” (cyt. z aktu oskarżenia przeciwko Stanisławowi Kruszyńskiemu z dnia 24. XII. 1975). Podstawą tych zarzutów są listy pisane przez oskarżonego do żony, brata i kolegi, zamieszkałych w Polsce.

Powyższe fakty budzą nasz niepokój. Szczere i otwarte wyrażanie swych poglądów jest społecznie pożądane. Gdy zaś wypowiedzane są one na neutralnym forum dyskusyjnym grupy ćwiczeniowej lub w korespondencji z bliskimi sobie osobami, to — niezależnie od ich treści — nie stanowią one żadnego zagrożenia dla interesów państwa. Dlatego uważamy represję z jakimi spotkali się J. Smykał i S. Kruszyński za nieuzasadnione.

Zwracamy się do Rady Państwa by ustaliła przyczyny, które umożliwiły bezpodstawne i szkodliwe społecznie decyzje, oraz podjęła kroki, które zapobiegłyby podobnym postanowieniom w przyszłości.

(Do końca maja br. zebrano na uczelniach warszawskich ponad 700 podpisów).

Największą nagonkę na młodych naukowców i studentów prowadzi rektor Uniwersytetu Warszawskiego Zygmunt Rybicki. Usunięto już szereg osób — zwłaszcza na wydziale Socjologicznym i nie przedłuża się umów tym, którzy podpisywali listy protestujące przeciw poprawkom konstytucyjnym czy w sprawie aresztowanych studentów.

Rektor Rybicki już parokrotnie figurował na naszych „Czarnych listach” (Redakcja).

Z PRZEMÓWIENIA ADW. WŁ. SIŁY-NOWICKIEGO

Lublin, dn. 25 3. 1976 r.
Sprawa Stanisława Kruszyńskiego
rozpatrywana przed Sądem Rejonowym
w gmachu Sądu Wojewódzkiego w Lublinie.

PRZEMÓWIENIE OBROŃCY, WŁADYSŁAWA SIŁY-NOWICKIEGO PO ZAMKNIĘCIU PRZEWODU SĄDOWEGO

Fragmenty

... Szukałem, proszę Wysokiego Sądu, orzecznictwa na temat art. 271 w biurze orzecznictwa i nie ma. Trzeba się uciec do dawnego art. 22 m.k.k., który jest analogiczny do art. 271. I wystarczy przeczytać te orzeczenia z roku 57, 46. „Wypowiedzenie przez oskarżonego jego osobistych poglądów na pewne zagadnienia polityczne nie może być uznane za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego”, jak to przewiduje art. 22. A takie sformułowanie jak to, że się uznaje rolę partii za szkodliwą, to jest chyba osobisty pogląd, a nie żadna wiadomość. „Cechą charakterystyczną rozpowszechniania jest tendencja sprawcy do udostępnienia wiadomości nieograniczonej pod względem ilości osób celem uczynienia jej wiadomością powszechnie znaną”. No, niechże Wysoki Urząd Prokuratorski przedstawi jeden dowód na to, aby była spełniona sama materia przestępstwa.

I dlatego, proszę Wysokiego Sądu, rozsądna władza pozwala się ludziom w pewnych warunkach wygadać. Bo ludzie mówią dużo, dużo rzeczy nieodpowiedzialnych i dużo rzeczy, których każda rozsądna władza państwowa, wiedząc o nich, nie słyszy lub udaje, że nie słyszy. Tak jak wiele rzeczy udajemy, że nie słyszymy w naszym życiu prywatnym, jeżeli jesteśmy ludźmi rozumnymi.

To jest pierwsza zasada prawna. Ani danie książki Bienkowskiego, książki która nie może być uznana za książkę wroga dla ustroju, bo przecież autor chciał ją wydrukować w Polsce i przekazał ją do wydawnictwa. Czasy się zmieniły, nie wszystko już (...) usunięto go z partii, ale to nie jest

przecież rzecz pisana przez wroga. Ani danie jednego numeru *Kultury* paryskiej nie może być uznane za przestępstwo z art. 273 § 2. Natomiast jeśli chodzi o art. 271, nie ma najmniejszego śladu, najmniejszego dowodu, ja nie mam z czym polemizować!

A chyba nie będziemy kwestionować, że tajemnica korespondencji w Polsce obowiązuje i że w korespondencji do ludzi najbliższych mogą pisać co mi się żywnie podoba. Tak jak co mu się żywnie podoba może gadać każdy przygodny mówca w Hyde Parku.

Ale, proszę Wysokiego Sądu, nie zatrzymam się na tym, bo sprawa wymaga wyświetlenia do końca. No, merytorycznie. Czy ta postać oskarżonego jest tak negatywna i jego działanie nacechowane tak złą wolą, jak głosi akt oskarżenia?! No przecież ciągle krzyczymy o zaangażowanie młodzieży, ciągle krzyczymy o bohatera pozytywnego, ciągle krzyczymy o ludzi, którzy by chcieli bez swojego interesu, żeby w Polsce było lepiej, żeby się zmieniało na dobre. Ciągle marzymy o młodzieży, której celem nie jest telewizor, motor, samochód, wyjazd za granicę, dostatnie warunki, willa — tylko młodzieży, która coś chce zrobić dla społeczeństwa. No i jak się taki człowiek trafi, jeżeli taki człowiek wypowiada swoje poglądy, no to się go traktuje jako człowieka szczególnie niebezpiecznego, człowieka, który popełnia przestępstwo.

... Poza tym, proszę Wysokiego Sądu, trzeba pewne oczywiste nieporozumienia z materiału dowodowego tej sprawy usunąć. Zakwestionowano cały szereg pozycji książkowych, które są w materiale dowodowym. Są tam nieporozumienia oczywiste. Książka ks. Pastuszki z 1938 roku, w której użyto słowa „bolszewizm”. Ale jest przecież wiele orzeczeń Sądu Najwyższego, że wszystkie polityczne wydawnictwa przedwojenne nie są objęte jakimkolwiek przepisem karnym. To są rzeczy dotyczące poprzedniego okresu. Ja nie mówię już o tym przecież, że wówczas biblią było „Krótki kurs historii Wszechzwiązkowej Partii Bolszewików”. I to słowo bolszewizm w tym kontekście nie może być uznane współcześnie.

No, poza tym jakżeż można umieszczać w materiale dowodowym sprawę karnej książkę gen. Sikorskiego „Nad Wisłą i Wkrą”. Już nie chcę się powoływać na to, że tę książkę Józef Stalin chwalił w czasie pewnych rozmów w Moskwie, w czasie wojny światowej. Ale ostatecznie to jest książka dotycząca wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku. Czy my się mamy wstydzić, że wojsko polskie pobiło armię radziecką, no to przecież może być dla nas wielką chlubą, na tle nawet tych imponujących zwycięstw armii radzieckiej w okresie drugiej wojny światowej, — że w tamtym czasie wojsko nasze potrafiło obronić naszą niepodległość i pobić tak znakomite wojsko. I to jest fachowa książka, no czegoż my się mamy wstydzić. Trzeba mieć poczucie jakiejś swojej narodowej, już nie powiedziałbym wielkości, ale godności. To jest fachowa książka wojskowa, normalna, i ona jest zaliczona do materiału dowodowego, do sprawy karnej, dlatego że młody Polak interesuje się fachową książką, która jest trudno zrozumiała nawet dla oficerów, powiedzmy na moim szczeblu oficerów rezerwy, to jest raczej książka dla fachowców, w której są naświetlone zagadnienia jasne dla oficera zawodowego, sztabowego, generalicji. Ale co to ma wspólnego z materiałem dowodowym w tej sprawie, to pewne nieporozumienie trzeba, proszę Wysokiego Sądu, stąd usunąć. Bo ten cały materiał dowodowy nie może być jakimkolwiek obciążeniem.

Czy jest i powinno być ścigane karnie posiadanie czy nawet przekazanie najbliższemu przyjacielowi, jakim jest Marek Stentzel czy brat, takich książek jak Bieńkowskiego „Motory i hamulce socjalizmu”?! Przede wszystkim nie obowiązuje teraz art. 24 m.k.k., każdy może tę książkę posiadać, to jest bezsporne. Wysłaliśmy z tego założenia, z tego jakiegoś niemowlęcego rozwoju i teraz przyznajemy, że Polak dorosły może czytać każdą książkę. Nie

co czyta nie jest karalne, nawet najbardziej wrocie ustrojowi. Ale przecież w moim pojęciu, ja — jako adwokat — gdybym nie znał książki Bieńkowskiego, chociaż ona jest wydana przez *Kulturę* paryską, to nie uważałbym się za inteligenta. Bo tę książkę ludzie czytają, i tak samo ludzie, którzy się tymi zagadnieniami interesują czytają *Kulturę* paryską, rozmaici profesorowie, cała elita umysłowa, chociaż to nie ma debitu, to nie jest dopuszczane do szerokiego rozpowszechnienia. Ale co jest w szerokim rozpowszechnianiu druków. To chyba musimy mieć jakieś postępowe w tym zakresie poglądy, i nie uważać myślącej młodzieży za dzieci. Ani Polaków za ludzi, którzy mogą czytać tylko prasę reżimową, bo przy takim stanowisku nic nie osiągniemy.

... Przedstawiłem tedy zagadnienie prawne, Wysoki Sądzie, przedstawiłem sylwetkę oskarżonego, człowieka niezrównoważonego, człowieka często miotającego się, człowieka krytykującego powagi państwowe, partyjne, jak również powagi kościelne, episkopat. Jest to człowiek, który myśli niezależnie, jest to człowiek, który myśli ideowo. Jest to człowiek tego typu, który być powinien w Polsce, w naszych warunkach, w naszym świecie, w naszej epoce szczególnie ceniony.

Nie popełnił on żadnego przestępstwa karnego i z tego punktu widzenia musi być uniewinniony. Ale jeżeli mówimy o pewnym aspekcie społecznym, politycznym tej sprawy, to muszę powiedzieć, stawiając jako prawnik, wedle przepisu 271, 273 Kodeksu Karnego i tych komentarzy, które mają jakieś znaczenie obowiązujące, muszę jeszcze powiedzieć pod kątem politycznym, że za te czyny, za te przestępstwo w dzisiejszym świecie, ten człowiek byłby skazany, w niektórych państwach bardzo surowo i okrutnie ukarany, we wszystkich państwach antydemokratycznych i totalitarnych. Byłby skazany w Chinach Ludowych, byłby skazany w Afryce Południowej... byłby skazany w Związku Radzieckim za czasów stalinowskich, byłby skazany we wszystkich państwach o charakterze totalitarnym. Ale byłby uniewinniony we wszystkich państwach demokratycznych.

I ja, Wysoki Sądzie, mam zaszczyt prosić Sąd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o uniewinnienie Stanisława Kruszyńskiego.

ODWOŁANIE JACKA SMYKAŁA OD DECYZJI REKTORA P.A.M.

Jacek Smykała
student III roku Wydziału Lekarskiego P.A.M.

Zielona Góra, dn. 18. II. 1976.

zam. w Zielonej Górze ul. Kołłątaja 6/4
do sprawy: SR-132/76.

Do
Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej
w Warszawie
przez Rektora Pomorskiej Akademii Medycznej
w Szczecinie.

Odwołanie
od decyzji Rektora Pomorskiej Akademii Medycznej z dn. 13 lutego 1976 r.

w przedmiocie skreślenia z listy studentów w trybie art. 70 ust. I o szkolnictwie wyższym.

Wnoszę o uchylenie zaskarżonej decyzji.

Uzasadnienie:

Rektor Pomorskiej Akademii Medycznej powołując się na przepisy art. 70 ust. I ustawy o szkolnictwie wyższym skreślił mnie z listy studentów z 2 przyczyn:

- 1) z powodu rzekomego dopuszczenia się przeze mnie napastliwej krytyki na zajęciach z podstaw nauk politycznych;
- 2) z powodu rzekomego niewłaściwego zachowania się w czasie przestuchania mnie przez pracowników służby bezpieczeństwa KWMO w Szczecinie.

Stanowisko Rektora Pomorskiej Akademii Medycznej w odniesieniu do obu postawionych mi zarzutów jest błędne, albowiem:

a) wszystkie moje wypowiedzi na zajęciach z podstaw nauk politycznych miały charakter szczerego ujawnienia nurtujących mnie i moich kolegów wątpliwości. Sądziłem i tak sądzili wszyscy studenci, że zajęcia z podstaw nauk politycznych są właściwym miejscem do szczerzej dyskusji w kwestiach politycznych i filozoficznych, że wypowiadanie wyłącznie konformistycznych sądów nie jest celem zajęć. Jeżeli miałbym być co do tego w błędzie, to odpowiedzialność za to błędne przekonanie przypisać należałoby prowadzącej zajęcia polityczne Pani dr Jabłońskiej, która do szczerości wypowiedzi uczestników zajęć zachęcała. Poświadczyć to mogą np. studenci: Andrzej Subocz, Maria Stępień i Jolanta Rokicka. Moim wypowiedziom na zajęciach politycznych Rektor P.A.M. przypisuje destrukcyjny wpływ na światopogląd, postawę i wyobrażenia o rzeczywistości kilkudziesięciu moich kolegów. Taki osąd wpływu moich wypowiedzi jest całkowicie pozbawiony podstawy dowodowej. Nie przeprowadzono przecież w tym zakresie żadnych badań naukowych, a pominięto fakt, że moje wypowiedzi na tych zajęciach, tak jak i wypowiedzi wszystkich studentów miały charakter dyskusyjny i oceniane i prostowane były w publicznych wypowiedziach prowadzącego zajęcia pracownika naukowego. Stąd też moja ewentualnie błędna wypowiedź nie była nigdy ostatnim, a tym więcej autorytatywnym zdaniem w dyskusji.

Przed wszystkim zaś moje wypowiedzi, do których w postępowaniu wyjaśniającym się przyszedłem, ani w swej treści, a także z uwagi na ich miejsce (programowe zajęcia polityczne) nie godziły w podstawy ustroju PRL.

Było to szczerze ujawnienie wątpliwości w obowiązującym studenta poszukiwaniu prawdy naukowej.

b) W odniesieniu do drugiego zarzutu przyjętego w uzasadnieniu zaskarżonej decyzji Rektor P.A.M. przyjmuje, że moje zachowanie w czasie przestuchiwania mnie przez pracowników KWMO, było niewłaściwe, zarzuca mi generalnie, że pozbawiony jestem dyscypliny obywatelskiej wobec pracowników służby bezpieczeństwa.

Podkreślić w związku z tym można, że obowiązujące w PRL prawo nie zna takiego pojęcia i bynajmniej nie stawia pracowników służby bezpieczeństwa w pozycji nadrzędnej w stosunku do obywateli — jak by to można wysnuć z argumentów zaskarżonej decyzji. Pracownicy służby bezpieczeństwa zobowiązani są w swojej działalności do przestrzegania obowiązującego prawa.

Mogę zarzucić, że w stosunku do mnie obowiązujące prawo nie było przez pracowników KWMO w Szczecinie przestrzegane. Przede wszystkim ani w wezwaniu pisemnym, a potem telefonicznym nie zostałem poinformowany, w jakim charakterze mam się zgłosić w KWMO. Nie poinformowano mnie także o tym, w czasie przestuchania — czym w moim przekonaniu naruszono przepis art. 114 kpk. Moja odmowa składania wyjaśnień była w tej sytuacji

cji zupełnie zgodna z prawem, gdyż wobec stawianych mi zarzutów, dotyczących moich wypowiedzi na zajęciach politycznych, w związku z przeinaczeniem treści moich wypowiedzi — mogłem się obawiać, że jestem przestuchiwany w charakterze podejrzanego, a powszechnie wiadomo, że podejrzani mają prawo odmowy składania wyjaśnień (art. 63 kpk). Wiadomo też powszechnie, że osoba przestuchiwana nie może być skłaniana do wyjaśnień jakimikolwiek przedstawieniem ujemnych skutków mojej postawy dla mnie i dla rodziców. W końcu zażądano ode mnie napisania i podpisania oświadczenia i zobowiązania, że wszystkie moje wypowiedzi w przyszłości będą lojalne, a gdy odmówiłem — zapowiedziano mi wydalenie ze studiów ze względów profilaktycznych.

Decyzja rektora P.A.M. z dnia 13 lutego 1976 roku jest realizacją tej wcześniejszej zapowiedzi.

Jestem przekonany, że wbrew twierdzeniu Rektora P.A.M. moje postępowanie nie tylko nie godziło w podstawy ustroju PRL, ale również nie było społecznie szkodliwe i nie miało charakteru wystąpienia przeciwko porządkowi publicznemu. Art. 70 ust. I o szkolnictwie wyższym decyzji Rektora P.A.M. więc nie uzasadnia.

(—) Jacek SMYKAŁ

ODPOWIEDŹ MIN. ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej
00-932 Warszawa
ul. Miodowa 15
tel. centr. 31-34-41.

Ob. Jacek Smykał
ul. Kołbataja 6/4
Zielona Góra.

Wasze pismo z dnia 18. II. 1976 r. Znak... Nasz znak: NW-531-A
data: 17. III. 1976.

Sprawa: Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, Departament Szkolnictwa i Nauki informuje, iż Ob. Minister Zdrowia i Opieki Społecznej rozpatrzył w oparciu o postanowienie art. 70 ust. I ustawy o szkolnictwie wyższym (Dz. U. z 1973 r. nr 32 poz. 191) oraz par. 3 i 4 Zarządzenia Ministrów Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Zdrowia i Opieki Społecznej, Żeglugi, Kultury i Sztuki oraz Przew. Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki z dn. 28 maja 1969 r. w sprawie trybu skreślenia studentów z listy słuchaczy szkoły wyższej (Dz. Urzęd. Min. Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z 1969 r. nr A-5 poz. 58) odwołanie Obywatela od decyzji Rektora Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie z dn. 13. II. 1976 r. skreślającej Obywatela z listy studentów.

Biorąc pod uwagę fakty i argumenty zawarte w oświadczeniu dr D. Jabłońskiej nauczyciela akademickiego z Zakładu Podstaw Nauk Politycznych P.A.M. w protokole z postępowania wyjaśniającego przeprowadzonego na zlecenie Rektora P.A.M., w odwołaniu Obywatela od wydanej decyzji oraz

w informacji Rektora P.A.M. o niepodporządkowaniu się decyzji z dn. 23. XII. 1975 r. i usiłowaniu dalszego uczęszczania na zajęcia studenckie — Obywatel Minister utrzymał decyzję Rektora P.A.M. z dn. 13. II. 1976. W związku z tym decyzja ta jest prawomocna.

Departament równocześnie informuje, że zgodnie z postanowieniami par. 4 ust. 3 cyt. wyżej zarządzenia Ministrów, przysługuje Obywatelowi prawo ubiegania się o ponowne przyjęcie do szkoły wyższej po podjęciu zatrudnienia i wykazaniu się pozytywną opinią zakładu pracy.

WICEDYREKTOR
DEPARTAMENTU SZKOLNICTWA I NAUKI
(—) *Lech DAWIDZIUK*

Do wiadomości:
Rektor P.A.M.

(W chwili oddawania numeru do druku dowiadujemy się że i Jacek Smykał został wcielony do wojska. Patrz: Wydarzenia miesiąca, Kraj, 19. 6. 76 — str. 218. — *Red.*)

ROSNĄCE ROZDZWIĘKI WŚRÓD KATOLIKÓW ŚWIECKICH W PRL

W. Panowie: poseł Wacław Auleytner, poseł Ryszard Bender,
poseł Konstanty Łubieński — członek Rady Państwa, poseł
Jerzy Ozdowski, poseł Janusz Zabłocki. Warszawa — Sejm.

Szanowni Panowie,

W liście z 12 marca br. zwróciliśmy uwagę Panów, że nowe Koło Poselskie nie może przyjąć nazwy „Znak”. Stwierdziliśmy: „przyjęcie przez nowe Koło nazwy „Znak” stworzyłoby ostrą sytuację konfliktową, która na pewno nie leży w interesie społecznym”. Oczekiwaliśmy, że stanowisko zdecydowanej większości środowisk ruchu „Znak” zostanie przez Panów uszanowane. Stało się inaczej. Nad faktem tym środowiska nasze nie mogą przejść do porządku.

I

Zebrani w dniu 11 kwietnia br. przedstawiciele Klubów Inteligencji Katolickiej w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Toruniu oraz redakcji *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, miesięcznika *Znak* i wydawnictwa „Znak” rozważyli powstałą sytuację i jedomyślnie podjęli uchwałę w tej sprawie. Jesteśmy upoważnieni do przekazania jej Panom. Oto tekst uchwały *in extenso*:

W nowym Sejmie utworzone zostało Koło Poselskie, które przybrało nazwę „Znak”. Fakt ten zmusza nas do zajęcia następującego stanowiska:

1. Koło to nie reprezentuje ani nie posiada akceptacji ogółu środowisk, które od lat opinia publiczna wiąże z pojęciem „Znak”. Nie powstało ono ani nie działa z mandatu środowisk, w imieniu których się wypowiadamy. Okoliczności i sposób, w jaki Koło to zostało uformowane, wyłączyły nasze środowiska od jakiegokolwiek wpływu na jego skład. Nazwa „Znak”, będąca własnością wszystkich naszych środowisk, została przez aktualnie działające

w Sejmie Koło Poselskie przyjęta wbrew wyraźnemu sprzeciwowi naszych środowisk, stanowiących zdecydowaną większość dotychczasowego ruchu „Znak”.

2. Sens i charakter obecności „Znaku” w życiu politycznym wyrażał się w wierności demokratycznym dążeniom społeczeństwa. Różnice stanowisk, jakie wystąpiły pomiędzy naszymi środowiskami a środowiskiem ODiSS, które przede wszystkim wyłoniło obecne Koło Sejmowe, zademonstrowane zostały w debacie konstytucyjnej. Odciepienie się od stanowiska naszych środowisk, określonego w dn. 17 stycznia br. i wyrażającego, jak wiadomo, stanowisko zbliżone z memoriałem Episkopatu Polski — było wyrazem zerwania z zasadniczą postawą ideową „Znaku”.

3. Posłużenie się nazwą „Znak” przez aktualne Koło Poselskie wprowadza w błąd opinię publiczną, która sądzić może, iż ma do czynienia z kontynuacją dotychczasowej obecności środowisk „Znaku” w Sejmie. Dyskontynuacja tego rodzaju nieporozumień zakłada, iż wobec braku możliwości publicznego sprostowania, środowiska tym dotknięte nie będą mogły bronić się i praw swych dochodzić. Utworzone Koło sejmowe, nie posiadając poparcia i zdecydowanej większości środowisk „Znaku”, nie powinno ani w nazwie, ani w treści swej działalności tworzyć tego rodzaju dwuznacznych pozorów, ale jasno i uczciwie określić, iż stanowi nowe ugrupowanie.

4. Środowiska, w imieniu których występujemy, pragną — w wytworzonej sytuacji — tym bardziej potwierdzić swą wzajemną solidarność. Pozbawione reprezentacji poselskiej, pozostają one nadal w życiu publicznym Polski, kontynuując swą podstawową działalność, którą zawsze traktowały nadrzędnie i w której znajduje odbicie ich troska o rozwój społeczeństwa, kraju i Kościoła.

II

Otrzymał list Panów z dn. 25 marca 1976 roku. Przytoczona powyżej uchwała, ustosunkowująca się do stworzonego przez Panów faktu dokonanego, wyczerpuje meritum sprawy i zwalnia nas od wdawania się w polemikę z argumentacją użytą w liście Panów. Jednakże, jak nam wiadomo, list Panów został szeroko rozestany i udostępniony różnym osobom. Wobec tego wydaje się celowe wyjaśnić dodatkowo pewne nieprawdziwe stwierdzenia, a także znamienne przemileczenia tego listu.

List ten całkowicie pomija ujawnione głębokie rozbieżności stanowisk. Rozbieżności te rysowały się od dłuższego czasu i doprowadziły do kryzysu zaufania. Wyraziły się ostatecznie w dyskusji nad zmianami w Konstytucji i w głosowaniu w Sejmie. Pomija on również fakt składanych przez Panów oświadczeń w sprawie nazwy „Znak”. Przypomnijmy więc, że dn. 17 stycznia br. poseł Janusz Zabłocki oświadczył wyraźnie na zebraniu przedstawicieli ówczesnego ruchu „Znak”, że nazwę „Znak” uważa za własność „Kraciela ówczesnego ruchu „Znak”, że nie ma mowy o tym, by bez zgody jej faktycznych właścicieli ktokolwiek miał tej nazwy używać. Iluzoryczność tego zapewnienia jest dziś oczywista.

Zakwestionowanie użycia przez Panów nazwy „Znak” nie pochodzi jedynie od „grupy krakowskiej”. Jednolitość postawy w tej sprawie wszystkich naszych środowisk została Panom wyraźnie zakomunikowana. Jeśli jednak chodzi o środowisko krakowskie *Tygodnika Powszechnego* i *Znaku*, to jego szczególnie racje moralne do występowania w tej sprawie nie mogą być przez nikogo podważone. Nazwa *Znak* jest nazwą ukazującego się w Krakowie od 1946 roku miesięcznika i została nadana Kołu przez osoby związane z tym miesięcznikiem i reprezentowaną przez linią ideową. Z czasem

nazwa „Znak” stała się instrumentem społecznej identyfikacji wszystkich środowisk które tę linię wspólnie i wielostronnie rozwijały. Lojalność wobec założycieli, którzy z dobrą wiarą tej nazwy użyli, jest sprawą tym bardziej wyrazistą moralnie, że środowisko to już raz doświadczyło zawłaszczenia nazwy, gdy w latach 1953-56 ukazywało się w Krakowie czasopismo PAX'u pod tytułem *Tygodnik Powszechny*.

Nie jest prawdą, że — jak piszą Panowie w swym liście — istniejąca sytuacja wytworzona została „odmową grupy krakowskiej wejścia do wspólnego Koła Posłów”. Prawdą jest natomiast, że środowiska nasze postawiły wspólnie warunek, pod jakim możliwa był — wobec istniejących rozbieżności — dalsza kontynuacja Koła Poselskiego „Znak”. Była nim reprezentatywność przyszłego Koła wobec środowisk ruchu, co wyraziło się wysunięciem trzech kandydatów do Sejmu. Kandydatury te — jak wiadomo — nie zyskały akceptacji kompetentnych czynników politycznych. Ostatnie doświadczenia wskazują, jak dalece ta troska o reprezentatywność była uzasadniona. Nastąpiła bowiem ostateczna likwidacja dawnego Koła „Znak”, stylu jego działania, jego celów i dążeń. Przenoszenie nazwy na grupę, która powstała wedle innych zasad, nie jest — jak czytamy w liście Panów z 25 marca 1976 — sposobem zachowania „wartości ogólnospołecznej”. Jako dezinformacja i jako fakt wyrządza natomiast krzywdę także tym wszystkim katolikom, którzy — pozostając poza naszymi środowiskami — uważają „Znak” za swe ideowe odniesienie.

Wreszcie — odwoływanie się do rzekomego „mandatu” szerszej opinii katolickiej jest fikcją, jeśli pomija ono opinie tych środowisk, które są uprawnione do wypowiedzania się w sprawie nazwy „Znak”. Przypomnijmy choćby to, że list z dnia 25 marca — zgodnie z życzeniem Panów — był przedmiotem wielogodzinnej dyskusji w dniu 28 marca br. na walnym zebraniu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, którego członkami zwyczajnymi jest trzech spośród Panów. Uchylając się od udziału w tym zebraniu Panowie nie uznali za stosowne bezpośrednio zapoznać się z opinią środowiska, do którego się Panowie odwołują.

III

Wysunięta przez Panów propozycja rozmów i wspólnego komunikatu dla prasy jest próbą skłonienia naszych środowisk do zaakceptowania faktu dokonanego. Stanowiłoby to pogłębienie istniejącej dezinformacji i byłoby powierzchownym zamazywaniem istotnych różnic, podobnie jak pozorem łączącym nowe Koło Poselskie z naszymi środowiskami i ich dorobkiem jest używanie przez to Koło nazwy „Znak”.

Środowiska nasze w dalszym ciągu z głęboką powagą i odpowiedzialnością traktują swoje obywatelskie obowiązki oraz swoje zaangażowanie w życie Kościoła w Polsce. Nie odmawiając nikomu prawa prowadzenia działalności politycznej, również na działalność utworzonego przez Panów ugrupowania chcą patrzeć bez uprzedzeń. Idzie nam natomiast o to, by stosunki między ludźmi i środowiskami — w tym wypadku już odrębnymi — oraz wszelka służba publiczna, budowane były na prawdzie.

24 kwietnia 1976 r.

- (—) *Bohdan CYWIŃSKI*, redaktor naczelny miesięcznika *Znak*.
- (—) *Kazimierz CZAPLIŃSKI*, przewodniczący Klubu Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu.

- (—) *Tadeusz MAZOWIECKI*, redaktor naczelny miesięcznika *Więź*.
- (—) *Andrzej ŚWIĘCICKI*, prezes Klubu Inteligencji Kat. w W-wie.
- (—) *Jerzy TUROWICZ*, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*.
- (—) *Andrzej TYC*, prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Toruniu.
- (—) *Stefan WILKANOWICZ*, prezes Klubu Intel. Kat. w Krakowie.
- (—) *Jacek WOŹNIAKOWSKI*, dyrektor Społecznego Instytutu Wydawniczego *Znak*.

KONFERENCJA CENZURY Z REDAKTORAMI. KWIECIEŃ 1976

Zakazowi publikacji podlegają:

1. Wszelkie dokumenty kościelne, bez względu na czas powstania. W wyniku ustnych uzgodnień na szczeblu cenzury za dokumenty nie będą uważane ustne wystąpienia papieskie, zaś *Życie i Myśl* ma szansę publikowania jednych, a omawiania innych dokumentów. Omawianie w prasie codziennej i tygodniowej muszą być wcześniej konsultowane.
2. Przedstawianie działalności duszpasterstwa akademickiego oraz rodzinnego włącznie z analogicznymi akcjami prowadzonymi za granicą.
3. Informacje o „niekonwencjonalnych” formach działania Kościoła, jak: wystawy, sacrosongi, opieka nad turystami, itp.
4. Informacje o zamierzonych Mszach i nabożeństwach w intencji grup stanowych i środowiskowych, zakaz nie obejmuje informacji *ex post*.
5. Informacje o działalności instytutów biblijnych i podobnych uczelni, a także stylizowanie seminariów na uczelnie wyższe (rok akademicki itp.).
6. Informacje o zamierzonych lub podjętych procesach beatyfikacyjnych Polaków. Wolno informować dopiero po zakończeniu procesu.
7. Informacje o nominacjach biskupów, administratorów apostolskich, itp. Tylko w wersji PAP.
8. Informacje o organizowaniu pomocy dla „Trzeciego Świata”.
9. Interpretacja stosunków Watykan-Warszawa oraz stosunków kościelno-państwowych musi być uprzednio konsultowana. To samo dotyczy komunikatów Konferencji Episkopatu lub wypowiedzi jego przedstawicieli.
10. W zakresie historii nie należy publikować materiałów wskazujących na narodowo i państwo twórczą rolę Kościoła.
11. Nie należy omawiać w żadnych ujęciach pluralizmu światopoglądowego, waloryzować występujących w Polsce światopoglądów, dokonywać oceny przewagi jednego lub ograniczeń innego w życiu społeczno-politycznym kraju.
12. Wyjawszy wysoce filozoficzne rozprawy, nie wolno dokonywać w publicyście rozróżnienia między ideologią i światopoglądem.

LIST OTWARTY DO UCZESTNIKÓW
EUROPEJSKIEGO ZGROMADZENIA MŁODZIEŻY
I STUDENTÓW W WARSZAWIE

19-24. VI. 1976

KOLEDZY!

W oparciu o Akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie podpisany w Helsinkach, który m.in. stwierdza, że państwa uczestniczące są świadome potrzeby coraz szerszej wiedzy i coraz szerszego rozumienia różnorodnych aspektów życia innych państw uczestniczących, pragniemy zapoznać Was z niektórymi aspektami życia młodzieży w kraju, który udzielił gościny obecnej KONFERENCJI pt. O TRWAŁY POKÓJ, BEZPIECZEŃSTWO, WSPÓŁPRACĘ I POSTĘP SPOŁECZNY.

Informacji tej nie otrzymacie ze źródeł urzędowych, wobec czego pozostaje nam przekazanie jej wam poza oficjalną drogą. Polska, nasz kraj, szczyści się od wielu setek lat tradycją tolerancji, wolności słowa i przekonań. Niestety swobody te są obecnie stale naruszane i to w sposób drastyczny. Ponadto wbrew postanowieniom Deklaracji Praw Człowieka, Paktów Praw Człowieka, których Rząd Polski jest sygnatariuszem, w stosunku do osób więzionych pod zarzutem przestępstw natury politycznej stosuje się metody najmocniej potępione w tych dokumentach.

Nie mogąc przedstawić wam, Koledzy, pełnej dokumentacji w tym przedmiocie (większość dokumentów posiada organizacja *Amnesty International*), przytoczymy jedynie kilka wypadków z ostatniego roku.

1. Emil Morgiewicz, były więzień polityczny, po odsiedzeniu kary 4 lat pozbawienia wolności, skierował memoriał do Parlamentarnej Komisji wymiaru sprawiedliwości krytykujący warunki w więzieniach i okrutne metody stosowane wobec więźniów. Aresztowany pod zarzutem „rozpowszechniania fałszywych wiadomości”, pod naciskiem opinii krajowej i zagranicznej zwolniony, znajduje się jednak pod śledztwem.

2. Marian Piłka, Anna Żórawska i Magdalena Górka, studenci z Lublina, aresztowani za rozlepianie klepsydr, zawiadamiających o nabożeństwie za robotników poległych w grudniu 1970 roku w czasie robotniczej rewolty w portach na Wybrzeżu. Marian Piłka w skardze do Prokuratora stwierdził, że w czasie przesłuchań milicyjnych kopano go, deptano stopy, obsypywano wyzwickami i grożono elektrowstrząsami.

3. Stanisław Kruszyński, student V roku teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, skazany na 10 miesięcy więzienia za treść prywatnych listów do żony, brata i przyjaciela. W listach tych Kruszyński krytykował niektóre aspekty życia publicznego oraz donosił o pewnych wydarzeniach (m.in. o pożarach w Warszawie), które były znane w całym kraju. Jako okoliczność obciążającą sąd poczytał oskarżonemu znalezione w jego mieszkaniu przez milicję książki wydane bądź przed wojną bądź za granicą.

4. Bernard Kalinowski (17 lat) i Leszek Maciejewski (16 lat) uczniowie szkoły średniej w Warszawie, należący do nieoficjalnego kółka dyskusyjnego pod nazwą Wolne Słowo, aresztowani pod zarzutem malowania na parkanie hasł wymierzonych przeciwko partii komunistycznej.

5. Jacek Smykał, student Państwowej Akademii Medycznej w Szczecinie, skreślony z listy studentów decyzją rektora bez przeprowadzenia postępowania dyscyplinarnego, za „wypowiedzi, które musiały wpłynąć destrukcyjnie na światopogląd i postawę kolegów, wywołując w ich umysłach niepotrzebne wątpliwości”, oraz za to, że „stawał bierny opór manifestując nonszalancką postawę w trakcie przesłuchania przez milicję”. Jacek Smykał w czasie seminarium z podstaw nauk politycznych zapytał o liczebność milicji i służby bezpieczeństwa w Polsce. Podczas śledztwa odmówił podpisania deklaracji, że będzie policyjnym szpiclem.

6. Antoni Pawlak, student I roku filozofii Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, wcielony w kwietniu tego roku do wojska za podpisanie „Listu 300” w sprawie zmian w Konstytucji PRL. Przebywa od 26 kwietnia w jednostce wojskowej w Szczecinku.

7. Zdzisław Jaskuła, student V roku polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego, (sygnatariusz „Listu 300”) relegowany z uczelni. Przesłuchiwany był wielokrotnie przez milicję, gdzie grożono mu „wysłaniem do domu wariatów”.

Są to wypadki najbardziej aktualne. Wspominamy jedynie, że w latach 1968-69 odbyły się w Polsce liczne procesy polityczne przeciwko młodzieży studenckiej zakończone wyrokami paroletniego więzienia. Studenci byli bici i znieważani. W 1970 zapadł surowy wyrok przeciwko młodym ludziom oskarżonym o przewożenie do Polski wydawnictw zachodnich. Sądy wydały w 1971 roku szereg wyroków przeciwko uczestnikom grupy pod nazwą RUCH, która stawiała sobie za cel demokratyzację ustroju. Kary sięgały 7 lat więzienia.

W procesach oskarża się młodzież bądź o należenie do tajnej organizacji bądź o rozpowszechnianie fałszywych informacji mogących wyrządzić szkodę państwu (art. 278 lub artykuł 271 ewentualnie w związku z art. 273 Kodeksu Karnego). Zebrania dyskusyjne nie mające „firmy” organizacji oficjalnej (jest ich tylko dwie: SZMP i studencka SZSP, działające pod egidą partii komunistycznej) traktowane są przez władze policyjne i sądowe jako „tajny związek”, a wyrażanie opinii krytycznych wobec systemu, ustroju, polityki czy jakichkolwiek decyzji władz partyjno-rządowych, jako rozpowszechnianie wiadomości mogących wyrządzić poważną szkodę państwu.

W tych dniach powołaliśmy do życia *Młodzieżowy Komitet do Spraw KBWE w Helsinkach*, który podobnie jak i w innych krajach Europy Zachodniej, Wschodniej, w Stanach Zjednoczonych, a nawet w Związku Radzieckim, czuwać będzie nad wykonywaniem postanowień Aktu Końcowego.

Nie wiemy, czy za przekazanie wam, tych prawdziwych informacji o sytuacji w naszym kraju — nie będziemy ścigani...

Zwracamy się jednak do was, KOLEDZY, zwłaszcza do tych, którzy żyją w krajach gdzie każda opinia i krytyka jest dozwolona, byście wyrażali solidarność z nami, tak jak wyrażacie solidarność z młodzieżą karaną za przekonania w innych państwach dyktatorskich czy totalitarnych. Oczekujemy od was tej solidarności i pomocy w imię wolności i swobód o które walcząświadomiona młodzież całego świata!

MŁODZIEŻOWY KOMITET
DO SPRAW KBWE W HELSINKACH

Powyższy tekst w języku angielskim był szeroko kolportowany wśród uczestników Zgromadzenia. (Red.).

Przestrogi dla wyjeżdżających na kontrakt "PolSERVICE"

Wielu ludzi w Polsce marzy o takim wyjeździe i stara się wyjechać z Polski na dwuletni choćby kontrakt gdziekolwiek, byle by przez jakiś czas odetchnąć inną atmosferą.

Przeważają motywy następujące: nadzieja na dorobienie się czegoś, kupno samochodu, zwiedzenie świata i odetchnięcie wolnością.

Największe szanse mają wszelkiego rodzaju inżynierowie, a szczególnie rolnicy, geodeci, tzw. „wodno-kanalizacyjni”, i weterynarze, których „nasi” wysyłają najchętniej. Natomiast lekarze, choć wszędzie najbardziej poszukiwani, są ostatnio z wielkim trudem wypuszczani z kraju, a architekci prawie wcale (choć jest ich w kraju w nadmiarze).

Po długich więc staraniach, przeważnie kilkuletnich (zresztą wszystko w Polsce zależne jest od „chodów”), wyjeżdża wreszcie ten tak zwany „specjalista PolSERVICE” z rodziną lub sam. Po krótkim okresie euforii spowodowanej nadzieją na bliską już realizację swych marzeń, szybko przychodzi opamiętanie i świadomość jak bardzo został oszukany.

Przed wszystkim został sprzedany za bardzo niską cenę, wprost upokarzającą. Polacy (jak zresztą wszyscy specjaliści Bloku Wschodniego) są płaćni według stawek miejscowych, nie do przyjęcia dla zachodnich Europejczyków. Są to stawki naprawdę bardzo niskie, mające tylko pewne znaczenie wtedy, jeżeli zaoszczędzone pieniądze zostaną wydane w Polsce. Samochód zagraniczny jest możliwy najwyżej na poziomie fiata 128. Większość jednak decyduje się na marnego, choć dobrze się prezentującego fiata polskiego, ponieważ jest najtańszy i w razie powrotu do kraju, zwolniony z cła. Tu należy dodać, że do roku 1970, każdy specjalista mógł przywieźć po skończonym dwuletnim kontrakcie każdy zagraniczny samochód bez cła, ale ten przywilej został już cofnięty głównie z powodu masowej produkcji polskiego fiata.

Wszyscy więc specjaliści Bloku Wschodniego są traktowani na równi z tubylcami, co wyraźnie obniża ich prestiż, bo sami mało się cenią. Francuzi, Niemcy, Amerykanie i Kanadyjczycy otrzymują 3 lub 4 razy tyle, a ponieważ w krajach azjatyckich czy afrykańskich utrzymanie kosztuje znacznie mniej niż w Ameryce czy Europie, więc dla nich te wyjazdy są bardzo opłacalne.

Ambasada polska i konsulat czy też Biuro Radcy Handlowego (tzw. B.R.H.) mają niepisany obowiązek jakiejś opieki nad kolonią polską w danym kraju. Jak więc to wygląda w praktyce?

Polak po przyjeździe na swoją placówkę ma kilkanaście dolarów w kieszeni, pożyczonych przez PolSERVICE. Otrzymuje na miejscu małą zaliczkę od władz miejscowych i małą pożyczkę od BRH. I to jest jego cały kapitał na okres kilku miesięcy (3 do 6 zależnie od kraju i ministerstwa). Musi za to kupić jakieś meble, wynająć mieszkanie, no i żyć. Ponieważ cała wypłacona kwota wystarcza na bardzo krótki okres (znowu zależy czy ktoś jest sam czy z rodziną) musi wkrótce zaciągać pożyczki i żyć na kredyt. Z tego powodu sam początek kontraktu jest po prostu koszmarem. Brak pieniędzy na życie, mieszkanie, konieczność narażania się na upokorzenia w rodzaju prośby o pożyczki u obcych zupełnie i nieraz niechętnych ludzi. Ale urzędnicy w warszawskim PolSERVICE wzduszają ramionami: „no cóż, muszą sobie specjaliści sami pomagać”... Na pomoc czy życzliwość tego urzędu nie ma w ogóle co liczyć. Nie ma również mowy, żeby bogate BRH udzieliło pożyczki głodnemu nieraz (fakt!) specjalście. Oczywiście dla prawdziwości obrazu należy dodać, że zdarzają się wyjątki. Czasami skromny urzędnik ambasady poruszony kłopotami początkującego specjalisty wyciągnie parę setek z kieszeni i pożyczki „tak żeby inni nie widzieli”. Są też uczynni specjaliści, którzy pomagają jak mogą nowoprzyjeżdżającym.

Wreszcie ten koszmarne okres mija i upragnione pieniądze przychodzi. Po zapłaceniu jednak długów kolegom, a przede wszystkim PolSERVICE'owi okazuje się jak bardzo mało zostaje. Haracz dla PolSERVICE wynosi 15% od pensji brutto, czyli około 20% od netto, co przy 10-15% podatku miejscowego dochodzi razem do 30% podatku od pensji. Wysokość pensji zależna jest od lat pracy zakładając, że wszyscy specjaliści mają uniwersyteckie czy politechniczne dyplomy. Najmłodszy z około 10-letnim stażem pracy otrzymują około 800 dolarów, najstarsi stażem (powyżej 20 lat) — około 1.000 dolarów brutto. Przy pensji 800 dolarów wydatki kształtują się następująco:

— podatek około 25%	200 dolarów
— mieszkanie	100 "
— utrzymanie (3 osoby)	150 "
— światło, gaz, benzyna	100 "

razem: 550 dolarów.

Pozostaje więc teoretycznie 250 dolarów z których trzeba pokryć wszystkie inne wydatki stałe i nieprzewidziane jak np. reparacje samochodowe, lekarza i lekarstwa (żadnego ubezpieczenia chorobowego nie zapewnia PolSERVICE). Pewne jest, że specjalista z taką pensją, mający żonę i dziecko, nie jest w stanie odłożyć ani grosza, żyjąc zresztą bardzo skromnie. Małżeństwa takie dochodzą tylko do przekonania, że: „tu się żyje łatwiej, przyjemniej i swobodniej, więc trudno pobejdziemy kilka lat i końcowa trzymiesięczna odprawa pozwoli nam kupić chociaż samochód”. Bo jedyną nadzieją na odłożenie pieniędzy są

właśnie te dwa tzw. *Indemnité* czyli na początek 3 miesięczna pensja nieopodatkowana jak dotąd przez Polservice i to samo na zakończenie kontraktu. Inni wysyłają żony i dzieci do kraju i mieszkając po dwóch lub trzech w jednym mieszkaniu i żyjąc bardzo oszczędnie, potrafią jakąś sumę odłożyć.

Poza tym, że ambasada i BRH nie troszczą się o sprawy materialne specjalisty — przeciwnie — pracownicy tych instytucji uważają go za burżuja, który niesłusznie zarabia więcej niż oni — jakże odpowiedzialni dyplomaci — troszczy się za to troskliwie o inne sprawy: jak się zachowuje (nie chodzi tu bynajmniej o *savoir vivre*), jakie ma kontakty z cudzoziemcami, gdzie jeździ na wycieczki i urlop, z kim prowadzi korespondencję i czy chodzi do kościoła. Wszystkimi proponuje się delikatnie współpracę i donoszenie ambasadzie o tym „co mówią ludzie”. Prawdopodobnie donosiciele jest sporo — te rzeczy trudno udowodnić — ale ambasada jest zwykle dobrze poinformowana co się wśród Polonii dzieje.

Osobny rozdział stanowi urlop specjalisty i przedłużanie kontraktu. Wtedy staje się oczywiście jak bardzo Polacy, nawet w innym kraju, mają ograniczoną wolność poruszania się. Większość jadących po 2-ach latach na urlop do kraju pragnie odbyć podróż samochodem, aby po drodze coś zwiedzić. Wyjazd do kraju jest często tylko pretekstem, aby otrzymać od kontrahenta, zastrzeżony w umowie, zwrot kosztów podróży samolotem* (również dla żony i dzieci do 18 lat). Aby to otrzymać trzeba udowodnić przy pomocy paszportu, że się było chociaż tydzień w kraju. Żeby więc jechać samochodem trzeba uzyskać kilka różnych wiz. I wtedy okazuje się, że wiele ambasad nie da wizy, jeżeli nie ma się noty z polskiej ambasady, a polska ambasada nie da noty, jeżeli delikwent nie wypłacił co do grosza swojego haraczu Polservice'owi, a w ogóle wydaje te noty *à contre cœur*. Tylko Szwajcaria i NRF tych not nie żądają.

Przedłużanie kontraktu, a większość specjalistów na to się decyduje, jest okresem denerwowania się i stresów. Przedłużać czy nie, nie wiadomo przez kilka miesięcy, a decyzja Polservice przychodzi zwykle z dużym opóźnieniem i ważna jest tylko na rok, po czym powtarza się ta sama komedia. Zdarzają się wypadki, że BRH celowo i złośliwie przetrzymuje u siebie nadeszłą z kraju decyzję.

Taka wielka zależność od Polservice, ambasady i BRH wpływa ogromnie i w większości negatywnie na postawę specjalistów wobec tych instytucji i ludzi je reprezentujących. Większość, niestety, zachowuje się jak zdeptane i płaszczące się robaki, pozwalające sobie na wszystko, aby tylko: zła opinia nie poszła do kraju, aby przedłużono im kontrakt, aby czasem jakiś ochłap z pogardą rzucony schwycić z łaskawych rąk urzędników tych instytucji. Bo ambasada dysponuje tanim alkoholem, tanią żywnością z Baltony, a czasem konfekcją z przydziałów dla dyplomatów,

* Co dwa lata.

matów, czasem znowu pozbywa się starych mebli czy dywanów kiedy odświeża swoje reprezentacyjne salony (przysłowiowa jest tu wielka rozrzutność). Umizgi i płaszczenie dochodzi do szczytu na spotkaniach towarzyskich, gdzie żony „dyptomatów” choćby najmniej ciekawe zewnętrznie, nie mówiąc o z reguły ubogim wnętrzu, są do upadłego obtańcowywane przez rycerskich specjalistów, których żony z kolei wdzięczą się do zupełnie nierycerskich dyptomatów. Oczywiście dyplomaci są stale zapraszani i przeważnie to lubią. Lubią zresztą wszelkie przejawy wdzięczności jak prezenty, a nawet nieżądanie reszty przy opłacaniu usług (kosztownych!) w ambasadzie.

Tu można nawiasem wtrącić, że każde zaświadczenie wydane przez ambasadę kosztuje słono i opłaca się je w dewizach. Np. zaproszenie dla członka rodziny potwierdzone przez władze miejscowe kosztowało 10 razy taniej niż w ambasadzie. Sprytni szli więc do kalifa lub paszy. Ale ambasada okazała się sprytniejsza i zmonopolizowała swoje usługi. Już instytucje w kraju uznają tylko pieczęć ambasady a nie kalifa mimo miłości do Arabów, a usługi ambasady podróżowały o 100% (zaproszenie jednej osoby z kraju kosztuje około 6 dolarów).

Jest jednak druga grupa Polaków, starająca się wprawdzie utrzymać z ambasadą poprawne stosunki, ale w granicach godności ludzkiej i trzymająca się raczej z daleka.

Cała ta kolonia polska żyje w przedziwnej atmosferze zazdrości, nieufności i tajemniczości. Nie wiadomo kto donosi, więc stąd ten ogólny brak zaufania i jeżeli się coś do kogoś mówi to na ogół w tajemnicy, choćby rzeczy wydawałyby się błahe jak np. kiedy i dokąd jedzie się na urlop. No bo te urlopy są zawsze zagadką i niewiadomą. Ambasada czeka z zapartym tchem, czy wszyscy wrócili z urlopów. A co roku się zdarza, że ktoś przepada. Powody tych ucieczek są wszystkim znane, ale bezpośrednią przyczyną tych rozpaczliwych decyzji są trudności z przedłużeniem kontraktu i szukany wyżej wymienionych instytucji. Jest to tragiczny rezultat tej bezsensownej polityki. Ludzie ci przepadają na zawsze, w większości się wynaradawiają, a wielu z nich chętnie wróciłoby po paru latach do kraju, gdyby im pozwolono i gdyby nie obawiali się przesładowań.

X. A.

Sąsiedzi

Wieści z Ukrainy

Niedobre wieści nadchodzą z Ukrainy. Wszystko wskazuje na to, że Moskwa postanowiła wypalić doszczętnie ruch odrodzenia narodowego i intelektualnego, który ożył na gruzach stalinizmu i okupacji hitlerowskiej. Terror i rusyfikacja, nierozłączne zjawiska opresji w najstarszej kolonii imperium, towarzyszącą bezkarnie polityce „odprężenia” i amerykańskich zachęt „integracyjnych” w rodzaju „doktryny” Sonnenfeldta. Historia spleta się na naszych oczach z teraźniejszością. W zeszłym roku minęło dwieście lat od zniszczenia Zaporozkiej Sycy na rozkaz Katarzyny; w tym roku mija sto lat od Edyktu Emskiego Aleksandra II-go, cara „oswobodziciela”, o zakazie literatury ukraińskiej. Różnica między polityką ukraińską dawnych i nowych carów polega na tym, że władcy moskiewscy byli w przeszłości „uczciwsi”: aktom przemocy kolonialnej nadawali okrutną w wymowie i skutkach, ale niedwuznaczną formę administracyjno-prawną. Ich spadkobiercy, posługując się maskami marksizmu i internacjonalizmu, kontynuują program wielkomocarstwowej ekspansji, fizycznego i duchowego podboju innych narodów, w atmosferze kłamstwa, obłudy i podstęp.

Oficjalnie mówi się i pisze, zgodnie z zasadą ustroju federalistycznego i literą konstytucji, o Związku Republik, o *Sojuszu*, ale w języku codziennym, zarówno biurokratycznym jak towarzyskim, obowiązuje stare carskie pojęcie „Rosja”. Jego pełna rehabilitacja nastąpiła w toku *Wielkiej Ocieczestwiennej Wojny*: odkrzuszone kult Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego, Katarzyny, Suworowych i Kutuzowych; Stalin, w swoim sławetnym toaście, przywrócił i usankcjonował ideę wyższości narodu rosyjskiego. Zdawało się że wszystkie narody nie rosyjskie, w pierwszym rządzie Ukrainy i Białorusini, utoną na zawsze w wezbranym morzu szowinizmu wielkoruskiego. Ten na ogromną skalę zakrojony plan udałby się prawdopodobnie, gdyby nie kilka czynników: opór Tity i odmienny model układu stosunków narodowościowych w Jugosławii; zwyczajstwo komunistów w Chinach;

wybuch zimnej wojny z Zachodem; i, *last but not least*, śmierć Stalina. Fermenty odśrodkowe na peryferiach imperium — w NRD, w Polsce, na Węgrzech — zmusiły Chruszczowa do odtrąbienia pochodu na *inorodców*. Nastąpiła krótka *pieredyszka*. W ciągu tego dziesięciolecia odwilży — czy, jeśli kto woli, kryzysu i reform — wypłynęły na powierzchnię dwie ważne rzeczy: zantagonizowanie stosunków między Rosjanami i nie-Rosjanami, oraz dążenie narodów nierosyjskich do ratowania zagrożonej tożsamości historycznej, duchowej i kulturalnej. Obalenie Chruszczowa było w dużej mierze odwetem szowinistów rosyjskich za jego pobłażliwość wobec *naemieniszestw*. Wyniesiono na kremowski tron Breżniewa, syna kolonisty rosyjskiego na Ukrainie. I stawka się udała. W rok po zmianie ruszyła nowa ofensywa na Ukrainę. Główne uderzenie spadło na szeregi młodej inteligencji ukraińskiej, ofiarnie i z entuzjazmem inspirującej proces podźwignięcia kraju z upadku politycznego i kulturalnego. **Rozpoczął się trzeci z rzędu — licząc od połowy lat trzydziestych — pogrom elity umysłowej na Ukrainie i kultury ukraińskiej.** Nie była to już rozprawa z banderowcami i upowcami, z nacjonalizmem na zachodnich rubieżach Ukrainy. Z tym niebezpieczeństwem uporał się dawniej Stalin. Teraz trzeba było użyć komsomolców i komunistów, liberałów i nacjonalistów nowej generacji. W Kijowie i we Lwowie, w Łucku i w Dniepropietrowsku, w Czerniowcach i w Odessie. Okazało się, że w międzyczasie powstała istotnie nowa Ukraina.

Bilans tych prześladowań jest straszliwy, dla Polaków porównywalny chyba tylko z tym co działo się po Powstaniu Listopadowym czy Styczniowym. Wywieziono setki najbardziej ideowych młodych ludzi do łagrów na północy; innych osadzono w zwykłych więzieniach; jeszcze innych internowano w *psychuszkach*. Niepokornych na wolności pozbawiono możliwości pracy zawodowej, studiów, nauki; słabszych poddano takim torturom duchowym, że stali się janczarami doktryny podboju.

Nie koniec na tym. Odcięto Ukrainę od dotychczasowych — nikłych co prawda, ale jakże ważnych! — kontaktów z krajami ościennymi: Polską, Czechosłowacją, Węgrami i Rumunią (kontakty z Jugosławią były zabronione nawet w okresie odwilży). Skutki tego odcięcia są widoczne: od sąsiadów czerpali Ukraińcy pożywkę dla swego odrodzenia narodowego. Przecięto również na rozkaz Moskwy ledwie zadziergnięte, i rozwijające się dobrze, więzi z emigracją ukraińską w Ameryce i Kanadzie. Wprowadzono rygorystyczną cenzurę wszystkich tekstów naukowych i literackich z zakresu historii Ukrainy. A następcą Piotra Szestła, przedstawiciela centralnej władzy partyjnej w Kijowie — człowieka o miernych walorach politycznych i moralnych, ale mimo to obrońcy „małej stabilizacji” i autonomisty — został Szczerbyćkyj, który na ostatnim zjeździe komunistów ukraińskich przemawiał do swoich rodaków po... rosyjsku. Całą Ukrainę spowity ciemności odgradzonej od świata prowincji kolonialnej.

W rok po Helsinkach odbywa się planowa akcja pełnego ujarznienia kraju, który po ciężkich stratach poprzednich dziesięcioleci odważył się przystąpić do częściowej choćby odbudowy podstawowych praw swego bytu narodowego i ludzkiego. To że wyaresztowano i wywieziono kwiat młodzieży ukraińskiej, że poetom ukraińskim daje się za wiersze patriotyczne (które ich rosyjskim rówieśnikom przynoszą pochwały i nagrody państwowe) siedem lat więzienia i trzy lata zesłania, świadczy o stanie wyjątkowym. Ukraina stała się głównym poligonem rozprawy z nie-Rosjanami. Na Zachodzie obchodzi to mało kogo. Masy rosyjskie odnoszą się do „wielkich przemian” z obojętnością, może nawet przyklaskując im w duchu. Najbardziej jednak bolesna jest postawa ogromnej większości inteligencji rosyjskiej. Bolesna i krótkowzroczna. Światli Rosjanie — z nielicznymi wyjątkami ludzi takich jak Sacharow, Bukowski czy Gorbaniewskaja — zdają się nie widzieć, lub nie chcą widzieć, że dokoła nich rośnie nienawiść. Niech się nie łudzą: jeśli dojdzie kiedyś do rozrachunku nie uda się jej skanalizować, skierować **wyłącznie** przeciw rodzimym zdrajcom, przeciw namiestniczemu aparatowi ukraińskiej władzy sprawowanej z woli Moskwy. Historia upadku caratu uczy czegoś innego, chociaż uświadomienie narodowe i rozeznanie polityczne były wówczas na Ukrainie dość wątłe, a poczucie upośledzenia i upokorzenia narodowego nie osiągało takiego napięcia jak obecnie. Mimo oporów, Rosja szła od 1905 roku w kierunku reform. Ukraińcy mogli sobie ulżyć, jeśli nie w Kijowie czy w Petersburgu, to za miedzą we Lwowie i w Wiedniu. Istniała szansa nawiązania dialogu, ponad głowami czarnoseńców, z wieloma szczerymi demokratami rosyjskimi. Słowem, nagromadzony w ciągu stuleci ładunek pretensji i oskarżeń mógł się wyładowywać w sposób cywilizowany i kontrolowany. Dziś gromadzi się jedynie powściągana siła nienawiści. Przedstawiciele inteligencji rosyjskiej winni o tym pamiętać.

Sprawa rosyjska jest kluczowym zagadnieniem ostatniego ćwierćwiecza naszego stulecia, wszystkie inne sprawy we wschodniej i środkowej części naszego kontynentu są jej zwykłymi pochodnymi. Od Rosjan w pierwszym rzędzie będzie zależało jak ta sprawa zostanie rozwiązana: we wspólnej walce o odwrócenie apokaliptycznej perspektywy wzajemnej rzezi, czy w potokach krwi bratniej. W setną rocznicę zakazu mowy i literatury ukraińskiej, w obliczu wieści nadchodzących ze współczesnej Ukrainy, jest obowiązkiem każdego uczciwego Rosjanina głęboko się nad tym zastanowić.

Dopóki nie znajdą się myśliciele i politycy rosyjscy, którzy podejmą walkę z mitomanią hegemonii moskiewskiej odcinając się z całą stanowczością od metod podbojów i wynaradawiania innych narodów, dopóty wszelkie deklaracje o wspólnych frontach i współdziałaniach będą czczą gadaniną. Nie można się wykręcić oświadczeniami, że to wszystko spowodował ustrój sowiecki. Korzenie tkwią znacznie głębiej.

Bohdan OSADCZUK

Kronika ukraińska

Od Slipego do Pluszcza

Rok 1976 jest dla Ukraińców datą o tyle znamioną, że życie polityczne tej wspólnoty narodowej wzbogaciło się o nowy wymiar. Reżym sowiecki pozwolił Pluszczowi wyjechać.

Ale dla Ukraińców sprawa Pluszcza ma jeszcze inne aspekty. Pluszcz jest marksistą-komunistą. Jest to jego wolny nieczym wymuszony i jak na stosunki emigracyjne na Zachodzie odważny wybór. Stał przy nim zrazu i co ważniejsze nie zrewidował go nawet wtedy, kiedy podczas podróży po Ameryce i Kanadzie zobaczył, że gros emigracji ukraińskiej ustawiło się w prawicowych szeregach. Świadczy to chyba nieźle o walorach jego charakteru.

Oszukani przez Niemców i Rosjan, Ukraińcy na Zachodzie postawili na stawkę prawicową. Były mniej lub bardziej udane próby stworzenia lewicy jak np. grupy „Wpered” z Hołubnym i Lewyckym na czele, ale w okresie flirtu z Moskwą i późniejszej zimnej wojny nie dało to wielkiego rezultatu. Brakło też tej grupie oprócz pomyślnej koniunktury międzynarodowej poparcia ze strony rodaków. I tak Ukraińcy poruszali się na politycznych polach skomplikowanego świata chromo, kulejąc mocno na lewą nogę. Obecnie struktura się trochę wyrównała. Spectrum sięga od kardynała Slipego do marksisty Pluszcza.

Nie należy się jednak łudzić, że wszystko pójdzie gładko. Sam Pluszcz jest, jak się zdaje, człowiekiem krewkim i nie zwykł widocznie działać na chłodno. Emigracja ukraińska natomiast nie może zrozumieć, że kreowany niedawno, w okresie prześladowań, na bohatera narodowego rodak deklaruje się opozycyjnym komunistą. Cześć ona i cześć nadal wybitnych ukraińskich komunistów-patriotów Chwyłowego, Skrypnika, Szumskiego, którzy oddali życie w walce z imperializmem rosyjskim pod wodzą Stalina, ale to stare dzieje, a Pluszcz — to człowiek współczesny, żywy i młody. I nawet ci którzy odnieśli się z sympatią do Dubezeka nie wiedzą jak się odnieść do swojego ziomka o podobnym programie reformizmu.

Poglądy Leonida Pluszcza

Pluszcz wystąpił już kilkakrotnie z publicznymi enuncjacjami na temat polityki, co pozwala na fragmentaryczny co prawda ale mimo to dość instruktynny wgląd w jego zapatrywania i oceny. Ważny był jego list otwarty do zachodnich komunistów, w którym przestrzega na podstawie doświadczeń z inwazji w Czechosłowacji przed zbyt bliskimi sojuszami ze Związkiem Sowieckim gdyż te mogą się w pewnej chwili przyczynić do zagrożenia samostanowienia.

Pluszcz przypomina, że komunistyczne partie w tzw. „socjalistycznych” krajach podeptały i dalej deptają ideały komunizmu i apeluje do komunistów zachodnich: „Jedynie wówczas kiedy twardo i bezkompromisowo będziecie żądać demokratyzacji krajów socjalistycznych, równie twardo i nieustępliwie będziecie się domagać amnestii dla więźniów politycznych w tych krajach, dopiero wówczas będziecie mogli przekonać wasze narody, że przestanie być epigonami dyktatury stalinowskiej. Socjalizm bez demokracji — to antysocjalizm”.

Na temat ewolucji swoich poglądów — od kosmopolity bez określonej tożsamości narodowej do komunistycznego patrioty ukraińskiego — Pluszcz opowiada, że pociągnął go renesans ukraińskiej kultury i sztuki, renesans myśli politycznej w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych. Najważniejszą jednak rzeczą dla niego był przykład osób zaangażowanych w walce o wolność Ukrainy. Przykładowo wspomina o Iwanie Dziubie, autorze pracy „Internacjonalizm czy rusyfikacja?” za którą powędrował do więzienia i gdzie się wreszcie załamał; za to czyni mu Pluszcz gorzkie wyrzuty. Ale oto słowa samego Pluszcza o swojej metamorfozie: „Dziuba dokonał nadzwyczaj wiele dla dzieła odrodzenia. Wpływ jego prac był i pozostanie duży. Myśmy wraz z żoną sami to przeżyli. Do czasu napisania dzieła „Internacjonalizm czy rusyfikacja?” byliśmy faktycznie kosmopolitami. Jako demokraci, rzecz jasna broniliśmy praw narodów do samookreślenia, ale jednocześnie uważaliśmy, że asymilacja jest zjawiskiem pozytywnym”.

Ci, co zostali — cierpią

Pluszcz jest wśród nas, ale inni, co pozostali w ZSSR cierpią. W Dniepropietrowsku w tej samej klinice-psychuszcze gdzie trzymano Pluszcza, znęcają się nadal nad lekarzem Plochotniukiem. Wyciezionego i doprowadzonego do krańcowej sytuacji Moroza przewieziono z twierdzy w Włodzimirze do kliniki specjalnej medycyny sądowej im. Serbskiego w Moskwie. Bez skutku apelują duchowni i nie duchowni do Papieża, by się wstawił za księdzem Wasylem Romaniukiem z Kosmacza na Huculszczyźnie, skazanym za petycję przeciwko uwięzieniu Moroza na dziesięć lat ciężkich robót w obozach Mordwińskich. Od pierwszego sierpnia ub. roku Romaniuk stosuje głodówkę, gdyż komenda obozu nie pozwala mu czytać Biblii. Najnowsza smutna wiadomość dotyczy młodego pisarza kijowskiego Jewhena Antonenki-Dawydowycza, który już jako młody chłopak odsiedział pięć lat w więzieniach i łagrach a obecnie został znowu skazany w pięcioletnim wyroku. Jest on synem znanego pisarza starszego pokolenia, Borysa Antonenki-Dawydowycza, który sam był w łagrach stalinowskich od 1934 do 1956 roku. Ogólna liczba znanych tylko przesładowań wśród inteligencji ukraińskiej przekracza już dwieście wypadków. A ilu jest bezimiennych więźniów spośród inteligencji wiejskiej, robotników, żołnierzy i chłopów-kołchoźnych w ogóle nic nie wiadomo?

Rzednieją szeregi emigracji

Do tej niezbyt optymistycznej kroniki dochodzą rosące stale straty biologiczne. W zeszłym roku zmarł we Lwowie w sędziwym wieku Mychajło Rudnyckij, pisarz, krytyk, redaktor literackiego czasopisma *Nazustricz* wychodzącego w 30-tych latach, profesor romanistyki i anglistyki, świetny tłumacz Szekspira. Nie poszedł na emigrację, poświęcił się pracy „organiczej”, by za cenę koszmarnych koncesyj w okresie stalinowskim utrzymać dla swych studentów i dla nauki katedrę uniwersytecką.

Niedawno odeszła w wieczność jego młodsza siostra z zasłużonego dla sprawy ukraińskiego klanu Rudnyckich, była posłanka na Sejm Rzeczypospolitej, wielkiej klasy polityk w spódnicy, parlamentarzystka i rasowa publicystka, Milena Rudnycka. W młodości poświęciła się organizowaniu ruchu kobiecego na zachodnich ziemiach ukraińskich. Organizacja „Sojuz Ukrajnok”, kierowana przez nią od 1920 roku aż do wojny, stała się masowym ruchem feministycznym. Jednocześnie była redaktorką pisma *Zinka*, a przede wszystkim posłanką z ramienia partii UNDO na Sejm w latach 1935-39

gdzie zasłynęła z odważnych interpelacji i ostrych, ale zawsze rzeczowych przemówień. Nie cierpieła jej endecy, nie lubiła sanacja i za Sejm i za działalność na terenie międzynarodowym jak np. na Kongresach Mniejszościowych w Genewie lub na terenie Unii Parlamentarnej.

Listę strat z ostatniej doby można by jeszcze długo kontynuować, ale ograniczamy się do pozycji najważniejszych. Wymienimy zgon wielkiego poety Bohdana Krawciwa, którego poezja w ostatnich dziesięcioleciach była coraz głębsza; przedwczesną śmierć wybitnego publicysty Mychajła Sosnowskiego zajmującego się problemami ukraińskiej myśli politycznej a wreszcie też nieoczekiwane odejście lekarza, a jednocześnie zamilowanego wydawcy i redaktora niezależnego pisma *Ukrajinske Żyttia* w Chicago, Tomy Łapy-Roweckiego w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen koło Berlina. Pismo Łapyczaka w dalszym ciągu ukazuje się, ale brakuje mu i kierowniczej ręki i zapalczowości zmarłego.

Zestawił BEO

W sowieckiej prasie

Związek Sowiecki w jednej dziedzinie zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce w świecie — w dziedzinie procesów: żadne inne państwo nie może z nim rywalizować co do ilości i różnorodności oskarżeń. W ciągu ubiegłych sześćdziesięciu lat za cóż nie sądzono tam ludzi! Jednak mimo to proces, o którym pisała *Prawda* z 18. 4. br., zaskakuje: rodzinę kołchoźników z okręgu nowgorodzkiego sądzono za to, że karmiła bydło chlebem. Wątpliwe czy ilość tego bydła oszołomiłaby bogactwem nawet polskich chłopów: krowa, 5 świń, tuzin prosiąt, para owiec i kury. Jak się okazuje nawet tego nie można wykarmić. Żeby uzyskać mięso trzeba byłoby karmić chlebem, którego brak. Informacje o podobnych procesach pojawiają się i w innych pismach. W szkołach uczniowie piszą wypracowania na temat: „Co wiem o chlebie”. Wypracowania te nie są ogłaszane, ale uczniowie sowieccy, gdyby mogli pisać prawdę, napisaliby: „Wiem o chlebie tylko to, że go nie ma”.

Nie ma chleba (mięsa i innych produktów rolnych), ale za to w okresie dwóch tygodni KC powzięło dwie poważne decyzje w sprawie gospodarki rolnej.

Pierwsza wylicza konkretne postanowienia dotyczące zbiorów 1976 roku. Postanowienia takie uchwała się co roku, gdyż w ramach systemu kołchozów zbiory są ważniejsze od hodowli. Znaczną część zbiorów z reguły zostaje na polach, marnuje się przy przewozie do śpichlerzy, lub psuje się z powodu ich braku.

W 1962 roku pisarz Fiodor Abramow — dobrze znający sowiecką wieś — napisał opowiadanie pt. „Dokoła i wokoło”*, w którym przewodniczący kołchozu przez cały dzień namawia kołchoźników, żeby poszli kosić siano. Pod różnymi pretekstami uchylają się

od tego: nie obchodzi ich siano kołchozowe. Upiwszy się z rozpaczy przewodniczący obiecuje kołchoźnikom 20 % zebranego siana jako zapłatę. Kiedy na drugi dzień budzi się w południe i wychodzi na ulicę widzi, że cała wieś kosi siano.

W majowej uchwale KC poleca wykorzystać receptę pijanego przewodniczącego z opowiadania Abramowa. Nic lepiej nie ilustruje trudnej sytuacji żywnościowej w ZSSR jak ustępstwa, na które idzie partia wykorzystując tzw. zasadę materialnego zainteresowania pracujących. Kierowcy, traktorzyści, mieszkańcy miast mobilizowani są do zbiorów (mimo że 30 % ludności pracuje w gospodarstwach wiejskich), nawet kołchoźnicy otrzymają określony procent zbiorów. Nigdy dotąd ten procent nie był tak wysoki.

Jednak zaraz po majowej uchwale opublikowano czerwcową, określającą strategię sowieckiego gospodarstwa rolnego i cel do którego się dąży. Nowe postanowienie przestrzega: ustępstwa na rzecz kołchoźników są czasowe i wymuszone.

Jak każda decyzja, tak i ta zaczyna się od triumfalnych relacji: „Naukowość i realizm polityki rolnej KPZS, jej mobilizująca siła jest potwierdzana osiągniętymi rezultatami w rozwoju gospodarki rolnej”. Dalej następują dyżurne czasowniki: wyrosło, powiększyło się, rozszerzyło. Za tym jednak czytamy: „...ale tempo „nie zaspokaja jeszcze naszych rosnących potrzeb”. Od 50-ciu lat partia poszukuje kamienia filozoficznego, który by mógł uczynić cud: zmusić kołchozy do dawania niezbędnej dla kraju produkcji żywnościowej. Na początku była „kooperacja”, potem „kolektywizacja”, czegoś jeszcze potem nie było!: „łysenkowizacja”, „kukuryzacja”, „chemizacja”. W czerwcowej uchwale cudowny środek nazywa się „specjalizacją” i „koncentracją”. Specjalizacja to, na pierwszy rzut oka, wymaganie tłumaczące się efektywnością monokultur: kołchozy, sowchozy powinny poświęcić się jednej, najbardziej w danych warunkach wygodnej produkcji. Ale nacisk na „specjalizację” jest związany z innym niezmiernie ostrym problemem państwa sowieckiego — z problemem narodowościowym. W uchwale czytamy: „W kraju powstały wielkie tereny wyspecjalizowane w przemysłowej produkcji zbóż, bawełny, buraków cukrowych, owoców, winogron, herbaty, owoców cytrusowych, lnu włóknistego, mleka, wełny. Tę strefową specjalizację należy jeszcze pogłębić”. Wiadomo na przykład, że Uzbekistan mógłby prowadzić uprawę (i to byłoby dla niego wygodniejsze) wielu produktów rolnych, ale „wyspecjalizowano” go w uprawie bawełny. W każdej republice wprowadza się monokulturę, co powiększa zależność ekonomiczną danej republiki od centrum.

„Koncentracja” sprowadza się ostatecznie do przekształcenia kołchozów w sowchozy czyli, jak powiedziano w uchwale, „do

* Opowiadanie to ukazało się w polskim tłumaczeniu w antologii współczesnej literatury sowieckiej pt. „We własnych oczach”, Instytut Literacki, 1963 r.

zbliżenia dwóch form własności socjalistycznej”, do likwidacji wsi i zastąpienia jej ogromnymi zjednoczeniami rolnymi typu przemysłowego.

Nie ma wątpliwości, że jest to plan długofalowy. Nie jest jednak wykluczone, że katastrofalna sytuacja sowieckiego rolnictwa może zmusić partię do próby zrobienia „wielkiego skoku” i zastosowania kolejnego, „cudownego” środka: koncentracji. Pierwszym krokiem w tym kierunku będzie pozbawienie kołchoźników działek przyzagrodowych. A wtedy uczniowie sowieccy będą pisali wypracowania nie na temat „Co wiem o chlebie”, ale na temat „Co to jest chleb”.



Niezmordowani bracia Miedwiediew wydali nową książkę „N. S. Chruszczow — Lata u władzy”, w której zebrali wszystkie znane już informacje o działalności Chruszczowa z okresu, gdy był u władzy. Ponieważ N. S. Chruszczow bardzo zajmował się gospodarką rolną, bracia Miedwiediew poświęcili dużo miejsca polityce rolnej partii w latach 1950-60. Trudno nie zgodzić się z ich ostatecznym wnioskiem: „Niepowodzenia w dziedzinie gospodarki rolnej wynikły nie tylko z braku traktorów, ulepszeń czy dobrego kierownictwa. Tak samo nie to było powodem, że chłopci nie mieli doświadczenia w hodowli kukurydzy. Problem polega na tym, że już od czasów kolektywizacji zlikwidowano ludzi związanych naprawdę z ziemią, chłopów z dziada pradziada. Wyniszczono ich próbami zmierzającymi do przekształcenia pracy na roli w swego rodzaju pracę przemysłową a chłopca w niepełnowalnego robotnika, uzależnionego od biurokratycznej dyscypliny kierownictwa, przywiązanego do ziemi przez pozbawienie praw i ograniczenie prawa do zmiany miejsca zamieszkania i miejsca pracy oraz pozbawienie go osobistego zainteresowania pracą”.



Jurij Orłow, znany fizyk, członek korespondent Armeńskiej Akademii Nauk, przyjaciel Andrieja Sacharowa, w artykule pt. „Czy możliwy jest socjalizm typu totalitarnego” (rozpowszechnianym — ma się rozumieć — w Samizdacie) analizuje specjalnie problem „prawa do pracy” w zamian za bezwzględną lojalność. Prof. Orłow mówi, że człowiek sowiecki, absolutnie lojalny w stosunku do państwa, „zwolniony jest od znacznej części odpowiedzialności za wyniki swojej pracy”. Ma prawo „pracować gorzej, czasami wielokrotnie gorzej, niżby mógł”, a państwo w tym się godzi. Mało tego — pisze prof. Orłow — „dyktaturze jest wygodnie jeśli przeciętny obywatel jest obciążony pewnym kompleksem winy oraz wdzięczności za pobłażliwość”.

Ostatnio ukazała się książka byłego sowieckiego pisarza, a od niedawna emigranta, Grigorija Swirskiego. W okresie, gdy był jeszcze w ZSSR Swirski dużo jeździł po kraju, a później w reportażach i szkicach z podróży opowiadał jak żyje i buduje się wielki

Związek Sowiecki. W swojej nowej książce „Polarna tragedia” opowiada co widział na dalekiej sowieckiej północy, a o czym nie mógł pisać w prasie sowieckiej. Widział jak źle pracują robotnicy. Pewnego razu, na budowie Brackiej GES „w przodującej dzielnicy komunizmu” był świadkiem zatrzymania robot: ogromny dźwig przestał rozładowywać ogromne ciężarówki, których rząd rozciągnął się na kilometr; ponieważ sygnalizacja nie funkcjonowała, brygadier kazał robotnikowi wdrapać się na dźwig i zobaczyć co się stało. Koniec końców wyjaśniło się, że w kabine operatora jest dziewczyna, więc o rozładowywaniu betonu nie myślał. W odpowiedzi na oburzenie dziennikarza brygadier oświadczył, że winna tu jest Moskwa. Tam właśnie zdecydowano, że operatorzy dźwigów pracując na akord zarabiają zbyt dużo. Zaczęto więc wypłacać im stałą miesięczną pensję — pracuje, czy nie pracuje, pensja jest zawsze jednakowa.

Swirski wykazuje w swej książce że pobłażanie dla złej pracy kończy się traktowaniem robotników przez władzę jak więźniów (dzisiaj więźniowie stanowią znaczną część siły roboczej północy, ale prócz nich pracują również na budowach i wolnonajemni). Właściciele niewolników nigdy się do nich nie odnosili w taki sposób. I to było zrozumiałe: za niewolników trzeba było płacić. Budowniczości komunistycznej Syberii, ci wszyscy, którzy dają państwu jego główne bogactwa — ropę naftową, gaz, złoto — cierpią głód i chłód, żyją w ziemiankach, czy prowizorycznych barakach. Tylko jednej rzeczy im władza sowiecka nie żałuje — spirytusu — ten jest zawsze.

Dobrą ilustracją sytuacji robotników w Związku Sowieckim i poziomowi uprzemysłowienia najpotężniejszego wojennego państwa świata jest historia hotelu, który Francuzi mają budować w Moskwie. Będzie to drugi co do wielkości hotel w stolicy ZSSR, i powinien otworzyć swoje podwoje na początku Olimpiady 1980 roku. Francuzi dostarczają cały materiał budowlany (nie licząc piasku, żwiru, cementu, wody i elektryczności), wszystkie maszyny oraz robotników. Firma francuska zakontraktowała 200 Jugosłowian, ale nie zaangażowała ani jednego miejscowego robotnika. I tutaj powstał problem — Jugosłowianie — jak pisze paryski *Le Monde* — przyzwyczajeni do socjalistycznego stylu zgadzali się na normalne sowieckie baraki. Natomiast 600 francuskich robotników naturalnie się na to nie zgodziło. „Leninowska norma powierzchni mieszkalnej” — 6m.² na osobę — okazała się nieodpowiednią dla ofiar kapitalistycznego wyzysku.

◆

Powieść Siergieja Sniegowa „Twórcy”, która wypełniła trzy numery miesięcznika *Znamia* (nr. 3-5 z 1976 r.), to historia powstania sowieckiej bomby atomowej. Historia fałszywa, wiele opowiadająca o sytuacji „twórców”, uczonych Związku Sowieckiego, a jeszcze więcej o sytuacji pisarzy, wykonujących posłuszenie „zamówienia”. Powieść zaczyna się w 1933 roku, kiedy pow-

stały pierwsze teorie atomowe, burzące dotychczasowe klasyczne poglądy. Bohaterem powieści jest Igor Kurczatow, pośmiertnie ogłoszony „ojcem sowieckiej bomby atomowej”. Wokół niego — miernego uczonego ale utalentowanego organizatora i człowieka żadnego władzy — znajduje się cała plejada sowieckich fizyków. Jedno tylko nazwisko — Andrieja Sacharowa — ani razu nie zostało wymienione. Nawet w kolejnym tomie II-go wydania Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej poświęcono Sacharowowi 75 słów, wspominając że jest „fizykiem i akademikiem, trzykrotnym bohaterem pracy socjalistycznej”. Do powieści o sowieckich fizykach wejść mu się jednak nie udało.

Myślą przewodnią, którą Sniegow przeprowadza z naciskiem, jest twierdzenie, że sowieccy uczeni pierwsi zrozumieli co to jest atom, pierwsi zrozumieli, że trzeba zrobić bombę atomową, gdyż bardziej niż inni kochali swoją ojczyznę. W jednej z pierwszych scen powieści kierownik sowieckiej szkoły fizycznej, akademik Joffe, został wezwany do sekretarza leningradzkiego komitetu partii, Kirowa. „Czy wie pan o spaleniu książek w Berlinie” — zapytuje Kirow akademika i daje mu do przeczytania „jakieś kartki”. Na kartkach tych (specjalny biuletyn dla kierownictwa) było napisane: „Z uniwersytetu wypędzono postępowych profesorów, z akademii wykluczono akademików. Spis wypędzonych uczonych, literatów, kompozytorów, malarzy, artystów dochodzi do tysiąca nazwisk — wiele z nich było znanych całemu światu... Wstrętne — nieprawdaż? — powiedział Kirow, gdy Joffe w milczeniu oddał mu kartki”. Nie sposób nie zgodzić się z Kirowem: wstrętne, stalinowski Związek Sowiecki — wspaniały. Jeden z bohaterów powieści mówi w ten sposób: „Z Niemiec uciekają wybitne umysły, faszyci będą potem żałować utraty takich twórców w nauce jak Einstein, Bohr, setki, tysiące innych. Dokąd zmierzają uciekinierzy? Tam, gdzie są warunki dla twórczości naukowej. Charków otwiera drzwi dla wygnańców faszyzmu”. Mówi to Aleksander Lejpunski, dyrektor Instytutu Fizyko-Technicznego w Charkowie. Lejpunskiego spotykamy po szeregu latach w scenie, której tajemniczości autor nie wyjaśnia: „Lejpunski zjawił się rano. Rozmawiał długo ze współpracownikami, uśmiechał się w odpowiedzi na pozdrowienia, wszyscy się cieszyli z jego powrotu; przez krótki okres czasu był nieobecny... Flerow, prawie z przerażeniem, przyglądał się byłemu dyrektorowi Instytutu. Widział go na jednym z seminariów w Leningradzie. Lejpunski miał wtedy ciemne, gęste włosy, często je przyglądał ręką. Teraz był bardzo niestarannie ostrzyżony maszynką”. Gdzie był Aleksander Lejpunski, jeden z najwybitniejszych fizyków w Rosji? Odpowiedź znajdujemy w jedynej książce, w której szczegółowo opisano Instytut charkowski, który otworzył „drzwi dla wygnańców faszyzmu” — w „Wielkiej czystce” Aleksandra Weissberga-Cybulskiego. Porównanie „Twórców” S. Sniegowa i „Wielkiej czystki” A. Weissberga — austriackiego fizyka, który w Charkowie znalazł „warunki dla twórczości naukowej” — aresztowanego przez NKWD razem z masą innych sowieckich i cudzoziemskich

uczonych (w ich liczbie i z A. Lejpuskim), pozwala zrozumieć jakie potworne rozmiary przybiera w sowieckiej literaturze fałszowanie historii. A z drugiej strony jak niskie kryteria literackie stosuje się do książek „cennych ideologicznie”.

Jak stać się takim nieutalentowanym, ale cennym pisarzem, czy „przedstawicielem każdego innego zawodu” opowiada Jurij Trifonow w swojej nowej powieści „Dom na nadbrzeżu”, opublikowanej w miesięczniku *Družba Narodow* (Nr 1/1976). Jurij Trifonow, dziś chyba najwybitniejszy pisarz rosyjski, publikuje w ojczyźnie. „Dom na nadbrzeżu” to jedna z jego najbardziej interesujących prac. Moskiewski „czarny rynek”, bezbłędnie oceniający wartości literackie, zareagował na ukazanie się powieści Trifonowa trzydziestokrotnym podniesieniem ceny za numer miesięcznika, w którym powieść się ukazała. „Dom na nadbrzeżu”, to tzw. dom rządowy, budowany na początku lat trzydziestych nad brzegiem Moskwy-rzeki. Mieszkali w nim komisarze ludowi i ich rodziny, drugorzędni przywódcy partyjni i rządowi. Pierwsza kategoria mieszkła na Kremlu.

Bohater powieści Trifonowa — zapoznajemy się z jego życiem w okresie 30-tu lat — nie mieszkał w „Domu na nadbrzeżu”, a przychodził tam odwiedzając szkolnych kolegów. Ale został mieszkańcem tego domu w tym sensie, że stał się członkiem sowieckiej elity, tracąc na drodze wzwyż miłość, honor, sumienie. Staje się wskutek tego „prawdziwym sowieckim człowiekiem” — robi karierę, zwyciężając w życiu.

O tym jaki jest idealny człowiek sowiecki można się dowiedzieć z wielkiego artykułu w *Litieraturnoj Gaziecie* (nr 20-ty) zatytułowanego „Ludzie modelu Mao”, w którym rysując sylwetkę idealnego „człowieka Mao” stwierdza się, że ludzie „modelu Mao” to są nieprawdziwi „nowi ludzie”. Przyjrząwszy się jednak podtytułom artykułu: „Pokorne podporządkowanie się wodzowi”, „Każdy musi się stać śrubką”, „Kontrola i donosy”, „Wychowanie w duchu militarystyki”, „Za ścianą izolacji” — dochodzimy do przekonania, że autor mówi oczywiście o sowieckim „nowym człowieku”, że „ludzie modelu Mao” i „ludzie modelu Lenina, Stalina, Breżniewa” — to bliźniaki.

W 1974 roku w Moskwie ukazała się książka „Ludzie sowiecy”. Jej pierwszy rozdział nosi tytuł „Homo sovieticus”. W rozdziale tym mówi się, że przyroda rozwijała się miliony lat, by dać jako ukoronowanie *homo sapiens*, człowieka rozumnego. A potem na przestrzeni kilku dziesiątków lat „powstała nowa cywilizacja... ojczyzna nowego, wyższego gatunku człowieka rozumnego — *homo sovieticus*”. Czym wyróżnia się ten „wyższy gatunek człowieka rozumnego”? W książce powiedziano wyraźnie: „Pierwszą, najważniejszą zaletą człowieka sowieckiego jest jego *komunistyczna ideowość i partyjność*” (podkreślenie w książce). A w Chinach? — czytamy: „Zasadniczą rzeczą w procesie formowania nowego człowieka jest wychowanie narodu w duchu całkowitego podporządkowania wodzowi — Mao Tse-tungowi”.

W Chinach: „Teraz wszędzie 'na podwórzach' są obecne oczy mas... Od wczesnej młodości przyucza się ludzi do donosów”. A w książce „Ludzie sowiecy” czytamy o wyższym gatunku człowieka rozumnego: „Interesuje się wszystkim: od zagadnień w skali światowej, do życia sąsiadów z tej samej klatki schodowej”. Jest zupełnie jasne, że do „problemów w skali światowej” stosunek człowieka sowieckiego jest raczej teoretyczny, ale do sąsiadów — niewątpliwie najbardziej aktywny.

Wiedząc o tych cechach „ludzi modelu Breżniewa” nie dziwimy się czytając w *Litieraturnoj Gaziecie* (nr 21), że redakcja „otrzymała listy z Moskwy, Tyflisu, Tallina, w których konkretnie i przekonująco pisze się o wrogię, dywersyjnej działalności w Związku sowieckim „panów korespondentów po cywilnemu”. To właśnie przedstawiciele *homo sovieticus* sygnalizowali *Litieraturnoj Gaziecie*, że amerykańscy korespondenci prowadzą w ZSSR działalność szpiegowską. Należy się dziwić, że przy istnieniu tylu czujnych czytelników *Litieraturnoj Gaziety* Związek sowiecki potrzebuje jeszcze tak wszechmocnego aparatu KGB.

Jednakowoż aparat KGB jest potrzebny. Szczególnie do walki z *Kulturą*. Trzeci raz w ciągu paru miesięcy współpracownicy KGB odkładali „proletariackie miecze” — które noszą na naramiennikach — i brali do ręki pióro, by „zdemaskować *Kulturę*”. W czerwcu rządowy organ *Izwestia* uważał za potrzebne wspomnieć *Kulturę* — „reakcyjny żurnalecyk polskiej emigracji”. Szczególnie oburzenie rządowego pisma wywołują „antysowieckie artykuły” i „recenzje z paszkwili Sołżenicyna” pióra Adama Kruczka. Zaczynając współpracę z *Kulturą* do głowy mi nie przyszło, że skromne przeglądy prasy, czy nowych książek mogą wywołać tak wściekły gniew sowieckich specjalistów od walki ideologicznej. Gniew ten wydaje się nawet przesadną nagrodą za moją, rzeczywiście bardzo skromną pracę, polegającą jedynie na uważnym czytaniu sowieckiej prasy. By nie zanadto wbijać się w dumę przypominam sobie słowa Lenina: „Jeśli wróg ci wymyśla, jeśli wiesz na tobie psy, oznacza to że masz rację, oznacza to że robisz dobrą robotę”.

Dzisiaj *Kultura* może z pewną dumą stwierdzić, że ataki na nią prowadzone są jednocześnie z atakami na Sołżenicyna. W końcu maja Aleksander Sołżenicyn rozestał do prasy list, w którym mówi o kolejnej akcji przeciwko niemu, która tym razem przybrała rzeczywiście humorystyczną formę. KGB sfabrykowała jakieś listy, z których ma rzekomo wynikać, że Sołżenicyn w 1952 roku współpracował... z KGB. Sołżenicyn pisze: „Nigdy jeszcze przywódcy naszego kraju nie byli tak śmiesznie słabi i tak niepewni. Doszli teraz do tego, że oskarżają swego wroga o współpracę... z nimi! Z sowieckim reżymem, z CzKGB! Dla tak potężnego wojennego państwa takie świadectwo umysłowej konfuzji”...

I rzeczywiście...

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

Od lutego 1972 roku pracuje — pod auspicjami komitetów UNESCO — polsko-niemiecka mieszana komisja ekspertów, opracowująca zalecenia w sprawie weryfikacji podręczników do historii i geografii. Podręcznikom szkolnym w PRL i NRF można sporo zarzucić, jeśli chodzi o stosowane nazewnictwo geograficzne, używane mapy i przedstawianie dziejów 1000-letniego sąsiedztwa. Na początku kwietnia br. zakończyła się już IX konferencja. W Brunzwicku spotkało się, na trzydniowym sympozjum, 10 polskich i 15 naukowców z NRF. 26 zaleceń, ukaze się jednocześnie w obu krajach — w języku niemieckim i polskim — w nakładzie 10 tys. egzemplarzy. Obecnie chodzi o szybkie wprowadzenie tych ustaleń do podręczników szkolnych. W PRL nie będzie z tym kłopotów z uwagi na centralizm zarządzania, natomiast należy liczyć się z trudnościami przy wprowadzaniu zaleceń do zachodniemieckich programów szkolnych. Zgodnie z federalną strukturą NRF, szkolnictwem podstawowym i średnim zajmują się krajowe ministerstwa, posiadające całkowitą autonomię. Na przykład rząd bawarski wydał oświadczenie, że nie zamierza realizować zaleceń, gdyż stanowią jakoby „polską interpretację historii”. Bawarscy pedagodzy mają po części rację, rozumiejąc pod tym, że w interpretacji historii — marksistowska ideologia i aktualna polityka odgrywają niepoślednią rolę. Ponadto w Polsce rozwój nauk historycznych jest mocno skrupowany tzw. „racją stanu” i jej narzędziem w postaci wszechmocnej cenzury. ■ Niemiecka komisja UNESCO urządziła w maju br. w Akademii Sankelmark k/Flensburga (Szlezwik-Holsztyn), kongres pod nazwą: „Badania nad problemami młodzieżowymi w Republice Federalnej Niemiec i w Polsce”. W kongresie wzięło udział 35 uczestników, głównie pedagogów i wykładowców na kursach doszkalcających — z obydwu krajów. Celem kongresu była wymiana doświadczeń w dziedzinie metodyki nauczania oraz obustronnego sondażu nad możliwością podjęcia współpracy w zakresie badań nad problematyką młodzieżową. ■ Według *Katholische Nachrichten-Agentur* — dzieci i młodzież do lat 15, stanowią 22,38 % z ogólnej liczby przesiedleńców przybywających z Polski. 7 % natomiast stanowi młodzież w grupie wieku od 15 do 20 lat. Większość z nich nie włada w ogóle językiem niemieckim lub posługuje się nim z trudnością. ■ Jednokierunkowa wymiana kulturalna: W 1975 roku PRL urządziła w NRF 21 „Dni Polskich” (nie licząc dziesiątków innych imprez). W tym samym czasie zaledwie 3 miasta zachodniemieckie otrzymały zezwolenie na pokazanie swojego dorobku kulturalnego. ■ W Westfalskiej Szkole Aktorskiej w Lohring, doszło do polsko-niemieckiego spotkania. Trzech polskich pedagogów ze szkół aktorskich: Ryszard Koenig (Warszawa), Jerzy Krasowski (Kraków) i Stanisław Kuszewski (Łódź), wymieniło doświadczenia z niemieckimi kolegami podczas specjalnie urządzonego sympozjum. ■ Delegacja ośmiu polskich historyków sztuki przebywała w NRF. Polscy goście obejrżeli m.in. kulturalno-historyczne zbiory w Dolnej Saksonii. Interesowano się przede wszystkim sprawami technicznymi muzeów, problematyką kształcenia oraz osiągnięciami w sektorze historii sztuki. Wizyta doszła do skutku dzięki inicjatywie dyrekcji Muzeum im. Księcia Antona Ulricha w Brunzwicku. ■ Na półki księgarskie w Republice Federalnej trafiło już drugie wydawnictwo albumowe o Polsce, zatytułowane *Szkice polskie*. Kolorowy album wydany nakładem wydawnictwa Helmuta Kruegera z Düsseldorfu przygotował artysta-fotografik Henry Mai-

tek. ■ Na zaproszenie federalnego ministra oświaty, Helmuta Rohdego, bawił w maju w Bonn — z rewizytą — minister oświaty PRL Jerzy Kuberski. Omawiano m.in. sprawę wprowadzenia w życie postanowień komisji naukowców Polski i NRF w kwestii nauczania historii i geografii. ■ Na początku maja br. odbywały się w Getyndze już trzecie z kolei „Dni Kultury Polskiej”, rozszerzone w tym roku o polskie dni szkolnictwa wyższego. Minister Spraw Zagranicznych, Hans-Dietrich Genscher objął honorowy protektorat nad imprezą. ■ Według reżymowej agencji PAP — polskie centrale handlu zagranicznego zawarły podczas tegorocznych Międzynarodowych Targów w Hanowerze umowy z firmami zachodniemieckimi na ogólną kwotę 20 mln. marek. ■ Instytucje zachodniemieckie, zwłaszcza zbliżone do SPD i FDP, od szeregu już lat zapraszają do NRF z PRL ciągle tych samych partyjnych dziennikarzy, którzy od ponad ćwierćwiecza są rzecznikami permanentnej antyniemieckiej nagonki i zagorzałymi przeciwnikami jakiegokolwiek normalizacji stosunków między Polakami i Niemcami (oczywiście z zachodniej części Niemiec!). Niedawno kilkunastu rutynowanych *scharfmacher*ów z PRL-owskiej prasy partyjnej bawilo nad Renem. Na czele grupy stał Jan Moszczeński, do niedawna redaktor naczelny *Interpressu*, a obecnie naczelny komentator *Trybuny Ludu*. Reżymowi dziennikarze, zwiedzający Republikę Federalną na zaproszenie Fundacji im. Friedricha Eberta (SPD), uchylali się od udzielenia odpowiedzi na pytania odnośnie wzmoczonej działalności grup opozycyjnych w Polsce. Jeden z funkcjonariuszy prasowo-partyjnych, udawał, że nie słyszał nic o akcji protestów przeciwko „poprawkom” konstytucji, a nazwisko prof. Edwarda Lipińskiego jest mu nieznanne... PRL'owcy odmówili dyskusji na temat represji jakie władze stosują wobec sygnatariuszy listów protestacyjnych. Niemieccy dziennikarze wycofali się prędko przeproszając za... niestosowne pytania. ■ Jednocześnie władze PRL chcą się pokazać w NRF z najlepszej strony: Do Niemiec Zachodnich wypuszczono Teatr Żydowski z Warszawy. Warszawscy aktorzy pokazali m.in. we Frankfurcie n/Menem legendę pt. *Dybuk*, napisaną w 1917 roku przez wilnianina An-Ski. *Frankfurter Allgemeine Zeitung* w życzliwej recenzji pisze, że „na widowni rozmawiano prawie wyłącznie w jidysz i po polsku”. ■ W ciągu ostatnich pięciu lat Polska zakupiła za granicą łącznie 310 licencji. Większość licencji została zakupiona w krajach zachodnich, najwięcej w Republice Federalnej Niemiec. ■ Teatr Narodowy z Warszawy wystawił w Hamburgu, Bremie i w Bonn *Wesele* Wyspiańskiego i *Kartotekę* Różewicza. Gościnne występy doszły do skutku dzięki inicjatywie dyrektora teatru w Bremie, Petera Stoltzenberga. ■ Na terenach leżących we wschodniej części Pomorza istnieje po dzień dzisiejszy 10 gmin ewangelickich obrządku luterńskiego. Największa gmina obejmująca Słupsk i okolice liczy zaledwie 150 wiernych. Msze w języku niemieckim — pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* — odprawiane są raz w miesiącu przez polskiego pastora protestanckiego. ■ W Kolonii otwarto wystawę obrazów dwóch łódzkich malarzy — Danuty Muszyńskiej-Zamorskiej i Heleny Korbik. ■ Organ zachodniemieckich maoistów (KPD/ML) *Roter Morgen*, opublikował interesujący wywiad z sekretarzem KC KPP Kazimierzem Mijalem. Interview opatrzone jest fotografią Mijala, przedstawiającą go podczas rozmów z chińskimi przywódcami w Pekinie, na wiosnę 1975 roku. Dalej umieszczono facsimile strony tytułowej *Czerwonego Sztandaru*, wydawanego w Tiranie oraz trzy zdjęcia z okresu grudniowej rewolty na Wybrzeżu. ■ I-szy sekretarz KC PZPR Edward Gierek przebywał z pięciodniową wizytą (8-12 czerwca) w Republice Federalnej. Środki masowego przekazu w NRF — niemalże wszystkich odcieni — prześcigały się nawzajem w sposób zenujący w prawnieniu komplementów przywódcy polskiej kompartii.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

W ciągu dziewiętej pięciolatki sowieckiej asygnowano wielkie sumy na rozwój gospodarki w trzech republikach bałtyckich, natomiast w rozpoczynającej się obecnie dziesiątej, przewidziane jest zmniejszenie tych inwestycji do poziomu poniżej przeciętnej dla całego Związku Sowieckiego. Zaczofane gospodarze zachodniej części republik białoruskiej i ukraińskiej mają teraz otrzymać wielki zastrzyk inwestycji. Czy będzie to połączone ze wzmożoną kolonizacją rosyjską? Tak na Litwie, jak i na Białorusi przewiduje się rozbudowę przemysłów elektronicznego, radiotechnicznego i chemicznego, m.in. na Litwie ma powstać wielka fabryka amoniaku a na Białorusi nawozów potasowych w oparciu o tamtejsze pokłady soli potasowej.

Wielka magistrala kolejowa z Rosji na Zachód ma być zelektryfikowana. Tymczasem jedynie odcinek Wilno-Kowno został zelektryfikowany częściowo — ale obsługuje on jedynie pociągi osobowe.

Litewski emigracyjny kwartalnik *Seja* w solidnie opracowanym artykule o starzeniu się wsi litewskiej, skąd młodzi uciekają do miast, mimochodem rzuca światło na mało znane przyczyny niepowodzeń sowieckiego rolnictwa: permanentną reorganizację, co nie daje stabilizacji posad, mieszkań, działek przyzgodowych itd. (jak też marnotrawstwo inwestycji), oraz taką pogardę dla wieśniaków, w tym bezklasowym społeczeństwie, że kto ma głowę na karku ze wsi ucieka. Nawet do administracji rolnej idą ci, co z trudem kończą szkoły. Na wyższe szczeble tj. na kozły ofiarne częstych niepowodzeń, też mało amatorów. Toteż jednym z powodów niedomagań rolnictwa sowieckiego jest „ogłupienie wsi”.

Z Litwy tylko niektóre czasopisma stołeczne mogą być wysyłane za granicę, zabronione są m.in. pisma prowincjonalne i humorystyczne. I słusznie. Bo są kompromitujące. Wileński humorystyczny tygodnik *Šluota (Miotta)* zawiera kilka stron dowcipów-karykatur ze „zgniłego” Zachodu, trochę krajowych dowcipów, nie wywołujących nawet uśmiechu, i kilka reportaży o różnych aferzystach — udających inspektorów więzień, którzy wyłudzają łapówki od rodzin uwieczonych; inspektorów transportu, którym wszyscy, w strachu, udzielają samochodów, lub o malwersantach.

Jest w tych opisach szczypta humoru, ale zakończenie wzbudza pewien niesmak. Na ostatniej stronie jest finał losów osób opisywanych w poprzednim numerze. Ten został wylany z pracy, inny dostał tyle lat więzienia itd. Pół numeru pisma humorystycznego to były po prostu — donosy.

Jeszcze parę drobiazgów z życia kulturalnego. W kinach litewskich były wyświetlane filmy: „Słowiki poznańskie” (kilkakrotnie) i o dziwo — nie do wiary — jeden raz „Hubal”. Tyle z zasięgu kultury polskiej. A z rosyjskiej? Była nawet w Wilnie specjalna wielka Olimpiada języka i literatury rosyjskiej, z bardzo licznym udziałem uczniów starszych klas gimnazjalnych z całej Litwy.

Na Zachód dociera dużo informacji o ucisku na Litwie. Można by tym zapełnić nie krótką *Kronikę Litewską* a cały numer *Kultury*. Oto niedawno ukazała się w Paryżu nakładem „Editions Albatros” książka w języku francuskim pt. „Lituanie”, pióra André Martin. Obrazuje ona ucisk na Litwie na odcinku religijnym i zawiera kilkadziesiąt stron udokumentowanych faktów, zaczerpniętych przeważnie z podziemnej „Kroniki Kościoła Katolickiego na Litwie”. Na resztę 200-stronicowego tomu składają się: szkic historyczny, reportaże i perypetie polskich księży w republikach litewskiej, białoruskiej, łotewskiej i ukraińskiej, zobrazowanie sytuacji kościoła w katechumbach, jego żywotność i bohaterstwo.

Reasumując, dużo informacji i wrażenie wstrząsające.

Litewska agencja informacyjna w Ameryce, ELTA, w swym serwisie prasowym w języku angielskim cytuje „Kronikę Litewską” w *Kulturze*, za styczeń-luty 1976. Kronika ta była zamieszczona w litewskich czasopismach emigracyjnych: *Europos Lietuvis* (Anglia), *Teviskės Žiburiai* (Kanada), *Musu Pastoge* (Australia), *Draugas* (w trzech numerach), *Vienybė* i ewentualnie w innych, w USA.

Biuletyn Związku Żydów Litewskich w Izraelu, donosi że w ostatnich latach przybyło z Litwy do Izraela około 10 tysięcy Żydów. Pozostało tam jeszcze 5 tysięcy, przeważnie również pragnących wyjechać. Nowoprzybyłym, głównie studentom, udzielono w ciągu 5 lat pożyczek i zapomóg na sumę 3 milionów funtów. Wydano kilka książek o losach Żydów litewskich. Organizacje Żydów litewskich istnieją w Londynie, New Yorku, Filadelfii, Montrealu, Los Angeles i w Południowej Afryce.

W Niemczech Zachodnich istnieje związek Niemców litewskich. Kwartalnik *Rauta* (Ruta) z iście niemiecką dokładnością podaje rozmieszczenie Niemców z Litwy. Zaokrąglimy te cyfry do tysięcy: 21 w Niemczech Zachodnich, 5 — we wschodnich, rozproszonych po świecie — 9, deportowanych do Rosji — 4, zmarło — 11, zaginęło bez wieści 7 tysięcy (dokładnie — 6.887). Obecnie na Litwie jest około 20 tysięcy luteran. Natomiast statystyki rozmieszczenia „Polaków litewskich” nie można sporządzić nawet z dokładnością do 10-ciu tysięcy, zwłaszcza rubryki zaginionych bez wieści.

Gdyby ktoś chciał dostać się na Litwę bez kłopotów paszportowych i innych — to nie prostszego. Tego lata kursuje na morzu Śródziemnym sowiecki statek turystyczny „Litwa”, który obsługuje turystów zagranicznych. Znamienne że, jak podaje wileńska *Tiesa*, statek nazywa się „Litwa” a nie „Lietuva”. Gdyby Polska była 17-tą republiką, to by po oceanach pływały statki pod dzwiczną nazwą „Polsza”.

E. ŻAGIELL

Sprawy i troski

Raptularz londyński

Ojciec Zadżumionych w Rządzie

Na lutowym zebraniu Rady Rzeczypospolitej radny Choroszewski zainterpelował premiera w sprawie składu osobowego rządu. Po dłuższym namyśle premier Urbański, odpowiedział, że na pytanie to odpowie na następnej sesji Rady. Uwzględniając, że sesje Rady odbywają się mniej więcej co kwartał, odpowiedź ta uznana została za dowód przewlekłego kryzysu gabinetowego, o czym zresztą od dawna mówiło się po cichu. Mnożyły się pogłoski o pojedynczych rezygnacjach, o wycofaniach rezygnacji i ich ponownym składaniu. Po sesji lutowej stało się jasne, że cały rząd się chwieje. „Poinformowane koła” twierdziły, że zmiana rządu to tylko kwestia znalezienia odpowiedniego wynagrodzenia za wierną służbę dla urzędującego premiera. W pewnym momencie wydawało się, że wynagrodzeniem tym będzie stanowisko następcy prezydenta, ale wyłoniła się niespodziewana trudność: syn premiera jest prokuratorem w PRL. Okazuje się, że konwencja emigracyjna nie pozwala, aby prokuratorem PRL był syn prezydenta. Mimo tego impasu poszukiwania kandydata na premiera trwały jednak nadal. Do ostatniej chwili, tj. do kwietniowej sesji Rady, faworytem był p. Kazimierz Sabbat. Potem przyszła kwietniowa sesja. Na sesji tej gen. Pełczyński postawił wniosek o przemianowanie naszego niewybieralnego parlamentu: Rada Narodowa Uchodźstwa zamiast Rady Rzeczypospolitej. Większość Rady uznała wniosek za zejście z pozycji państwa na wygnaniu na pozycje polonijne. W głosowaniu przeciw wnioskowi padło 52 głosy, za — 11. W tych jedenastu byli socjaliści spod znaku Adama Ciołkosza oraz p. Sabbat. W tej sytuacji sprawa premierostwa p. Sabbata upadła automatycznie. Gdy przyszło do spraw personalnych, premier ograniczył się do oświadczenia, że kadencja rządu nie powinna trwać dłużej niż

cztery lata. Wywiązała się następująca wymiana zdań z radną Dębicką:

Radna: — Czy oświadczenie to oznacza, że rząd zamierza ustąpić?

Premier: — Tak jest.

Radna: — Kiedy?

Premier: — W odpowiednim czasie.

There you are, jak mówią Anglicy. Niezależnie od tego minister Szadkowski podał się do dymisji, gdyż pochłonięty jest bez reszty organizowaniem światowego zjazdu SPK. Stanowisko ministra spraw społecznych (ogólnie zwanego ministrem emigracji) objął po nim p. Bolesław Dziedzic, popularny odtwórca roli „Ojca Zadżumionych” na różnych amatorskich przedstawieniach teatralnych. Szczególnie odpowiednia postać do zajmowania się naszą szybko topniejącą gromadką.

Pogłoski o zastąpieniu wielokrotnie ustępującego min. Hełczyńskiego przez b. posła w Libanie Zygmunta Zawadowskiego nie sprawdziły się — na zebraniu rady ministrów w dniu 24 maja był p. Hełczyński. Zebranie wysłuchało sprawozdania inż. Różyciego ze zjazdu Międzynarodowej Ligi Antykomunistycznej w Seulu (południowa Korea). Inż. Różycy jest prezesem ACEN (zrzeszenie narodów podbitych przez Sowiety) na Australię i jednocześnie australijskim delegatem od spraw zagranicznych rządu emigracyjnego w Londynie.

Życie społeczne

Biblioteka polska przeprowadza się do POSK'u. Na wykonanie tej stosunkowo prostej czynności trzeba jednak stu dwudziestu tysięcy funtów. Taka mianowicie suma potrzebna jest na wykończenie trzech pięt, jakie biblioteka zajmie w nowym budynku, i wyposażenie ich w półki. Sama przeprowadzka zrobiona będzie na koszt instytucji angielskiej. Organizacje polskie oczekujące na pomieszczenie w POSK'u przeżyły mały wstrząs, gdy zarząd POSK'u poinformował je o kosztach użytkowania budynku. Najtańsze pomieszczenie w pokoiku zajmowanym łącznie przez parę organizacji ma kosztować ok. 200 funtów rocznie od każdej organizacji. PUNO (Polski Uniwersytet na Obczyźnie) jest zafrasowane: gdy nie było POSK'u otrzymywało lokal i pieniężny zasiłek teraz nie będzie zasiłku, a za lokal trzeba będzie płacić. Organizacje kulturalne nie będą miały zbyt dużej pociechy ze stworzenia Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Nareszcie ruszy budowa teatru w POSK'u — „na pewnych warunkach” brytyjski (finansowany przez rząd) Arts Council zgodził się wyasygnować 50 tys. funtów na wykończenie tej części budynku. Wartość tego rozwiązania dla strony polskiej będzie zależała od tego, jak wyglądają owe „pewne warunki”.

Na walnym zebraniu gminy polskiej Londyn-Południe odwieczny przedstawiciel rządu na ten teren podjął akcję za wycofaniem pomocy udzielanej POSK'owi przez gminę. Wszelkie próby przekonania starego (80 lat) i zasłużonego działacza, że rząd już od dwóch lat nie jest wrogiem POSK'u, a jego przyjacielem, załamały się na barierze głuchoty.

Tuż za miedzą, mianowicie w parafii Clapham-Balham, wybuchła bomba po śmierci proboszcza. Biskup mianował nowego proboszcza i, jak zwykle w takich wypadkach, część parafian ujęła się za pominiętym wikarym. Bunt został łatwo stłumiony, co nie znaczy, że nie zostaną jego ślady w świadomości społecznej. Problem jest typowy dla wszystkich biurokracji, które zaczynają od głoszenia służby społeczeństwu, a kończą na tyranizowaniu go. W tym przypadku wystarczyłoby, żeby biskup wykazał minimum taktu w stosunku do ludzi, którzy własnym wysiłkiem i talentem hodują mu kurę do znoszenia złotych jajek, czyli prowadzą klub parafialny znany powszechnie jako klub Orła Białego. Jednak biskup nie tylko nie uznał za stosowne przyjść do swoich owieczek i choćby formalnie przedyskutować z nimi sprawę następstwa, ale wprost przeciwnie — ostro potraktował delegację parafii, która zgłosiła się do niego.

Pod skrzydłami radcy handlowego ambasady PRL powstaje nowy klub. Tymczasowa nazwa: *Klub Eksperta*. Członkowie rekrutują się spośród handlowców, uprawiających handel z PRL. Roczna składka członkowska wynosi 25 funtów, co zapewnia klubowi pewien poziom ekskluzywności. Na razie na liście członków znajduje się 60-ciu londyńskich *businessman*'ów. W kołach zbliżonych do klubu krąży pogłoska, że polskie biuro podróży „Orbis” projektuje zorganizowanie w Londynie za sumę miliona funtów klubu społecznego, przeznaczonego dla szerokich mas.

Mass media

Telewizja BBC pokazała kilkuminutowy program o polskim rządzie emigracyjnym. Pokazano Eaton Place (Zamek), Emperor's Gate (Sejm), i szereg osób politycznych. Premier Urbański, zapytany o sens kontynuowania emigracyjnych urzędów 30 lat po wojnie, odpowiedział, że „Polska to ładny kraj” czy coś takiego, na ogół niezrozumiałego. Nasze sfery polityczne są zadowolone z programu i z życzliwego tonu reporterów angielskich. W rzeczywistości efekt programu był katastrofalny. Widok naszego gabinetu cieniów i figur woskowych jaskrawo ukazał niemal dosłowną niezyciowość wszystkiego, co może się łączyć z tak przedstawioną grupą. Natomiast w stosunku do Polaków w Anglii BBC nie okazało wcale żadnej życzliwości. Po prostu nie zauważyło tej małej, ale dość wyróżniającej się grupy spo-

łecznej, która ma własne kluby, szkoły, zespoły sportowe. Angielskie *establishment* nie bardzo lubi widzieć takie grupy, bo oficjalne uznanie ich istnienia łączyłoby się z koniecznością wsparcia ich publicznymi pieniędzmi.

P. EMIGRANT

Zebrania londyńskiego Klubu „Kultury”

1. Problemy historii

Dr Jakub Goldberg do 1967 roku wykładał historię Polski na uniwersytecie w Łodzi, potem — aż do dnia dzisiejszego — na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Ma więc on duże możliwości robienia porównań traktowania tego przedmiotu w państwach o różnych systemach. Obserwacjami swymi prof. Goldberg podzielił się z dyskutantami londyńskiego klubu *Kultury* na zebraniu klubu w dn. 14 maja.

W historiografii światowej zachodzi — według prof. Goldberga — swoisty proces rusyfikacyjny. Historia Rosji zaczyna przesłaniać historię innych narodów Europy Środkowej i Wschodniej, a w tym także Polski. Odnosi się to nawet do okresów historii, w których Rosja była państwem mało znaczącym, a Polska — mocarstwem. Proces ten zachodzi również w Izraelu, państwie posiadającym jedną z poważniejszych kolonii kultury polskiej. Nawet jednak tam historia diaspory żydowskiej nie traktuje Polski jako jednego z podstawowych krajów badania, a tylko jako teren uboczny dla Rosji. Mimo to, jak zaznaczył nawiasowo dr Goldberg, historia Polski jest zarówno dla Żydów jak dla Arabów tematem bardzo atrakcyjnym; zmagania okupowanego narodu, powstania, tradycyjne cechy kultury polskiej (szlachta, konnica) pociągają studenta z Bliskiego Wschodu.

W dyskusji podkreślono, że relatywny spadek znaczenia Polski jest częściowo winą historyków polskich, którzy mało piszą w językach obcych; tak np. w anglosaskich encyklopediach sprawy polskie są z reguły opracowywane przez historyków niemieckich. Podobnie przedstawia się sytuacja z wydawnictwami popularnymi, biografiami i historią zbeletryzowaną. Na rynku odczuwa się brak zwykłych podręczników historii polskiej w językach obcych. Pewną pociechę może być fakt, że na Zachodzie historia rosyjska „wysycha” — wszystkie dostępne materiały zostały już wielokrotnie wykorzystane i omówione, a że strumień badań i wydawnictw musi płynąć, więc z konieczności zainteresowanie zaczyna się przesuwac na kraje nierosyjskie.

Oddzielnym problemem jest wpływ Rosji, tj. ZSSR, na działalność historyków w kraju. Nawet tam, gdzie nie ma nakazu fałszowania historii — a więc w traktowaniu wieków dawniejszych — występuje bariera, poza którą polscy historycy nie mogą wystąpić. Prof. Goldberg zilustrował działanie tej bariery na dwóch przykładach.

Pierwszym z nich była 200-na rocznica pierwszego rozbioru Polski, której nie nadano szerszego rozgłosu, a dyskusję o niej ograniczono do wąskiego

grona specjalistów i do wybranych odcinków tematu. O pełnym rozpracowaniu tematyki rozbiórów — mimo że jest ona w centrum uwagi polskich historyków — nie może w obecnej chwili być mowy.

Drugi przykład odnosi się do okresu panowania Polaków (Żółkiewskie-go) na Kremlu. Gdy Rosjanie odbili Polakom Moskwę, pewna ilość Polaków znalazła się w niewoli rosyjskiej. Jednym z nich był niejaki Palczowski, który po powrocie z niewoli opisał Rosję. W opisie tym sformułował on program kolonizacji Rosji przez Polaków, tłumacząc go tym, że Rosjanie nie potrafią rządzić krajem, ani wykorzystać swych ogromnych bogactw naturalnych, że kraj jest niezaludniony, że Rosjanie nie umieją wojować itd.; w sumie opis ten był odbiciem pewnego stereotypu panującego wówczas w Polsce. W okresie międzywojennym nie było popytu na materiały w rodzaju opisu Palczowskiego i dlatego nie został on wydany drukiem. Nauka historii była wtedy na innym etapie — szukano raczej opisu faktów a nie opinii. Dziś natomiast bardzo interesujemy się tym, co jakiś naród myślał o drugim i sięgamy do przekazów, zawierających wrażenia piszących, np. podróżników. Stąd duże zainteresowanie i Palczowskim. Ale choć jest on w Polsce znany, to nie ma możliwości wydania go drukiem.

Prof. Goldberg wymienił jeszcze trzeci przypadek, który ze względu na swą świeżość nie jest typowym przykładem działania wymienionej bariery, ale może należeć do kategorii spraw, podlegających fałszowaniu. Chodzi o okres walk zbrojnych w drugiej połowie lat czterdziestych, a więc w pierwszych latach Polski Ludowej. Sprawa podziemia polskiego nie jest w ogóle badana, ludzie o niej nie pamiętają, prawie nie wiedzą o niej. A jednak nie powinna być przemilczana, wymaga ona przebadania i przemyślenia. Walki te można by naświetlić na tle gerylasówki, która toczy się w różnych częściach świata po dziś dzień.

W podsumowaniu prof. Goldberg stwierdził, że skoro w kraju nie ma warunków do badania pewnych problemów, jeśli pewnych badań nie można doprowadzić do końca, to jasno rysuje się zadanie dla historyków będących poza Polską. Zadaniem ich jest wyławianie i sygnalizowanie pewnych spraw, aby żyły one w naszej świadomości i w ten sposób przetrwały. Do problemów tych trzeba wracać w pisarstwie, ale nie tylko w pisarstwie, także w rozmowach, dyskusjach, we własnych przemyśleniach. Stefan Czarnowski napisał w swej „Kulturze”: mówienie i myślenie o kulturze jest też kulturą. Parafrazując to możemy powiedzieć: mówienie i myślenie o historii jest też historią. W naszym przypadku są one mianowicie dopełnianiem i ratowaniem tych elementów świadomości historycznej, które rugowane są przez system panujący w kraju. Emigracja ma tu zresztą tradycyjnie ustaloną rolę, biorąc czynny udział w kształtowaniu się polskiej myśli politycznej i historycznej. Ojcem historiografii polskiej był emigrant Lelewel, a socjalizm polski kształtował się w dużej mierze na emigracji. W tej chwili najważniejszym zadaniem jest utrzymanie pełnej świadomości historycznej Polaków. Jest tu analogia do problemu państwa polskiego, które jest ciągle pod presją ekspansji sąsiadów. Nasza świadomość historyczna podlega tej samej presji pod wpływem devaluowania i spychania w dół spraw naszej przeszłości.

W dyskusji p. Poniatowski przypomniał obiektywne trudności, jakie stoją przed naszymi historykami: „Nie mamy wystarczających środków, żeby odkładać to, co inni o nas nakładają”. Dyskutant z kraju podniósł wagę dokonania współczesnej emigracji polskiej. Książka Pobóg-Malinowskiego jest *best-sellerem* w Polsce, a *Zeszyty Historyczne* i inne publikacje *Kultury* są materiałami poszukiwanymi i czytany z dużą uwagą. W Polsce jest duże zapotrzebowanie na prawdę historyczną o Polsce, łącznie z historią PRL. Gdyby mogła np. wyjść niewielka książka przedstawiająca historię PRL, to wypełniłaby ona dotkliwie odczuwaną lukę. Nie musiałyby to wcale

być jakieś ogromne dzieło oparte o wszystkie możliwe źródła, ale krótki, byle prawdziwy, opis na podstawie chociażby zwykłych informacji w codziennej prasie.

2. Młode pokolenie polskich imigrantów

Spis ludności w Zjednoczonym Królestwie za rok 1971 wykazuje ilości Polaków, tzn. osób urodzonych w Polsce, tak jak w tablicach I i II poniżej.

I. WEDŁUG WIEKU

Wiek	Mężczyźni	Kobiety	Razem
0 - 14	205	210	415
15 - 29	940	2 125	3 065
30 - 34	1 145	1 975	3 120
35 - 39	1 510	2 245	3 755
40 - 44	6 980	4 635	11 615
45 - 49	20 130	6 165	26 295
50 - 54	13 055	3 155	16 210
55 - 59	12 040	3 390	15 430
60 - 64	7 720	3 515	11 235
65 - 69	4 585	3 465	8 050
70 +	6 100	5 635	11 735

Razem: 74 410 36 515 110 925

w tym:

wolni	10 625	2 660
zaślubieni	59 180	25 435
owdowiali	2 865	7 465
rozwiedzeni	1 740	955

II. WEDŁUG ROKU PRZYJAZDU

Rok	Mężczyźni	Kobiety
nie znany	2 950	1 535
przed 1940	5 085	5 715
1940-4	19 640	1 615
1945-9	43 360	17 555
1950-5	920	1 795
1956	145	245
1957	250	850
1958	250	815
1959	155	670
1960	210	690
1961	145	590
1962	105	450
1963	85	410
1964	125	440
1965	90	440
1966	110	445
1967	125	490
1968	145	475
1969	195	520
1970-1	320	765

Od czasu spisu upłynęło pięć lat i robiąc szacunek ludności polskiej w Anglii w chwili obecnej należy przesunąć wszystkie grupy o jedną kategorię wzwyż oraz zrobić poprawkę na migrację i straty naturalne. Jakie tablice wymieralności przyjąć dla ludności polskiej zamieszkałej w Anglii — polskie? angielskie? Czy ludzie, którzy przeżyli Kołomy i Oświęcim w ogóle odpowiadają jakimś ogólnokrajowym normom demograficznym? Z równym powodzeniem można twierdzić, że tego rodzaju przeżycia osłabiły ich wytrzymałość i skróciły im życie, albo wprost przeciwnie — że przeżywszy warunki, w których ludzie umierali milionami, są wyjątkowymi okazami wytrzymałości i długowieczności. Należy pamiętać, że demografia operuje milionami, a gdy przyjdzie jej badać setki czy dziesiątki, to wyniki z konieczności będą tylko przybliżeniami. Stąd względy metodologiczne grają mniejszą rolę. W naszym przypadku o wiele większą wagę liczebną ma fakt, że wiele osób urodzonych w Polsce nie uważa się za Polaków, do społeczności polskiej należą zaś wiele innych osób urodzonych np. w Niemczech czy we Włoszech. Pamiętając o tych ograniczeniach, możemy spojrzeć na stan obecny (szacunkowy) przedstawiony w tabeli III-ciej. Dane tej tabeli opracowanie zostały na założeniu, że: a) w latach 1971-76 nie było emigracji polskiej z Anglii; b) istnieje stały dopływ emigrantów z Polski w wysokości 500 osób rocznie (por. tablicę II-gą), należących do grup wieku 15-29 lat (180 osób), 30-34 lata (160 osób) i 35-39 lat (160 osób); c) grupa wymiera zgodnie z tablicami wymieralności dla ludności polskiej. Mechanikę ostatniego z tych założeń niech zilustruje następujący konkretny przykład. Spis wykazuje 6 100 mężczyzn i 5 635 kobiet w wieku powyżej 69 lat. Według polskich statystyk w tej grupie wieku umiera rocznie:

— z każdego tysiąca mężczyzn 87,6 osób,
— z każdego tysiąca kobiet 66,9 osób.

Tak więc grupa ta, licząca w 1971 roku 11 735 osób stopniała przez pięć lat do 7 135 osób. W tym jednak czasie dołączyło do niej 6 815 osób, które w 1971 roku były w wieku 65-69 lat; ta grupa liczyła wtedy 8 050 osób, ale wskutek wymierania zmniejszyła się przez pięć lat o 853 mężczyzn i 377 kobiety. Ostatecznie więc mamy dziś około 14 000 osób w wieku powyżej 69 lat.

III. SZACUNEK NA ROK 1976

Wiek	Mężczyźni i kobiety razem
0 - 14	200
15 - 29	2 800
30 - 34	2 300
35 - 39	3 900
40 - 44	3 600
45 - 49	11 400
50 - 54	25 300
55 - 59	15 600
60 - 64	14 400
65 - 69	10 000
70 +	14 000

Razem: 103 500

Obraz demograficzny społeczności polskiej w Anglii zawarty w tablicach I-III posiada szereg cech charakterystycznych. Trzy z nich mają szczególne znaczenie dla omawianego tu tematu.

Po pierwsze — Polacy angielscy nie są społecznością normalną. Nienormalność wypływa przede wszystkim z dysproporcji między liczbą mężczyzn i kobiet. Dysproporcja ta, początkowo (1940-49) bardzo ostra, została nieco złagodzona w późniejszych latach przez drobny lecz stały dopływ kobiet i szybsze wymieranie mężczyzn. Ale nawet ten ograniczony proces uzupełniania elementu kobiecego nie był „zsynchronizowany w fazie” z procesem rozbijania męskiej masy żołnierskiej na jednostki rodzinne. We wczesnym okresie tworzenie się rodzin możliwe było prawie wyłącznie dzięki udziałowi kobiet nie-Polek (Włoszek, Angielek itd.); w ostatnich latach dopływ kobiet z Polski odbywa się przeważnie za pomocą ich małżeństwa z mieszkańcami Anglii, na ogół nie-Polakami. Gdy więc spis mówi o 59 tysiącach żonatych Polaków i 25 tysiącach zamężnych Polek, to nie znaczy to wcale, że chodzi tu o związki małżeńskie wewnątrz grupy. Nawet gdyby wszystkie Polki w Anglii miały polskich mężów — co jest bardzo dalekie od rzeczywistości — to pozostałoby jeszcze 34 tysiące Polaków żonatych z nie-Polkami. Konsekwencje tego stanu rzeczy dla tzw. drugiego pokolenia imigrantów są poważne.

Po drugie — wewnątrz malejącej społeczności polskiej obserwujemy stopniowy zanik początkowego pnia żołnierskiego i relatywny wzrost elementu nowo-emigracyjnego. Innymi słowy stara emigracja „polityczna” jest powoli zastępowana przez nową emigrację. Nawet gdyby do pierwszej grupy zaliczyć wszystkich przybyłych przed 1940 rokiem i wszystkich nie podających daty przybycia (co jest oczywistym zawyżeniem), to grupa ta wyniesie w roku spisu 97 455 osób, a w roku 1976 — 85 500 osób. Natomiast ilość nowych emigrantów wzrosła w tym samym czasie z 13 470 osób (niecałe 12 % ogółu) do 15 000 osób (ok. 16 % ogółu). Dopływ nowych ludzi z Polski wzmacnia przede wszystkim młodsze roczniki grupy polskiej w Anglii. Spis z 1971 roku podaje, że na 3 595 osób przybyłych z Polski po 31. 12. 1965 — 1 710 było w wieku poniżej 30 lat, a tylko 360 powyżej 59 lat.

Trzecią i najbardziej oczywistą cechą przedstawionej tu struktury ludności polskiej w Anglii jest brak dzieci i młodzieży. Wynika to stąd, że spis nie uwzględnia kryterium narodowościowego, które jest niezrozumiałe w Anglii, a określa grupy ludności według miejsca urodzenia. W ten sposób z grupy polskiej wyłączone są dzieci polskie urodzone w Niemczech czy we Włoszech, nie mówiąc już o autentycznych Brytyjczykach — urodzonych w Anglii.

W braku oficjalnych danych i braku warunków na ich nieoficjalne zebranie młode pokolenie Polaków w Anglii jest kartą nieznaną. Nie wiemy ilu ich jest, w jak dużych rodzinach wzrastali, jak przedstawiają się różne grupy wieku. Możemy domyślać się, że na ogół rodzice ich są starsi niż przeciętnie, że wskutek tego i wskutek innych przyczyn wzrastali w rodzinach mniejszych niż przeciętne. Wiemy, że młodzi ludzie, potocznie nazywani Polakami są w rzeczywistości w dużym stopniu (w połowie? dwóch trzecich?) potomkami małżeństw mieszanych i że polska etykieta pasuje do nich dlatego, że do tej pory panował w Anglii „męski szowinizm”, a w tych mieszanych małżeństwach stroną polską był zazwyczaj ojciec. Możemy spodziewać się, że w tych wypadkach polskość młodych nie wyjdzie daleko poza etykiety. Dalej, pamiętając o liczebnej i demograficznej słabości grupy polskiej, wątpić możemy, aby dzieci z całkiem polskich domów miały wystarczające warunki do nasiąknięcia polską kulturą.

W ramach akcji poznawania młodych, Klub Kultury zorganizował dyskusję „Polska w oczach młodych”. Do dyskusji zgłosiło się 25 osób w wieku 20-30 lat, z których 13 należało do drugiego pokolenia. Zebranie prowadzone metodą ankietową, z tym że ankietą objęto tylko osoby urodzone i wychowane poza Polską. Na wstępie wyłonił się problem reprezentatywności tej trzynastki. Nikt z tej grupy nie uważał, że grupa jest reprezenta-

tywna dla wszystkich młodych Polaków w Londynie, których ilość oceniono na 5 000. Większość nie wiedziała, dlaczego jest niereprezentatywna, niektórzy uważali, że różnią się od przeważającej większości swych rówieśników, gdyż nie mają obiekcji do jeżdżenia do Polski. Opinia ta jest odbiciem pewnych tendencji panujących w emigracyjnym harcerstwie i organizacji studenckiej, ale mających mały związek z tym co robi lub myśli duża większość młodego pokolenia. Na pytanie „Kto uważa się za członka klasy pracującej (*working class*)?” nikt nie odpowiedział pozytywnie, co może być lepszym wskaźnikiem niereprezentatywności grupy.

Grupa ankietowana nie miała zastrzeżeń w stosunku do wyjazdów do Polski. Dwóch jej członków nie było w Polsce ani razu, a sześcioro było więcej, niż trzy razy. Co najbardziej uderza w Polsce: porządek na ulicach; ogonki do sklepów; ludzie są przyjemni; „w Polsce czuję się jak w domu”; dużo pijanych. Co w Polsce jest lepsze niż w Anglii: gościnność (3 głosy); stosunki międzyludzkie (5 głosów); patriotyzm, „większe poczucie dla kraju” (3 głosy). Negatywne strony Polski: biurokracja i braki w zaopatrzeniu (wymieniane łącznie w różnej formie przez wszystkich ankietowanych); restrykcje polityczne (2 głosy). Nikt z ankietowanych nie uważałby za wielkie nieszczęście, gdyby nagle zmuszony został do zamieszkania w Polsce. W wypadku, gdyby „tonący statek”-Anglia naprawdę zaczął tonąć, troje szukałoby ucieczki w Polsce, reszta raczej w Europie Zachodniej (nie w Ameryce). Na pytanie „Kto przeniósłby się do Polski, gdyby stała się ona krajem demokratycznym?” padły następujące odpowiedzi: Tak. Tak. Nie wiem, Nie wiem. Nie wiem. Pomyślałbym. Chyba nie. Chyba nie. Nie wiem. Raczej tak. Pomyślałbym. Pomyślałbym. Na pewno tak.

Jako dygresja padło pytanie: Kto uważa Anglię za tonący statek? Tylko troje odpowiedziało na nie twierdząco. Dla porównania można dodać, że ankietę w analogicznych (tzn. nie robotniczych) grupach angielskich przynoszą odpowiedzi w przeważającej części twierdzące.

Pod adresem jedenastki jeżdżącej do Polski padły dwa pytania: „Kto odczuwa w Polsce ucisk tajnej policji lub strach przed nią?” — Na pytanie to czworo odpowiedziało twierdząco, siedmiu przecząco. „Kto zauważył, że Polska jest pod władzą sowiecką?” Tu przecząca była tylko jedna odpowiedź, wszyscy inni widzieli w Polsce dowody tego faktu, głównie w powszechnym użyciu sloganów i transparentów. Niezależnie od osobistych wyjazdów i autopsji na miejscu wszyscy ankietowani widzieli na podstawie różnych faktów, że Polska jest pod władzą sowiecką.

O istnieniu w Polsce dysydentów — zdefiniowanych jako jawni opozycjoniści systemu — widzieli wszyscy ankietowani, choć nikt nie wiedział na ten temat nic precyzyjnego. Nikt osobiście nie spotkał dysydenta. Dla równowagi zauważono, że nikt również nie spotkał prawdziwego polskiego komunisty.

Pytanie „Czy Polska wydaje się krajem ludzi zadowolonych?” okazało się kontrowersyjne. Przy jednym nie zabierającym głosu jedna połowa grupy twierdziła, że „Polacy chyba nigdy nie są zadowoleni”, a druga, że „w każdym razie są bardziej zadowoleni, niż Anglicy”.

Powyższa dyskusja może budzić zainteresowanie i mieć znaczenie bez względu na język, w którym była prowadzona. Natomiast w sprawie młodego pokolenia Polaków w Anglii mówią liczby. Młodych Polaków w Londynie jest powiedzmy 5 000. Z tego w środowisku polskim udziela się może dwustu, może trzystu. Z tego może 20-30 mówi biegle po polsku. W utrzymaniu polskości społeczności polskiej wielką rolę gra niewielka grupa nowych przyjeźdźców z Polski. Dowodem tego była także frekwencja na powyższej dyskusji.

Bohdan BRODZIŃSKI

Kronika kulturalna

Rozważania o literaturze zwanej emigracyjną (5)

5. Literatura Polski walczącej: Londyn 1942

Nie byłam uczestniczką instalowania się rodaków na Wyspach Brytyjskich. Z francuskiej tzw. *zone libre* udało mi się wydostać na Zachód dopiero wiosną 1942. W końcu lipca dotarłam przez Pireneje i Lizbonę do Londynu. Kompletna zmiana atmosfery. We Francji wisiała nad głową świadomość klęski a otoczenie dojrzewało dopiero do ruchu oporu. W Portugalii żyło się nerwami od komunikatu do komunikatu, konfrontując sprzeczne wiadomości obu stron i szwajcarskie ich ewaluacje. Nie czuło się jednak bezpośredniego zagrożenia. W Anglii — inaczej. Mimo zaciemnienia, balonów zaporowych nad Hyde Parkiem, — mimo stałej groźby nalotów i nocnych dyżurów „firewatcherskich” żyło się normalniej niż w Portugalii w warunkach, które po doświadczeniach francuskich dalekie były od spartańskich. Rodacy oswoili się już z Londynem a Londyn — z nimi. Jednym z wczesnych świadectw tego stanu rzeczy była garkuchnia samoobsługowa, „Lyons” czy „A.B.C.”, w której politycy o głośnych nazwiskach obsiadali stoliki zaopatrzeni w podwójne porcje jogurtu i pieczone kartofle w mundurach, stwarzając złudę kwaśnego mleka, bo ku przerażeniu tubylców pojadali jogurt w głębokich talerzach od zupy. Przychodzili z aktualną lekturą: najnowszymi numerami *Jutra Polski*, *Robotnika*, *radziej Wiadomości* czy *Nowej Polski*.

Znacznie silniejszym wrażeniem, bezpośrednio po przylocie do Anglii, był kiosk księgarski w „Strattonie”, gdzie wkrótce potem rozpoczęłam pracę w Funduszu Kultury Narodowej. Mieściło się tam kilka ministerstw Rządu R.P., w tym Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, którym dowodzili Stroński (minister), „Wito” Czerwiński i Sakowski, a którego symbolem był dla mnie Krzysztof Eydziatowicz i dobrana, jak w liniach lotniczych, ekipa sekretarskich *stewardess*. Tam właśnie, na Piccadilly, w najruch-

liwszych urzędach rodziły się i dojrzewały koncepcje większości wydawnictw, choć formalnie firmowały je różne placówki księgarskie i społeczne.

Zanim zorientowałam się w gąszczu rywalizacji i powiązań, fascynował mnie Kiosk. Fakt, że w Lizbonie miałam w rękę sporo wydawnictw londyńskich wrażenia tego nie osłabił. To na co patrzyłam było niemal odpowiednikiem normalnej a nawet przepięknej witryny księgarskiej na Nowym Świecie. Na planie pierwszym „klasycy” (wówczas tak się ich nie nazywało!) — „Trylogia”, „Chłopi”, „Wiatr od morza”, „Wierna rzeka”, — dalej nieco przypadkowo dobrane przedruki niedawnych „przebojów” (bo jeszcze nie *bestsellerów*), „Przylądek Dobrej Nadziei” i „Rubikon” Zygmunta Nowakowskiego, „Ryby śpiewają w Ukajali” Arkadego Fiedlera — i wiele innych. I, oczywiście, na honorowym miejscu „Pan Tadeusz” a nadto „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”, których wydanie planowano w Paryżu wiosną 1940 r.

Chciałam wypełnić zlecenie lizbońskie i kupić przedruk książki Józefa Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”. Wyczerpana.

Uderzyła mnie mnogość wydawnictw w języku angielskim i to nie tylko informacyjnych, wyjaśniających, pouczających i przepowiadających, ale i umiejscawiających rodaków w krajo-brazie brytyjskim. „Polish invasion” Ksawerego Pruszyńskiego miała już dwa wydania a Karol Zbyszewski wykańczył „Z Marszałkowskiej na Piccadilly”. Obok „białych” i „czarnych” książek roiło się od broszur oświetlających na różne sposoby problemy granic, Kresów, Śląska, Prus Wschodnich, roli Polskich Sił Zbrojnych, lotnictwa i marynarki w działaniach wojennych. Wiele z nich miało odpowiedniki polskie; te jednak tonęły w powodzi aktualnych broszur politycznych przytulonych stosami najnowszej — w danej chwili — broszury Stanisława Mackiewicza (Cata).

Nową, wojenną twórczość literacką reprezentowali niemal wyłącznie poeci spod znaku Skamandra. A więc — kontynuacja „Paryża”, z przesunięciem punktu ciężkości na działających na miejscu, w Anglii i Szkocji. Pierwszym wziętym do ręki tomikiem wierszy był „Alarm” Słonimskiego — „wydanie piąte znacznie rozszerzone”, drugim — „Wielka podróż” Stanisława Balińskiego — „wydanie trzecie”. To uderzyło mnie najbardziej, bo przedruki poezji rzadko zdarzały się w Kraju przed rokiem 1939, a dziś podejrzewam, że nakłady londyńskie były wyższe od krajowych a czytelnicy, że tak się wyrażę, „wdzięczniejsi”. Zupełną nowością były dwa tomiki nowych wierszy Marii Pawlikowskiej: „Róża i lasy płonące” i „Gołąb ofiarny”. Pierwszy wyszedł w Londynie (1941) nakładem firmy Kolin, drugi — w Glasgowie staraniem Książnicy Polskiej, o której istnieniu dowiedziałam się dopiero przy tej okazji. Niespodzianką były także „Znaki na niebie” Jerzego Pietrkiewicza (przedrukowane w tomie 118 „Biblioteki Kultury”), wydane wówczas dwukrotnie „nakładem przyjaciół” i „Studnia na pustyni” J. A. Teslara w wydaniu dla odmiany edynburskim. Poprzedzało ją posłanie pióra przyjaciela Berenta, genialnego muzyka i poety (choć sam nie pisał albo

nie publikował, ale był poetą) Jana Effenbergera-Sliwińskiego. Wreszcie „Ziemia wilczyca” w dwu kolejnych londyńskich wydaniach Kolina i trzecim argentyńskim. Część końcową tomu wypełniał „Barbakan warszawski” przedrukowany z niedostępnego w Londynie nicejskiego wydania Tyszkiewicza.

Oglądałam starannie owe tomiki, zaznajamiając się z nazwami firm wydawniczych i drukarni. Ten ostatni szczegół był godny uwagi, bo owe polskie wiersze drukowane były bezbłędnie ze wszystkimi „ę” i „ą” przez takie np. firmy jak Williams, Lee and Co., George Barber and Son, F. Mildner and Sons, Chiswick Press etc. — w Londynie, Oliver and Boyd i The Riverside Press w Edynburgu, William McLellan w Glasgowie a nawet Munro Press w Perth w sercu Szkocji. Oglądane na tle osmalonych i pokaleczonych murów, po niedospanej, bo przerywanej alarmami nocy, wywierały szczególne wrażenie. Dziś łączy mi się z nimi wspomnienie blizn na obsypanej odłamkami łysinie Grydzewskiego — pochylonego nad korektami *Wiadomości*, gdy go pierwszy raz w Londynie spotkałam.

(Zakrawa to na przesadę, ale tak było. Owe wczesne książki polskie z okresu wojennego prezentują się lepiej i staranniej były wydrukowane od wielu późniejszych. „Stara Anglia” potrafiła pokonywać przeszkody towarzyszące zdobyciu polskich czcionek czy papieru — i to w okresie „poblitzowym”, gdy — mimo niewątpliwego osłabienia nalotów — samoloty wywiadowcze pojawiały się stale nad Anglią).

Pod dyktandem sytuacji powstawały pisane na gorąco reportaże wojenne. W 1942 roku królował Arkady Fiedler, którego „Dywizjon 303” ukazał się niemal jednocześnie w wersji polskiej i angielskiej i, z egzemplarzy przerzuconych do Kraju, dotarł do prasy podziemnej. To też jedno z silnych wrażeń tego okresu: oglądane jeszcze w Lizbonie fotograficzne podobizny pism krajowych sporządzone z mikrofilmów przesznurowanych przez kurierów.

Na powieść nową, współczesną długo jeszcze czekać wypadnie. Udany substytutem były książki niejako zastępcze, składanki. Pierwszą był doszczętnie zaczytany i dotąd czekający na przedruk „Kraj lat dziecińczych” (1941) pod redakcją Grydzewskiego, zbiór wspomnień na zadany autorom temat, coś jakby konkurs zamknięty, do którego zaproszono wszystkich osiągalnych pisarzy. Reperkusje tej książki były nieobliczalne. Tuwim, pozornie nieobecny, wzięł z jej pomysłu impuls do napisania „Kwiatów polskich”.

„Kraj lat dziecińczych” ilustruje dość wiernie skład podstawowej kadry pisarzy emigracyjnych. A zarazem zawodność terminu literatura „emigracyjna”. Z 19 współautorów książki, poza zmarłymi przed 1945 Antonim Sobańskim i Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, po zakończeniu działań wojennych wyjechali do PRL'u: Karol Estreicher, Olgierd Górka, Kazimiera Iłakowiczówna, Maria Kuncewiczowa, Stanisław Mackiewicz, Ksawery Pruszyński i Irena Tuwim (7). Czynnym do dziś poza

Krajem jest tylko dwu: Tymon Terlecki i Karol Zbyszewski, już seniorzy, wtedy u progu kariery pisarskiej. Uczestniczyli w księdze ówczesni „wielcy”: Kukiel, Zygmunt Nowakowski, Jerzy Stempowski, Zbigniew Grabowski, Zdzisław Czermański (znany raczej jako rysownik). Nie nadesłali wspomnień: Lechoń, Baliński, Wittlin, Wierzyński, Hemar, Wańkiewicz — i wspomniany już poprzednio Tuwim.

Książka, będąca w pewnym sensie odpowiednikiem „Pana Tadeusza”, ukazała się w dwa lata po klęsce wrześniowej, na gorąco, jak poemat Mickiewicza. Dała upust pierwszej fali nostalgii dochodzącej już wcześniej do głosu w utworach poetyckich. Kontynuacją jej będą wydane oddzielnie, nieco później „Trzy poematy o Warszawie” Balińskiego (1943-45), „Popiół i wiatr” Słonimskiego (1942). Twórcy ich mieli pełną świadomość iż oto miało się pod koniec świata, w którym dorosli i dojrżeli; pisali pod wewnętrznym przymusem utrwalenia zapadających się w niebyt kształtów. Poematy te otwierają nieskończony jeszcze poczet wspomnień pokolenia urodzonego na przełomie stuleci, — „wspominkarstwo”, któremu przeciwstawi się dopiero Gombrowicz.

Drugim schematem, powtarzającym się w wielu wariantach w poezji wczesnego okresu będą wiersze, które historycy literatury wcześniej czy później określają mianem poezji okolicznościowej. Poprawne, komunikatywne, — nie wnoszą nic nowego do historii wersyfikacji polskiej, są po prostu poetyckim świadectwem wydarzeń. Przytoczone poniżej przykłady, ułożą je w sekwens, powtarzający się w wielu wykonaniach:

Reakcja na wybuch wojny:

Święty Boże,
 Święty Mocny,
 Święty a Nieśmiertelny!
 Błogostaw odważnym i dzielnym,
 Błogostaw naszej wojnie,
 Błogostaw naszym wojskom
 I naszemu męstwu!
 Usłysz nasze wołanie,
 Który jesteś z nami,
 Wszchemogący Panie,
 Daj nam zwycięstwo.

K. Wierzyński: „Święty Boże”.

Warszawa: wrzesień 1939:

Słyszę szum nocnych nalotów.
 Płyną nad miastem. To nie samoloty.
 Płyną zburzone kościoły,
 Ogrody zmienione w cmentarze,
 Ruiny, gruzy, zwaliska,

Ulice i domy znajome z dzieciennych lat,
 Traugutta i Świętokrzyska,
 Niecała i Nowy Świat.
 I płynie miasto na skrzydłach sławy
 I spada kamieniem na serce. Do dna.
 Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy.
 Niech trwa!

A. Słonimski: „Alarm”.

Upadek Warszawy:

Nie było mnie przy tobie, gdyś padała w gruzach,
 Czarnym pociskom wroga na przestrzał otwarta;
 ..
 Snisz mi się prawie co dzień. Dzień nad Wisłą wstaje,
 Powierza pierwszy oddech katedralnym dzwonom
 ..
 Wzniesiona ponad lądy nieśmiertelną sławą,
 Przejdiesz przez cmentarzysko potrząskanej cegły,
 która w gruzach dziś leżysz, Warszawo, Warszawo!

J. Łobodowski: „Warszawa”.

Pożegnanie Ojczyzny:

W taką to noc gwiazdzistą, w taką noc wrześniową,
 Żegnałem cię, Ojczyzno, przed wielką podróżą,

Stan. Baliński: „Pożegnanie z Krzemieńcem 1939”.

Nostalgia:

Wiedziałem zawsze — piękne są drzewa
 W Fontainebleau,
 Zwłaszcza pod wieczór, gdy złoto nieba
 Biorą za tło.

A przecież teraz wspominać muszę
 Niemal co dzień
 Polnej topoli, wierzby czy gruszy
 Przydrożny pień.

A. Słonimski: „Drzewa”.

Poza narzucone sytuacją schematy wychodzi zdecydowanie twórczość Marii Pawlikowskiej. Jej wiersz „Wenecjo...” jest protestem przeciw wojnie, gdzie by się nie toczyła i świadectwem troski o każde dzieło sztuki:

..... Mosty,
 Nie upadnijcie lekkim rybim kościotrupem,

*Marmurowymi ośmi, w pełną blasków wodę,
Krwawiącą ogniem! Miasto, nie wiesz, co to wojna!*

Innym przykładem odrębności spojrzenia jest „List do samobójcy” Pawlikowskiej, mogący odnosić się równie dobrze do Witkacego jak i — co prawdopodobniejsze — J. A. Gałuszki:

*... Za broń chwycić nie mogłeś, zmęczony poeto,
O nazwisku, choć głośnym, lecz już przedawnionym...
Ale się wywinąłeś od miana uchodźcy,
Choć uszedłeś najdalej. — Zachowałeś godność;
Nie było cię w kolejce na żadnym dziedzińcu
Ambasad, konsulatów — stacyj Męki Pańskiej!
Nie tknąłeś chłopskich ofiar: jabłek i kasztanów,
Nie wypełniałeś podań, nie korzystałeś czoła,
Nie przyjąłeś szalika z najlepszej bawełny
W towarzystwie „Zbawienia Polski”. ...*

M. Pawlikowska: „List do samobójcy”.

Opinia publiczna w stosunku do Skamandrytów była wyraźnie podzielona. Do wzrostu popularności Słonimskiego i Balińskiego przyczyniło się niewątpliwie to, że — mogąc przenieść się do Ameryki — pozostali w bombardowanym Londynie, postawieni wobec nieurojonego, rzeczywistego niebezpieczeństwa życia. Pod obstrzałem znaleźli się natomiast autorzy patetycznych wierszy pisanych za Oceanem. Wymownym dokumentem tej postawy jest wiersz Jerzego Paczkowskiego „Do przyjaciela z tamtej strony Atlantyku”, poprzedzony mottem z wierszy „Święty Boże” i „Inter arma” Wierzyńskiego, zawierający m.in. następujące strofy:

*Błogostaw naszej broni w poetyckim dreszczu,
Na większy nasz animusz i większą ochotę,
Ale nie bój się, Muzo, nie fatyguj, Wieszczu, —
Odwalimy „mokrą robotę”*

*Ty wrócisz, a ja nie wiem, czy żywy dobiegnę
Do warszawskich rogatek poprzez Rzym czy Krym —
Jeśli wrócę — Bóg z tobą. A jeśli polegnę,
Będziesz miał
Do elegii
Jeden kiepski rym*

Wiersz pisany był w Grenoble w końcu kwietnia 1942 roku. Autor nie poległ, jak przewidywał, ale zginął zamęczony za udział w ruchu oporu 26 lutego 1945 w obozie Hamburg-Neuengamme.

Historia uczy jednak, że z podobnymi zarzutami spotykali się poeci romantyczni z Mickiewiczem na czele.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejś, 18 marca 1976

Muzyka i polityka

Z okazji 58-mej rocznicy Rewolucji Październikowej Komitet Centralny KPZS wydał całą serię haseł z nagraniami, poprzedzonymi apelem ideologicznym do „pracowników kulturalnych”. Apel ten brzmi: „Działacze literatury i sztuki, pracownicy kultury! Nieście wysoko sztandar partyjności i ludowości sztuki sowieckiej, udoskonalajcie mistrzostwo artystyczne, oddawajcie swoje zdolności wychowaniu aktywnych budowniczych komunizmu”. W tych słowach, powtarzanych z małymi zmianami od lat, streszczony jest cały nacisk ideologiczny, stosowany w stosunku do wszystkich „działaczy kultury” w Związku Sowieckim, z twórcami muzycznymi włącznie. Skutki jego odczuli niejednokrotnie nawet wybitni i powszechnie uznani rosyjscy kompozytorzy jak Sergiusz Prokofjew, Dymitr Szostakowicz czy inni.

Sytuacja kompozytorów ukraińskich była i jest o tyle gorsza, że nacisk ideologiczny wywierany jest na nich z większą bezwzględnością i jednocześnie podlegają oni dyskryminacji narodowościowej. Muzyce ukraińskiej przyznano w Związku Sowieckim drugie, a w każdym razie podrzędne miejsce i do tego, poza artystycznego, założenia dostosowana jest cała polityka kulturalna na tym odcinku. W Kijowie nie może — a w każdym razie nie powinien — wyrosnąć kompozytor, odznaczający się cechami wybitnej oryginalności i niezależności od wzorców moskiewskich. Kiedy w latach 1930-tych Łewko Rewučkyj napisał swój znakomity i na wskroś nowatorski Drugi Koncert fortepianowy oficjalna krytyka zarzuciła temu utworowi oczywiście szkodliwe wpływy „modernizmu i formalizmu”. To przypieczętowało dalszy los nie tylko utworu, lecz także samego, wysoce utalentowanego, kompozytora, który po prostu zamilkł. Jego rówieśnik, kompozytor Borys Latoszynskyj, poddawany był niejednokrotnie surowej krytyce „ideologicznej” za swe nowatorskie tendencje, a swoją wybitną Trzecią Symfonię musiał całkowicie przerobić, aby dostosować ją do wymogów krytyki partyjnej.

Fakty celowego i planowego prymityzowania muzyki ukraińskiej widoczne są na każdym kroku. Tak, na przykład, odeski teatr operowy, jadąc w 1971 roku na festiwal do Bułgarii, przygotował trzy przedstawienia: „Aidę” Verdiego, „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego i — „Natałkę Połtawkę” Łysenki. Ten ostatni utwór sprzed stu laty, nie jest oczywiście żadną miarą reprezentatywny dla współczesnej ukraińskiej muzyki operowej. A co można powiedzieć o programie koncertu z okazji międzynarodowego dnia muzyki (zgodnie z uchwałą UNESCO), który odbył się w Kijowie 1-go października 1975 roku — gdzie na pierwszym miejscu umieszczono... kwartet bałałajkowy.

Na rozwój muzyki ukraińskiej wpływa negatywnie tendencyjne odcięcie jej od świata zewnętrznego. Jej kontakty, nawet z państwami bloku socjalistycznego, są niezmiernie ograniczone i — można powiedzieć — reglamentowane. „Misję” realizowania ukraińsko-polskich kontaktów muzycznych powierzono w swoim czasie Borysowi Latoszyńskiemu, co zresztą zbiegło się z jego osobistymi upodobaniami. Cennym i trwałym śladem tych prac są jego utwory o tematyce polskiej. W latach 1950-tych napisał dwa poematy symfoniczne: „Grażyna” (osnuty na poemacie Mickiewicza) oraz „Na brzegach Wisły”. W takich utworach jak „Suita Polska” na orkiestrę i „Koncert Słowiański” na fortepian i orkiestrę Latoszyński korzystał z motywów polskiej muzyki ludowej. Miał on możliwość wielokrotnych pobytów w Polsce, a w 1958 roku otrzymał od rządu PRL odznaczenie za umacnianie przyjaźni — tyle tylko, że nie polsko-ukraińskiej, a „polsko-radzieckiej”. Chciałbym dodać, że prawdopodobnie nie jest przypadkiem, iż muzykolog Ihor Bełza, uczeń i bliski współpracownik Latoszyńskiego, stał się jednym z bardziej znanych propagatorów polskiej muzyki w Związku Sowieckim. Jest on autorem kapitalnej „Historii polskiej kultury muzycznej”, monografii o Karolu Szymanowskim, Michale Ogińskim i in.

Jeśli chodzi o wykonania utworów kompozytorów polskich, to zdarzają się one nie za często. W Kijowie organizowane są od czasu do czasu specjalne wieczory chopinowskie, na które demonstracyjnie jest zapraszany konsul PRL. Swego rodzaju sensacją było wystawienie na scenie lwowskiego teatru operowego „Strasznego dworu” Moniuszki. Opera ta została wystawiona pod tytułem „Zaczarowany zamok”. Została ona zaprezentowana również w Kijowie, w czasie gościnnych występów opery lwowskiej, i była entuzjastycznie przyjęta przez publiczność (może właśnie dlatego, że jest tematycznie tak daleka od wszelkiego „budownictwa komunizmu”).

Na polu muzyki religijnej działa się i dzieją tutaj do dnia dzisiejszego rzeczy niezwykle. Wybitnych twórców religijnych XII-go i XVIII-go wieku z początku w ogóle ignorowano. Później robiono próby „sekularyzacji” ich utworów, kiedy to pod muzykę kościelną podkładano nowe, świeckie teksty. Próby te zakończyły się fiaskiem — nie tylko muzycy, lecz także słuchacze odnieśli się do nich z milczącym sprzeciwem. Trzeba było zrezygnować z zasad ideologicznych i oto państwowe zespoły chóralne w Związku Sowieckim śpiewają dziś utwory muzyki religijnej z ich oryginalnymi słowami. Płyte z utworami trzech kompozytorów (Maksym Berezowskyj, Dmytro Bortnianskyj, Artem Wedel) wydano wreszcie dla celów eksportowych, ale i tu nie obeszło się bez „polityki”. W danych biograficznych o wszystkich trzech twórcach wprawdzie napisano, że byli to kompozytorzy ukraińscy, ale płyta jako całość nazywa się „Russian Choral Music”.

Nieznaczne rozluźnienie nacisków politycznych wywołało w latach 1960-tych przyływ nowych indywidualności twórczych, od-

znaczących się większą niezależnością w porównaniu ze starszymi kolegami. Pojawiła się dość liczna grupa kompozytorów myślących kategoriami bardziej współczesnymi. Tworzą oni zwartą grupę, związaną z Kijowem i prawie wszyscy uważają Borysa Latoszyńskiego za swego nauczyciela i promotora.

Prądy nowoczesne nie są oczywiście odosobnione. Najdobitniej występują w Polsce, następnie w Rumunii i Jugosławii, a z czasem doszły po trochu do głosu i w samym Związku Sowieckim (oprócz Ukrainy, w Estonii i Rosji). Między „satelickimi” krajami socjalistycznymi a Związkiem Sowieckim istnieje jednak zasadnicza różnica w traktowaniu nowoczesnych prądów muzycznych. Pierwsze nie tylko je tolerują, ale dają nawet niemałe udogodnienia swym kompozytorom — modernistom, drugi dotąd pozostał bastionem konserwatyzmu muzycznego. Jak za dawnych czasów, do dziś istnieją tam ograniczenia bezpośrednich kontaktów osobistych. Bez przesady można stwierdzić, że na słynne już festiwale „Warszawska Jesień” droga z Kijowa jest dalsza i trudniejsza, niż z Nowego Jorku. Młodzi kompozytorzy ukraińscy boleśnie odczuwają trudności związane z wykonaniem ich utworów, szczególnie tych nowatorskich czy eksperymentalnych. Freski symfoniczne Leonida Hrabowskiego, napisane w 1961 roku, zostały wykonane po raz pierwszy w Leningradzie, następnie w Moskwie i w Kijowie dopiero po sześciu latach. Pierwsze wykonanie innego utworu Hrabowskiego wraz z utworami dwóch jeszcze kompozytorów kijowskich — Walentyna Sylwestrowa i Wołodymyra Zahorcewa — miało miejsce w 1967 roku w Ameryce (Bloomington, Indiana). Należy nadmienić, że pobudki działalności awangardzistów kijowskich oraz przyświecające im cele mają charakter czysto artystyczny, bez cienia „polityki”.

Lata 1970-te zaznaczyły się na Ukrainie ponownym usztywnieniem linii partyjnej wobec sztuki. Wzmogła się znacznie presja „ideologiczna”. Pieśni, kantaty, symfonie i nawet całe opery poświęcone Leninowi, partii oraz rozmaitym „budowniczym komunizmu” zajęły główne, a nierzadko nawet wyłączne miejsce w naszym ruchu muzycznym. Polityka rusyfikacyjna dochodzi znowu do granic swego nasilenia. Przytoczę kilka faktów.

Kijowski kwartet smyczkowy im. Łysenki, zdobywca wielu nagród międzynarodowych, ma opinię jednego z najlepszych zespołów muzycznych. Urządził on niedawno cykl czterech koncertów, prezentując wszystkie (14) kwartety Szostakowicza. W sezonie 1973-74 zespół wybrał się z turą koncertową do Polski, dając tam kolejno trzy różne koncerty. W programie wszystkich trzech znalazły się utwory wyłącznie kompozytorów rosyjskich! Była to sytuacja w każdym razie niezwykle: przyjeżdża oto ukraiński zespół instrumentalny, występuje przed polską publicznością i prezentuje jej wyłącznie muzykę rosyjską. Jest to oczywiście dolewanie wody do rzeki, bo przecież utwory kompozytorów rosyjskich wykonuje się w Polsce dość często. Nową i — przypuszczam — interesującą dla polskiej publiczności byłaby właś-

nie twórczość kameralna kompozytorów ukraińskich, zwłaszcza młodszego pokolenia. Dodam, że z taką właśnie reakcją spotkał się kwartet im. Łysenki podczas swej podróży do Czechosłowacji w 1975 roku: liczni słuchacze interesowali się bardzo współczesną muzyką ukraińską i prosili o przysłanie im materiałów odnoszących się przede wszystkim do niej.

W książce „Spiłka kompozytorów Ukrainy” (Kijów, 1968), w której zebrane są życiorysy oraz wykazy utworów współczesnych kompozytorów ukraińskich, naliczyłem 62 kwartety smyczkowe. Jeśli do tej liczby dodać kwartety napisane dawniej oraz utwory skomponowane po roku 1968 — byłoby z czego wybierać. Niestety decydującymi w tym i w podobnych wypadkach są nie względy rzeczowe i artystyczne, lecz polityczne.

Przy końcu 1974 roku miało miejsce otwarcie nowego teatru operowego w Dniepropetrowsku. Trzeba przyznać, że zbudowanie nowoczesnego gmachu teatralnego oraz zorganizowanie nowego zespołu dla przedstawień operowych, operetkowych i baletowych, to bezsprzecznie fakty wielkiego znaczenia kulturalnego. Toteż otwarcie teatru odbyło się z całym przepychem. W dwumiesięczniku *Muzyka* (Kijów, nr 2 z 1975 r.) czytamy: „Otwarcie nowego, szóstego w republice, teatru opery i baletu w Dniepropetrowsku stało się wielkim i radosnym świętem nie tylko dla miasta gigantów metalurgii, ale i dla całej sztuki radzieckiej”. Z Kijowa przybył O. K. Romanowskyj, minister Kultury Ukraińskiej SSR. Odbył się swoisty rytuał przysięgi, podczas którego odczytano szereg zobowiązań. Zebrany w sali teatralnej prawie tysięczny zespół śpiewaków, tancerzy, orkiestrantów oraz pracowników scenicznych i administracyjnych za każdym razem wygłaszał donośne „przysięgamy!”. Jedno z tych zobowiązań brzmiało: „Przysięgamy, że będziemy odtwarzać na scenie wielkie rewolucyjne, bojowe oraz robotnicze tradycje bohaterskiego narodu sowieckiego, jego braterstwo, internacjonalizm”. Pierwsze przedstawienie poświęcone było istotnie „tradycjom rewolucyjnym”. Była to opera współczesnego kompozytora rosyjskiego, Cholminowa, pt. „Tragedia optymistyczna”, według znanej sztuki Wiszniewskiego. Następne dni i tygodnie wypełnione były samymi pozycjami rosyjskimi: „Książę Igor” Borodina, „Jolanta” i „Jeziro łabędzie” Czajkowskiego oraz „Fontanna Bakczyse-
raju” Asafiewa. Z repertuaru zachodnio-europejskiego teatr wykonał „Rigoletto” Verdiego i balet „Bolero” Ravela. Wszystkie przedstawienia operowe i operetkowe odbywały się w języku rosyjskim. Oto więc szósty operowo-baletowy teatr Ukraińskiej SSR w przeciągu całego roku nie włączył do swego repertuaru ani jednego utworu kompozytora ukraińskiego!

W październiku 1975 roku rozpoczął się nowy sezon koncertowy lwowskiej orkiestry symfonicznej. Na pierwszym koncercie wykonano 11-tą symfonię Dymitra Szostakowicza i oratorium „Iwan Groźny” Sergiusza Prokofiewa. Wykonanie tego ostatniego utworu, reprezentującego nie „tradycje rewolucyjne narodu ra-

dzieckiego”, a odtwarzającego dzieje jednego z carów rosyjskich, ma swoją wymowę.

Przytoczone tutaj przykłady rzucają wystarczające światło na politykę kulturalną kół rządzących w Związku Sowieckim. Polityka ta nie ma nic wspólnego z „braterstwem”, czy z internacjonalizmem, jest natomiast przejawem nietolerancji i mocarstwowego szowinizmu.

Wasył WYTWYCKYJ

Dr. h.c. Karl Dedecius

11-go lutego bież. roku Karl Dedecius otrzymał od wydziału filozoficznego Uniwersytetu Kolońskiego doktorat honorowy. Kilka miesięcy wcześniej ukazała się nakładem Surkampa we Frankfurcie nad Menem jego książka „Polnische Profile”, która, jak sądzę, walnie się przyczyniła do wyróżnienia.

„Profile polskie” zawierają sylwetki sześciu pisarzy, czterech już zmarłych i dwóch żyjących: Adolfa Nowaczyńskiego, K. I. Gałczyńskiego, Stanisława Jerzego Leca, Juliana Przybosa, Tadeusza Różewicza i Zbigniewa Herberta. Postaci dobrane są przemysłnie, parami na zasadzie kontrastu: błyskotliwy Nowaczyński i błyskotliwy Gałczyński, pierwszy pełniący swe pisarstwo aż po granice politycznego zaciętrzewienia, drugi z polityczną i językową dezynwolturą; lakoniczny Lec i lakoniczny Przybóś, pierwszy o głębokim wycuciu sensu i bezsensu historii, drugi świadomie i z rozmysłu ahistoryczny; Różewicz, formułujący dezintegrację świata współczesnego i Herbert, szukający tegoż świata harmonii. Zapewne, nie jest to pełny obraz literatury polskiej okresu, bo też i nie taki był zamiar autora; ale jest to jednak obraz charakterystyczny, gdyż ukazuje pewną istotną cechę tej literatury, zasadzającą się na *coincidentio oppositorum*, nie tyle (i nie tylko) w poszczególnych tekstach, co w układach postaw pisarskich. W dwudziestym wieku dałoby się bowiem znaleźć więcej takich kontrastujących par: Leśmian i Staff, Witkacy i Schulz, Czechowicz i Miłosz, Jastrun i Ważyk, Białoszewski i Karpowicz. Nigdy chyba do tej pory literatura polska nie migotała tak intensywnie opozycyjnymi postawami, co oczywiście stanowi jej bogactwo i co na sześciu zaledwie postaciach tak znakomicie Dedecius wydobyl, ukazując zarazem różnorodność tych przeciwstawień. Obraz jest, jako się rzekło, niepełny, mimo to jednak syntetyczny, co znaczy więcej niż pełny.

„Profile polskie” są, niezależnie od piękności pisarskich w niej zawartych, książką uczoną i w najlepszym sensie źródłową i skrupulatną. Nie wykluczyło to wszakże swobody, z jaką została

napisana i bardzo osobistego tonu. I tak, analizując stosunek Przybosia do śmierci (i w poezji, i w innych tekstach), daje Dedeceius przejmujący obraz śmierci poety, której był naocznym świadkiem. Rozpatrując drogę rozwojową Różewicza ukazuje ją bardzo wyraziście przytaczając własne listy (chyttrze przeskazą, bo bez dat) do tłumaczonego przez siebie autora. Wspomnieniem osobistego spotkania zaczyna się studium (czy też esej, bo pisarstwo Dedeceiusa oscyluje między tymi dwoma gatunkami) o Lecu. Odwrotnie postępuje Dedeceius z Herbertem: główną motywację jego postawy poetyckiej znajduje w fascynacji osobą jego nauczyciela filozofii, Henryka Elzenberga — o tej zaś sprawie dowiedział się od samego poety.

Taki to jest subiektywizm Doktora Karola. Obiektywizm jego zaś, zamierzony czy nie, jest nie mniej godny uwagi. Przejawia się on z jednej strony — o czym już mówiłem — w operowaniu kontrastami przy komponowaniu książki, z drugiej natomiast — a trudno mi powiedzieć, czy taki był zamiar autora — w pewnej filozofii życiowej, będącej jak gdyby polemiką ze stosunkiem do alienacji w poglądach Hegla czy Marksa. Czytając, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Dedeceius przekazuje nam coś akurat odwrotnego: alienacja nie odczłowiecza, jak to rozumie mieli dziewiętnastowieczni myśliciele, lecz ucłowiecza właśnie. Wszyscy ukazani pisarze (najmniej może Przyboś) swoją twórczość zawdzięczają tak lub inaczej spowodowanemu egzystencjalnemu wyalienowaniu. Nigdzie to nie jest powiedziane *expressis verbis*, ale książka jako całość o tym właśnie mówi. I myślę, że w taki to sposób Dedeceius, *vir* już teraz oficjalnie *doctissimus*, utrafił w sedno problematyki człowieka twórczego, którego rozwój biegnie poprzez przewyciężanie jednego stopnia alienacji i, w następstwie, osiąganie stopnia drugiego, trzeciego, dwunastego.

„Profile polskie” to książka ważna nie tylko dla Niemców.

Witold WIRPSZA

Na śmierć Marcina Heideggera

26 maja 1976 roku zmarł jedyny bodaj człowiek na świecie, który wśród żyjących zasługiwał na miano wielkiego filozofa; teraz, o ile wiemy, nie żyje żaden. Myślenie filozoficzne nie powróciło i nie może powrócić do dawnego swojego stanu po ciosach, jakie mu Heidegger zadał. Powiedzieć tyle nie znaczy to: podpisać się pod treścią tej filozofii czy choćby wyrazić dla

niej sympatię. Znaczy jednak: złożyć należyty hołd jej agnocywnemu radykalizmowi, który w zamiśle miał być ponownym otwarciem drogi do Bytu, a okazał się narzędziem wielkiej destrukcji

Heidegger był wybornym znawcą i zaciętym niszczycielem tradycji łacińsko-chrześcijańskiej w filozofii. Uważał, że wnikliwa intuicja metafizyczna Greków, w szczególności pre-sokratyków, została zaciemniona i zaprzepaszczone przez łacińskie abstrakty i usiłował zrazu od balastu tych abstraktów się uwolnić, aby w greczyźnie i w niemczyźnie dokopać się najbardziej pierwotnych źródeł mowy, jak gdyby wierząc, że można, obnażywszy rdzeń słowa, ukazać jego „prawdziwy” sens, a przez to rozjaśnić jakiś pradawny, cywilizacją nie zepsuty stosunek człowieka do Bytu. Z tych męczących błędzeń po bezdrożach archaizmów wyrósł język Heideggera — nieprzekładalny i z natury rzeczy pozbawiony wyjaśnień i definicji — skoro chodziło właśnie o używanie słów o funkcjach najbardziej rdzennych, wszystko jedno czy słowa same były wzięte z istniejącego zasobu czy skonstruowane. Owe heideggeryzmy — nieprzetłumaczalne nawet, jeśli są to zwyczajne wyrażenia niemieckie, wdarty się jakby przemocą do filozofii i tam zostały. *Die Sorge* to zwykłe słowo, znane każdemu, kto niemieckim włada — troska, kłopot, zatroskanie, niepokój, ale *die Sorge* jako kategoria ontologiczna nie daje się dobrze w innej mowie wystawić; tym bardziej owe *Geworfenheit*, *Jemeinigkeit*, *Dasein*, *das Man*; tym bardziej owe osobliwe dystynkcje między *Sein* i *Seyn*; między *est* i *ist* i *es gibt* lub filozoficzno-etymologiczne roztrząsania nad znaczeniem pojęcia polany lub dróżki leśnej. Heidegger jak gdyby gwałcił język i w końcu stawiał na swoim. To, co u filozofa o nieco mniejszym rozmachu staje się pretensjonalnym dziwactwem, nudną arogancją, było u niego eksplozją filozoficznej wyobraźni. Przez to był wielki i przez to został szkodnikiem, ale szkodnikiem na podobieństwo pierwszych kubistów i abstrakcjonistów, artystów doskonałych, którzy wszelako potomstwu dostarczyli mimowiednie pretekstów do nieodpowiedzialności i swobody od dyscypliny. Ci, którzy zadali sobie trud brnięcia przez teksty Heideggera na ogół są zdania, że jest to trud opłacalny, nawet jeśli wyraźnie tej filozofii nie lubią; wiedzą, że można przez odpowiedni wysiłek osiągnąć poczucie rozumienia i rozumieć wtedy także istotne powody, dla których Heidegger chciał zerwać z tradycją ustalonych filozoficznych „kategorii”. Heidegger nie mówił „podmiot”, „świadomość”, „dane zmysłowe”; chciał z filozoficznej medytacji wyrugować wszystkie psychologizmy i wszelką zależność od już ukonstytuowanych nauk. Pod tym względem był wierny programowi Husserla. Nie był jednak wierny dalszym częściom tego programu; porzucił nadzieję na skuteczność transcendentnej redukcji, nie wierzył, byśmy mogli zawiesić niby-prowizorycznie sprawę istnienia świata i istnienia bytu ludzkiego, chciał tylko, by bytu ludzkiego nie określać przez „fakty” psychologiczne, ani świata — przez fizyczne jakości, ale ująć oba od razu w jakimś koniecznym, nie-percep-

cyjnym i nie-fizycznym odniesieniu. Język Heideggera nie pozwala wręcz, jak się zdaje, sformułować problemu solipsyzmu albo pytania o „most”, po którym można by przejść do świata od „treści wrażeńiowych”. Świat i byt ludzki sprzężone są tak, iż w konstytucji samej każdego z nich odniesienie do drugiego jest zawarte. „Być w świecie” — nie jest to dla człowieka przypadek, który się zdarzył, a mógł się nie zdarzyć; nie jest także przedmiotem pytania, które należałoby dopiero rozstrzygnąć. Ale podobnie nie można zadać pytania o Byt w taki sposób, iżby ludzkie istnienie z treści pytania było usunięte; że Byt rozświetla się dla nas, należy to do jego, Bytu, konstytucji.

Heidegger był świadom, że pytając o Byt i o sam akt istnienia — nie zaś o konstrukt pojęciowy, który powstaje po kolejnych wspinaczkach na coraz wyższe piętra abstrakcji — nie możemy naprawdę i dosłownie tego, o co nam chodzi, powiedzieć, bo sama natura języka w tym punkcie dosłowności się opiera. Nigdy niczego nie uzasadniał, nie argumentował, lecz postanawiał, oznajmiał, stwierdzał, potępiał, prorokował; z biegiem lat, jak się wydaje, coraz mniej wierzył w to, iż filozofia ma jeszcze w ogóle środki do życia, a w rozprawie „Koniec filozofii i zadania myślenia” z 1964 roku pogrzebał ostatecznie samą jej możliwość (co przed nim wielu wybitnych mistrzów filozofii z bardzo niejednakowych powodów wiele razy uczyniło). Ingarden *Sein und Zeit* kaśliwie nazywał „poematem” — w odróżnieniu od fenomenologicznej analizy, jaką sam uprawiał, a którą uważał za naukę; ale Heidegger, być może, nie dopatrywałby się w tym nazwaniu obelgi — dla niego Hölderlin był nie mniej filozofem, niż Hegel, a tekst Parmenidesa, do którego tylekroć wracał, był poematem właśnie.

Byt, o którego nazwanie Heideggerowi chodziło, nie jest Bogiem. Filozofia Heideggera nie jest ateistyczna w tym sensie, by pozytywnie wykluczała możliwość istnienia Boga; jeśli jednak Bóg jest, jest on jestestwem poszczególnym, *das Seiende*, nie zaś bytem *Sein* (podobnie, jak u Plotyna), a jego istnienie nie jest rozstrzygnięte; Heidegger zdawał się sądzić, że myślenie o Bycie, tak, jak je uprawiał, nie zależy od istnienia Boga. Podobnie jego medytacje o ludzkim istnieniu jako o byciu-nieśmierci nie zależą od tego, czy możliwe jest życie pośmiertne (które także w tej filozofii ani nie jest wykluczone, ani utwierdzone).

Krytycy i komentatorzy wielokrotnie dopatrywali się w Heideggerowskiej metafizyce próby protestu przeciw „społeczeństwu masowemu” i cywilizacji miejsko-industrialnej z jej anonimowością i mechanizacją życia; zarówno poszukiwania archaiczności, jak sławne kategorie jego wczesnej antropologii — „autentyczność”, „gadanina”, „się” — narzucały dość łatwo takie sugestie, a echa Nietzschego i jego pogardy dla „kultury masowej” także nietrudno w tej filozofii znaleźć. Adorno, który w 1964 roku ogłosił książkę przeciw Heideggerowi (*Jargon der Eigentlichkeit*)

kojarzył tę tendencję z nazistowską ideologią *Blut und Boden*. Adorno jest zapewne w tej sprawie świadkiem wybitnie interesownym, jako że głównym motywem jego własnej filozofii była właśnie krytyka „reififikacji” ludzi w społeczeństwie industrialnym, to samo na pozór, co Heidegger atakował; stąd chciał wykazać, że jego znacznie większymi wpływami cieszący się rywal naprawdę z „reififikacją” wcale nie walczy. Jednakże wielu innych krytyków rozważało pytanie, którego uniknąć nikt nie może, mówiąc o Heideggerze: czy i jaki był związek między jego filozofią a jego akcesem do nazizmu w latach 30-tych? (a akces ten trwał kilka lat i spowodował po wojnie trzydziestoletnią izolację filozofa i jego faktyczne wykluczenie ze światowej społeczności filozofów). W takich wypadkach mamy naturalną skłonność do wynajdywania *ex post* nieodpartej logiki, która doktrynę filozofa łączy z jego zachowaniem politycznym. Zalecona jest wszakże znaczna w tych kojarzeniach ostrożność. Ontologia Heideggera była zapewne amoralna w tym sensie, jak wiele innych, to znaczy nie wynikały z niej żadne określone konsekwencje co do wartości, a nawet można było przekonać się, że konstrukcja metafizyczna, która by do takich konsekwencji prowadziła, jest w ogóle, z punktu widzenia Heideggera, niemożliwa; „autentyczność” jest wartością formalną, nie materialną, niepodobna z niej wysnuwać wniosków co do żadnego określonego „zaangażowania” moralnego czy politycznego. Filozofia Heideggera nie zawierała więc żadnych barier, które by ją chroniły przed jakimkolwiek politycznym użytkowaniem, włączając ten właśnie, najbardziej zło-wrog, jaki w owych latach istniał; ale byłoby znaczną przesadą powiedzieć, że zawierała wyraźne w tym kierunku wiodące impulsy. Podobnie nie „wynikały” z wczesnej filozofii Sartre’a jego polityczne perypetie lat 50-tych. Po prostu powiązania metafizyki z polityką, chociaż zachodzą, są bardzo niejednoznaczne. Jest dopuszczalne rozważanie filozofii niezależne od biografii filozofa; gdyby w ogóle dopuszczalne nie było, filozofia nie mogłaby istnieć.

Kiedy ogłoszona zostanie pełna edycja pism Heideggera, do której, jak słychać, wejdzie *kilkadziesiąt* woluminów nigdy do tej pory nie drukowanych, mało pewnie znajdzie się takich, którzy chcieliby poświęcić życie na jej dokładne przestudiowanie. Ale waga dotychczas znanych pism jest na tyle znaczna, że nikt ich z filozofii nie wytrze, póki filozofia w znanym nam słowa znaczeniu istnieć będzie; *Sein und Zeit* dzisiaj, po latach prawie pięćdziesięciu, jest nieusuwalną częścią bibliotek klasyków filozofii. Albowiem „filozofem wielkim był”, niestety.

Leszek KOŁAKOWSKI

Litwin na Broadway'u

Historia litewskiego reżysera Jonas'a Mekas'a i jego niezwykłych filmów zainteresować może nie tylko wielbicieli X Muzy. Pisze o jego historii w korespondencji z Nowego Jorku — Louis Marcorelles — jeden z recenzentów filmowych dziennika *Le Monde*. Marcorelles był obecny na projekcji ostatniego, nieukończonego jeszcze filmu Mekas'a pod tytułem „Los, los, los” — „Przeminęło, przeminęło, przeminęło” — na prywatnym przedstawieniu w studio na nowojorskim Broadway'u.

Wśród widzów spora grupa emigrantów litewskich. Należą oni — wyjaśnia Mekas — do organizacji „Wolnej Litwy”. Działalność tego stowarzyszenia, walczącego o utrzymanie odrębności narodowej emigrantów litewskich, jest tematem tego dokumentalnego filmu. „My wszyscy — mówi Mekas — marzyliśmy o powrocie do ojczyzny, gdy Litwa odzyska niepodległość. Trzydzieści lat minęło od chwili, gdy dobiliśmy do portu nowojorskiego. Marzenia nasze okazały się całkowicie nierealne. Jeśli jest się synem wielkiego kraju — na przykład Włochem — to może nie odczuwa się zbytnich skrupułów, aby na emigracji stać się Amerykaninem. Ale gdy należy się do małego narodu, którego egzystencja jest zagrożona, — waży każda jednostka. Zawsze o tym myślę. Nie chcę być Amerykaninem. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, ale nie oznacza to, że decyduję się na pozostanie tu do końca moich dni. Część mego jestestwa została na zawsze na Litwie”.

Czołowym osiągnięciem artystycznym Mekas'a jest — jak dotąd — jego film „Reminiscencje z podróży po Litwie”, który można by zatytułować „Litwo, ojczyzno moja”. W sierpniu 1971 roku Jonas Mekas i jego brat Adolfas uzyskawszy wizy sowieckie wyjechali na Litwę. Odwiedzili pozostałą tam rodzinę i objechali kraj. Po powrocie Mekas nakręcił swe „Reminiscencje”, — jak pisze Marcorelles — „film jedyny w swoim rodzaju w historii kinematografii. Kojarzy on formę filmowanego dziennika dokumentalnego z awangardowym stylem poszukiwań nowojorskiej „nowej fali”. „Reminiscencje z podróży po Litwie” — czytamy w korespondencji *Le Monde* — wywarły przemożny wpływ na twórczość młodych reżyserów wolnego kina nowojorskiego, którzy brali sobie za wzór osiągnięcia formalne i styl reżyserski Jonas'a Mekas'a.

Odwiedziny stron rodzinnych natchnęły Mekas'a otuchą. „Moja podróż — mówi on — utwierdziła mnie w przekonaniu, że Litwa nie zostanie zmazana z mapy świata, gdyż ludzie stamtąd są twardzi. Niebezpiecznym dla nich nie jest komunizm, ale Republika Rosyjska, która zagraża innym republikom związkowym; narzuca im język rosyjski i wprowadza tam własny alfabet. Republika Rosyjska chciałaby, aby świat jak najmniej wiedział o egzystencji innych republik... Gruzini, Litwini, Łotysze, Estończycy i inne narody winny same manifestować swoje istnienie. W swych republikach próbują oni hamować ekspansję potężnego sąsiada rosyjskiego”.

Nawet w filmie na tematy nowojorskie o charakterze eksperymentalnym wizję metropolii przesłaniają Mekas'owi pejzaże litewskie. „Po nakręceniu filmu — przyznaje reżyser — zdałem sobie sprawę, że gdy pokazuję Nowy Jork widać wiele drzew i wiele śniegu. Otóż Nowy Jork — to ani śnieg, ani drzewa. Filmując miałem przede wszystkim przed oczami wspomnienia z dzieciństwa — drzewa i śnieg. Pokazałem więc Nowy Jork fikcyjnie, bliższy mych wspomnień, aniżeli autentycznemu obrazowi miasta. Ukształtowała mnie Litwa i pamięć o niej kieruje każdym nakręcanym planem”.

Nieznane pisma organizacji kombatanckich

Przeciętny czytelnik polski na emigracji czy w kraju zna kilkanaście periodyków emigracyjnych czy polonijnych i w znakomitej większości nie orientuje się, że ukazuje się naprawdę masa czasopism nieperiodycznych czy też wychodzących regularnie lecz mało znanych. Pisma te świadczą jednak o dużej dynamice emigracji i często można w nich znaleźć ciekawe opracowania czy wiadomości interesujące nie tylko dla socjologa bibliografa czy przyszłych historyków, ale również dla działaczy społecznych i politycznych.

Zamieszczamy poniżej wykaz czasopism nieperiodycznych organizacji kombatanckich. Dotyczą one wyłącznie Wielkiej Brytanii. Prosimy Czytelników — specjalnie z terenu pozaangielskiego — o nadsyłanie nam uzupełnień i informacji co pozwoli nam na opracowanie możliwie pełnego i aktualnego wykazu. (Wykaz oparty w dużym stopniu na pracach B. Jeżewskiego z Londynu).

REDAKCJA

- Artylerzysta Konny* (Wyd. Związek Artylerzystów Konnych na Obczyźnie; 20, Princes Gate, London, S.W.7. 1QA).
- Beliniak* (Wyd. Koło żołnierzy 1. P. Ułanów Beliny; First Drive, Cranford, Hounslow, Middx., TW5 9TD).
- Biuletyn* (Wyd. Koło Oddziałowe 18. Lwowskiego Baonu Strzelców; 57, Balcombe St., London, N.W.1. 6HD).
- Biuletyn Informacyjny* (Wyd. Koło żołnierzy AK; 240, King St., London, W.6. 9JT).
- Biuletyn Informacyjny* (Wyd. Koło 17. P. Ułanów Wielkopolskich im. Bol. Chrobrego; 12, Carton House, St. Ann's Rd., London, W.11 4DH).
- Biuletyn Informacyjny* (Wyd. Koło żołnierzy 14. Wileńskiego Baonu Strzelców ŻBIK; 21, St. James Ave., London, W.13. 9DL).
- Czwartak Pancerny* (Wyd. Koło 4. P. Pancernego SKORPION; 34, West Lodge, London, W.3. 9SS).
- Dragonii Naprzód* (Wyd. Koło 10. P. Dragonów; 21, Queen's Gdns., London, W.5. 1SE).
- Dziwiątkak* (Wyd. Koło 9. P. Ułanów Małopolskich; 20, Princes Gate, London, S.W.7. 1QA).
- Goniec Karpacki* (Wyd. Związek Karpatczyków; 9, Princes Gdns., London, S.W.7. 1NB).
- Głos Inwalidy* (Wyd. Związek Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych; 5, Bath Rd., London, W.4. 1LP).
- Komunikat* (Wyd. Koło SPK „b. Dowództwo 2-go Korpusu”; 8, Carlton Mns., Holland Park Gdns., London, W.14).
- Komunikat* (Wyd. Koło Oficerów Dyplomowanych; 20, Princes Gate, London, S.W.7. 1QA).
- Komunikat* (Wyd. Koło Oficerów Intendent.; 42, Emperor's Gate, London, 7. 4HJ).
- Komunikat* (Wyd. Koło CZWARTAKÓW b. żołnierzy 4. P. Legionów; 27, Warrington Cres., London, W.9.).
- Komunikat* (Wyd. Koło 22. P. Piechoty Ziemi Siedleckiej; 22, Bergholt Cres., London, N.16. 5JE).

- Komunikat* (Wyd. Koło Centrum Wyszkożenia Wojsk Pancernych 2-go Korpusu; 10, Randor Rd., London, N.W.6. 6TT).
- Komunikat* (Wyd. Związek Kół I. Dywizji Pancерnej; 6, Connaught Close, Reading, Berks.).
- Komunikat* (Wyd. Koło I. Pułku Artylerii Motorowej; West Dulwich, London, S.E.21. 8JD).
- Komunikat* (Wyd. Koło 2. P. Artylerii Motorowej; 27, Burton Rd., London, S.W.9. 6SZ).
- Komunikat* (Wyd. Koło I. P. Szwoleżerów im. J. Piłsudskiego; 4, Ramillies Road, London, W.4. 1JA).
- Komunikat* (Wyd. Koło 3. P. Szwoleżerów im. Koziętułskiego; 47, Ifield Rd., London, S.W.10. 9AX).
- Komunikat* (Wyd. Koło 4. P. Ułanów im. Gen. Dreszera; 105, Dora Rd., London, S.W.19. 7JT).
- Komunikat* (Wyd. Związek Łącznościowców; 82, Sinclair Rd., London, W.14. ONJ).
- Komunikat* (Wyd. Koło Oddziałów. 16. Baonu Strzelców Lwowskich; 47, Eagle Rd., Wembley, Middx.).
- Komunikat* (Wyd. Koło Ułanów Grochowskich; 12, Raeburn Av., Tolworth, Surrey, KT5 9DP).
- Komunikat* (Wyd. Koło 8. P. Ułanów im. Ks. J. Poniatowskiego; 2, Poynders Rd., London, S.W.4. 8NX).
- Komunikat* (Wyd. Koło Kobiet, b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych; 10, Hillcroft Cres., London, W.5.).
- Komunikat* (Wyd. Koło 10. P. Strzelców Konnych; 12, Oakley Av., London, W.5.).
- Komunikat* (Wyd. Związek Kół I. Dywizji Pancерnej; 6, Connaught Close, Reading, Berks.).
- Komunikat* (Wyd. Koło SPK nr 122 I. Dywizji Pancерnej; 122, Emmanuel Rd., London, S.W.12.).
- Komunikat* (Wyd. Związek Legionistów i Peowiaków; 18, Princes Av., London, N.10. 3LR).
- Komunikat* (Wyd. Koło 24. P. Ułanów; 108, Fordhook Av., London, W.5. 3LR).
- Komunikat* (Wyd. Związek Lwowskich Kadetów Marszałka Piłsudskiego; 18, Boileau Rd., London, W.5. 3AH).
- Komunikat* (Wyd. Koło 9. Baonu Strzelców Flandryjskich; 130, New Park Road, London, S.W.2. 4LW).
- Komunikat* (Wyd. Koło 120. Dowództwa 2-go Korpusu; 8, Carlton Mns., Holland Park Gdns., London, W.14.).
- Komunikat* (Wyd. Koło 4. P. Ułanów Zaniemeńskich; 17, Park Road, Gloucester, GLI ILH).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Koło 2. P. Pancерnego; 52, Bowerdean St., London, S.W.6. 3TW).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Zrzeszenie Kół Oddziałów Broni Pancерnej; 21, Fairlawn Ct., Acton Lane, London, W.4. 5EE).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Koło 7. P. Ułanów im. Gen. Sosnkowskiego; 55, Princes Gate, London, S.W.7. 2PN).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Koło 14. P. Ułanów Jazłowieckich; 53, North Ryot Gdns., London, W.6. 9NL).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Związek Polskich Grenadierów; 10, Queen's Gate Ter., London, S.W.7. 5PG).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Koło 2. P. Ułanów L.P. i Szwoleżerów Rokitniańskich; Adres będzie podany dodatkowo).
- Komunikat Informacyjny* (Wyd. Koło żołnierzy 7. P. Ułanów im. Gen. Sosnkowskiego; 55, Princes Gate, London, S.W.7. 2PN).

- Krechowiak* (Wyd. Koło Ułanów Krechowieckich; 20, Princes Gate, London, S.W.7. 1QA).
- Ku Wolnej Polsce* (Wyd. Związek b. żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, TOBRUKCZYKÓW; 14, Collingham Gdns., London, S.W.5. OHT).
- Nasze Sygnały* (Wyd. Stowarzyszenie Marynarki Wojennej; 14, Collingham Gdns., London, S.W.5. OHT).
- Okólnik* (Wyd. Polski Związek Oficerów Marynarki Handlowej i Sekeja Marynarzy; 41, Barkston Gdns., London, S.W.5. OES).
- Podolak* (Wyd. Koło 12. P. Ułanów Podolskich; 20, Burton Rd., London, S.W.9. 6SY).
- Przegląd Łącznościowców* (Wyd. Związek Łącznościowców; 82, Sinclair Rd., London, W.14. ONJ).
- Rzeczpospolita Podchorążacka* (Wyd. Koło Szkoły Podchorążych Piechoty; 142, Marleborough Rd., Oxford, OX1 4LS).
- Saper* (Wyd. Stowarzyszenie Saperów polskich na Obeczyźnie; Florence Rd., London, W.5. 3TX).
- Semper Fidekis* (Wyd. Koło 6. P. Pancерnego DZIECI LWOWSKICH; Chapeltown Rd., Leeds 7, The Polish Club).
- Spadochron* (Wyd. Związek Polskich Spadochroniarzy; 20, Queen's Gate Ter., London, S.W.7. 5PG).
- Sybirak* (Wyd. Związek „Sybiraków”; 124, Minet Av., London, N.W.10).
- Skrzydła* (Wyd. Stowarzyszenie Lotników; 14, Collingham Gdns., London, S.W.5. OHT).
- Ułan Karpacki* (Wyd. Związek Ułanów Karpackich; 10, Avenue Cres., London, W.3. 8EW).
- Ułan Poznański* (Wyd. Koło 15. P. Ułanów im. Gen. Andersa; 7, Deyncourt Gdns., Upminster, Essex, RM14 1DE).
- Ułan Śląski* (Wyd. Koło 3. P. Ułanów Śląskich; 71, Granhurst Road, London, N.W.2. 4LL).
- Ułan Kaniowski* (Wyd. Koło 6. P. Ułanów Kaniowskich; 49, East Drive, Carshalton Beaches, Surrey).
- Ułan Wielkopolski* (Wyd. Koło Ułanów Wielkopolskich; 25, South Ealing Road, London, W.5. 4QT).
- Ułan Zastawski* (Wyd. Koło 5. P. Ułanów Zastawskich; 18, Boileau Road, Dondon, W.5. 3AH).
- W Marszu* (Wyd. 15. Wileński Baon Strzelców WILKÓW im. Gen. Andersa; 54, St. Gabriel's Road, London, N.W.2. 4SA).
- Zuchowaty* (Wyd. Koło 5. P. Piechoty Legionów J. Piłsudskiego; 2, Sherborns Gdns., London, W.13. 8AS).
- Żandarm* (Wyd. Koło 106. SPK; 11, Duke's Av., London, W.4. 2AA).

Apel dyr. Księgarni Polskiej w Paryżu

Otrzymałmy od dyrektora powszechnie znanej i zasłużonej polskiej placówki księgarskiej list otwarty w sprawie zagrożenia jej dalszej egzystencji. List ten ze względu na wagę sprawy podajemy do publicznej wiadomości:

Na skutek ogólnego kryzysu gospodarczego, ogromnego wzrostu kosztów

handlowych i dotkliwego pogorszenia koniunktury na rynku księgarskim — nie tylko francuskim ale i polskim — Księgarnia Polska w Paryżu znalazła się w poważnych trudnościach.

Celem opanowania zawczasu powstałych trudności podjęliśmy we własnym zakresie — mimo braku środków finansowych — znaczne rozszerzenie działalności handlowej Księgarni przez zwiększenie asortymentu wydawnictw francuskich i uzupełnienie poloników w języku francuskim, przez rozwinięcie obsługi francuskich i zagranicznych instytucji naukowych oraz przez wprowadzenie innych artykułów, oprócz książek i płyt, a mianowicie: polskich afiszów, znaczków pocztowych i klaserów, kart pocztowych, wszelkiego rodzaju papeterii, oraz różnych artykułów przemysłu ludowego.

Jednakże bez współdziałania szerokich kół społeczeństwa polskiego i naszych francuskich przyjaciół nie podołamy zadaniu.

O to współdziałanie stanowczo dziś apelujemy.

Nie chcemy jałmużny, nie prosimy o datki czy składki. Oczekujemy jedynie poważnego zwiększenia liczby stałych klientów naszej Księgarni — nie tylko na książki polskie, ale również na książki francuskie, a także na inne artykuły przez nas prowadzone.

Apel nasz kierujemy oczywiście do tych, którym nie wystarcza telewizja i gazeta, którzy kupują i czytają książki. Do nich zwracamy się z wezwaniem: *kupujcie książki w Księgarni Polskiej — osobiście, telefonicznie czy listownie*. Na pewno będziecie obsłużeni nie gorzej niż gdzie indziej, a ponadto uzyskacie szereg usług dodatkowych.

By usprawnić jak najdalej obsługę klientów i zwiększyć atrakcyjność naszej placówki księgarskiej, postanowiliśmy powołać do życia — wzorem modnych dziś instytucji klubowych — KLUB PRZYJACIÓŁ KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU.

Klub ten działać będzie na następujących zasadach:

1. Członkiem Klubu może być każda osoba, która zgłosi swój udział pisemnie lub ustnie.

2. Jedynym obowiązkiem członka Klubu jest kupowanie co miesiąc książek (ewentualnie innych artykułów prowadzonych przez Księgarnię) na sumę co najmniej 30 F. Niewykonanie tego obowiązku — mimo przypomnienia — powoduje skreślenie z listy członków Klubu.

3. W zamian każdy członek Klubu ma zapewnione następujące korzyści:

- a) rabat w wysokości 15 % od ceny nominalnej dokonanego zakupu,
- b) biuletyn kwartalny podający najważniejsze nowości francuskie (i polonika) oraz polskie, wydane w kraju i w państwach Europy Zachodniej,
- c) pomoc w zbieraniu informacji bibliograficznych,
- d) możliwość zamawiania wydawnictw w innych dziedzinach poza literaturą ogólną (w tych wypadkach bez rabatu),
- e) oferty na sprzedaż okazyjne po bardzo niskich cenach.

4. Wszyscy członkowie Klubu otrzymują z końcem każdego roku premię w postaci książki o wartości zależnej od wysokości dokonanych zakupów.

5. Premie książkowe są udzielane również za każdego nowego członka pozyskanego dla Klubu. Wprowadzanie do Klubu nowych przyjaciół Księgarni powinno być zadaniem wszystkich jego członków.

6. Nazwiska osób zapisujących się do Klubu są ogłaszane w prasie polskiej w formie wykazu protektorów Księgarni Polskiej w Paryżu.

Ufamy, że niniejszy apel o poparcie Księgarni na zasadzie obopólnego interesu znajdzie należyte zrozumienie wśród polskich i francuskich czytelników książek i przyniesie rezultaty, które umożliwią dalszą egzystencję tej placówki, której zniknięcie byłoby wielką stratą dla polskiej społeczności we Francji.

Józef JAKUBOWSKI
dyrektor Księgarni

Polemiki

Uniwersalizm i zaściankowość

Nie bardzo mnie zachwyca podwójne odkrycie Jeleńskiego¹ i Chwina², którzy wywodzą, że „Transatlantyk” Gombrowicza jest wzorowany na „Panu Tadeuszu” i stanowi zarazem jego zaprzeczenie. Idea ta mogła się była zrodzić w głowie Gombrowicza po przeczytaniu „Doktora Faustusa” Manna, gdzie Adrian Leverkühn powiada w pewnym miejscu, że chce „odebrać” ludzkości Dziewiątą Beethovena. Odebrać ludzkości a odebrać Pola-kom to nie to samo, także i dlatego, że „Pana Tadeusza” ze względu na partykularyzm poematu odebrać ludzkości nie sposób: nie można odebrać komuś czegoś, czego nie posiada. Odkrycie to — czy raczej wysunięcie go na pierwszy plan argumentacji — pomniejsza wręcz Gombrowicza; z uniwersalizmu wtrąca go z powrotem do polskiego zaścianka; nie bardzo rozumiem, po co ta cała manipulacja, skoro „Transatlantyk” znakomicie się bez Mickiewiczowskich paraleli i paranteli w świecie ostawa. Włoch, Francuz, Niemiec, Hiszpan, gdyby go ucześnie tym odkryciem, wzruszyłyby ramionami i po przeczytaniu „Transatlantyku” po „Pana Tadeusza” by nie sięgnął.

Drugie. Każdy, jako tako obznajomiony z techniką badań porównawczych wie, że tego rodzaju analogii w literaturze współczesnej znaleźć można wiele. Odniesieniem dla „Ulissesa” Joyce’a i „Śmierci Wergilego” Brocha jest „Odyseja”. Ale to dzieje się w wymiarach uniwersalnych, bo Homer jest uniwersalny. Zaś „największy polski poeta” uniwersalny nie był, ba, jest dla większości nie-Polaków zakalcowato nieczytelny. W dziejach naszej literatury (nie mówię o wieku dwudziestym) mieliśmy dwóch pisarzy uniwersalnych, obu poetów: Kochanowskiego i Norwida. Głupstwa, jakie wypisywał o Kochanowskim Chrzanowski („poeta niewysokiego lotu”), o Norwidzie zaś Pini, wyrzuciły wiele szkód: ani sami nie potrafiliśmy sobie tych dwóch poetów należycie przyswoić, ani ich obcym oferować. Poetów miary co naj-

1. *Kultura* nr 5/344.

2. „Pamiętnik Literacki” z kwietnia 1975.

mniej Petrarki, Hölderlina czy Baudelaire'a nikt na świecie nie zna. I nie ma co biadać nad małym zasięgiem języka polskiego — norweski ma też mały zasięg, ale Ibsena wszyscy znają; biadać należy chyba nad złym rozeznaniem spraw własnych.

Porównajmy. I Kochanowski, i Mickiewicz bluźnili. Ale Kochanowski czynił to w „Trenach” z filozoficznym dystansem i artystyczną powściągliwością („Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości”), powiadając, że można wątpić w nieśmiertelność duszy. To sprawa wielopłaszczyznowa i uniwersalna. Mickiewicz w „Dziadach” woła niesformnie: „Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale... Carem!”. A to już zaściankowość, nadto jednopłaszczyznowa, bowiem car (i sprawa polska) uniwersalnymi w sensie duchowym być nie mogą; już raczej Herod by tu pasował, jeśli w ogóle cała ta koncepcja ma jakąkolwiek nośność. Ale różnice mają jeszcze inny wymiar. Kochanowski użył bluźnierstwa jako środka wyrazu w punkcie kulminacyjnym poematu, z tekstu bynajmniej nie wynika, czy on sam miał wątpliwości w sprawie nieśmiertelności duszy, czy nie. Mickiewicz natomiast chciał po prostu Bogu i carowi zarazem nawymyślać — no i nawymyślał, no i co z tego, skoro się za tym żadna filozofia nie kryje.

Z powrotem do Gombrowicza. Zamysłem (jednym z zamysłów) Gombrowicza przy pisaniu „Transatlantyku” było oczywiście rozprawienie się z „Panem Tadeuszem”. A jeśli tak, to wynik ogólny przewyższa o wiele ten zamysł. „Transatlantyk” oderwał się od „Pana Tadeusza” i żyje, nie tylko w obszarze duchowym języka polskiego, życiem własnym. Wszedł w obieg kultury języków europejskich bez balastu swego pierwowzoru; a wszedł dlatego właśnie, że ten balast zrzucił.

Gombrowicz jest w pierwszej mierze dlatego uniwersalny, ponieważ centralnym dla niego zagadnieniem jest uniwersalny dylemat relacji podmiot — przedmiot. Zajął, jak się to artyście godzi, stanowisko skrajne: opowiedział się za subiektywizmem, w nim bowiem widział gwarancję wolności, a więc i godności. I nie chodzi o to, czy miał rację w odwiecznym sporze filozoficznym (artysta miewa poglądy nie po to, żeby mieć rację, ale po to, żeby mieć poglądy); chodzi o to, że przez zajęcie postawy skrajnej uwydatnił w swoim pisarstwie zarys swej osobowości. Egocentryzm zresztą, wręcz egoizm tej osobowości artystycznej wychodzą jaskrawo na jaw w berlińskich partiach jego „Dziennika” i w ostatnich, przedśmiertnych zapiskach. Cytat: „Gdziekolwiek świat staje mi na drodze — a staje mi on wszędzie na drodze — tam go pochłaniam, aby zaspokoić głód mego egoizmu”. To zdanie zostało napisane w Berlinie, ale nie przez Gombrowicza i nie w dwudziestym, lecz w dziewiętnastym stuleciu; można sobie wyobrazić, że napisał je Gombrowicz; w rzeczywistości napisał je Max Stirner, przedstawiciel anarchizmu egoistycznego; w jego postawie podmiot został (psychologicznie) zabso-lutyzowany.

Tu właśnie dotykamy jednego z najistotniejszych punktów „sprawy Gombrowicza”. Nie chcę przez to powiedzieć, że Gombrowicz był wyznawcą Stirnera albo że był pod jego wpływem. Nie to jest ważne. Ważne są — przy całym pokrewieństwie postaw — różnice postaw i następstwa tych różnic. Stirner był anarchicznym egoistą (czy egoistycznym anarchistą) totalnym, nie uznającym żadnych praw i autorytetów oprócz prawa i autorytetu własnej woli, a nawet zachcianki, a nawet wygodnictwa; a znaczy to, że był całkowicie amoralny. Cytowane wyżej zdanie w ustach Stirnera rozumieć należy tak, że Stirner świat stający mu na drodze pochłania li-tylko we własnym interesie; nic do tego innym. Gdyby słowa te włożyć w usta Gombrowicza i ułożyć z innymi jego sądami w zborną całość, wyłożyć by się je dało być może tak: „Wchłaniam stający mi na drodze świat po to, aby go w sobie przerobić wedle mej woli i zachcianki, przekształcić go na moją modłę i tak przekształcony pokazać innym; zaspakajam głód mego egoizmu, aby z obcego mi chaosu uczynić kosmos, będący moim produktem i własnością”. Egoizm, anarchizm, skrajny subiektywizm Gombrowicza jest więc, choć brzmi to paradoksalnie, społeczny; jest zaś społeczny, ponieważ jest artystyczny, twórczy, dający temu pochłanianemu światu nowe wartości. U Gombrowicza egoistyczny anarchizm został ograniczony do jednej tylko dziedziny, do pisarstwa. Stał się przez to elementem organizacji; konstrukcji, nie destrukcji.

O co mi chodzi? — O to przede wszystkim, żebyśmy badając twórczość pisarza polskiego i zastanawiając się nad literaturą polską nauczyli się wreszcie rozróżniać to, co pierwowzoplanowe od tego, co drugoplanowe; to, co uniwersalne, od tego, co partykularne. Ponad sto lat marnowaliśmy nasze wysiłki, aby przekonać Europę, że Mickiewicz to wielki poeta i nic z tego nie wyszło. Gdybyśmy choć połowę tych sił zużyli na to, aby wprowadzić Kochanowskiego w obieg kultury europejskiej, opłaciłoby się to nam z nawiązką. Jeśli teraz zaczniemy wmawiać nie Polakom że Gombrowicz napisał „Anty-Pana Tadeusza”, to wyrządzimy pisarzowi niedźwiedzią przysługę — obojętnie, jaki był jego zamysł. Przysługę: rzeczywiście jest prawdą, że Gombrowicz rozprawiał się z Mickiewiczem, ale prawdą jest również, że to rozprawianie się było tylko środkiem, nie celem. Celem było dla Gombrowicza wyprowadzenie kultury polskiej z tej zaściankowości, w którą ją Mickiewicz był wprowadził.

Kiedy dwa lata temu ukazał się — z czterdziestoletnim opóźnieniem — Schulz po francusku, krytyka francuska zestawiała go ze Swiftem i Mellvillem, co dało twórczości Schulza wielki i ogólnoludzki wymiar. Aż wzdrygam się na myśl o tym, że ktoś z Polaków mógłby do jakiegoś czasopisma francuskiego napisać artykuł, zachwalający Schulza jako anty-Zeromskiego: byłaby to katastrofa. W tym duchu ostrzegam, aby wielbiciele Gombrowicza nie zachwalali go obcym czytelnikom jako anty-Mickiewicza; już raczej zostawmy go sobą samym.

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 3-ci rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1976 — 10 numerów (tom 3-ci) — wynosi dol. 8,50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumeratorka, który wpłaci dol. 23,50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1976 i 1977 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przesyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Książki

Marksizm, Kołakowski i zastrzeżenia

Nabokow określił marksizm jako produkt zatwardzenia i bezsenności pewnego burżuazja w spodniach w kratkę, nie zasługujący ani na chwilę poważnej refleksji. Mimo przesady tej definicji faktem jest, że Himalaje literatury, którą ta doktryna obrosła są raczej odbiciem jej konsekwencji politycznych w świecie, niż jej głębi intelektualnej. Marksowi udało się zrealizować tylko część swego programu: nie objaśnił świata, ale go zmienił. Jest to osiągnięcie nie tyle filozoficzne, co pragmatyczne, a jego źródłem jest wyjątkowo bogaty ładunek demagogii, zawartej w mglistej doktrynie trewirskiego gwałtownika. Z tego punktu widzenia najbardziej użytecznym i interesującym podejściem wobec marksizmu wydawać by się mogła analiza tego ładunku, dokonana na zimno i w atmosferze możliwie wolnej od oparów heglizmu. Książka Kołakowskiego* nie całkiem odpowiada temu wymarzonemu — przede mną przynajmniej — ideałowi.

„Główne nurty marksizmu”, tom pierwszy, są pierwszą częścią zapowiedzianej w podtytule trylogii „Powstanie — Rozwój — Rozkład” i poświęcone są analizie filozofii Marksa (Engels pozostaje raczej w tle) w układzie z zamierzenia podręcznikowym, choć z uwagi na głębię i zakres sondażu można tu raczej mówić o monografii. 16 rozdziałów książki układa się wzdłuż linii: historia idei, które wpłynęły na marksowski obraz świata (Plotyn, mistyka niemiecka, Kant, Fichte, Hegel), a następnie rodzaj biografii intelektualnej Marksa, koncentrującej się wokół jego najważniejszych prac; głównymi punktami orientacyjnymi wykładu są zagadnienia czy też terminy-klucze, takie jak alienacja (rozd. VI), wartość dodatkowa (rozd. XII) i „prawa historyczne” (rozd. XIII). Kołakowski przedstawia poglądy Marksa lojalnie, choć nie bezkrytycznie; dla urzędowych marksistów książka stanowić będzie niewątpliwie *horrendum* rewizjonizmu czy nawet

* Leszek Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, Instytut Literacki, Paryż, 1976, str. 432.

„likwidatorstwa”, ponieważ autor monografii w sumie uważa system Marksa za utopię, na którą składają się trzy pierwiastki: romantyczny (marzenie o zniesieniu wszelkich barier — „mediacji” według terminologii Kołakowskiego — pomiędzy jednostką a społeczeństwem), prometejski (wiara w boską nieomal wszechmoc człowieka) oraz racjonalistyczny w sensie XIX-wiecznym („prawa” rządzące społeczeństwem, etapy rozwoju historycznego, etc.). Książka pisana jest z rewerencją — nadmierną moim zdaniem — wobec doktryny i jej twórcy, ale Kołakowski nie uchyla się od pytania, jaka jest droga od marksizmu do Gułagu i przyznaje, że pewne ścieżki od początku w tym kierunku wieść mogły, choć nie musiały.

Książka Kołakowskiego jest ważną pozycją, zasługującą na kompetentne i obszernie omówienia i z pewnością będzie ich miała wiele; co do mnie, ograniczę się do kilku uwag na temat ogólnego wrażenia, jakie na mnie zrobiła. Jak każdy Polak z Polski przez wiele lat byłem przymusowym konsumentem marksizmu i mam na tym punkcie lekki uraz, którego nie usiłuję sztucznie tłumić — niemniej uważam, że główną winą Marksa jest nie to, iż jego system mógł posłużyć za uzasadnienie Gułagu (każdy system metafizyczny można do tego przykroić), lecz to, iż był i jest siewcą heglizmu, tzn. chaosu myślowego o pozorach ładu. Schopenhauer powiedział kiedyś: „Gdybym był nieuczciwym nauczycielem, który chce zdeprawować umysł powierzonego mi ucznia raz na zawsze, kazałbym mu przez rok czytać Hegla”. Sądzę, że miał najzupełniejszą rację i upadek filozoficzny Francji (mania strukturalizmu *y compris*) jest tego bezpośrednim dowodem; na skutek różnych przyczyn — m.in. ciągłotek marksistowskich — heglizm poczynił w tym niegdyś racjonalnym kraju straszliwe spustoszenia. Innymi słowy, uważam że utrzymywanie przy życiu — jako *living issue* — doktryny Marksa jest utrzymywaniem przy życiu heglizmu, który dla mózgu jest tym czym piasek dla skrzynki biegów.

Powiem od razu, że książka Kołakowskiego — mimo „rewizjonizmu” i krytyki doktryny — pozostawia z Marksa za dużo co marksistowskie. Marks pozostaje w pamięci czytelnika jako Dobry Mit z krytycznym komentarzem — czyli pozostaje marksizm jako doktryna nadająca się do życia po odpowiednich reinterpretacjach. Pokażę to na trzech przykładach.

W rozdziale XIII, 6 Kołakowski omawia kluczowe dla marksizmu pojęcie „wyzysku”. W myśl teorii Marksa zysk kapitalisty pochodzi stąd, że przywłaszcza on sobie różnicę pomiędzy tym, co płaci robotnikowi za pracę, a wartością wytworzonego za pomocą tej pracy produktu. Pojęcie *Ausbeutung* — demagogiczne zabarwienie terminów jest charakterystyczne dla tej doktryny — wiąże się ściśle z marksistowską teorią „wartości” (przejętą od Ricarda), według której jakość ta jest równą ilości włożonej w dany produkt pracy. Teoria ta prowadzi do absurdów takich jak ten, że np. ziemia w ogóle nie ma wartości i Marks musiał wprowadzać szereg pojęć dodatkowych — przypominających

system epicykli w teorii Ptolomeusza — żeby uzgodnić jako taką swą teorię z rzeczywistością. Kołakowski zwraca uwagę na błędność — a w każdym razie niemierzalność — pojęcia wartości tak ujętej, podkreśla też, że „prawo absolutnej pauperyzacji” proletariatu nie istnieje, ale gotów jest utrzymać związane z tymi obalonymi koncepcjami pojęcie wyzysku: „Wyzysk polega na tym — czytamy na str. 339 — że społeczeństwo nie sprawuje kontroli nad przeznaczeniem i rozdziałem produktu dodatkowego [też termin marksistowski, M.B.], że rozdział ten dokonuje się wedle upodobania ludzi, którzy mają monopol decydowania o zastosowaniu środków produkcji”.

Jest faktem, że sytuacje takie istnieją, ale trwale utrzymują się one jedynie na gruncie politycznym (*exemplum* kraje „socjalistyczne”), czyli tam właśnie, gdzie prawa ekonomiczne można zastąpić karabinami maszynowymi. Rozumiem, że reinterpretacja Kołakowskiego pozwala na krytykę ustrojów pseudosocjalistycznych w terminach marksistowskich — ale po co? Chyba jedynie po to, by móc odwołać się do autorytetu Marksa, czyli go utwierdzić. A właśnie to marksizm skutecznie zamazuje różnice pomiędzy dwoma różnymi dziedzinami życia: między stosunkami ekonomicznymi czyli automatem w rękawiczkach, a stosunkami politycznymi, czyli czystą samowolą, łącząc je w jedną heglowską kupę, wobec której zdrowy rozsądek ludzki popada w kompleksy.

Podobne zastrzeżenie podnoszę wobec rewerencji, z jaką Kołakowski odnosi się do pojęcia „alienacji”. Ten mglisty termin (u Marksa na przemian *Entäusserung* i *Entfremdung*, oba o zabarwieniu negatywnym) oznacza właściwie wszystko, co dzieje się z człowiekiem w społeczeństwie, które przestało — chwala Bogu — opierać się na modelu rodziny. Kołakowski słusznie podkreśla, że wszelkie próby zniesienia zjawisk alienacyjnych (anonimowej produkcji, specjalizacji zawodowej, rozdziału życia prywatnego od publicznego) prowadzą do totalitaryzmu, czy też: dają się zrealizować jedynie w ustroju totalitarnym. Jest to oczywiste, ponieważ totalitaryzm jest właśnie próbą powrotu do „jednej wielkiej rodziny” (z Wielkim Bratem na czele). Mimo tych nieomyślnych skojarzeń Kołakowski szeroko traktuje o alienacji jako o czymś realnym i domagającym się uwzględnienia, czyli znów: utrzymuje przy życiu szkodliwą abstrakcję.

Ujmując rzecz po prostaku wydaje mi się, że pojęcie alienacji jest eleganckim sformułowaniem niechęci do wszelkiego przymusu, szczególnie zaś pracy zarobkowej. Z cytowanych u Kołakowskiego fragmentów Marksa na ten temat (por. np. str. 291) wyraźnie bije przerażenie móla książkowego na myśl, że zamiast tarzać się dowoli w lekturze ulubionych autorów lub pisać przynoszące rozgłos *Grundriss*'y mógłby znaleźć się w sytuacji, w której musiałby stanąć przy maszynie lub stemplować znaczki na poczcie. Jako mól książkowy sam rozumiejąc tę niechęć znakomicie, niemniej czynienie z niej grzechu pierworodnego świata i marzenia na serio o „Królestwie Wolności” (vide *Kapitał*, t. III) uważam za dziecinne. Nie jest rzeczą przypadku, że „alienacja”

jest zmorą typowo inteligentką i w pracach marksistowskich pojawia się dopiero na poziomie *nur für Intellektuelle*, zwłaszcza ze sfer dobrze sytuowanych.

Przyczepię się do jeszcze jednego pojęcia, a raczej do niezdemolowania-go przez Kołakowskiego. Chodzi mi o „świadomość”, a szczególnie „świadomość klasową”. Marks przejął od Hegla dziwaczną koncepcję, że świat i myślenie o świecie są czymś w gruncie rzeczy tym samym. U źródeł tego poglądu tkwi ciągnące się od Arystotelesa przeświadczenie, że poznać można tylko to, co posiada tę samą „naturę” co osoba poznającego, czyli że między podmiotem i przedmiotem istnieje ścisła, niemal materialna więź. W niemieckiej filozofii przesąd ten utrwalił się przez żonglowanie słowami *Sein* i *Bewusstsein*, szczególnie przez Hegla. Połączenie procesu fizycznego i działalności symbolicznej w jedną kupę było akurat czymś w jego guście i nawet miało swoją logikę, ponieważ Hegel uważał materię i świadomość za dwie realizacje tego samego substratu, mianowicie Ducha, u Marksa jednak — po sławetnym przestawieniu Hegla „z głowy na nogi” — substratem stała się Materia i świadomość zeszyła do roli echa, towarzyszącego zmianom w świecie materialnym *ex post*. Doprowadziło to do sprzeczności w samej doktrynie: z jednej strony bowiem świat rozwija się automatycznie pod wpływem immanentnych „praw”, z drugiej jednak potrzebna jest świadoma — czyli zaplanowana na wyrost — akcja, żeby „prawa” te mogły działać (czyli nie są prawami). Ponieważ jednak „byt określa świadomość”, nie wiadomo skąd ma się wziąć owa świadomość, wyprzedzająca zmiany bytu.

Drobnym przykładem tej niekonsekwencji jest sam system Marksa, który powstał w świadomości nieproletariusza, co nie jest zgodne z doktryną, głoszącą rodzaj rasizmu ekonomicznego (jedynie klasa historycznie przodująca może zbliżyć się do „prawdziwej prawdy”). Jak każdy prorok, Marks zaplątał się w sprzeczność pomiędzy determinizmem (*tak będzie, bo tak być musi*) a woluntaryzmem (*tak trzeba postępować, żeby było jak być powinno*) i jego wypowiedzi na ten temat graniczą ze schizofrenią. Kołakowski towarzyszy temu z miną człowieka rozumiejącego o co chodzi, dorzucając tu i ówdzie enigmatyczne komentarze, które sprawy nie rozjaśniają. Por. str. 309:

„... Marks... nie wnosił... wcale, że klasa robotnicza może po prostu oczekiwać ostatecznego sukcesu niczym daru, który jej wręczy sama historia. Przeciwnie, świadomość polityczna, przygotowana przez walkę ekonomiczną, jest nieodzownym warunkiem zwycięstwa: same 'prawa ekonomiczne' zapewniają możliwość tego zwycięstwa, ale ruch politycznej inicjatywy jest obok nich drugim samodzielnym czynnikiem procesu dziejowego. Spotykamy tu, w bardziej uszczegółowionej postaci, ten sam motyw, który obecny jest u Marksa od najwcześniejszych tekstów: w świadomości klasowej proletariatu konieczność historyczna zbiega się z wolnością działania, przeciwieństwo między wolą ludzką i biegiem 'obiektywnego' procesu przestaje istnieć, dylemat utopizmu i fatalizmu zostaje rozwiązany”.

Ja wiem, że wszystkie cytaty są zawsze „wyrwane z kontekstu”

ale wydaje mi się że powyższy jest dostatecznie obszerny, by zawierał samodzielną treść czy wyjaśnienie wspomnianej wyżej sprzeczności. Moim zdaniem niczego takiego nie zawiera, natomiast jest doskonałym *exemplum* — szczególnie ostatnie zdanie — tego, co nazywam zgubnym wpływem heglizmu.

Język ludzki przypomina grę w szachy w tym sensie, że pojęcia mają swoje miejsca w systemie i miejsc tych nie wolno zmieniać, tak jak pionowi nie wolno bić do tyłu. „Konieczność” i „wolność” są w normalnym życiu przeciwstawne i nie mogą się „zbiegać”, zwłaszcza w „świadomości klasowej proletariatu”, która jest bytem co najmniej podejrzanym. O ile zacytowane zdanie jest dla Kołakowskiego znaczące, to dla mnie znaczy, że używa on innych reguł gry i domaga się od czytelnika — nie formułując ich *explicite* — akceptacji w ciemno, pozostawiając mu jedynie nadzieję, że przez dłuższe użycie się wciągnie i wytworzy podwójny system języka, w którym sprzeczność raz będzie sprzecznością, innym razem zaś nie. Przypuszczam, że to ostatnie właśnie miał na myśli Schopenhauer, mówiąc o deprawowaniu umysłów, a także Orwell, konstruuujący swoje pojęcie *double-think*'u bez znajomości „dialektyki”.

Nie przypisuję oczywiście Kołakowskiemu żadnych ciemnych intencji, chcę jedynie zwrócić uwagę czytelnika na to, że autor „Nurtów” albo nie pozbył się jeszcze nawyków myślenia marksistowsko-heglowskiego, albo przyswoił je sobie na nowo z lojalności wobec przedmiotu studium. Tak czy owak w pewnych miejscach książki czytelnik posługujący się logiką dwuwartościową natknie się na trudności, przypominające żywcem „trudności” dogmatu Trójcy Przenajświętszej. Tak na przykład w podsumowaniu (str. 426) Kołakowski powraca do poruszonej kwestii determinizm vs. woluntaryzm i powtarza: „Z punktu widzenia sensu, jaki (Marks)... nadawał własnemu dziełu pytania 'czy był deterministą czy woluntarystą?', 'czy wierzył w prawa dziejowe czy w wartość ludzkiej inicjatywy?' — nie mają sensu”. Zdanie to implikuje, że Kołakowski ten sens rozumie; twierdzą, że — w najlepszym razie — nie zawsze potrafił go przekazać przeciętnemu czytelnikowi, za jakiego się uważam.

M. BROŃSKI

“ Stronnictwo Ludowe w latach 1939-1945 ”

Książka Romana Buczka o ruchu ludowym w latach drugiej wojny światowej jest rozprawą doktorską pisaną na emigracji,

* Roman Buczek, Londyn 1975, wyd. *Jutro Polski*, str. 504, summary, bibl.

w czasie pobytu w Szwecji i Anglii. Kierownikiem naukowym pracy był prof. dr Marian Kukiel. Badania nad historią II-jej wojny światowej są w ogóle trudne, jednak szczególne trudności napotykają badacze dziejów ruchów konspiracyjnych tego okresu — warunki nielegalne powodowały, że wiele spraw ważnych z punktu widzenia badacza nigdy nie zostało utrwalonych na papierze a wiele dokumentów zostało zniszczonych. Ocalała dokumentacja znajdująca się w kraju też nie jest dostępna dla badacza będącego emigrantem politycznym i działaczem Stronnictwa Ludowego, jak to jest w przypadku dra Buczka. Można w tych warunkach postawić wręcz pytanie, jaka jest możliwość wywiązania się z podjętego tematu i napisania pracy, spełniającej naukowe wymagania.

Wyprzedzając analizę należy stwierdzić, że autor wyszedł obronną ręką z piętrzących się przed nim trudności i napisał pracę nie tylko naukową ale i rewidującą wiele zakorzenionych już nieścisłości i wręcz kłamstw, produkowanych przez zastęp pisarzy dostosowujących przeszłość do potrzeb indoktrynacyjnych. Niemożliwość dostępu do materiałów archiwalnych w kraju dr Buczek zrekompensował poprzez wykorzystanie materiałów znajdujących się w zbiorach emigracyjnych w Anglii i w USA. Na szczególne uznanie zasługuje wytrwałość autora w zbieraniu relacji i informacji od uczestników i świadków wydarzeń historycznych. Każdy czytelnik tej pracy prawdopodobnie również dostrzeże dużą rolę jaką odegrała tzw. wiedza pozaźródłowa autora, jego osobista orientacja w szczególnie skomplikowanych problemach polskiego ruchu ludowego. Autor nie jest zresztą historykiem bezstronnym, przeciwnie, jest namiętnie zaangażowany w obronę racji ruchu, którego historię pisze i niejednokrotnie zajmuje stanowisko stronnictwa, co zresztą jest nieuchronne przy tak namiętnym stosunku do przeszłości.

Powstaje oczywiście pytanie, na ile osobiste zaangażowanie godzi się z potrzebą naukowej bezstronności. Jest to problem, z którym borykają się wszyscy historycy dziejów najnowszych. Niektórzy starają się go rozwiązać tonując lub ukrywając swoje sympatie i antypatie. Dr Buczek poszedł innymi torami, podając materiał stron „przeciwstawnych” i w ten sposób pozwalając czytelnikowi na wyciągnięcie własnych wniosków.

Praca składa się z siedmiu rozdziałów, zakończenia, streszczenia w języku angielskim, aneksów materiałowych, wykazu wykorzystanych zespołów archiwalnych, bibliografii oraz indeksu osobowego.

Pierwszy rozdział traktuje o „organizacji Stronnictwa Ludowego w czasie wojny”. Wybuch wojny przerwał niemal wszelką działalność Stronnictwa, krótko jednak po Klęsce Wrześniowej następuje jego odbudowa. Na uwagę zasługuje opis działalności na terenach zajętych przez Związek Sowiecki. Czytelnik znajdzie w tym rozdziale obfity materiał o organizatorach podziemnego Stronnictwa, o tragicznych losach działaczy, o rozmachu prac organizacyjnych, o pracach programowych, o prasie ludowej

w okresie wojny. Ale dr Buczek pisze również o wewnętrznych tarciach w Stronnictwie, wynikających — częściej niż z różnic programowych — z ambicji prywatnych znajdujących, niestety, podłoże w nienajlepszych tradycjach ruchu ludowego, pisze o bohaterstwie jednych, ale nie ukrywa i tchórzostwa innych.

Autor raczej relacjonuje i zestawia, unikając zasadniczej analizy, czasami jednak nie może oprzeć się refleksji, np. wówczas, gdy stwierdza, że „zarówno pod okupacją niemiecką jak i sowiecką dawne linie podziału politycznego i społecznego straciły swój dotychczasowy sens” (str. 18). A przecież podziemne życie polityczne i w kraju i na emigracji toczyło się według zadawnionych linii podziału, samo odbudowanie SL było tego dowodem. Powstaje wobec tego pytanie, co powodowało ten stan rzeczy? O ile dobrze zrozumiałem wypowiedzianą między wierszami myśl autora, to zastanawia się on, czy stary wzorzec partyjny zdawał egzamin w specjalnych warunkach wojny i okupacji.

Zaskakuje czytelnika — niezgodna z wyrażoną poprzednio — ocena autora, że w 1943 roku „na wszystkich odcinkach działalności stronnictwa (panuje) rozgardiasz i chaos” (str. 71) — ten drastyczny problem, w moim przynajmniej odczuciu nie został wyjaśniony.

Rozdział drugi mówi o Batalionach Chłopskich. Na ich temat istnieje obfita literatura krajowa, ale autor jest do niej ustosunkowany krytycznie — gdyż pomija ona zupełnie „stosunek BCh do PPR i Gwardii Ludowej, a jeżeli się o tym pisze, to tylko o wypadkach współdziałania, co jak wiadomo należało raczej do rzadkości. Pomija też całkowicie zasługi oddziałów BCh w zwalczaniu band komunistycznych na wsi, przy ochronie lasów przed dewastacyjnym wyrębem, upowszechnieniu oświaty, czytelnictwa itd.” (str. 7-8). Można było oczekiwać, że problemy te zostaną podjęte przez autora „Stronnictwa Ludowego...”. Tak się jednak nie stało. Skomplikowane zagadnienia stosunków między PPR a BCh, nadal czekają na kompetentne oświetlenie, którego nie zastąpią okolicznościowe stwierdzenia jak na str. 140 i 169.

Mimo to rozdział ten jest bardzo ciekawy i wartościowy. Zdaniem autora, wobec stałych a silnych obaw, iż ZWZ jest opanowany przez piśsudczyków, wszystkie stronnictwa przystąpiły do „... tworzenia własnych jednostek zbrojnych, pomyślanych jako siła przeciwstawna nie tylko dla okupanta ale również jako przeciwwaga dla ZWZ” (str. 118-119). Taka była również geneza oddziałów militarnych ruchu ludowego. O roli Batalionów Chłopskich (używam nazwy która się ostatecznie utrwaliła w świadomości historycznej) w walce z Niemcami autor pisze niewiele. Do literatury krajowej, wyolbrzymiającej działalność wojskową, autor zgłasza zastrzeżenia, rozumiałe dla każdego kto zna sposób w jaki powstają źródła *ex post* i okupacyjne legendy (str. 109). Możliwości weryfikacji wyolbrzymionych przekazów są w ogóle niewielkie a na emigracji wręcz iluzoryczne. W tej sytuacji Buczek skoncentrował swą uwagę na tarciach między Batalionami Chłopskimi a Armią Krajową. Literatura pasjonująca choć i nieco

przynębiająca. Być może, że pod wpływem dostępnego materiału — co zdarza się często — zostały zwichnięte odpowiednie proporcje. Na ten temat winni się wypowiedzieć kompetentni działacze podziemia. Autor przeważnie staje po stronie BCH., choć dostrzega przerosty partykularyzmu działaczy ludowych (por. str. 146-147 oraz ocenę na str. 169).

Rozdział trzeci omawia „udział Stronnictwa Ludowego w Politycznym Komitecie Porozumiewawczym i w Delegaturze Rządu”. Wychodzi tu poza nakreślone ramy i daje związać, choć operującą obszernym materiałem faktycznym, historię kształtowania się politycznych władz podziemia. Jest to chyba rozdział najlepiej napisany, gdyż w problematyce politycznej temperament autora znajduje najpełniejsze zastosowanie. Buczek dochodzi do wniosku, że „poważne traktowanie przez Stronnictwo Ludowe zasady koalicyjności i jedności stwarzało podstawy do prowadzenia własnej niezależnej polityki a wobec ciągłej fluktuacji polityczno-organizacyjnej innych ugrupowań w Polsce, liczone się z możliwością stworzenia stałego i decydującego ośrodka myśli politycznej w kraju” (str. 204). Następnie dowodzi, że: „... Stronnictwo Ludowe było w rzeczywistości w 1942 roku i jeszcze w roku 1943 ośrodkiem centralnym prac rządowych i politycznych w kraju. Jest bardzo znamienne, że bez własnego zaangażowania stawało się mediatorem dla innych ugrupowań politycznych” (str. 240) — zdaniem autora — czynnikiem zapobiegającym dekompozycji polskiego państwa podziemnego.

Polityka SL była dość skomplikowana, nie odrzucająca skrętów ani na prawo ani na lewo. Autor wypowiada się jednak za sojuszem lewicowym: „Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tylko konsekwentne realizowanie programu w oparciu o PPS mogło zapewnić Stronnictwu Ludowemu potrzebną siłę” (tamże). Współpraca SL i PPS nie wyszła jednak poza sferę ogólnych stwierdzeń, co zdaniem autora obciąża głównie PPS.

W czasie okupacji wszystkie polskie stronnictwa polityczne żyły podwójnym życiem — jednym, konspiracyjnym na terenie kraju, drugim, jawnym w emigracji. Problemem SL na emigracji poświęcone są rozdziały IV i V, poruszające stosunek SL do rządu gen. Sikorskiego i rolę tego stronnictwa w okresie gdy na czele emigracyjnego Rządu stał przywódca SL.

Jednym z centralnych problemów polskiej polityki rządowej był stosunek do Związku Sowieckiego i jego działań politycznych. Autor krytykuje politykę Mikołajczyka, uważając, że jego postępowanie „... świadczyło dobitnie o zupełnej nieznanomości Rosji” (str. 338) i ten wniosek popiera staranną analizą. Zwróćmy również uwagę, że konsekwentny w swej ocenie interesów ruchu ludowego Buczek jest również krytyczny wobec prawicowej orientacji Mikołajczyka i londyńskich działaczy ludowych. Wiem, że są to problemy ciągle jeszcze aktualne w emigracyjnych i krajowych dyskusjach, tworzące po dzień dzisiejszy linie podziału wśród polityków starszej daty, wiernych swym poglądom partyjnym. Osobiście sądzę, iż aczkolwiek oceny Buczka są trafne, to

możliwości „właściwej” polityki rzeczniczy polskiej racji stanu nie mieli. W ówczesnym układzie sił międzynarodowych Polska nie była podmiotem lecz przedmiotem polityki między państwowej, nie mającym możliwości ani przeciwstawić się zaborczości Związku Sowieckiego ani nawet jej zahamować. A do tego sprostawały się rozbieżności polskiej dyplomacji.

Rozdział szósty, o stosunku SL do PPR i Rosji Sowieckiej, rzetelny materiałowo, budzi uczucie pewnego niedosytu. Określenie organizacji komunistycznych w Polsce jako agentury sowieckiej jest generalnie słuszne, ale jako jedyna dyrektywa metodologiczna zarówno ułatwia zrozumienie polskich dziejów jak i utrudnia. Wychodząc z tego założenia nie sposób np. zrozumieć niebagatelnych ostatecznie rozbieżności w tym obozie politycznym. Co prawda autor może uchylić ten zarzut stwierdzając, że nie pisze historii PPR lecz SL, obchodzą go więc jedynie stwierdzenia ogólne, ale nie jest to słuszne. Przy pomocy jednoznacznych ocen nie można rozwickłać wcale nie jednoznacznego układu sił społecznych w Polsce w pierwszych latach po wojnie.

Ostatni rozdział traktuje o ludowcach na Bliskim i Środkowym Wschodzie i nosi uzupełniający charakter.

W sumie otrzymaliśmy nie tylko wartościową monografię naukową ale i ważny wkład w tradycje ruchu ludowego, a szczupłemu gronu polskich historyków na emigracji przybył wykwalifikowany badacz.

Józef LEWANDOWSKI

Książki historyczne

JĘDRZEJEWICZ, Jerzy: *Zwycięstwo pokonanych*. (Opowieść o Stanisławie Worcellu). Warszawa, 1974, Pax.

„Czerwony hrabia” nie jest w dziejach polskiej myśli społecznej zjawiskiem rzadkim czy odosobnionym. Worcell jest „klasycznym” przykładem arystokraty, który dla „sprawy” przeniósł tułaczkę i rozstanie z bliskimi nad akceptację przemocy carskiej. Krwi polskiej płynęło w jego żyłach niewiele: był wnukiem hr. Wurzel v. Timmerstein z Saksonii, nobilitowanego jako „Dąb von Worcell pan de Timmerstein i de Zawadka”, co wyjaśnia lekko spolszczoną formę nazwiska ale nie oznacza polskiego tytułu hrabiowskiego, którego Stanisław Worcell niekiedy używał. Matką jego była córka bankiera warszawskiego Piotra Fergussona Teppera o szkocko-niemieckim rodowodzie.

W „Zarysie dziejów socjalizmu polskiego” Ciołkoszów Worcell określony jest jako „niestrudzony działacz i jeden z przywódców

oboju demokratycznego", który „wyrósł na wielkiego ambasadora sprawy polskiej w świecie”. Jędrzejewicz określa go jako „jedną z tych postaci, które pomimo błędów i bezpłodnych często poczynań samym swoim istnieniem podtrzymywały siłę moralną narodu”.

Punktem wyjścia działalności Worcella był jego stosunek do przyczyn upadku powstania listopadowego. Za główny powód klęski uważał obawę przed drastycznym załatwieniem sprawy ludu. Od zniesienia poddaństwa i uregulowania stosunków rolnych uzależniał powodzenie wszelkich dalszych prób powstańczych, w których potrzebę wierzył, uznając iż „widocznie szaleństwo jest tym czarodziejskim eliksirem, który utrzymuje naród przy życiu i chroni go od historycznej śmierci”.

Zgodnie z życzeniem Worcella pochowano go we wspólnej mogile z Wojciechem Daraszem, chłopem z urodzenia. „Owo spiętrzenie dwóch trumien — pisze Jędrzejewicz — miało w sobie coś symbolicznego: w jednym grobie spoczęli chłop i arystokrata. Ale zanim śmierć ich połączyła, pierwszy przestał być chłopem a drugi arystokratą”.

Jędrzejewicz oddaje na ogół wiernie ewolucję poglądów Worcella, który „coraz bliższy radykalizmowi nigdy nie stał się bezwzględny przeciwnikiem szlachty”. W długim wykazie opracowań, z których korzystał uderza brak „Zarysu dziejów socjalizmu polskiego” Ciołkoszów choć nie ulega wątpliwości, że do książki zaglądał wielokrotnie przy pisaniu „Zwycięstwa pokonań”. Czyżby pokonała go cenzura?

DERNAŁOWICZ, Maria: *Portret Familii*. Warszawa, 1974, PIW, str. 346, ilustr.

Autorka nazwała „Portretem Familii” obraz działalności nieoficjalnego a potężnego ugrupowania politycznego zwanego powszechnie stronnictwem Czartoryskich, czynnego za obu Sasów i Stanisława Augusta. Ten ostatni zawdzięczał wyniesienie na tron właśnie „Familii”. Miała ona skład płynny i, obok trzech pokoleń Czartoryskich, przywódcami jej byli także Poniatowscy i Lubomirscy (obojsza płci). Lektura książki szybko rozwiewa przewidywanie, że tematem jej będą koleje życia XVIII-wiecznych „statystów” i pań wytwornych, ich małżonek czy kochanek. „Portret Familii” jest właściwie rozdziałem historii Polski oglądanej pod kątem ingerencji zespołu rodzin magnackich w sprawy wewnętrzne i politykę zagraniczną. Autorka daje wnikliwą analizę zakulisowej działalności stronnictwa, z którego intencjami liczyć się musieli kolejni monarchowie i którego poglądy żywo interesowały mocarstwa ościenne. Jeśli dodać, że powiązania polityczne „Familii” nie wykazywały bynajmniej ciągłości i wierności jednej orientacji, książka ukaże swój istotny i praktyczny aspekt przewodnika po istnej dżungli koligacji, wpływów, sympatii i animozji.

„Działalność „Familii” toczyła się na dwu płaszczyznach: politycznej i „patriotycznej”. Przez „patriotyzm” rozumieć należy w tym kontekście troskę o podniesienie stanu oświaty i nauki, piśmiennictwa i sztuk pięknych, o europeizację kraju, uzdrowienie gospodarki narodowej, wzmocnienie armii, uregulowanie spraw rolnych, rozsądne prawodawstwo — wreszcie ciągłość monarchii dziedzicznej bez chronicznych kryzysów w okresie bezkrólewia — słowem to wszystko, co zapisało się w dziejach kultury jako Komisja Edukacji Narodowej, Szkoła Rycerska czy Konstytucja 3 Maja. „Familia” odegrała we wszystkich tych poczynaniach rolę zdecydowanie pozytywną. „Patriotyzm” Czartoryskich znalazł nadto specyficzny wyraz w rzetelnym wypowiedziach Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, pionierki muzealnictwa i autorki książki „dla ludu”, otwierającej nowy rozdział historii piśmiennictwa polskiego.

We własnym osądzie czytelnika „Portretu Familii” waży się stale „pro” i „contra” — tyle jest bowiem sprzeczności w motywach działań głównych protagonistów: pierwszego przywódcy „Familii” Stanisława Poniatowskiego, ojca Stanisława Augusta, ożenionego z Konstancją Czartoryską, — braci: Michała i Augusta Czartoryskich, — Stan. Lubomirskiego ożenionego z Izabelą Czartoryską i wreszcie generała Ziem Podolskich, Adama Kazimierza Czartoryskiego, który w pewnej fazie przededekcyjnych machinacji bliższy był korony od Stanisława Augusta.

Książka Marii Dernałowicz wprowadza nas na tragiczne *theatrum* naszych dziejów, wiele wyjaśnia a stawia jeszcze więcej znaków zapytania. Dlaczego?

Przywódcy „Familii” sprowadzają się w ostatecznym obrachunku do ośmiu czy dziesięciu i to włączając Stanisława Augusta. Rolę czynną, może nawet zbyt czynną, odgrywają żony, owe Konstancje i Izabele, tak jednostronnie i sentymentalnie potraktowane przez Stanisława Wasylewskiego w „Portretach pań wytwornych”, *best-seller'ze* Dwudziestolecia. Tu dochodzi do głosu aspekt polityczny — ale błędny ludzki. Do tego stopnia, że nie podobna odtworzyć np. głównych zarysów życiorysu Generała Ziem Podolskich w oparciu o tę sążnistą i przeładowaną datami i faktami książkę, mającą w schemacie układu coś z kroniki o suchym ciągu wydarzeń z roku na rok. Raczej niż „Portret Familii” jest to zarys dziejów politycznych Polski w XVIII wieku — albo historia stronnictwa rzucona na tło epoki. Jeśli jedno i drugie, to proporcje zostały zmylone.

Najlepiej wypadli obaj Poniatowscy: ojciec, obieżyświat i niemal kondotier i syn, na tronie dojrzewający do zadania — nad siły. Do najlepszych fragmentów książki należy przypomnienie rozmowy Stanisława Augusta z ambasadorem angielskim Harrisem, w której król darzony komplementami za działalność kulturalną rzuca z goryczą wyznanie: „Nic dobrego nie wyniknie z ulepszeń, które chciałem wprowadzić”. Tej „goryczy bezsilności” przeciwstawia autorka naiwny ale szczery patriotyzm Iza-

beli Czartoryskiej z Puław, kładącej w zakończeniu książki fundamenty pod świątynię Sybilli w Puławach.

Temat zamyka się w wyraźnych ramach chronologicznych. Trzeci rozbiór ucina działalność „Familii”, — dalej będą ciągnąć główne wątki ich nieopisanego programu sami Czartoryscy. Oby było to tematem kontynuacji!

Autorka powinna jednak przemyśleć ponownie cel i kształt opracowania. „Portret Familii” ma adres niejasny. Aby czytać go swobodnie trzeba mieć głowę dobrze nafaszerowaną datami, faktami i życiorysami, co przy braku nawet przedruku krajowego „Dziejów nowożytnych” Konopczyńskiego nie jest sprawą łatwą. Czy można oczekiwać takiej znajomości tła historycznego od dziesięciu tysięcy nabywców książki? Czy nie oczekiwali oni jaśniejszej, mniej obciążonej erudycją lektury? A przynajmniej pomocy w postaci drzewa genealogicznego i krótkich życiorysów protagonistów z wyjaśnieniem kto i kiedy był stolnikiem, kasztelanem czy generałem. Życzyć należy, by pojawiły się już w drugim wydaniu, na które „Portret Familii” w pełni zasługuje.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Przepastne wyżyny *

Andrzej Amalrik w pierwszych słowach swojej książki daje wyraz nadziei, że zainteresuje ona sowietologów tak mniej więcej, jak zaciekałaby ichtiologów ryba przemawiająca ludzkim głosem. Wolno sądzić, że to, co mówiąca ryba miałaby do powiedzenia — wielce rozczarowałoby niejednego z owych ichtiologów, bo sprzeciwiałoby się jego naukowej doktrynie. Z tegoż powodu — wielu sowietologów nie ukrywało rozczarowania po przeczytaniu książki Amalrika. A tymczasem — esej „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?” — był tylko początkiem procesu. A sowiecka „ryba” pełnym głosem przemówiła dopiero w „Przepastnych wyżynach” („Zijajuszczyje wysoty”).

Autor książki jest znakomitym uczonym, jednym z najwybitniejszych sowieckich logików, doktorem wszechnauk; wiele jego dzieł specjalistycznych tłumaczono już na języki obce. „Przepastne wyżyny” są pierwszą jego próbą pióra w nowej dziedzinie.

Niełatwo określić charakter tej dziedziny piśmiennictwa. Formalnie są to dialogi, albo — jak powiedziałyby Włodzimierz Sołowiew — rozmowy. W książce występuje całe mnóstwo postaci, a właściwie rozmówców. Każdy z nich nosi jakieś przezwisko:

* Jest to w pewnym stopniu pra-premiera recenzji, gdyż książka Amalrika ukaże się dopiero na jesieni, w języku rosyjskim, nakładem lozańskogo domu wydawniczego „L'Age d'Homme”. Zamieszczamy ten artykuł, aby zwrócić uwagę czytelników na tę niezwykłą książkę.

Myśliciel, Socjolog, albo — Schizofrenik, Oszczerca. *Nota-bene*: wszystkie postacie dla autora sympatyczne — noszą przezwiska szydercze, te zaś z których autor właśnie sztydzi — oznaczone są pseudonimami jak najbardziej ozdobnymi. Autor określa z miejsca jaką pozycję w społeczeństwie sowieckim zajmują szalbierze, lizusy i donosiciele, jaką zaś — prawdziwi ludzie nauki. Przed pół wiekiem Eugeniusz Zamiatin znał za najważniejszą cechę literatury współczesnej — amalgamat fantastyki z materią dnia powszedniego. Stosując to kryterium, należy uznać „Przepastne wyżyny” za dzieło ze wszechmiar współczesne, aktualne. W książce tej przeplatają się dywagacje na temat losów społeczeństwa sowieckiego z analizami typu socjologicznego i relacjami o wielu autentycznych wydarzeniach ostatnich dziesięcioleci. W „Przepastnych wyżynach” znajdujemy opisy wypadków wojennych, pełne takiej bezlitosnej prawdomówności, jakiej nie znajdziemy w żadnej sowieckiej powieści o wojnie; znajdziemy też dzieje likwidacji pierwszych nieśmiałył kielków liberalizmu w piśmie „Problemy Filozofii”, a także dzieje wielkości i upadku Piotra Jakira i historii „Teatru na Tagance”. Autor wciąż wraca do sprawy sowieckiego plastyka, którego uważa za geniusza — niejakiego Maziły (można w tej postaci bez trudu rozpoznać rzeźbiarza Ernesta Nieizwiestnyj'a) i do kwestii losów człowieka genialnego w społeczeństwie sowieckim w ogóle: pełno w książce aluzji do Aleksandra Sołżenicyna (występuje on pod wymownym pseudonimem — Prawdiec) i ustępów, gdzie autor wdaje się z nim w dyskusję.

Wszystko w tej książce nosi na sobie piętno fantazji typu omal nadrealistycznego, wszystko jest w niej groteskowe, satyrycznie zastrzone. Każda z mnóstwa występujących tu postaci jest wyrazicielką jakiejś z oficjalnych, półoficjalnych i nieoficjalnych opinii, kursujących dziś w społeczeństwie sowieckim. Wszystkie te różnorakie poglądy sprowadza autor do dwóch zasadniczych postaw: uznania i dezaprobaty. Przemysłny pracownik Organów powiada: „Opozycjoniści — to betka, na tych facetów nie warto nawet zwracać uwagi... Prawdziwy problem — to ci, co trzymają się na uboczu, co stoją ponad tym całym naszym zgiełkiem, to — obce ciała w łonie naszego społeczeństwa. Są bardzo nieliczni. Ale są niebezpieczni, bo mają przywilej suwerenności. Jeden taki niezależny potrafi przysporzyć nam więcej kłopotu, niż milionowa partia opozycyjna”.

Książka ta napisana jest właśnie przez jednego z takich niezależnych.

„Przepastne wyżyny” czyta się z niesłabnącym, rosnącym zainteresowaniem mimo, że niektóre partie są trudne. Jest to bowiem rzecz o przygodach myśli nieustraszonej, pragnącej zgłębić za wszelką cenę prawdziwy sens ważnego zjawiska — sens nowej cywilizacji, szerzącej się w świecie, jak leśny pożar. Autor szuka odpowiedzi na pytanie zasadnicze: jaki jest prawdziwy charakter społeczeństwa wśród którego żyje. Subtelnej analizie struktury tego społeczeństwa towarzyszą w książce próby sformuło-

Na plus autorki zapisać należy, że zarzuciła stosowany np. przez Brücknera podział na zabory i Emigrację. „Nasz naród jak lawa” — to *jeden* naród bez względu na adresy stałe czy tymczasowe jego przedstawicieli. Mam jednak wątpliwości, czy sprowadzenie symbolu wulkanu i lawy do skamieniałej skorupy pod którą tai się „potężna i nieujarzmiona siła odrodzenia” oddaje wiernie intencje Mickiewicza. Słowa:

... Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrzne ognia sto lat nie wyziębi”...

padły na kartach „Dziadów części trzeciej” z ust Belwederczyka, Piotra Wysockiego, w „Salonie warszawskim” w konkretnej sytuacji i były reakcją na widok zachowania się renegatów i ich „plugawości” przesłaniającej istotne nastroje narodu. „Naród” reprezentuje w tej scenie „kilku młodych ludzi i dwóch starych Polaków”, stojących u drzwi i „rozmawiających z żywością” o przesładowaniach na Litwie. Autorka, komentując tę scenę w konkluzji książki, dostrzega w niej konflikt „górných warstw narodu” z „ludem”, „trzewiami narodu”, przesuwając punkt ciężkości z sytuacji politycznej na walkę klas. Zdaje się przy tym nie doceniać wpływu na charakter narodowy stale ponawianych walk niepodległościowych i idących za nimi represji. Zmiany w systemie agrarnym nie miały w XIX-wiecznej Polsce charakteru realizacji reformy rolnej wynikającej z ustaw sejmowych. Odbływały się gwałtownie i brutalnie w atmosferze wywłaszczeń, konfiskat, obdarzania dostojników carskich ziemią wydartą prawym właścicielom, — albo rugów pruskich. Równie gwałtownie, w ironiczny sposób „romantycznie”, załamywały się kariery ludzkie a przejście emigranta polistopadowego z nowogródzkiego zaścianka za ladę rzeźniczej jatki w Paryżu nie da się podciągnąć pod schemat wyjścia z „sielskiej, idyllicznej” atmosfery młodości, w której normalnym zajęciem było „oranie roli”. W tym kontekście autorka traktuje uprawę ziemi pogardliwie, choć, o ile się nie mylę, jest to jedno z zasadniczych zatrudnień „ludu”.

Normalnym romantycznym porywem była wspinaczka Malczewskiego na Mont-Blanc. Nie była nim ucieczka Conrada na żaglowce dalekich oceanów. Czarne suknie i żałobna biżuteria naszych prababek były nie tylko symbolami patriotycznych uniesień ale zewnętrzną oznaką tej znanej i naszym biografom sytuacji, gdy rozdzieleni a żyjący nie mieli szans spotkania się przez długie lata (albo i nigdy).

Autorka odeszła daleko od swoich wielkich poprzedników w zakresie badań nad dziejami obyczajów w Polsce. Zdaje się lekceważyć Bystronia a nawet Brücknera; w Łozińskim, Wasylewskim etc. widzi tylko kolekcjonerów faktów, z których nie potrafili, w jej wyczuciu, wyciągnąć wniosków. Sama nie stroni jednak od przystanków przy opisach strojów i posiłków albo detalicznych opisów sentymentalnych almanachów. Wielkimi wzorami są dla niej Durkheim, Malinowski, Znaniecki i cała plejada socjologów angielskich i amerykańskich. Wszyscy oni operowali jednak materiałami zaczerpniętymi z doświadczeń krajów, których instytucje, kształtujące społeczne osobowości człowieka, działały w niezakłóconych zaborami i polityczną emigracją warunkach. Metodycznie autorka wzięła z nich wiele i to trzeba zapisać na jej plus. Nie potrafiła ich jednak dostatecznie „spolonizować”. Tak np. zdaje się nie doceniać znaczenia „inteligencji” jako specyficznie polskiej formacji społecznej. Wyłanianie się jej znakomicie odmalował Berent w swych opowieściach biograficznych.

Autorka ma zasadniczo rację, negując jednolitość charakteru narodowego i widząc trzy jego wzory. Pierwszy, „neo-sarmacki” opierał się w epoce

romantycznej na kultywowaniu dawnych tradycji szlacheckich i rycerskich. Drugi — „liberalno-organicznikowski” wyprzedzał pozytywizm. Trzeci, najmilszy autorce, domagał się „gruntownej rewizji dziedzictwa kulturowego Polski szlacheckiej” i kształtował nowe wzory osobowe i wytyczne etyki rewolucyjnej, wysuwając na czoło „naród” utożsamiany z „ludem” w Mickiewiczowskim sensie. Nie podjęłabym się zaklasyfikowania np. Norwida do którejś z tych kategorii!

Dwa pierwsze „wzory” spotkały się z potępieniem autorki zarówno w konkluzjach książki, jak i poprzednio, w tendencyjnie zestawianych przykładach. W oparciu o analogie z naszych czasów, sądzę, że delektowanie się przeszłością sarmacką czy szlachecką w wersjach Mickiewicza, Rzewuskiego, Pola, Syrokomli itd. — było nie tylko upodobaniem do sadzenia grochu ale wyrazem nostalgii i kultu niepodległej Rzeczypospolitej. „Arywiści” i „self-made men” to nie tylko wzorujący się na zachodnich przykładach i „fabrykanci warszawscy czy łódzcy ale i ambitni i zaradni synowie wysadzonych z siodła ex-dziedziców pozbawionych „ojczystych zagonów” przez Paskiewicza czy Murawjowa. Ten moment ingerencji obcej prawie się nie pojawia na kartach drugiego tomu. Warto przypomnieć, że tom pierwszy podawał w rozdziale „Narodziny XIX-wiecznej kultury klas średnich” rewelacyjne dane o „literaturze konspiracyjnej”, postępowaniu się mottem, cytatem, aluzją, przypisem, roli pseudonimów i wszelkich formach „literatury nielegalnej”, np. tajnych wydawnictw Ossolineum. (W tej ostatniej grupie wyróżnia się „Spis imienny męczenników polskich. Zesz. I obejmujący imiona oficerów i obywateli, którzy za udział w walce 1830/31 o narodową niepodległość zesłani zostali w dalekie głębie moskiewskiego cesarstwa”). Równie wartościowe są ustępy poświęcone cenzurze prohibicyjnej, pisarzem zakazanym i tekstem skażonym a także zwąskowi dostosowywania się autorów do istniejących warunków cenzuralnych. Na tych odcinkach autorka wyłamała się zdecydowanie z przyjętych w całości opracowania schematów.

Fakt, że na opracowanie Kamionka-Straszakowej złożył się szereg „samodzielnych” studiów utrudniałoby korzystanie z niego, gdyby nie ratowały sytuacji doskonale indeksy zestawione przez Anielę Piorunową.

DEBIUTY POWIEŚCIOWE

ZAGAJEWSKI, Adam: *Ciepło, zimno*. Warszawa, 1975, Państwowy Instytut Wydawniczy, 80, str. 232 (2), nakład 10.000 egzemplarzy.

Adam Zagajewski (ur. w 1945 we Lwowie) jest autorem dwu tomików wierszy i współautorem tomu szkiców krytycznych pt. „Świat nie przedstawiony”, wydanego w roku 1974 do spółki z Julianem Kornhauserem. W umieszczonym tam szkicu o współczesnej powieści polskiej wyraził pogląd, iż „literatura nasza nie ma korpusu, ma powieści eksperymentalne, kreacjonistyczne — albo powieści popularne”. Uznał nadto, że „omija centralne sprawy pokolenia” i unika wyraźnego angażowania się po stronie współczesności. Obecnie debiutuje jako powieściopisarz, usiłujący realizować postulaty wysunięte w „Świecie nie przedstawionym”.

„Ciepło, zimno” jest powieścią o wyraźnym podkładzie autobiograficznym. Główny bohater, jest rówieśnikiem autora, jak on urodził się we Lwowie, maturę zdawał na Śląsku a studia wyższe kończył w Krakowie. Zasadniczo jest to jeszcze jeden pamiętnik okresu dojrzewania spod znaku Gombrowicza a może i Uniłowskiego. Błędem byłoby jednak utożsamianie Krzysztofa z autorem, zwłaszcza w końcowych rozdziałach powieści. Raczej: „tak być mogło”.

biograficznych, Wacław Berent, nie zasłużył w oczach redakcji na podobiznę, a Kazimierz Wierzyński autor „Barbakanu Warszawskiego” i „Wolności tragicznej” w „Encyklopedii” nie figuruje. Innym krzywdzącym przemilczeniem jest Mieczysław Grydzewski, nie tylko redaktor *Wiadomości Literackich* ale i autor „Antologii wierszy o Warszawie”. Na próżno szukamy Piłsudskiego czy Dmowskiego, choć znalazło się miejsce dla Bieruta, Borejszy czy Warskiego. Odpowiada to zresztą złowrogo brzmiącej zapowiedzi przedmowy, iż w księdze będzie „bogato reprezentowana tematyka z zakresu historii politycznej ze szczególnym uwzględnieniem działalności postępowych organizacji i stronnictw politycznych”. To założenie przekreśla wartość „Encyklopedii” jako całości i nakazuje bardzo ostrożne z niej korzystanie — i to we wszystkich dziedzinach. Czy np. architektura Pałacu Kultury nawiązuje do form polskiego renesansu, jak ze zdumieniem czytamy w „Encyklopedii”? Czy generał broni Świerczewski zasłużył się *Warszawie* tak bardzo, że kilka szkół i dwie uczelnie wyższe pracują pod jego patronatem?

Osobliwością książki jest bogactwo informacji dotyczących np. „konferencji i plenarnych posiedzeń Komitetu Warszawskiego PZPR”. Zajmują one sześć stron drobnego druku i obfitują w szczegóły tak bezcenne jak np. że pierwszym sekretarzem został po „wykopaniu” Staszewskiego i po Jarosińskim tow. W. Titkow. Rewelacje o ponownych jego wyborach powtarzają się pięciokrotnie, póki na widowni nie pojawił się tow. Kociołek. Analogicznym potworem jest wykaz sesji Rady Narodowej m.st. Warszawy za 30 lat. Większość informacji zamyka się w wycieniach punktów porządku dziennego, takich jak „preliminarz budżetowy” czy „zadania szkolnictwa”. Bez krzywdy dla całości można było tych zestawień oszczędzić i obniżyć cenę „Encyklopedii” (350 zł.) lub porządnie ją oprawić, by okładka nie odpadła po kilku otwarciach. Albo — uzupełnić współczesne dzieje miasta hasłami o „polskim Październiku”, wypadkach marcowych czy historycznych już przedstawienia „Dziadów”.

Hasła opracowane są według pewnych schematów i pisane dobrą polszczyzną w części historycznej a politycznym żargonem w dziale dotyczącym historii najnowszej. Nie ustrzeżono się jednak takich dziwolągów, jak np. określenie, że Hotel „Forum” jest w pełni „aklimatyzowany”. Czy konieczne były hasła o sklepach z obuwiem „Radoskór” i „Luxbut”? I czemu w takim razie nie ma „Cepelii” a Wedel, „E. Wedel”, uwiąz w Zakładach Przemysłu Cukierniczego im. 22 Lipca i tam pleśniej, jak wyrabiane w nich czekoladki. Nowa nomenklatura wali z nóg. Taki np. las kabacki. Dziś jeździ się tam — jak poucza „Encyklopedia” po różne „formy wycieczki czynnego i biernego”. I tu dylemat: czy zbieranie grzybów to wycieczka „czynny” czy „bierny”? Bo tłuczenie butelek na majówkach — to chyba „czynny”? Przykrym zgrzytem jest wywód nazwy „szarytka” od szarego koloru ubiorów gdy źródłowo jest francuskie *charité* (= miłosierdzie). Zdumieniem napełnia nazwa dorocznego konkursu architektonicznego organizowanego przez *Życie Warszawy* na najlepszy budynek roku p.n. „Mister Warszawy”. W potocznej angielszczyźnie „Mister” to odpowiednik „człowieka” a dobrze pamiętamy reakcje wozniów, stróżów itp.: „Tylko nie człowiek!”. Dobrze zresztą że „Mister” a nie „Mistress”, bo rozwinięcie skrótu Mrs. oznacza kochankę, utrzymankę, by nie użyć barwniejszego określenia.

Strona graficzna „Encyklopedii” na dobrym europejskim poziomie. Szwankuje tylko banalna obwoluta i jakość okładki, ozdobionej na domiar złego rysunkiem przedstawiającym zapewne syrenę z profilem Egipcjanki, biustem mamki pięciocerków i młotem zamiast miecza w muskularnej prawicy.

BIOGRAFIE

SZENIC, Stanisław: *Ongis*. Warszawa, 1975, Ministerstwo Obrony Narodowej, str. 467.

„Ongis” jest zbiorem felietonów ogłoszonych poprzednio w dwutygodniku *Nowe Książki*. Stąd ogromna różnorodność tematów, strawniejsza w małych dawkach, niż w jednym tomie. Bohaterami felietonów są wydobyte z zapomnienia osobistości, z którymi Szenic spotkał się na kilku szlakach swych zamiowań. Wiele z nich pochodzi z Warszawy; dobrze reprezentowany jest Poznań. Wyodrębnia się grupa ludzi na różne sposoby związanych z książką, a więc twórców bibliotek i fundacji, bibliotekarzy, bibliofilów, księgarzy i wydawców. Jeszcze jedną grupą, dającą się wyraźnie wyodrębnić są związani z Polską cudzoziemcy.

Mankamentem książki jest brak informacji o źródłach, na których oparte są poszczególne sylwetki. Jednym z nich był niewątpliwie „Polski słownik biograficzny”, w którym także sasiadują ze sobą postacie z różnych epok i wielorakich dróg życia i zawodów. Podobieństwo zwiększa fakt, że i Szenic ugrupował felietony w porządku alfabetycznym według nazwisk bohaterów. Pewnym odstępstwem są felietony o Lisowczykach, o poznańskim „Bazarze”, o warszawskiej Archikonfraterni Literackiej, o Kanoniczkach lub wreszcie o herbarzach czy starych książkach kucharskich.

Lektura książki dobrze uspasabia Polaka do Polaków. W wielu wypadkach Szenic budzi dumę narodową, przypominając, że np. Stanisław Polonus wznosił na wyżyny artyzmu wczesne drukarstwo hiszpańskie a niejaki Adam Dzwonkowski ożywił norweski ruch wydawniczy w połowie XIX wieku. Takich niespodzianek jest więcej, bo jeśli nawet pojawi się jakaś uznana wielkość narodowa, tematem felietonu będzie mało znany epizod z jej działalności np. Kościuszko w okresie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Nie bez pomocy „Słownika pracowników książki” wydobył Szenic z zapomnienia postacie tak ciekawe, jak np. Mikołaj z Jadowa, ksiądz-bibliofil z XV wieku, jak drukarze polscy w Wiedniu czy bibliofile w wielkim stylu: Borchowie, Swidziński czy Kościelski.

Dawka lekkiej anegdoty jest w książce Szenica dostatecznie silna, by zapewnić książce poczytność. Gdzieś na dnie tkwi jednak głębsza, inteligentnie zaserwowana troska o zaznajomienie czytelnika z szerokimi powiązaniem Polski z kulturą zachodnioeuropejską w bogatym wachlarzu tematów i okoliczności.

Szenic wypracował schemat zwężonej sylwetki biograficznej, zamkniętej w ramach kilku stron, naukowo podbudowanej a ujętej w kształt niezmiernie atrakcyjny, zajmujący i budzący apetyt na więcej.

DACKIEWICZ, Jadwiga: *Sobiescy w zamkach nad Loarą*. Lublin, 1974, Wydawnictwo Lubelskie, str. 185.

Na książkę składają się trzy szkice, z których tylko pierwszy dotyczy wymienionych na okładce Sobieskich. Dwa dalsze to „Francja Księża Jenerała” (tj. Adama Kazimierza Czartoryskiego) i „Pana Niemcewicza droga do Francji”. „Szkic” nie jest właściwym określeniem. Są to właściwie „skanki historyczne” wywodzące się w prostej linii od Kazimierza Brandysa.

W „Sobieskich nad Loarą” rzecz rozpoczyna się opisem przygód ojca Jana III, który zostawił istotnie opis wojażu na Zachód. Zaczął od Paryża, po czym przez Fontainebleau i Orléans dotarł do zamków nad Loarą i krótko opisał kilka z nich a w szczególności Blois. „Zamek na pięknym miejscu

i z wierzchu nieszpety, wewnątrz nie masz nic pięknego, atoli pokazują tam pokój ten, w którym chciał zabić Gwiza król Henryk III, pokazują i gabinecik, w którym na ten czas król był". Na tej cytacie wyczerpuje się właściwie temat: Sobiescy nad Loarą. Drobny epizod w opisie podróży po Francji, jeden z wielu przystanków. Drugim Sobiescianum jest przedśmiertny, jednoroczny pobyt w Blois królowej Marysienki, wdowy po Janie III, której przyznano tu oficjalną rezydencję i która tu zmarła. Z okresem tym wiąże się ładne wspomnienie: królowa broniła przed ścięciem stare drzewa w otaczającym zamek parku.

Brak natomiast zasadniczego polonicum, dotyczącego Jana III w zamkach nad Loarą. Są nim płaskorzeźby ilustrujące wojenne przewagi Sobieskiego, będące jedną z atrakcji turystycznych zamku w Montrésor należącego dziś do hr. Reyów. Znalazły się tam w XIX wieku, gdy zamek należał do Braniczkich. Wymienia je na honorowym miejscu jako godne oglądania zielony przewodnik Michelin'a. W „skakance historycznej” zabrakło autorce tchu i do Montrésoru nie dotarła.

Czym wypełniła 68 stron „Sobieskich na Loarą”? Na wstępie garść informacji biograficznych o Jakubie Sobieskim, którego nazywa „Jakubkiem” lub „Jacobusem”. Ten poufały stosunek do bohaterów znajduje dalej wyraz w nazwaniu ks. A. K. Czartoryskiego „Adasiem” (sic!).

W niedawnej książce też autorki („W romantycznym Paryżu”) była dobrze przemyślana sylweta ks. Adama Jerzego Czartoryskiego na tle Hotelu Lambert. Tu cofamy się o pokolenie do ojca emigracyjnego „Księcia Adama” i widzimy go w Sieniawie analizującego motywy miłości do Francji, ojczyzny jego prababki. Naprzód było zainteresowanie teatrem tak żywe, że przybierające nawet kształty prób dramatycznych własnego pióra. Zasadniczymi punktami zwrotnymi stosunku do Francji były dla niego naprzód Rewolucja a następnie Napoleon, reprezentujący „oparcie o rejonny walki zwycięskiej”. W okresie powierzchniowego porozumienia Napoleona z Aleksandrem I (przy którym był wówczas syn Księcia Generała Ziemi Podolskich) — Napoleon był do przełknięcia. Gdy jednak nałogowo zaczął zwodzić Polaków, stary książę wyraźnie mu nie ufał. Na krótko w roku 1812 dał się namówić na przyjęcie godności marszałka sejmu. Potem ostateczne rozczarowanie, sformułowane jasno po październiku 1813 roku, gdy dobiła go relacja generała Dembińskiego o zarzucie „lekkomyślności” Polaków, walczących u boku Cesarza, który tak ich ocenił.

O innym rozczarowaniu, do Anglii, mówi ostatni szkic o okrzęnej drodze Niemcewicza z Polski przez Rotterdam do Londynu i znad Tamizy do Paryża. Z dystansu 150 lat, z bagażem naszych własnych rozczarowań, lepiej rysuje się w naszych oczach fiasco dyplomatycznych zabiegów dwóch tragicznych starców: Czartoryskiego i Niemcewicza, pragnących zmienić bieg polityki zagranicznej brytyjskiej przy pomocy odwoływania się do wierności sojuszom i protestów przeciwko łamaniu postanowień Kongresu Wiedeńskiego, niemal wezorańskich, bo mających za sobą wówczas zaledwie kilkanaście lat. Gdy zrozumiał, że — jak ujął to Lord Backhausen — „Rząd angielski przestał się zajmować sprawą polską” — Niemcewicz ruszył do Francji, by „besztać francuską obojętność”, pomny na słowa J. J. Rousseau'a: „Jeżeli już was oni poźreć mają, sprawcie przynajmniej, iżby was strawić nie mogli”.

Książka zostawia wrażenie niedosytu. Autorka jest szeroko, choć powierzchownie odczytana a stosunek jej do wszystkiego co francuskie wyraża się najlepiej w jej własnym oświadczeniu: „Cóż, przecież w końcu musieli oni wszyscy do Francji tęsknić. Bo nie tęsknić do niej — czy można?”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

- RACZYŃSKI (Edward). *Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla*. Str. 145 i 3 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- SOLSKI (Wacław). *Władza*. Powieść historyczna. Str. 220. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- SURYNOWA - WYCZÓŁKOWSKA (Janina). *Jesień Gringi*. Str. 196 i 4 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- TROŚCIANKO (Wiktor). *Nareszcie lata pokoju!* Str. 332 i 4 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- WYSŁOUCH (Franciszek). *Na ścieżkach Polesia*. Str. 159 i 1 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- KATELBACH (Tadeusz). *O zjednoczenie i legalizm*. Ostatni akt życia publicznego Kazimierza Sosnkowskiego. Str. 328. (Wyd. A. Poray Book Publishing, Biblioteka „Contry” tom II, New York, 1975).
- CZAPSKA-JORDAN (Wanda). *W.R.N. — PPS pod okupacją niemiecką 1939-1945*. Str. 39 i 1 nlb. (Wyd. Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej, Londyn, 1976, cena F. 5,00).
- KAVAN (Jan), DANIEL (Jan). *Socjalistyczna opozycja w Czechosłowacji — Dokumenty 1973-1975*. Str. 191 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1976).
- PUACZ (Edward). *Polonia w USA dziś i jutro*. Str. 120. (Wyd. „Polonia” Book and Publishers Co., Chicago, Ill., 1976).
- ZUŁAWSKI (Marek). *Romantyzm, klasycyzm i z powrotem*. Eseje. Str. 211 i 1 nlb. oraz 86 str. ilustracji. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976; cena zł 80,00).
- ZYGART (S.). Omówienie książki: Romuald Stepkowski „*Odpowiedzialność pracodawcy za szkody spowodowane wypadkiem przy pracy*”. Warszawa-Poznań, 1974, str. 160. (Nadbitka z *Revue d'études comparatives est-ouest*, Décembre 1975, Volume 6, No 4, str. 275-279).
- BEZBRODY (Teofil). *Kryzys, stagnacja i naftowa rapsodia*. Str. 185 (vartyper). (Wyd. „Migo”, Tel-Aviv, 1976).
- Biuletyn Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce*. Rok XXXIII, marzec 1976. Str. 24.
- RAINER (Laurent). *L'après printemps de Prague*. Avec la collaboration de Jacqueline Flandin. Str. 603 i 5 nlb. (Ed. STOCK, Collection „Témoins de notre temps”, Paris, 1976).
- SAINT-HAMONT (Daniel). *L'empire des cafards*. Roman. Str. 354 i 4 nlb. (Wyd. Librairie Arthème Fayard, Paris, 1976).
- TERTZ (Abram) — André Siniawski. *Promenades avec Pouchkine*. Traduit du russe par Louis Martinez. Str. 155 i 5 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Paryż, 1976).
- GOMBROWICZ (Witold). *Journal 1957-1960*. Traduit du polonais par Christophe Jezewski et Dominique Autrand. Str. 260 i 8 nlb. (Wyd. Denoël, collection „Les Lettres Nouvelles”, Paryż, 1976; cena F. 48,00).
- GOMBROWICZ (Witold). *Trans-Atlantique*. Traduit du polonais par Constantin Jelenski et Genevieve Serreau. Str. 210 i 14 nlb. (Wyd. Denoël, collection „Les Lettres Nouvelles”, Paryż, 1976; cena F. 48,00).
- GOLDSTEIN (David I.). *Dostojewski et les Juifs*. Str. 340 i 8 nlb. (Wyd. Gallimard, collection „Idées”, Paryż, 1976).

- TYS-KROKHMALIUK (Juriy).** *UPA Warfare in Ukraine. Strategic, Tactical and Organizational Problems of Ukrainian Resistance in World War II.* Przedmowa prof. Ivan Wowchuk. Z ukraińskiego przełożył Walter Dushnyck, Ph.D. Str. 449 i 9 nlb. (Wyd. Vantage Press, New York-Washington-Atlanta-Hollywood, 1972; cena \$ 10,00).
- The Ukrainian Herald, Issue 7-8. Ethnocide of Ukrainians in the U.S.S.R.* Spring 1974. An Underground Journal from Soviet Ukraine. Compiled by Maksym Sahaydak. Introduction by Robert Conquest. Tłumaczenie z ukraińskiego: Olena Saciuk i Bohdan Yasen. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Smolokyp Publishers, Baltimore-Paris-Toronto, 1976; cena \$ 6,95).
- WANDYCZ (Piotr S.).** *The Lands of Partitioned Poland, 1795-1918.* Volume VII — A History of East Central Europe. Str. 431 i 7 nlb. (Wyd. University of Washington Press, Seattle and London, 1976; cena £ 5,46).
- GROSS (Feliks).** *The Revolutionary Party.* Essays in the Sociology of Politics. Str. 280 i 6 nlb. (Wyd. Greenwood Press, seria: Contributions in Sociology, Number 12, Westport, Conn. - London, 1974).
- Society in Israel.* Selected Statistics. Preliminary Issue — Tables and Diagrams. Str. 172 (vary-tiper). (Wyd. Central Bureau of Statistics, Jerusalem, 1976).
- BIENKOWSKA (Danuta).** *Meeting Polish Writers.* An Annotated Reader and Glossary. Wydanie dwujęzyczne — polsko-angielskie. Str. 206. (Wyd. Polish Alliance Press, Toronto, Ont.).
- KMIETOWICZ (Frank A.).** *Ancient Slaves.* Str. 250. (Wyd. Worzalla Publishing Co., Stevens Point, Wisc., 1976).
- KULSKI (W. W.).** *Germany and Poland.* From War to Peaceful Relations. Str. 336 i 8 nlb. (Wyd. Syracuse University Press, Syracuse, N.Y., 1976; cena \$ US 9,85).
- SKWARKO (Krystyna).** *The invited.* The story of 733 Polish children who grew up in New Zealand. Str. nienumerowane. (Wyd. Millwood Press, Wellington, 1974).
- KRZYŻANIAK (Marian), MALIK (Uzır).** *Market Power, Incidence of Government Policies, and Poverty: The Case of Fishermen in Northwestern Malaysia.* (Nadbitka z *Rice University Studies*, Vol. 61, No 4, Fall 1975, str. 127-139).
- The Influence of East Europe and the Soviet West on the USSR.* Redakcja — Roman Szporluk. Str. 258 i 6 nlb. (Wyd. Praeger Publishers, New York - Washington - London, 1976; cena Dol. 17,50).
- LEWYTZYK (Borys).** *Sowjetische Entspannungspolitik heute.* Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. Seewald Verlag, Stuttgart, 1976).
- LAEUEN (Harald).** *Im Banne des Wohlstandsdenkens. VII. Parteitag der Polnischen Vereinigten Arbeitspartei (PZPR).* (Nadbitka z *Osteuropa, Zeitschrift für Gegenwartsfragen des Ostens.* 26 Jahrgang. Mai 1976, str. 323-346, wyd. Deutschen Gesellschaft für Osteuropakunde, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart).
- BEGEY (Attilio, Avv.).** *La Polonia e l'Accademia di Storia e Letteratura polacca e slava nell'Università di Bologna.* Str. 44. (Odbitka z „Accademia Adamo Mickiewicz in Bologna”, A.M.I.S., Bologna, 1973).
- TERC (Abram — Andriei Siniavsky).** *Progulki s Puszkinym.* Str. 178 i 2 nlb. (Wyd. Overseas Publications Interchange in association with Collins-London, Londyn, 1975).
- FILLIPPOV (Boris).** *Skwoż tuczy.* Str. 303 i 1 nlb. (Nakładem Autora, Waszyngton, D.C., 1975).
- Pamięci A. Achmatowej.* Stichi, pisma, wspomniania — A. Czukowskaja „Zapiski ob Annie Achmatowej”. Str. 220 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1974).

- SOLŻENICYN (Alieksandr).** *Bo-dalsia tielonok s dubom.* Oczerki literaturnoj żizni. Str. 629 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1975).
- SOLŻENICYN (Alieksandr).** *Lienin w Cjurichie.* Gławy. (Iz Uzła I „Awgust Czetwiernadctogo”). Str. 240 i 8 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1975).
- W sierossijskij Socjal-Christianskij Sojuz Oswobodzienija Naroda.* WschSON — Programma, Sud, W tiummach i łagieriach. Str. 214 i 10 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1975).
- WOJNOWICZ (Władimir, N.).** *Żizń i nieobyčajnyje prikluczenija Iwana Czonkina.* Roman-aniekdot w piati czastiach. Str. 286 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1975).
- Żyt' nie po ży.* Sbornik matieriałow Awgust 1973 - Fiewral 1974, Samizdat - Moskwa. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1975).
- Nacjonalnyj wopros w SSSR.* Sbornik dokumentow. Zebrał Roman Kupczynskij. Str. 440 i 8 nlb. (Wyd. Suczasnist, Obszczestwienno-Politieskaja Biblioteka No 23 (42), Dokumenty No 13, Monachium, 1975).
- BOJCZUK (Bohdan).** *Podoroż z uczytelem.* Poema. Rysunki i okładka Lubosław Hutsaliuk. Str. 93 i 1 nlb. (Wyd. New York Group, New York, N.Y. 1976).
- Encykłopedija Ukrainoznawstwa.* Naukowe Two im. Szewczenka. Słownikowa czastyna — 7. Red. odpowiedzialny prof. dr Wołodymyr Kubijowycz. Str. 2405-2800. (Wyd. „Molode Żyttja”, Paris-New York, 1973).
- De Ucrainorum catholica Universitate S. Clementis Pape 1968-1973.* Secundo quinquennio peracto suae activitatis enarratio. (W języku ukraińskim). Str. 365 i 23 nlb. w tym fotografie i ilustracje. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Pape, Rzym, 1974).
- Kalendar Almanach na rik 1976.* (Wyd. „Wilne Słowo”, Toronto, Ont., Kanada, cena Dol. 3,50).
- Blahowisnyk. Litterae-Nuntiae Archiepiscopi Maioris Ritus Byzantino-Ucraini (Graeco-Rutheni).* Annus IX. Lib. 1-4. Str. 103 i 1 nlb. (w języku ukraińskim) i str. 264 i 4 nlb. fotografii. (Wyd. w Castello Gandulphi, 1973).
- ŁABA (Bazilius, Prof.).** *Patrolohija.* Żyttia, pyśma, i wczennia Otciw Cerkwy. Cz. I-III. Str. 552. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym, 1974).
- WOŁYNIAK (Petro).** *Pohoworymo widwerto.* Wybrani statyi i opowidannia. Wyd. II. opr. Dr J. Daczkewycz. Str. 662 i 2 nlb. (Wyd. „Nowi Dni”, Co. Ltd., Toronto, Ont., 1976).
- Kalendar-Almanach Mitta.* Na 1976 rik. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Ju. Serediaka, Buenos-Aires, 1975).
- Bohostowija* — R. 1973, Tom XXXVII. Str. 245 i 3 nlb. (Wyd. Ukrainśke Naukowe Towarystwo, Rzym, 1973).
- Twory Josyfa Patriarcha i Kardyнала.* Zebrał: O. Prof. dr Ivan Choma i O. Prof. dr Ivan Muzyczka. Tom VII-VIII. Str. 365 i 23 nlb., w tym 20 str. fotografii. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum A. S. Slemente Papa, Rzym, 1976).
- Azbukownyk.* Encykłopedija ukrainśkoji literatury. Opr. dr Bohdan Romanenchuk. T. 2. Str. 536. (Wyd. „Kyiv”, Filadelfia, 1973).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

11-5-76

W Gorzowie Wielkopolskim zmarł, w wieku 84 lat, ks. infułat dr Karol Milik, wybitny działacz oświatowy w okresie międzywojennym.

19-5-76

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 84, Julian Krzyżanowski, wybitny historyk literatury.

25-5-76

Z okazji Olimpiady wybito w Polsce srebrne monety wartości 200 zł, które zostały wprowadzone do obiegu. ■ Nagrody im. Stanisława Piętaka otrzymali: w dziale poezji — Tadeusz Kijonka, w dziale prozy — Marek Harny i Zbigniew Brzozowski oraz Teresa Lubkiewicz. ■ Doroczną nagrodę tygodnika *Kultura* za 1976 rok otrzymali: Andrzej Trzós-Rastawiecki za film „Skazany” oraz Witold Zalewski za powieść „Czarne jagody”. ■ Zarząd Główny Związku Pisarzy Sowieckich przyznał dyplomy za rozwijanie i umacnianie przyjaźni i współpracy ze środowiskiem literackim ZSSR — otrzymali je m.in. Jerzy Putrament i Jan Koprowski. ■ Laureatem dorocznej nagrody Interpressu, przyznawanej dziennikarzom polonijnym, został Kazimierz Smogorzewski w Londynie, współpracownik reżymowego *Przeglądu Polskiego*. ■ Tegoroczną nagrodę miesięcznika *Literatura na świecie* za najlepiej przetłumaczoną książkę otrzymał Zbigniew Stolarek, tłumacz powieści gwinejskiego autora Ahmadu Kuruma pt. „Fama Dumbuja — najprawdźszy Dumbuja na białym koniu” (PIW). Zbigniew Stolarek jest oprócz tego pierwszym tłumaczem poezji eskimoskiej. ■ Tegoroczną nagrodę im. Ks. Idziego Radziszewskiego, przyznaną przez Zarząd Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego otrzymał prof. dr Jakub Sawicki, wybitny znawca prawa wyznaniowego i kościelnego. ■ Ireneusz Ireduński otrzymał nagrodę XVII-go Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych za monodram „Maria”. ■ Z okazji 25-lecia Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich PRL Rada Państwa przyznała szereg odznaczeń za zasługi w pracy zawodowej i działalności społeczno-politycznej. M.in. odznaczeni zostali: Mieczysław Kieta, Mieczysław Rakowski, Zdzisław Sachnowski, Karolina Beylin i Witold Jankowski. ■ Nagrody Ludowej Spółdzielni Wydawniczej otrzymali: Zbigniew Domino (za powieść „Szalejący Wicher”) oraz Wacław Daruk za „Dziennik Jednego Roku”. ■ Nagrodę miesięcznika „Opole” otrzymał Zbigniew Zielenka. ■ Olgier Budrewicz został jednym z laureatów konkursu na najlepszą publicystykę o tematyce polonijnej w prasie, radiu i TV w 1975 roku. Nagrodzone zostały jego drukowane w „Perspektywach” reportaże o wybitnych Amerykanach polskiego pochodzenia. Reportaże te ukazały się następnie w wydaniu książkowym, w języku polskim i angielskim. ■ Nagrodę im. Boya za rok 1975, przyznaną przez Klub Krytyki Teatralnej S.D.P., otrzymał Kazimierz Dejmeke za reżyserię „Operetki” Witolda Gombrowicza. ■ Komitet do Spraw Radia i Telewizji przyznał pośmiertną nagrodę prof. Witoldowi Doroszewskiemu oraz J. Putramentowi za „twórczą współpracę z radiem i TV”. ■ Powołano w Warszawie do życia Polskie Towarzystwo Rusycystyczne, którego zadaniem będzie pogłębianie i popularyzacja najlepszych doświadczeń w dziedzinie nauki języka rosyjskiego i upowszechnianie historii i kultury ZSSR. ■ W Związku Sowieckim rozpoczęto publikację 50-ciotomowej biblioteki literatury dziecięcej. Nakład — 400 tysięcy. W bibliotece zostaną uwzględnione dzieła sowieckich i światowych klasyków.

28-5-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 73 lat, Antoni Uniechowski, znany artysta plastyk, ilustrator dzieł literackich i scenograf.

1-6-76

L'Humanité Rouge donosi, że poważne zamieszki wybuchły ostatnio na południu Rosji, na Ukrainie i w trzech republikach bałtyckich. Powodem zamieszek — szczególnie gwałtownych jakoby w Rostowie, w Kijowie i w Rydze — są braki w zaopatrzeniu. ■ W Warszawie rozpoczęto budowę Biblioteki Narodowej. Stanie ona na Polu Mokotowskim. Biblioteka będzie miała kubaturę 191 tysięcy m³ i powierzchni użytkowej 50 tysięcy m². W 12-to kondygnacyjnym magazynie zmieści się 5 milionów tomów. Cztery czytelnie będą miały łącznie 1.000 miejsc. Przewidziana jest również sala kinowo-odczytowa na 600 miejsc oraz muzeum książki.

5-6-76

Wprowadzono automatyczne połączenie telefoniczne między Warszawą a Hiszpanią. Numer wywoławczy: 8034. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 96 lat, Bolesław Kuźmiński, artysta malarz, oficer 3-go p.p. Legionów.

12-6-76

Andriej Amalrik otrzymał wizę wyjazdową z ZSSR do Izraela dla siebie i żony. Amalrik zamierza udać się do Holandii, gdzie został zaproszony przez uniwersytet w Leyde na cykl odczytów.

15-6-76

W czasie tegorocznych Targów Poznańskich odbyło się spotkanie szerokiej reprezentacji polonijnych biznesmenów i handlowców „Forum 76”. Głównym celem tego spotkania jest chęć zainteresowania Polonii udziałem w polskim życiu gospodarczym w formie inwestowania kapitałów i uczestnictwie w spółkach mieszanych, przede wszystkim w turystyce, hotelarstwie, usługach spółdzielczości. ■ W ciągu czerwca w PRL wydano 30 milionów podległości szkolnych na rok 1976/7 — jest to zaledwie 45 % zapotrzebowania. ■ Z okazji 50-lecia pracy Maji Berezowskiej urządzono wystawę w Muzeum Historycznym miasta Warszawy. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 71 lat, ks. dr Andrzej Wantuła, biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w stanie spoczynku.

19-6-76

W Warszawie rozpoczęło się europejskie zgromadzenie młodzieży i studentów, w którym weźmie udział około 1.500 delegatów, reprezentujących międzynarodowe i krajowe organizacje młodzieżowe i studenckie z Europy, o różnych poglądach politycznych i z różnych środowisk. Francuska młodzież komunistyczna odmówiła udziału ze względu na zaproszenie na zgromadzenie młodzieży gaullistowskiej. ■ Na europejskim zgromadzeniu młodzieży i studentów w Warszawie kolportowany był dokument w języku angielskim w sprawie pogwałcenia przez Czechosłowację układów w Helsinkach. Dokument ten, opracowany przez Polski Komitet Młodzieżowy do Spraw KBWE w Helsinkach składa się z dwunastu punktów. W pierwszym mowa o wyrokach skazujących komunistycznych działaczy politycznych za pomoc w kolportażu ulotki wyborczej, która wyjaśniała obywatelom Czechosłowacji ich prawa konstytucyjne. W drugim o aresztowaniu 21 młodych muzyków i poetów. W trzecim o aresztowaniu szeregu księży. W czwartym o nieludzkich warunkach w więzieniach czeskosłowackich. W piątym o represjach (całkowite pozbawienie pracy, lub zmuszenie pracowników umysłowych do pracy fizycznej) w stosunku do pół miliona ludzi, których po roku 1970

wyrzucono z partii. W szóstym o represjach w stosunku do ich dzieci. W siódmym o cenzurze w wydawnictwach, o usuwaniu „trefnych” książek z bibliotek, o przeszkodach w dostępie do publikacji zagranicznych. W ósmym o odmowie wydawania paszportów ludziom, których władze uważają za politycznie „niepewnych”. W dziewiątym o niezgodności niektórych artykułów konstytucji czechosłowackiej i niektórych paragrafów kodeksu karnego z duchem Aktu Końcowego układu w Helsinkach. Pozostałe trzy punkty piętnują systematyczne naruszanie samej konstytucji czechosłowackiej. ■ Nowa forma represji: powoływanie na ćwiczenia wojskowe „kontestatorów”, przede wszystkim studentów i młodych naukowców. W ten sposób powołano Karola Modzelewskiego i Witolda Sułkowskiego (poetę, którego tomik pt. „Szkoła Zdobywców” ukazał się ostatnio w Bibliotece Kultury) oraz Antoniego Pawlaka. Ta szykana zastosowana wobec Karola Modzelewskiego świadczy, że władze pamiętają jego „List Otwarty do Partii” napisany szereg lat temu wraz z Jackiem Kuroniem i że licząc się z możliwym fermentem wśród robotników w związku z mającą nastąpić wkrótce podwyżką cen — wolą się zabezpieczyć choć Karol Modzelewski od dawna wycofał się z polityki i jako historyk nie wychyla się w swoich pracach poza okres Mieszka I-go. ■ W PRL ogłoszono, że państwo i Rady Narodowe zawieszają budownictwo mieszkaniowe. Mieszkańcy domów wybudowanych w ciągu 30-letniego Polski Ludowej jeżeli chcą pozostać w zajmowanych obecnie mieszkaniach — muszą je kupić. Budownictwo ma być odtąd pozostawione inicjatywie prywatnej. Wystarczy 10 osób by stworzyć kooperatywę budowlaną, która może uzyskać niezbędne kredyty. Od kooperatywy zależy będzie metraż mieszkań i solidność budowy. Jest to jedna z form walki z inflacją — władzom idzie o wydręgnięcie oszczędności i złagodzenie nacisku na produkty deficytowe jak np. żywność. Jest jednak około miliona rodzin o zbyt niskich dochodach aby mogły sobie pozwolić na należenie do kooperatywy budowlanej — do nich zaliczają się przede wszystkim młode małżeństwa. Jednakże każdy może natychmiast otrzymać mieszkanie płacąc za nie dewizami. ■ Instytut Psychiatryczny Serbskiego w Moskwie stwierdził, że historyk ukraiński, Walentyn Moroz jest zdrów umysłowo i może odsiedzieć zasądzony mu wyrok. Moroz osadzony obecnie w więzieniu na Butyrkach został skazany w 1970 roku na 6 lat więzienia i 3 lata łagrów oraz 5 lat przymusowego osiedlenia. Osądzono go za „nacjonalizm ukraiński”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

19-3-76

Prezydent St. Ostrowski w Londynie mianował Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych gen. dyw. Zygmunta Bohusza-Szysko.

15-5-76

Frankfurter Allgemeine Zeitung podaje, że liczba Polaków dysponujących własnymi kontami dewizowymi w Banku P.K.O., w Banku Handlowym i w Narodowym Banku Polskim wynosiła w końcu 1975 roku 213 tysięcy, a wartość wkładów 110 milionów dolarów.

18-5-76

W londyńskim POSK-u rozpoczął działalność klub dyskusyjny „Kontynenty”. Tematem pierwszego zebrania było „20 lat ruchu protestu w Polsce”. Prelegentami byli Edmund Bałuka (przewodniczący komitetu strajkowego w Szczecinie w 1970/71 r.) i Krzysztof Pszenicki (z fali protestu studentów w 1968 r.). Na zebranie przybyło około 60 osób w wieku przeważnie eme-

rytalnym. Nazwa klubu nawiązuje do pisma, które dwadzieścia lat temu zostało utworzone przez grupę młodzieży, zbuntowanej przeciwko emigracyjnemu *establishment*.

21-5-76

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało odczyt p. Eugène Faucher pt. „La tradition spirituelle et intellectuelle en Tchécoslovaquie”.

26-5-76

W związku z odmową wiz amerykańskich dla czterech funkcjonariuszy sowieckich związków zawodowych ujawniono w Waszyngtonie, że potężna centrala amerykańskich związków zawodowych AFL-CIO posiada, za zgodą Departamentu Stanu, prawo weta przy udzielaniu wiz działaczom związków zawodowych z ZSSR i innych krajów komunistycznych.

29-5-76

W Londynie odbyło się doroczne walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W sprawozdaniu prezesa Związku, Józefa Garlińskiego, podkreślono, że wydano „Pamiętnik Literacki”, odbyło się 9 wieczorów i spotkań dyskusyjnych itd. Majątek Związku wynosi obecnie £. 600.00. Nowowyzbrany zarząd ukonstytuował się następująco: prezes — Józef Garliński, wiceprezes — Ignacy Wieniewski, sekretarz — Zofia Grabowska, skarbnik — Franciszek Wyślouch, członkowie: Jan Krok-Paszkowski, Paweł Moskwa, Bronisław Przytuśki, Marta Reszczyńska-Stypińska, Krzysztof Rowiński. Jury Związku Pisarzy przyznało w bież. roku nagrodę Marii Czapskiej za całokształt twórczości w wysokości £. 200.00 oraz nagrodę w tej samej wysokości Andrzejowi Chciukowi za „Emigrancą opowieść”, uznaną za najlepszą książkę 1975 roku. ■ W Londynie miał miejsce IV-ty Centralny Zjazd Stronnictwa Narodowego. W części sprawozdawczej podkreślono m.in., że nakład organu Stronnictwa — *Myśl Polska* — wzrósł w ostatnich dwóch latach o 350 egz. Prezesem Centralnego Wydziału Wykonawczego zostali wybrani Antoni Dargas. Do Centralnego Wydziału Wykonawczego zostali wybrani: J. Baraniecki, Z. Bienkowski, St. Brewka, P. Hęciak, T. Hobler, Wł. Kański, L. Krajewski, W. Netter, J. Płoski, E. Sojka, M. Szamocki, A. Treszka.

1-6-76

Z opóźnieniem dotarła do nas wiadomość, że grupa dziennikarzy, literatów i naukowców, zajmujących się zagadnieniami środkowej, wschodniej i południowej Europy, w liście skierowanym do Kissingera (i wysłanym z Monachium do Waszyngtonu 3 maja) zaprotestowała przeciw „doktrynie” Sonnenchium do Waszyngtonu Polacy też feldta. Inicjatywa listu wyszła od polskich pracowników RFE, Polacy też stanowią najliczniejszą grupę wśród sygnatariuszy: trzydzieści osób. List podpisali, poza Polakami, Bułgarzy (4), Chorwaci (2), Czeši (6), Słowacy (5), Rumuni (3), Węgrzy (4), jeden Ukrainiec i jeden Anglik. ■ W galerii Bernheim-Jeune została otwarta wystawa prac Ireny Kwiat de Grandpré. ■ Polskie handlowe przedsiębiorstwo państwowe Agromet-Moimpré oraz towarzystwo handlowe „Dal” w Warszawie nabyły połowę akcji szwedzkiego przedsiębiorstwa prywatnego „Junemaskiner” w Jönköping. „Junemaskiner” importuje wschodnioeuropejskie maszyny, ma rocznego obrotu około 80 milionów koron i zatrudnia około 100 pracowników.

2-6-76

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów we Włoszech zorganizowało obchód 30-lecia Stowarzyszenia. W sali przy polskim kościele Św. Stanisława Witold

Zahorski wygłosił odczyt pt. „30 lat pracy S.P.K. we Włoszech”. W tejże sali została zorganizowana w dniach 31. 5. br. i 1. 6. br. wystawa wolnej prasy polskiej.

3-6-76

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór „Musique de l'eau et de la nuit” opowiedziany przez prof. Jana Mycińskiego i interpretowany przez p. Yolande Baert. ■ W Galerie Entremonde w Paryżu została otwarta wystawa Grażyny Remiszewskiej.

5-6-76

GFM, Stowarzyszenie Obrony Praw Człowieka z siedzibą w Frankfurcie, wystosowało list do Gierka w związku z jego wizytą w NRF. W liście mowa o skazaniu Stanisława Kruszyńskiego, o wydaleniu z uniwersytetu Jacka Smykała, o memoriale 59, o zarzutach stawianych władzom PRL przez Episkopat polski. ■ W kwietniu (o czym dowiadujemy się z opóźnieniem) dokerzy w porcie francuskim Brest odmówili wyładowania statku polskiego *Matouba*, który miał dostarczyć (łamiąc strajk rybaków) 640 ton makreli bretońskiemu producentowi konserw. Incydent odbił się głośnie echem w prasie lokalnej, przypominano m.in. że polski węgiel używany był niegdyś do łamania strajku górników asturyjskich. ■ W świeżym numerze *La Revue Juive* ukazał się artykuł Samuela Schepsa *Ostjudentum im Rückblick*.

9-6-76

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu, na zebraniu któremu przewodniczył dr Jarosław Musianowycz a sekretarzowali Adela-Maria Żeleńska i dr Aristide Wirsta, zawiązało się Towarzystwo Polsko-Ukraińskie. Stawia ono sobie za cel „przyczynić się do zbliżenia Ukraińców i Polaków przez spotkania i dyskusje poświęcone pokrewieństwu kulturalnemu obu narodów, ich historii, aspiracjom i wzajemnym stosunkom”. Do zarządu wybrani zostali prof. Aleksander Kulczycki jako prezes, prof. Jerzy Langrod jako wiceprezes (statut stanowi, że na tych stanowiskach będzie stosowana co dwa lata rotacja) oraz Wasyl Mułek i Zirka Wituszynska ze strony ukraińskiej, zaś Maria Winklerowa i Romuald Więckowski ze strony polskiej. Komisję rewizyjną stanowią Lubomir Husar, Jan Serafiński i Jan Winczakiewicz.

10-6-76

W Librairie Galaxie w Paryżu została otwarta wystawa obrazów i rysunków Józefa Czapskiego ■ Nagrodę Segurier — przeznaczoną dla prac autorów zagranicznych, zastugujących na zainteresowanie czytelnika francuskiego otrzymał Adolf Rudnicki. Dotąd przetłumaczono we Francji jego 6 książek. Nagroda Segurier została ustanowiona 3 lata temu. W ub. roku otrzymał ją znany pisarz włoski Leonardo Sciascia.

11-6-76

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Kazimierza Brandysa.

14-6-76

W paryskim studio *Radio Liberty* Natalia Gorbaniewskaja nagrała piętnastominutowy wywiad z Herlingiem-Grudzińskim. Była w nim m.in. mowa o rosyjskich doświadczeniach i zainteresowaniach autora *Innego Świata* i *Upiorów Rewolucji*, o rosyjskich numerach *Kultury* (które Gorbaniewskaja czytała w Moskwie), o współpracy emigrantów polskich z rosyjskimi w kwartalniku *Kontyent*.

24-6-76

W Paryżu odbyło się doroczne walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Poza częścią sprawozdawczo-administracyjną prof. J. Myciński wygłosił odczyt pt. „Comte Alexandre Colonna-Walewski”.

26-6-76

W Villard-de-Lans we Francji odbył się drugi zjazd „Villardczyków” połączony z uroczystością nadania nazwy Liceum Polskiego im. Cypriana Norwida jednej z ulic miasta i odsłonięcia tablicy pamiątkowej na dawnym Hôtel du Parc.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Nowy (konserwatywny) premier australijski Fraser zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo sowieckiego militarizmu, szczególnie w rejonie Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku. Tass nazwał to niebezpieczeństwo „urojonym”, oskarżając Fräsera o zerkanie w stronę Pekinu i amerykańskich przeciwników *détente*. Australijska opozycja labourzystowska ubolewa, że wystąpienie premiera zaszkodziło szansom zwiększonego eksportu *beef'u* i zboża do ZSSR.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Klub Książki Polskiej, założony przez Instytut Kultury Polskiej w Miami, wydał przekład książki Pawła Jasienicy „Polska Jagiellonów” na język angielski. ■ Z końcem kwietnia br. ukazała się, nakładem firmy Charles Scribner's Sons w Nowym Jorku, książka Haliny Rodzińskiej pt. „Our two lives” („Nasze dwa życia”). Pierwsza jej część opisuje dzieciństwo i młodość Haliny Lilpop i zawiera barwny obraz artystycznego i muzycznego życia Warszawy lat dwudziestych i trzydziestych, następnie zaś koncentruje się na osobie słynnego dyrygenta — a jej męża od 1935 r. — Artura Rodzińskiego, jego karierze artystycznej, jego głośniejszych zatargach z administracją i managerami itp. O powodzeniu książki świadczą nie tylko liczne recenzje i notatki w prasie całego kraju, ale i przeprowadzone z autorką rozmowy w radiu i telewizji, przede wszystkim zaś fakt że w niespełna miesiąc po ukazaniu się „Our two lives” firma Scribner przystąpiła do drugiego wydania. Oto wyjątki z głosów prasy: — „Interesująco napisana i pełna rewelacji” — bardzo personalna kronika życia znanego dyrygenta Artura Rodzińskiego” (*Publishers Weekly*). — „Fascynujący pamiętnik” (*The New York Times Book Review*). — „Świetnie napisana książka” (*New Yorker*). — „Lektura, która wielu melomanów zmusi do pozostania w domu, zamiast pójścia na koncert” (*The New York Times Music Section*). — „Our two lives” — książka napisana żywo i barwnie, zawiera charakterystyki wielu znanych osobistości, filozoficzne i artystyczne komentarze, pasjonujące nawet dla przeciętnego czytelnika. Halina Rodzińska ukazuje się w niej jako kobieta szlachetnego serca, pełna współczucia i entuzjazmu — trafna i dowcipna w obserwacjach, wrażliwie poetyczna. Brawo!” (Byron Belt, *Newhouse News Service*). ■ W dniu 5 czerwca 1976 roku odbyło się w Nowym Jorku doroczne plenarne posiedzenie Polskiej Rady Jedności w Stanach Zjednoczonych (PRJ) z udziałem członków reprezentujących polskie stronnictwa polityczne oraz Koło Armii Krajowej, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polsko-Amerykańskich i Stowarzyszenie Byłych Więźniów Politycznych w Stanach Zjednoczonych. Posiedzenie PRJ zakończył wybór prezydium na rok 1976/77 w osobach: prezes Stefan Korboński (Polskie Stronnictwo Lu-

dowe), pierwszy wiceprezes Adam Gawlikowski (Stronnictwo Narodowe), wiceprezesi: Feliks Gadomski (Stronnictwo Demokratyczne), Zygmunt Gross (Polska Partia Socjalistyczna), sekretarz generalny Bronisław Załęski (Polskie Stronnictwo Ludowe), skarbnik Henryk Jaracz (Niezależny), członkowie prezydium: Edward Kleszczyński (Liga Niepodległości), Władysław Michalak (Stronnictwo Pracy), Jerzy Ptakowski (Stronnictwo Narodowe) i Franciszek Skowrya (Polskie Stronnictwo Ludowe). Wojciech Wasutyński został wybrany przewodniczącym komisji spraw zagranicznych, zaś Jerzy Ptakowski przewodniczącym komisji spraw krajowych. ■ W dniach 29-go i 30-go maja bież. roku odbyła się w Chicago „Konferencja Inauguracyjna” STUDIUM. Do konferencji tej doszło po wielomiesięcznej pracy Komitetu Organizacyjnego w składzie: prof. dr A. S. Ehrenkreutz, mgr W. Stepien, prof. W. Sworakowski, dr J. E. Morelewski, inż. F. C. Polcyn, p. J. Kleszczyński, p. K. Łukomski oraz ppłk L. Zub-Zdanowicz. Szczegóły pracy i osiągnięć KO podane są w Sprawozdaniu za okres od 14. VI. 1975 do 29. V. 1976 roku, który został doręczony uczestnikom konferencji i wysłany pocztą nieobecny. W skład KW weszli: przewodniczący, prof. dr A. S. Ehrenkreutz (Michigan); wice-przewodniczący, prof. dr J. A. Wojciechowski (Ottawa, Kanada); sekretarz, dr J. F. Morelewski (Chicago); skarbnik, inż. F. C. Polcyn (Michigan); członkowie: red. W. H. Bniński (Washington, D.C.), prof. dr W. W. Soroka (Wisconsin), inż. Z. Szpikowski (Toronto, Kanada). Prof. dr A. J. Gella zrezygnował z funkcji wice-przewodniczącego. W skład RN weszli: przewodniczący, prof. dr J. J. Lerski (California) i członkowie: mjr E. Banasikowski (Wisconsin), inż. S. Gierat (Connecticut), płk dypl. P. Harej (Chicago), inż. S. Jaworski (Chicago), ppłk dypl. A. Kajokowski (Chicago), p. J. Kleszczyński (Connecticut), p. Z. Kliszewski (California), p. S. Kowalik (Chicago), p. H. Landau (Michigan), p. J. Rzewska (Chicago), mgr T. Sech (Indiana), mgr W. Stepien (Connecticut). Podstawa finansowa STUDIUM jest zapewniona przez roczne indywidualne i organizacyjne wpłaty członkowskie w wysokości \$100 od pracujących i \$25 od emerytów i bez pracy. ■ W Mile High City została otwarta wystawa fotografii i rękodzieła obrazująca 120 lat ludności polskiego pochodzenia w Denver, Colorado. Wystawa jest popierana przez Colorado Centennial-Bicentennial Commission i Mayor's Bicentennial Committee, a patronuje jej 134-ta Grupa Zjednoczenia Polsko-Narodowego w Denver. Celem wystawy jest upamiętnienie Dwóchsetlecia Ameryki, Stulecia Stanu Colorado oraz 87-jej rocznicy istnienia Grupy.

KRONIKA KANADYJSKA

16. 5. br. w Toronto odbył się wieczór autorski Adama i Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskich. Wieczór zagał prof. Tymon Terlecki. ■ Wydawnictwo Mossaic Press, Oakville, Ontario wydaje dwa razy do roku „przewodnik” po świecie rosyjskiej wierchuszki — *A Cumulative Guide to Official and Notables in USSR* w opracowaniu Borysa Lewickiego. Wydawnictwo nosi nazwę *Current Soviet Leaders — Les Leaders Sovietiques Contemporains*. Ukazał się właśnie numer drugi tomu drugiego. Roczny abonament kosztuje Dol. 20,00, a pojedynczy numer — Dol. 15,00. W tym samym wydawnictwie ukazała się książka prof. G. Łuckiego „Discordant Voices — The Non-Russian Literatures”, oraz książka opracowana przez prof. T. Potiechnyja, obejmująca referaty wygłoszone na Konferencji poświęconej aktualnym zagadnieniom Ukrainy, wreszcie książka Mikołaja Kłymyszyna pt. „W pochodzi do woli” — są to wspomnienia z okresu 1931-1941 r. ■ 22. 2. br. w Toronto odbył się wieczór poświęcony pamięci Aleksandra Janty, zorganizowany przez Federację Kobiet Polskich w Kanadzie.

3. 6. br. zmarł tragicznie w Montrealu, w wieku 52 lat, Juliusz Stachiewicz, profesor uniwersytetu McGill w Montrealu, dziekan wydziału mechaniki, syn generała J. Stachewicza. ■ Jury Nagrody im. Janiny ze Starzyckich Ławrukowej dla osób zasłużonych na polu zbliżenia polsko-ukraińskiego przyznało trzy nagrody: Wadymowi Lesyczowi, tłumaczowi poezji polskiej za opracowaną antologię poezji polskiej, Józefowi Łobodowskiemu za całokształt twórczości oraz J. Mieroszewskiemu za działalność publicystyczną. Wysokość nagrody — 500 dol. każda.

ZAPRENUMERUJ **“AN**
POLITYCZNY **EKS”** do ocenzonej prasy
KWARTALNIK **EKS”** w Polsce
A N E K S

W nr. 11 m.in.: PRZECIWKO LEGALIZACJI BEZPRAWIA — A. Smolar, Protesty; St. Gomułka: Uwagi do planu 1976-80; Zb. Brzeziński: Stosunki międzynarodowe — kryzys i przemiany; St. Morawski: Cenzura wobec sztuki.

Wkrótce w nr. 12 m.in.: A. Chcielewska: List do przyjaciół; Cz. Krzysztofor: Katolicyzm a sprawa polska; M. Korybut: Refleksje o opozycji; J. Walecki: O niebezpieczeństwie politycznej neutralizacji dewocyjnych katolików w Polsce; T. Baczan: Religia a ludzie marginesu.

Rocznie — cztery numery, ok. 640 s.: Skr 36; dol. 10.

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przysyłać na adres:

ANEKS, P.O.Box 23057, 750 23 Uppsala, SWEDEN.

Z ostatniej chwili

KORESPONDENCJA Z RZYMU

Dywerycja antykościelna

Zapis z „konferencji w cenzurze”, jaki publikujemy osobno, (str. 129) stanowi jeden z wymownych przykładów, że rozgrywka wokół zmian konstytucyjnych (i rola jaką odegrał Kościół) stanowi już dziś zamknięty epizod. Nie wniosła ona nic pozytywnego jak zapowiadali niektórzy działacze katolicy z kraju, łudząc się że „oczyści atmosferę” do poprawy stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem. Prymas Polski nawiązał do tego tajnego „zapisu” w kazaniu wygłoszonym na Skałce w Krakowie w dn. 9 maja: „Sytuacja w jakiej znajduje się nasza Ojczyzna wymaga od nas odważnego, publicznego przyznawania się Boga oraz domagania się wolności mówienia prawdy. A nie przychodzi to łatwo. Niedawno dostałem do ręki skrypt stanowiący notatki z konferencji, na której wyliczono zebranych redaktorom czego o Kościele pisać nie wolno, a co wymaga przynajmniej uprzedniej konsultacji. Na powyższym przykładzie możemy przekonać się, że nadal jeszcze idzie o to by Kościół był przemilczany, by o nim nie mówiono”.

W tym samym wystąpieniu kardynał Wyszyński pośrednio zareplikował na kontestacyjną akcję pewnych czynników wewnątrz wspólnoty katolickiej, przenoszoną również za granicę. „Czy nie poddajemy się snobizmowi? Czy nie zastępujemy kultury rodzimej obcymi wzorami? I tak na przykład przechwała się prace Kościoła, a zwłaszcza realizację Soboru wszędzie, na całym świecie, ale nie widzi się tego co uczyniono w Polsce, nie dostrzega się jak w Polsce pracuje Kościół, jego kapłani i biskupi, jak katechizują, jak przeprowadzają odnowę liturgiczną. Wszyscy na całym świecie czynią to dobrze, tylko u nas — źle”. Prymasowi Polski wtóruje w tym samym okresie na Zachodzie O. Werenfreid van Straaten, dyrektor zasłużonej placówki „Pomoc dla Kościoła Cierpiącego”, stwierdzając: „Rozumiem rozterkę wobec upadku wiary i moralności oraz słabości pewnych dusz-

pasterzy, dających się pociągać tym, którzy pod pretekstem *aggiornamento* niszczą strukturę Kościoła”.

Niestychany, w treści i formie, napad na Prymasa Polski w piśmie austriackich jezuitów, zawierający wywiady z anonimowymi rozmówcami katolickimi w kraju (por. poprzednia moja korespondencja), był tu przedmiotem autorytatywnych komentarzy i oceniony ogólnie jako próba dywersji przeciwko obecnemu kierownictwu episkopatu, co oczywiście obiektywnie pomaga taktyce partyjnej. Zwróciło uwagę w Kurii Watykańskiej, że obok reportażu antyprymasowskiego zamieszczono w tym samym numerze pisma artykuły: T. Mazowieckiego o „tendencjach chrześcijaństwa w Polsce” i St. Stommy o „agonii dialogu”. Z miarodajnych źródeł dowiadujemy się, że z polskiej strony wystosowano pismo w tej sprawie do kardynała F. Koeniga w Wiedniu, prosząc o interwencję, tzn. przywołanie do porządku jezuitów austriackich, nie po raz pierwszy *nota-bene* szerzących dezinformację i odgrywających, prawdopodobnie bezwiednie, rolę dywersyjną we Wschodniej Europie.

Po przeszło miesięcznym pobycie w kraju wrócił do Rzymu mons. L. Poggi, pełnomocnik Stolicy Apostolskiej do rokowań z rządem PRL. Jego misja polegała głównie na kontaktach z biskupami, wizytacjach parafii (np. w Częstochowie, gdzie nowa dzielnica o ponad 20 tysiącach wiernych jest wciąż pozbawiona świątyni) i bezpośrednim udziale w szeregu uroczystości kościelnych (w Krakowie prowadził z pastorałem w ręku procesję z katedry na Skałkę). Przemawiał również publicznie. W dn. 3-go Maja na Jasnej Górze złożył „hołd wdzięczności Kościołowi w Polsce”, podkreślił że pełni „misję służenia temu Kościołowi” zleconą mu przez Papieża i wykonywaną w „najściślejszym i stałym kontakcie z episkopatem, a w sposób szczególny z księdzem Kardynałem Prymasem”. Przypomniał również przy tej okazji audiencję udzieloną mu przez Pawła VI-go przed wyjazdem do kraju („Zanieś do Polski moje serce”). Mons. Poggi był podejmowany przez redakcję *Tygodnika Powszechnego* i przyjął również postów nowego Koła „Znak”. Chciał się m.in. zorientować na czym polega istota rozłam między „grupą krakowską” a neo „Znakiem”. Rozmawiał z przedstawicielami rządu, ale kontakty te miały charakter dość marginesowy, nie dając żadnych konkretnych rezultatów, a pozostawiając jedynie „drzwi otwarte do dalszych rozmów”. Biskupi mają powody do zadowolenia z przebiegu misji wysłannika papieskiego — rząd znacznie mniej.

Nie ulega wątpliwości że ranga Kościoła w Polsce nie była nigdy tak wysoko oceniana w Stolicy Apostolskiej jak obecnie. Nikt poważny już dziś nie jest w stanie ukryć, że watykańska *Ostpolitik* przeszła ostry kryzys i że może być kontynuowana tylko na zasadach, jakie postulował polski episkopat, domagając się by dyplomacja papieska nie zaprzepaszczała ewangelicznej treści posłannictwa Kościoła Powszechnego.

Dominik MORAWSKI

DOKUMENTY

Odpis

Warszawa, dnia 8 lutego 1976 roku.

Posel na Sejm
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
Janusz Groszkowski

Do
Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
na ręce Marszałka Sejmu
Obywatela Stanisława Gucwy
w Warszawie
Gmach Sejmu

W intencji obrony praw mego kraju oraz protestując przeciw przesładowaniom za wystąpienie z usprawiedliwionymi interwencjami poselskimi, zrzekam się mandatu posła na Sejm z Okręgu Wyborczego nr 1 w Warszawie i w konsekwencji — funkcji członka i z-cy Przewodniczącego Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Przyczyny tej decyzji są następujące:

Dnia 5 stycznia 1975 roku do Premiera, Marszałka Sejmu, Prokuratora Generalnego i innych osobistości rozesłane zostało przez Tibora Petrysa pismo zarzucające mi przy użyciu obelżywych wyrazów, że uczestniczyłem w akcji szkalowania ustroju i naczelnych organów PRL w Kraju i poza granicami Państwa Polskiego, że współpracowałem w tej akcji z wrogimi Polsce ośrodkami dywersji ideologicznej i politycznej, i że dokonywałem innych przestępczych działań na szkodę PRL.

Obcokrajowiec Tibor Petrys, milioner, jest karany przez sąd PRL i wydalonym z Partii oszustem prowadzącym w Polsce na szeroką skalę zakrojoną działalność przestępczą. Osobnik ten zorganizował coś w rodzaju gangu, zajmującego się przerzutem chemikaliów, elektrycznych maszyn do liczenia i — jak twierdzi IKR — dewiz poprzez granice Polski i Austrii, bez uiszczenia należnych opłat celnych, za co został skazany prawomocnym wyrokiem sądowym.

Pracując w Politechnice Krakowskiej przywłaszczał sobie wyniki zespołowej pracy naukowej dla wyłudzenia stopnia docenta — unieważnionego potem przez Ministra Szkolnictwa Wyższego. Charakterystycznymi cechami Petrysa było posługiwanie się nienależnymi tytułami, wyłudzenie i przedkładanie różnym instytucjom fałszywych zaświadczeń i opinii, składanie fałszywych oświadczeń i zeznań oraz brutalne i bezcelne atakowanie tych wszystkich osób i instytucji, które przeciwstawiły się jego przestępczej działalności. Pełną listę przestępstw Petrysa, obejmującą 20 pozycji, przedstawiłem Radzie Państwa. O rozmiarach szkodliwej działalności Petrysa świadczy fakt wystąpienia przez Najwyższą Izbę Kontroli z wnioskiem o *wysiedlenie* Petrysa z Polski jako uciążliwego cudzoziemca prowadzącego pasywny tryb życia. Oto portret przestępcy, który mnie znieważył, widziany w świetle dokumentów urzędowych.

Jedną z pierwszych ofiar Petrysa była docent dr hab. Aleksandra Hankus, która za złożenie skargi do Rady Wydziału Mechanicznego Politechniki Krakowskiej przeciw przywłaszczeniu pracy przez Petrysa w celu wyłudzenia stopnia docenta habilitowanego, skazana została przez Sąd PRL w roku 1965 z oskarżenia Petrysa — na karę 11 miesięcy bezwzględnego aresztu,

5 tys. zł. grzywny i ogłoszenie wyroku w prasie. Ponieważ sprawa dotyczyła środowiska naukowego, zainteresowałem się nią wówczas jako Prezes PAN-u, i po przekonaniu się na podstawie gruntownie zbadanych materiałów o winie Petrysa, wystąpiłem — po wyborze na posła — z interwencjami poselskimi na rzecz ponownego zbadania procesu.

Po 11-tu latach walki, w toku której — dla złamania oporu pokrzywdzonej — organa sprawiedliwości w bezprzykładny sposób ją szykanowały i przesładowały posuwając się nawet do prób poddania dziekana wyższej uczelni badaniom psychiatrycznym, Sąd Najwyższy wyrokiem z dn. 12 lipca 1975 r. całkowicie ją zrehabilitował, uniewinnił i orzekł, że doc. dr Aleksandra Hankus udowodniła Petrynowi przywłaszczenie pracy naukowej i próbę wyłudzenia stopnia docenta oraz, że jej postępowanie było obroną uzasadnionego interesu publicznego. Jasne jest więc, że interwencje poselskie i działania na rzecz niesłusznie skazanej były całkowicie usprawiedliwione, a paszkwil Petrysa na mnie był odwetem za występowanie w obronie interesu publicznego.

Kiedy jedne instytucje wymierzały Petrynowi wielusetysięczne grzywny i domiary, unieważniły przywłaszczoną pracę i wyłudzony stopień, skazały za oszustwa podatkowe i postulowały wysiedlenie z Polski, pewni funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości osłaniali go umożliwiając kontynuację przestępczej działalności. Miałem się o tym przekonać, gdy Przewodniczący Rady Państwa polecił Prokuraturze Generalnej ściganie oszczercy i gdy — wobec ociągania się prokuratury — byłem zmuszony do złożenia prywatnego aktu oskarżenia o zniesławienie.

Prokuratura Generalna przez rok zwlekała z wniesieniem aktu oskarżenia uchylając się od ustalenia obciążających oskarżonego faktów. W złożonym akcie oskarżenia o znieważenie w mojej osobie — Rady Państwa, Prokuratura Generalna nie ujawniła — poza wyrokiem za oszustwa podatkowe — praktycznie biorąc wszystkich obciążających Petrysa faktów i dowodów; wniosku Najwyższej Izby Kontroli zawierającego dokumentację przestępstw Petrysa i postulującego wysiedlenie go z Polski, kilkakrotnego posłużenia się fałszywą opinią, złożenia fałszywych zeznań, dwukrotnego znieważenia Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego jak również dalszego wielokrotnego znieważania mojej osoby.

Dnia 6 stycznia 1976 roku, po ośmiu miesiącach walki ze mną o zarejestrowanie sprawy z mojego oskarżenia, o nadanie jej sygnatury i dopuszczenie obciążających oszusta dowodów i o przeprowadzenie rozprawy, Sąd Rejonowy w Warszawie sprawę moją umorzył i obciążył mnie kosztami procesu przestępcy, który mnie zniesławiał. Rozpoznając moje zażalenie w tej sprawie Sąd Wojewódzki pogwałcił po raz pierwszy w historii polskiego sądownictwa — kategorię przepis art. 549 Kodeksu Postępowania Karnego i obciążył Skarb Państwa kosztami przestępstw Petrysa. Mamy tu więc do czynienia z rodzajem finansowania działalności przestępczej z kasy państwowej, a nawet więcej, bo z opłaceniem przez Skarb Państwa kosztów przestępstwa, polegającego na znieważeniu mnie — jako zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa PRL.

Nie trzeba być prawnikiem, aby w tych nadużyciach dostrzec wyjątkowo rażące naruszenie porządku prawnego. Dlatego też, gdy Sąd Wojewódzki uchylił się od dopuszczenia obciążających Petrysa dowodów i zarządził na wniosek Prokuratora *tajność* rozprawy pod pretekstem ochrony autorytetu Rady Państwa a Petrys tę decyzję poparł, musialem potraktować to utajnienie procesu jako chęć ukrycia popełnionych nadużyć przed opinią publiczną i zamiar utrudnienia mi obrony przed atakami notorycznego przestępcy.

W całej sprawie postępowalem z cierpliwością i rozwagą, wielokrotnie tłumacząc powołanym do tego osobom potrzebę położenia kresu przestępczej

działalności Petrysa w Polsce oraz szkody, jakie ona przynosi. Uprawnione do tego organy wielokrotnie otrzymywały ode mnie zestawy obciążających Petrysa dowodów i dokumentów. Nie mogę jednak ograniczyć się do próśb i tłumaczeń, gdy organa wymiaru sprawiedliwości przeszły do otwartego szykanowania mnie za wystąpienie z usprawiedliwionymi interwencjami poselskimi, a następnie, gdy Sąd PRL wydaje orzeczenie obciążające Skarb Państwa kosztami przestępstw wymierzonych we mnie, jako Członka Rady Państwa i w Radę Państwa PRL.

Jako obywatel Polski Ludowej i jej poseł jestem zobowiązany do przeciwstawiania się nadużyciom wszelkimi środkami jakie stoją do mojej dyspozycji i dlatego po wyczerpaniu wszelkich dostępnych mi możliwości protestu i po poinformowaniu najwyższych władz politycznych i państwowych o wymienionych wyżej nadużyciach, rezygnuję z mandatu poselskiego i funkcji członka Rady Państwa. Czynię to, aby moi wyborcy i społeczeństwo, na których opinii mi szczególnie zależy, dowiedzieli się, że nie zgadzam się z popełnionymi nadużyciami i że wyczerpałem wszelkie możliwości przeciwdziałania.

Powyższy protest i złożona wcześniej rezygnacja z funkcji Przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu nie ma żadnych akcentów politycznych, nie ma też nic wspólnego z mającymi nastąpić zmianami w Konstytucji, w których opracowaniu miałem swój udział jako członek Komisji Nadzwyczajnej Sejmu. Dlatego w mej rezygnacji z mandatu poselskiego trzeba widzieć *jedynie protest* przeciw naruszaniu konstytucyjnych gwarancji i praworządności.

Z bólem i goryczą piszę te słowa i rezygnuję z mandatu poselskiego. Mnie napaść stwierdzonego sędownie przestępcy i wydalonego z Partii oszusta ujmę i tak nie przyniesie. Moje nazwisko nie potrzebuje ochrony sprawiedliwości sądowej. Ochrony natomiast potrzebuje dobre imię polskiego wymiaru sprawiedliwości narażone na szwank bezprzykładnym postępowaniem nieodpowiedzialnych sędziów i prokuratorów, łamaniem i naginaniem prawa i prześladowaniem uczciwych ludzi za przeciwstawianie się panoszącemu się złu. Tylko dlatego uważam za obywatelski obowiązek doprowadzenie procesu przeciw Petrysowi do sprawiedliwego zakończenia i tylko dlatego zdecydowałem się na tego rodzaju proces.

Dla uniknięcia niewłaściwych komentarzy proszę Obywatela Marszałka o zaznajomienie Obywateli Posłów z treścią mego pisma przed lub na posiedzeniu Sejmu i podanie mojej rezygnacji do wiadomości środków masowego przekazu.

Załączniki: 1. Legitymacja.
2. Dekrety nominacyjne.

Zdzisław Jaskuła
Łódź, ul. Wschodnia 49, m. 9 a.

Prezydium Zarządu Głównego
Związku Literatów Polskich
Warszawa

Zwracam się do Związku Literatów Polskich z prośbą o wzięcie mnie w obronę przed szykanami, jakie spotkały mnie ze strony władz bezpieczeństwa.

Jestem autorem tomiku „Zbieg okoliczności” („Generacje” 1973). W br. ma się ukazać nakładem Wydawnictwa Literackiego mój drugi zbiór wier-

szy. Należę do Koła Młodych przy Oddziale ZLP w Łodzi (od niedawna piastuję funkcję przewodniczącego tego Koła). Ponadto jestem studentem IV roku Filologii polskiej w Uniwersytecie Łódzkim.

W załączeniu przesyłam skargę, jaką kieruję do Prokuratury Wojewódzkiej m. Łodzi. Opisuję tam przebieg rozmowy, która stała się przyczyną moich uzasadnionych obaw, co do dalszych poczynań Służby Bezpieczeństwa w stosunku do mnie.

Zdzisław Jaskuła
Łódź, ul. Wschodnia 49, m. 9 a.

Łódź, 21 lutego 1976 r.

Prokuratura Wojewódzka m. Łodzi
w miejscu

Dnia 11 lutego 1976 otrzymałem wezwanie (L. dz. OE 299/76) z Komendy Miejskiej MO w Łodzi do stawienia się w jej gmachu przy ul. Lutomińskiej 108 w dniu 12. 2. 1976 o godz. 10.00. Wezwanie nie zawierało informacji w jakim charakterze jestem wezwany, sprawa zaś określona została ogólnikowo jako „urzędowa”. Mimo to stawiłem się tam w oznaczonym terminie. W kontekście niniejszej skargi ważna jest informacja, że od listopada 1973 roku przebywałem w Klinice Psychiatrycznej AM w Kochanówce, którą opuściłem pod koniec stycznia 1974 roku w dobrym stanie zdrowia.

Podkreślam, że opisując w dalszym ciągu rozmowę w komendzie mówić będę wyłącznie o sprawach najważniejszych.

Rozmawiałem ze mną dwóch funkcjonariuszy, do których dołączył następnie trzeci. Nazwiska ani stopnia służbowego żadnego z nich nie znam. Rozmowa trwała około dwóch godzin.

Na początku rozmowy zostały sformułowane następujące insynuacje:

1) że stan mojego zdrowia pogorszył się w sposób zauważalny dla otoczenia,

2) że jestem alkoholikiem i w dodatku obciążonym rodzinnie,

3) że żona moja, przebywająca właśnie na wczasach pracowniczych, zdradza mnie,

4) że nasze stosunki małżeńskie odbiegają od normy (żona zdradza mnie, ja ją itp.),

5) że prowadzę „wywrotową działalność” i skłaniam do tego innych. Jednocześnie podważano moje zaufanie do przyjaciół i kolegów („pańscy pseudokolegdy i pseudoprzyjaciele”) i sugerowano, że w moim najbliższym otoczeniu, nastawionym rzekomo antypolsko, „zdobywa legitymację” przysły kapitan Czechowicz. W tym sensie jestem nawet — jak mi powiedziano — „użyteczny” dla władz bezpieczeństwa.

Insynuowano mi również, że jestem „instrumentem manipulowanym przez Żydów” i wrogie Polsce Ludowej ośrodki (Wolna Europa itp.) oraz, że moja twórczość jest antynarodowa.

Po dłuższej rozmowie w stylu insynuacji i szantażu wszedł trzeci funkcjonariusz oznajmiając, że stawiam — jak to określił — „agresywny upór”. Podniesionym głosem powtórzył większość dotychczasowych insynuacji, a następnie tym samym tonem zagroził że:

1) zostaną poddany przymusowemu leczeniu psychiatrycznemu (cytuję: „pańska działalność polityczna jest objawem choroby umysłowej, ... zbierzemy dowody, zrobimy panu sprawę i zamknijemy pana na trzy lata w szpitalu psychiatrycznym, nie na tym oddziale, w którym pan był, ale z takimi wariatami, że pan zobaczy...”),

- 2) będę szykanowany na terenie uczelni („nie skończy pan studiów”),
 3) nie otrzymam mieszkania, o które się staram („pan stara się o mieszkanie? Nasza w tym sprawa żeby pan go nie otrzymał”),
 4) zostaną pozbawiony możliwości publikowania.

Nieformalne, bez jakiegokolwiek powodu wezwanie mnie na rozmowę, a także sposób jej prowadzenia (insynuacje, szantaż i groźby) oceniam jako samowolę pracowników Służby Bezpieczeństwa i zwracam się do Pana Prokuratora z prośbą o ochronę przed podobnymi nadużyciami władzy i żądaniem ukarania winnych. Użyte wobec mnie groźby, w przypadku realizacji, stanowią poważne zagrożenie mojej egzystencji ekonomicznej. Obecnie wprawdzie czuję się dobrze, ale podważanie mojego zaufania do żony, rodziny i przyjaciół oraz możliwość powtarzania się podobnych rozmów stanowi poważne zagrożenie dla mojej równowagi psychicznej.

Listy do Redakcji

Hagedalslider, 20 czerwca 1976.

Ceniony Panie Redaktorze!

Wobec udzielenia miejsca listom w nr. 6/345 *Kultury*, oznajmiających o rażąco późnym ale miażdżącym u oficerów dyplomowanych przebłyску — o zbędnej już legalności Konstytucji, Prezydenta i Rządu emigracyjnych, — pozwalał sobie na moje, bolesne dla wszystkich stron, wścibienie, jako że pamiętam fakt — jak to śp. gen. Berbecki żarliwie świadczył (w przedwojennej *Polsce Zbrojnej*) o monolocie oficerskim i nawet grzmiał — wara reszcie od niego z krytyką.

Musi chyba generał i ci co mu zawierzyli i już umarli jeszcze mozolnie przewracać się w grobach, — bo nie tylko z powodu „berling'owców”.

A u żyjących, takich z dołu — jak ja — przewraca się podobnie zaufanie.

Łączę wyrazy uznania,

Teodor FARBISZ
b. starszy bosman

Neapol, 14 maja 1976.

Drogi Panie Redaktorze,

Dziękuję za fotokopię dokumentacji, otrzymanej przez Pana z Monachium.

Dokumentacja ta dotyczy decyzji amerykańskiego kierownictwa *Radio Liberty* (z 20 kwietnia 1976 roku), na mocy której od 2 maja przestały być nadawane audycje w trzech językach północno-kaukaskich: awarskim, czeceńsko-inguskim i osetyńskim. Walter K. Scott, wiceprzewodniczący RFE/RL, pisze: „Po dokładnym zbadaniu potencjału i priorytetów audytorium na wszystkich obszarach do których nadaje RL, stwierdzono że rozmiary i znaczenie audytoriów w ZSSR dla programów nadawanych w tych trzech językach nie usprawiedliwiają ich kontynuacji w obecnych okolicznościach. Fundusze i środki techniczne, uwolnione po zamknięciu tych trzech programów, będą użyte dla wzmocnienia transmisji do innych rejonów ZSSR, gdzie potrzeby słuchaczy są większe”.

Jako autor artykułu *Radio i amerykańska niewiadoma* (w majowym numerze *Kultury*) pozuwam się do obowiązku przesłania Panu paru uwag i komentarzy.

Opis działalności RL w moim artykule zamykało zdanie: „Dominującym wrażeniem w RL jest ekspansja, rozbudowa”. Po tym co się stało, brzmi ono co najmniej dziwnie. To prawda że byłem w Monachium w pierwszej dekadzie marca, a więc miesiąc z górami przed decyzją „wyciszenia” programów północno-kaukaskich, i że wobec tego: albo nie zanosilo się jeszcze

POLSKI NUMER

“cahiers de l'est”

CAHIERS DE L'EST, pismo poświęcone problematyce literackiej Wschodniej Europy, wydało numer (lato 1976) w całości poświęcony literaturze polskiej.

Numer zawiera teksty 20 pisarzy polskich, wśród nich Witolda Gombrowicza, Mirona Białoszewskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Wiktora Woroszyńskiego, Jerzego Ficowskiego, Jarosława Rymkiewicza, Krzysztofa Jeżewskiego i Rafała Wojaczka.

Cena numeru 18 F.

Adres Redakcji: 14, RUE DE L'ARMORIQUE, PARIS 15^e.

Cahiers de l'Est jest kwartalnikiem. Prenumerata roczna kosztuje we Francji — F. 70,00; za granicą — F. 90,00.

wtedy dość wyraźnie na taką decyzję, albo zanosilo się już lecz wolano o tym nie wspominać w rozmowach z postronnym obserwatorem. Co jest jednak dziwne dzisiaj, w świetle lakonicznego komunikatu pana Scotta, to ton wypowiedzi amerykańskich kierowników RL podczas mojej marcowej wizyty: podkreślali z naciskiem i odcieniem dumy, że RL „pokrywa” i zamierza nadal „pokrywać” (nawet potęgując swoje wysiłki) całe terytorium ZSSR. Zasługuję może we własnym sumieniu na zarzut naiwności, ale nie na zarzut że moje niefortunne (jak się okazuje) zdanie napisałem w złej wierze. Tłumaczy mnie, choć nie usprawiedliwia, absolutny brak doświadczenia w rozmowach na wysokich szczeblach biurokratyczno-dyrektorskich; i zapewne fakt, że w pierwszej dekadzie marca moja czujność nie mogła być zastrzona nieznaną jeszcze podówczas „doktryną” Sonnenfeldta.

Pan Scott pisze: „Po dokładnym zbadaniu etc. etc.”. Cały ten passus budzi, delikatnie mówiąc, wątpliwości. Przypominam sobie bardzo dobrze rozmowę z amerykańskim kierownikiem, odpowiedzialnym za programy nadawane do narodów wchodzących w skład ZSSR (poza rosyjskim). Interesowały mnie ewentualne różnice w „receptywności” poszczególnych republik i „adresatów językowych”, słowem to co pan Scott nazywa skalą „rozmiarów i znaczenia audytoriów”. Odpowiedział że skoro nic o tym pewnego powiedzieć nie można, lepiej dać spokój domysłom i spekulacjom. Dodał: „Nasz szacunek odbioru radia w ZSSR jest siłą rzeczy globalny”. Jeśli tak, to trudno zrozumieć dlaczego słuchaczy północno-kaukaskich uznano naraz za bardziej głuchych od pozostałych.

Zamknięcie trzech programów północno-kaukaskich jest groźnym precedensem na przyszłość; odtąd łatwo będzie „po dokładnym zbadaniu” (i zaletnie od kolejnych sugestii czy instrukcji Departamentu Stanu) orzec, że i inne narody ZSSR (poza rosyjskim) zaraziły się stopniowo głuchotą od mieszkańców Północnego Kaukazu. A może chodzi o powolne utworzenie drogi zasadzie, że kto z „nacmenów” w ZSSR chce mieć pełną gwarancję korzystania także w przyszłości z usług RL, musi bezwzględnie udokonać swoją znajomość rosyjskiego? Byłby to czysto sowiecki wariant „integracyjnych” marzeń Sonnenfeldta. Sprawiedliwość nakazuje zauważyć (z radością i uznaniem), że rosyjscy pracownicy RL mniej są zatroskani o „integrację imperium” od swoich amerykańskich „partnerów”. Świadczy o tym przysłany mi przez Pana tekst uchwały Rady Redaktorów RL z 29 kwietnia: wszyscy redaktorzy, a więc i rosyjscy, domagają się zachowania programów północno-kaukaskich. Będzie niejaką pociechą — skromną co prawda, ale cóż nam pozostało w epoce Kissingera i jego pomniejszych Kissingerów? — jeśli utworzenie *Board for International Broadcasting* przyniesie, jako jedyny realny zysk, narodziny swoistego *Board for International Solidarity* wśród zatrudnionych w obu radiostacjach emigrantów z ZSSR i z Europy Wschodniej.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Londyn, 14 maja 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku ze streszczeniem mojego referatu „Polityka zagraniczna niepodległej Polski”, opublikowanym w numerze 5/344 *Kultury*, pragnę poinformować Czytelników, że — niezależnie od niedopuszczalnych i uwłaczających komentarzy korespondenta — streszczenie to w sposób istotny zniekształca moje twierdzenia na użytek taniej polemiki. Zainteresowani będą mieli możliwość oceny tej sprawy po ogłoszeniu mojego referatu jako broszury.

Przy tej okazji chciałbym zaznaczyć, że jako uczestnik zebrań dysku-

syjnych Klubów *Kultury* w Toronto, Sztokholmie i Londynie przyjąłem z prawdziwą przyjemnością zaproszenie p. Bohdana Brodzińskiego, gospodarza wieczoru, do wygłoszenia tego referatu. Tym bardziej byłem zaskoczony, że moja gotowość do współpracy posłużyła za okazję do kpin zarówno z zagadnienia jak i z domniemyanych poglądów referenta. Jako długoletni prenumeratorka i propagatorka *Kultury* chciałbym wyrazić sugestię, że ta metoda nie harmonizuje z wysokim poziomem pisma.

Zaszyłam wyrazy szacunku,

Andrzej KAWCZAK

Podobnej treści listy nadesłali pp. Franciszek Miszczak, Jerzy Kulczycki i Irena Wrześniak. Nie zamieszczamy ich gdyż nie wnoszą nic nowego do listu prof. Kawczaka.

Pragniemy wyjaśnić, że omówienia zebrań londyńskiego Klubu *Kultury* są indywidualną *recenzją* a nie streszczeniem wypowiedzi prelegentów. Najprostszym rozwiązaniem w przyszłości byłoby gdyby sami prelegenci przygotowywali autoryzowane streszczenia swych wystąpień dla użytku Redakcji.

Redakcja

Sydney, 17 czerwca 1976.

Panie Redaktorze!

Wystąpienie zawodowych oficerów, przeciwko fikcji państwa na emigracji, nie jest niczym nowym. Od cofnięcia uznania rządowi Rzeczypospolitej Polskiej a obdarzenia nim rządu Polskiej Republiki Ludowej, przez możliwych i mniej możliwych tego świata, tego rodzaju wystąpień było bez liku. Tyle że świeżo po wojnie miały charakter ścierania się poglądów ustrojowo-politycznych, między zawodowcami w tej dziedzinie, co emigranckiemu społeczeństwu nie przeszkadzało zrzeszać się w patriotyczne związki i śpiewać ojczyznę wolną raz nam wrócić Panie. Z wiarą, że ten śpiew modlitewny będzie wysłuchany.

Do dziś ta pieśń wzrusza bardzo wielu, ale wiara wygasa. Czy to dobrze, czy źle — zależy od punktu widzenia. Za dobrą stronę można uważać wyzbycie się tzw. mrzonek, co pozwala na pożyteczniejsze zajęcia osobiste i zbiorowe. Złą stroną jest pogłębiający się cynizm, z jakim już nagminnie naigrasujemy się ze spraw i przekonań, dla których zostaliśmy na emigracji.

„List podróżników” przypomina nam definicję państwa, „którego podmiotem jest naród, przedmiotem obszar terytorialny w ramach ustalonych granic, a funkcją parlament, rząd i sądownictwo”. Ta definicja nie odnosi się do Polskiej Republiki Ludowej, gdzie naród jest przedmiotem, obszar terytorialny miejscem pobytu, a parlament, rząd i sądownictwo narzędziem do posługiwania się przedmiotem, na wyznaczonej mu przestrzeni. Innymi słowy, PRL jako państwo jest również fikcją.

Jestem australijskim obywatelem dłużej, niż byłem polskim przed pójściem na wojnę. Jeżeli miałbym określić swój stosunek do państwa polskiego, to mam do wyboru dwie fikcje: jedną lansowaną z Londynu, drugą — z Moskwy. Słownik języka polskiego określa państwo jako „organizacja polityczna obejmująca ludzi stale osiadłych na pewnym terytorium”. Do republik ludowych całkiem pasuje, ale wolę definicję „podróżników”, bo ułatwia mi wybór fikcji.

B. KORPOWSKI

Ottawa, 20 maja 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę na tym miejscu wyrazić podziękowanie wszystkim osobom, które wpłacając prenumeratę za *Kulturę* i *Zeszyty Historyczne* samorzutnie zaokrągliły wzywając należną w dolarach kwotę celem zaoszczędzenia niżej podpisanemu — drobnych zresztą — wydatków związanych z przedstawicielstwem *Kultury*.

J. KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI

Londyn, 23 maja 1976.

Drogi Panie Redaktorze,

P. Tadeusz Katelbach (w Nr. 5/344 *Kultury*, str. 132) ujemnie i nieodkładnie ocenia Bogdana Hutten-Czapskiego. Z powodu rozpetanej przez Bismarcka wojny domowej z Polakami, każdy Polak służący w armii pruskiej uważany był w Wielkopolsce za renegata, ale to nie dowód że nim był. Taki np. gen. Raszewski został przyjęty do Wojska Polskiego i oddał poważne usługi Ojczyźnie w najcięższych chwilach Wojny o Niepodległość i, później, jako dowódca korpusu w Poznaniu. Podobnie rzecz się miała z płk. Czapskim. A zdanie, że cieszył się „szczególnymi względami cesarowej” jest absurdem, gdyż ta cesarzowa była zerem w polityce niemieckiej.

Płk Czapski był przede wszystkim dobrym katolikiem i kawalerem maltańskim (jego wysokiej rangi w Zakonie nie pamiętam) i w tym charakterze stał się nieoficjalnym reprezentantem Kurii Rzymskiej przy cesarzu Wilhelmie II gdy obie strony starały się wyjść z impasu stworzonego przez bismarckowski *Kulturkampf*. Na pewno wywiązał się znakomicie z tego ciężkiego zadania, bo był równie szanowany przez obie zwaśnione strony.

Jego testament — ogromny majątek zapisany na wielką fundację kulturalną mówi sam za siebie. Powątpiewanie o jego polskości nie ma żadnych podstaw.

Kornel KRZECZUNOWICZ

Do Redaktora *Kultury*.

Do artykułu Marii Danilewicz Zielińskiej (*Kultura* nr 5/344, str. 130) wkrađły się dwie drobne niedokładności, które proszę sprostować. Mianowicie, nie wylądowałem „na dłuższy odpoczynek” w hiszpańskiej *Mirandzie*, w ogóle tam nie trafiłem. Po aresztowaniu 15 sierpnia 1941 roku siedziałem w więzieniu w Figueras do lutego 1943. Co do miesięcznika *Wrócimy*, trzy pierwsze numery zostały odbite na powielaczu w samym obozie Notre-Dame-de-Livron, zaś w klasztorze tuluzańskim tylko dwa następne: czwarty i piąty.

Najlepsze życzenia,

Józef ŁOBODOWSKI

Lawrance, 28 maja 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Powracając w artykule „Romantyczność” w kwietniowym numerze *Kultury* do sprawy pochodzenia Mickiewicza, Czesław Miłosz idąc śladem przyjętej u mickiewiczologów akrobatyki rozumowania na ten widocznie dla nich

drażliwy temat, zdaje się przyjmować, że o ile Mickiewicz był rzeczywiście żydowskiego pochodzenia, to musiał pochodzić z frankistów. Miłosz podkreśla, że przeciwko takiemu pochodzeniu przemawia niski status społeczny „ekonoma Majewskiego”. Zgadzano się całkowicie, że Mickiewicz z żadnych frankistów nie pochodził. Ponieważ pochodził z odpowiednich do takiego pochodzenia stron, ponieważ żona jego pochodziła z frankistów (nie zgadzam się z określeniem Miłosza, że „była frankistką”), ponieważ o frankistach dużo się mówiło i ponieważ jak podejrzewam sam Mickiewicz byłby wolał pochodzić od frankistów, mickiewiczolodzy ciągle kręcą się w kole Mickiewicz-żydowskie pochodzenie-frankiści. I tu oczywiście Miłosz ma rację, że to dla Majewskich za wysokie progi. Przez podkreślenie niskiej pozycji społecznej dziadka Mickiewicza można wprawdzie niejako udowodnić, że nie był frankistą, ale przecież to zupełnie co innego niż udowodnienie, że nie był Żydem.

Przed laty w Berkeley wpadła mi w ręce niezwykle żywo napisana książka Tretiaka, monografia starej daty pt. „Młodość Mickiewicza”. Znajduję się tam relacja o żydowskim pochodzeniu matki Mickiewicza. Z góry się zastrzegam, że choć treść tej relacji utrwalona jest doskonale w mojej pamięci, choćby dlatego, że wersja jest prosta i w moich oczach prawdopodobna, mogę się mylić co do szczegółów, które zresztą w tym kontekście nie są ważne. Otóż Tretiak przedrukował z jakiegoś pisma wywiad z pewnym tropicielem śladów Mickiewicza, który powiedział, że w młodości swojej rozmawiał z wujem Mickiewicza, starszkiem, zamieszkałym wówczas w Petersburgu. Wuj ten miał oświadczyć, że w jakimś tam roku (autor oczywiście podaje wszystkie daty) wyszedł dekret zabraniający Żydom zarządzania majątkami ziemskimi szlachty. I wtedy dziadek Mickiewicza, za namową dziedzica, u którego był rządcą wychrzcił się. To wszystko. Żadnej mistyki, żadnych tajemnic wiary, żadnych frankistów. Wersja całkiem prozaiczna, podana jako fakt i w ten sposób cytowana w książce.

O ile namawianie przez dziedzica można ewentualnie uznać za bajeczkę dla grzecznych dzieci pana ekonoma, o tyle nie wiadomo czy dziedzic napotkałby na większe opory. Dla prostego, wiejskiego Żyda, obciążonego już pewnie rodziną, odciętego od miejskich i miasteczkowych gmin z ich rabinami, synagogami i tyranią nad wiernymi, i tak już pewnie wychowanego od dziecka wśród gojów, nagła utrata egzystencji równała się katastrofie, podczas gdy związki z judaizmem mogły być powierzchowne. Dodam, że folklor żydowski w Polsce obfituje w dowcipy i anegdoty, przedmiotem których są Żydzi wiejscy bardziej duchem i obyczajami zbliżeni do drobnej szlachty czy chłopstwa niż do Żydów miejskich. Dowcipy te w bardzo nieraz złośliwy sposób wymiewają właśnie oportunistom, nieuctwo religijne i brak pobożności u Żydów wiejskich, a także ich duchową odrębność. Poza tym ludzie jakoś zapominają, że na przestrzeni stuleci, od samego zarania dziejów Żydów w Polsce, przyjmowali oni stale chrzest. Nie chrzcieli się wprawdzie tak szumnie i zbiorowo jak frankiści, przyjmowali chrzest indywidualnie i po cichu, ale za to wiekami. Przypuszczam, że liczba wychrzczonych Żydów w Polsce poprzez stulecia jest bardzo wysoka. Przecież świat chrześcijański napierał stale na odizolowany świat żydowski. Napierał gospodarczo, intelektualnie, uczuciowo, obietnicą lepszego losu i zrównania się z resztą świata. Meir Ezełowicz nie był wcale tworem pozytywistycznego marzenia. Meir Ezełowicz jest jednym z najbardziej realistycznych bohaterów w polskiej literaturze.

Miłosz pisze, że istnieją trzy argumenty za żydowskim pochodzeniem Mickiewicza. Wypowiedź Branickiego, „z matki obcej” i że Mickiewicz sam podał odpowiednik hebrajski imienia Adam jako 44. Ponieważ Miłosz pisze w tym samym artykule, że jak się czegoś nie rozumie najlepiej się do tego przyznać, więc ja się przyznaję, że nie rozumiem w jaki sposób

słynne 44 może być argumentem za... Przecież 44 jest wynikiem zamiłowań numerologiczno-kabalistycznych Mickiewicza, o których wszyscy dobrze wiemy. Jeśli jest prorokiem i nazywa się Adam, to imię to wyklada się po hebrajsku, czyli w języku Świętych Ksiąg jako 44. Symboliki kabalistycznej jest w „Dziadach” dużo. Słyszałam na ten temat ciekawy referat na jednym z Polskich Kongresów Naukowych. A tak poza tym Adam, bo się urodził w Wigilię, a w Wigilię wiadomo jest Adama i Ewy. Gdyby rodzice dali Mickiewicza ochrzcić innym imieniem, głowilibyśmy się nad inną liczbą.

Niezręczne jest sformułowanie Miłosza „frankiści czyli Żydzi nobilitowani”. Mógłby ktoś niewtajemniczony wywnioskować z tego „czyli”, że wszyscy Żydzi nobilitowani pochodzili od frankistów. A przecież i przed frankistami Żydzi, którzy zmieniali wiarę zostawali uszlachceni. Można więc wprawdzie powiedzieć, że wszyscy frankiści, którzy przyjęli chrzest (bo nie wszyscy frankiści przyjęli chrzest) zostali nobilitowani, ale nie znaczy to w ogóle, że każdy szlachcic mający w rodowodzie przodka Żyda pochodzi od frankistów.

Opierając się na argumentach „za” a odrzucając argument o niskiej pozycji społecznej Majewskich, bo nie on nie znaczy, skoro na pewno nie byli nigdy frankistami, można ewentualnie przyjąć wersję, jaką tu przytoczyłam, nawet gdyby się okazało, że Mickiewicz nie miał żadnego wujka, że nigdy nie było dekretu, o którym była mowa i że wszystko się nie zgadza. Ze wersja jest prawdopodobna nie znaczy wcale, że jest prawdziwa.

Osobiście nie zmartwię się, jeśli mi ktoś jutro udowodni, że to wyssane z palca. Zamiłowania judaistyczne Mickiewicza na pewno nie przysły tak wprost, bo skąd? Przecież nie od wiejskiego Żyda, bo tylko takim mógł być dziadek Mickiewicza. Można najwyżej przypuszczać, że świadomość własnego pochodzenia, pochodzenia żony i znajomość z wszelkiego rodzaju judaizującymi ludźmi rozbudziły w Mickiewiczu te zainteresowania.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia,

Jadwiga MAURER

London, 20 czerwca 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Nawiązując do listu ogłoszonego w majowym (5/344) numerze *Kultury*, powiadamiam zainteresowanych, że z Londynu wyjeżdżam w końcu czerwca po czym porozumiewać się ze mną w sprawie definitywnych terminów i tematów odczytów lub gawęd będzie ewentualnie można za pośrednictwem *Kultury*. Podróż zamierzam zacząć od północy w sierpniu (Skandynawia), posuwając się następnie ku południowi.

Pozdrowienia,

Wiktor SUKIENICKI

Buenos Aires, 10 czerwca 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim opóźnieniem, niezależnym ode mnie, pragnę dodać kilka uwag do artykułów pp. J. Jankowskiego i B. Heydenkorna na temat Konferencji „POLONIA 75” (*Kultura*, Styczeń/Luty 1976).

P. J. Jankowski, omawiając akcję przygotowawczą konferencji, uważa, że „wynik był dość żalony: zaledwie kilka osób podjęło dyskusję z referen-

tami”, etc. Otóż jeżeli chodzi o teren argentyński to — po przygotowaniu zespołowym w specjalnej Komisji Studiów — wysłaliśmy do Chicago w wyznaczonym terminie 5 referatów: „Sytuacja Polski w Świecie Obecnym”, St. Jezierski, Projekt „Deklaracji Zasadniczej”, „Rada Gospodarcza Wolnych Polaków”, M. Więckowski i R. Wolny, „Centrala Polskiej Prasy i Publikacji”, L. Paff i „Wspólnota Polska w Argentynie”, J. Zawisza. Dwa projekty: gospodarczy i prasowy zostały obecnie włączone do „Programu Ramowego” spotkania „POLONIA 78 — POLONIA JUTRA”. Wynika z tego, że wkład środowiska argentyńskiego był duży.

Sprawa niemiecka. Autorem tekstu, przyjętego przez konferencję, byłem ja, stosownie do uchwały Sejmiku Zw. Pol. w Argentynie z czerwca 1975 potępiającej kontakty z rewizjonistami niemieckimi.

W dyskusji o Polakach w Rosji żądano ich repatriacji do Polski. Repatriacja taka oznaczałaby rezygnację z naszych praw do Ziemi Wschodnich RP. Wobec tego — zgodnie z duchem i tekstem deklaracji ideowej Zw. Polaków w Argentynie — zamiast słowa „repatriacja” zaproponowałem „przysianie im prawa wyboru miejsca zamieszkania”, co zostało przyjęte. Uważam, że różnica jest bardzo istotna.

P. B. Heydenkorn „przypisał” mnie do delegacji australijskiej gorąco popierającej „uznanie rządu londyńskiego”. Stwierdzam, że nie zabierałem bezpośrednio głosu na ten temat. Wydaje mi się, że p. Heydenkorna wprowadził w błąd fakt, że zasiadałem przy stole prezydiarnym (jako delegat Argentyny) obok p. Eugeniusza Hardego, prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Oczywiście takie przypadkowe — miłe zresztą — sąsiedztwo nie oznacza wcale zgodności poglądów.

Łączę wyrazy poważania,

Michał WIECKOWSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIEȚA W ŚWIECIE I W DOMU”

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty pierwszy	F. 236,00
Andrzej M. Cisek, Hartsdale, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 101,00
Prof. Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — zamiast kwiatów na grób Józefa Wittlina	F. 115,00
Prof. Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — ku uczczeniu pamięci Williama Perlmuttera, przyjaciela „Kultury”	F. 115,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz czwarty	F. 10,00
Irena i Józef Miętus, Yarrambat, Vic. (Australia) — zamiast kwiatów na grób śp. Anny Dudryk-Darlewskiej	F. 38,13
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz szósty	F. 71,84
Janina Popkiewicz, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 45,00
K. Steve Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 46,50
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz jedenasty	F. 345,00
S. Strugarek, Homebush, N.S.W. (Australia), po raz drugi ..	F. 110,83
Tadeusz Wyrwa, Paryż, w szóstą rocznicę śmierci śp. Ojca ..	F. 100,00
Andrzej Zabłocki, Northbrook (USA)	F. 46,00
Anonimowo z Ameryki	F. 70,00
Anonimowo, Paryż	F. 10,00
Bezimiennie, Paryż (15°)	F. 200,00
Bezimiennie, Montreal (Kanada)	F. 300,00
Bezimiennie z Toronto, Ont. (Kanada), po raz szósty	F. 231,00

DZIĘKUJEMY!

CHCESZ OTRZYMYWAĆ WCZEŚNIEJ « KULTURĘ »

— PRENUMERUJ LOTNICZO!

Dopłata wynosi rocznie:

- w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Ameryce Południowej oraz w Afryce Środkowej i Południowej: \$ 9,50;
- w Australii i na Dalekim Wschodzie: \$ A. 10,00.

Głośny List Otwarty prof. Edwarda Lipińskiego do Gierka został przyklejony na tablicy w Uniwersytecie Warszawskim. Władze poleciły list usunąć, a ponieważ trudno go było zerwać z tablicy — zaklejono go papierem. W związku z tym mówią w Warszawie: „Jakiż to dziwny kraj w którym odkleja się listy prywatne a zakleja listy otwarte!”.

Breżniew odwiedził Gierka w jego prywatnej willi i zdziwiony komfortem zapytał:

— Skąd to, towarzyszu, zdobyliście materiał na wybudowanie tak wspaniałej willi?

Gierek w odpowiedzi poprosił gościa żeby spojrzął przez okno i powiedział:

— Widzicie, towarzyszu, rzekę?

— Widzę.

— A most widzicie?

— Widzę.

— Otóż jak budowali ten most pozostały jakieś tam nadwyżki materiałowe i z tego jest moja willa.

Po pewnym czasie Gierek rewizytował Breżniewa w jego wspaniałej dacy pod Moskwą i zachwycony przepychem zawołał:

— W jaki sposób, towarzyszu, zdobyliście się na taki pałac!

Breżniew w odpowiedzi polecił Gierkowi żeby spojrzął przez okno i zapytał:

— Widzicie, towarzyszu, rzekę?

— Widzę.

— A most widzicie?

— Nie, nie widzę...

— No, właśnie... — wyjaśnił Breżniew.

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

— Jak można określić przejściową fazę pomiędzy socjalizmem a komunizmem?

— Alkoholizm...

— Jacy byli najwięksi Żydzi w historii świata?

— Mojżesz i Kissinger: pierwszy wyprowadził z Egiptu Żydów, a drugi Rosjan...

Gospodarka Polski trapiąca jest przez 5 wielkich M z których nie ma wyjścia: Mięso, Mleko, Masło, Meble, Mieszkania.

Breżniew bardzo lubi słońce. O wschodzie wychodzi na balkon swego mieszkania i mówi: — „Dzień dobry słońeczko”. — „Dzień dobry, towarzyszu Leonidzie”, odpowiada słońce, „życzę wam powodzenia w pracy”. — W południe Breżniew wychodzi na taras swego biura i znowu pozdrawia słońce w zenicie, a ono oświetla go swoimi promieniami i życzy dalszych sukcesów. Po skończonej pracy Breżniew przed wyjściem z biura, znowu patrzy na czerwoną już kulę na niebie i mówi: — „Dobranoc słońeczko, powiedz mi coś przyjemnego przed nocą!”. — „A odwal się draniu!” — krzyknęło słońce — „ja już jestem na zachodzie...”.

Zebrała Zofia HERTZ

SPIS RZECZY (ciąg dalszy)

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Rozważania o literaturze zwanej emigracyjną</i>	161
Wasył Wytwykcyj:	<i>Muzyka i polityka</i>	167
Witold Wirpsza:	<i>Dr. h. c. Karl Dedecius</i>	171
Leszek Kołakowski:	<i>Na śmierć Marcina Heideggera</i>	172
—	<i>Litwin na Broadwayu</i>	176
—	<i>Nieznane pisma organizacji kombatanckich</i>	177
Józef Jakubowski:	<i>Apel Księgarni Polskiej w Paryżu</i> ..	179

POLEMIKI

Witold Wirpsza:	<i>Uniwersalizm i zaściankowość</i>	181
-----------------	---	-----

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Marksizm, Kołakowski i zastrzeżenia</i>	185
Józef Lewandowski:	<i>„Stronictwo Ludowe w latach 1939-1945”</i>	189
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Książki historyczne</i>	193
Michał Heller:	<i>„Przepastne wyżyny”</i>	196
Aleksander Małachowski:	<i>Rodziewiczówna</i>	199
T. Z.:	<i>Profesor doktor</i>	200
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	201
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	213



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	216
---	----------------------------------	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	221
Prof. Janusz Groszkowski:	<i>List do Sejmu PRL, w którym rzeka się mandatu posła na Sejm oraz funkcji członka i Z-cy Przewodniczącego Rady Państwa PRL</i>	226
Zdzisław Jaskuła:	<i>Listy do Prez. Zarządu Gł. Związku Literatów Polskich i do Prokuratury Wojewódzkiej m. Łodzi</i>	228



T. Farbisz, G. Herling-Grudziński, A. Kawczak, B. Korpowski, J. Korwin-Lopuszański, K. Krzeczunowicz, J. Łobodowski, J. Maurer, W. Sukiennicki, M. Więckowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	231
—	<i>Wpłaty na „Fundusz Kultury”</i>	238
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	239

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI, Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI, 87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 3^e Trimestre 1976.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite: Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$A 2,25	\$A 12,00	\$A 22,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vllissingen, Tel.: (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 70 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzkwiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 15,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 28,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Geblonzerstr 7/1 —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6 ..	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172. T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Books, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211.	\$ US 3,00	\$ US 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

lub równowartość

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le-Mesnil-le Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.



TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.



TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.